

ZESZYT PIĘCDZIESIĄTY CZWARTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1980

ZESZYT PIĘCDZIESIĄTY CZWARTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1980

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 323

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Janusz RAKOWSKI

ZETOWCY I PIŁSUDCZYCY (1)

NOTA OD AUTORA

Szkic ten jest zarysem dziejów ZETU, ruchu ideowo-politycznego, którego początek sięga lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. ZET — to przyjęty powszechnie skrót ZWIĄZKU MŁODZIEŻY POLSKIEJ, tajnej organizacji, założonej w roku 1886 w Szwajcarii przez pułkownika Zygmunta Fortunata Miłkowskiego. W tej poufnej i nieznanej szerszym kręgom polskiego społeczeństwa formie organizacja ta przetrwała do dni katastrofy wrześniowej 1939 roku. W historiografii powojennej nazywa się to ugrupowanie polityczne „Naprawą”, a jego uczestników „naprawiaczami”. Życie ZETU było znacznie dłuższe niż „Naprawy”, dlatego też będę z zasady mówił o zetowcach a nie o „naprawiaczach”.

Byłem od czasów gimnazjalnych w Lublinie wychowany w ideologii ZETU i później członkiem kontynuacji zetowej w życiu społecznym i politycznym odrodzonej Polski, jakim był ZWIĄZEK PATRIOTYCZNY (ZP). Jawnym odpowiednikiem tej ścisłej grupy był Związek Seniorów Organizacji Młodzieży Narodowej (OMN), który po połączeniu się OMN z sześcioma innymi stowarzyszeniami akademickiej lewicy w roku 1927 i utworzeniu w ten sposób Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej (ZPMD), przybrał nazwę Związku Seniorów OMN i ZPMD. Byłem ostatnim prezesem OMN szkół wyższych i pierwszym prezesem ZPMD.

Tak jak ZET kierował różnymi organizacjami młodzieżowymi, tak też ZWIĄZEK PATRIOTYCZNY patronował wielu stowarzyszeniom i formacjom społecznym i politycznym, wśród których założony w roku 1926 Związek Naprawy Rzeczypospolitej (ZNR) był jedną z organizacji przejściowych. Osobiście byłem z tą formacją związany przez kilka lat pracy w jej grupie syndykalistycznej i przez stałe uczestnictwo w ZWIĄZKU PATRIO-

TYCZNYM. Jest to więc i z tego tytułu moja legitymacja do zabrania głosu w rozważaniach na temat działalności i roli politycznej zetowców w ogóle, a w obozie piłsudczykowskim w szczególności.

Na napisanie obszernej historii ZETU, czego ktoś kiedyś może dokona, nie pozwalają mi warunki pracy w Szwajcarii, w oddaleniu od dokumentacji znajdującej się w kraju. Tylko częściowo mogłem wykorzystać materiały w bibliotekach polskich na Zachodzie. Mogłem jednak zgromadzić wiele informacji i odświeżyć pamięć osób i wydarzeń na podstawie prac i wspomnień wydanych już w druku na emigracji i w kraju, jak również autobiografii przysłanych mi przez kolegów.

Starając się dać czytelnikowi ogólny pogląd na ideologię i działalność ZETU w historycznym rozwoju, zakres rozważań zacieśniam w tym szkicu z reguły do stosunków, jakie łączyły zetowców z obozem piłsudczykowskim. Do takiego ujęcia tematu skłoniły mnie niezbyt obiektywne — moim zdaniem — i utrzymane w nieprzyjaznym tonie wynurzenia niektórych „oficjalnych” historyków i publicystów obozu. Dlatego też szkic ten będzie nosił częściowo charakter polemiczny.

Zdaję sobie sprawę, że temat „ZETOWCY I PIŁSUDCZYCY” już w tym tytułowym sformułowaniu może być dla czytelnika niejasny. Nie chodzi o przeciwstawność. Zetowcy należeli do obozu niepodległościowego i z wybuchem wojny 1914 roku poparli politykę twórcy Legionów. Później uważali się za piłsudczyków. Chodzi więc nie o dwa przeciwstawne sobie ugrupowania, ale o miejsce zetowców w obozie piłsudczykowskim; jeśli ktoś woli — o stosunek części obozu do jego całości, lub lepiej — do jego kadry kierowniczej. Rozróżnienie może mieć sens tylko w świadomości historycznego rodowodu zetowców i piłsudczyków. Rodowód zetowców jest narodowy, rodowód piłsudczyków socjalistyczny. Pod pojęciem „piłsudczyków” rozumieć należy najbliższe otoczenie Marszałka, jego sztab polityczny. Oczywiście nie można przeciwstawiać zetowców legionistom, gdyż wielu z nich znalazło się w Legionach. Linia podziału leży zasadniczo między piłsudczykami wiernymi bez zastrzeżeń Józefowi Piłsudskiemu, a piłsudczykami-zetowcami, uznającymi Marszałka jako wojskowego i politycznego przywódcę narodu, ale zachowującymi swą odrębność ideową i organizacyjną.

Najbliższe otoczenie Piłsudskiego, tzw. „pułkownicy”, nie lubili zetowców właśnie dlatego, że nie przyjmowali oni bezkrytycznie wszystkiego co czynił Marszałek w niepodległym państwie, lub co głoszone — nie zawsze w sposób przekonujący — w jego imieniu. Główny przedstawiciel tej grupy w piśmiennictwie polityczno-historycznym, Władysław P o b ó g - M a l i n o w s k i¹ bagatelizuje rolę narodowego skrzydła walki niepod-

1. *Najnowsza historia polityczna Polski*, tom II, Londyn, 1956.

ległociowej prowadzonej przez ZET i wyrosłe z jego łona ZARZEWIE, a w okresie po przewrocie majowym nie szczędzi „naprawiaczom” i zarzewiakowi Eugeniuszowi Kwiatkowskiemu złośliwych uwag. Zarzuca on „naprawiaczom” bezprogramowość, krnąbrność i nieposłuszeństwo wobec ukochanego Komendanta, w cichym założeniu, że wszystkie najlepsze wartości obozu pomajowego koncentrowały się w grupie jego przyjaciół, zgromadzonych dookoła osoby Walerego Ślawka, człowieka niewątpliwie wysoce ideowego i czystych rąk, którego polityczne koncepcje nasuwały jednak wiele zastrzeżeń. Malinowski jest mało uprzejmy w stosunku do „Naprawy”, gdy pisze m.in.:

„Mafijny charakter tego zespołu doprowadzi go do zwyrodnienia politycznego. Wiązali się z Piłsudskim, ale w ich stosunku do niego nie było nigdy ani szczerego przywiązania, ani głębszego zaufania; autorytet jego dla nich nie był bezsporny; dla wielu z nich autorytetem większym były ich własne — mafijne — władze (np. uważany za 'papieża' K. Wyszyński lub 'kardynałowie' jak Janikowski²”.

Inny autor, związany ściśle z grupą pułkownikowską, w anty-„naprawiackim” nastawieniu poszedł jeszcze dalej i pozwolił sobie w odniesieniu do zetowców, największego ugrupowania obozu, przytoczyć — z powołaniem się na Józefa Becka — nie wiadomo czy prawdziwe czy zmyślane słowa Komendanta:

„Naprawiacze! każdy pojedynczo to bardzo porządny człowiek, ale jako organizacja to banda³”.

Tego rodzaju uszczypliwe uwagi i oceny niewiele odbiegają od notorycznych ataków Stanisława Mackiewicza (CAT), który w okresie przedwojennym na ringu politycznych kontrowersji nie szczędził „Naprawie” ciosów z „prawej i lewej”, przyczyniając się zresztą wybitnie do spopularyzowania tej nazwy. Mackiewicz, były zetowiec, podobnie jak Pobóg-Malinowski zarzucał „naprawiaczom” zbyt małą dyspozycyjność w stosunku do Piłsudskiego; organizując współpracę konserwatystów z obozem pomajowym, nie mógł im darować ich dążeń społeczno-reformatorskich.

Na emigracji Mackiewicz pisał też o „naprawiaczach”, ale — jak to sam dosłownie sformułował — „bez tej zawziętości, z którą ich zwalczał(em) w niepodległej Polsce⁴”. Jego zdaniem „naprawiacze” byli specjalistami od organizacji społecznych, subsydiowanych ze skarbu państwa”. Przypina, że „działacze

2. *Ibidem*, str. 499.

3. Wiktor T. Drymmer, „Zespoły dyskusyjne i organizacje tajne”, *Zeszyty Historyczne*, nr 22.

4. Stanisław Mackiewicz (Cat), *Historia polski od 11 listopada 1918 r. do 17 września 1939 r.*, Londyn, 1941, str. 11-15 i 260-261.

młodzieży narodowej wkroczyli na tę drogę pełni zapału i w najlepszych intencjach". Stwierdza, że „wśród 'naprawiaczy' znajdowało się sporo ludzi ideowych, rzetelnych, uczciwych do szpiku kości. Tacy byli Kazimierz Wyszyński, Zdzisław Lechnicki i wielu innych", ale zarzuca też, że niektórzy „zasmakowali w robieniu interesów", stawiając ten zarzut bez wymienienia nazwisk i pokrycia w dowodach.

O ZECIE i jego działalności na emigracji najczęściej pisał Tadeusz Katelbach, jeden z czołowych publicystów i działaczy ugrupowania. Obie jego prace⁵, poświęcone całkowicie ZETOWI, są cennym przyczynkiem do poznania tego ruchu. Są jednak pisane ze stanowiska wspomnień autora, opisują wydarzenia w których brał udział i nie dają pełnego i właściwego obrazu ZETU.

Publicystyka i historiografia polityczna w kraju, krytycznie ustosunkowana do wszystkiego co działo się w Polsce w okresie międzywojennym w ogóle, a w okresie po przewrocie majowym w szczególności, nie kochając „sanacji", nie może też lubić „Naprawy". Sprawie „Naprawy" poświęcają jednak historycy młodszego pokolenia zdumiewająco wiele badań w oparciu o zachowane czasopisma i dokumenty. Zdając sobie dokładnie sprawę, że za „Naprawą" stał ZET, nie sprowadzają działalności ugrupowania do polityki „mafijnej", ale słusznie starają się wydobyć głębsze, ideologiczne różnice w obozie sanacyjnym. Historyków w kraju interesuje przede wszystkim miejsce, jakie zajmował Związek Naprawy Rzeczypospolitej w obozie Piłsudskiego. W ramach ogólnej analizy działalności ugrupowań politycznych tacy autorzy jak Janusz Żarnowski⁶, Marian Marek Drozdowski⁷, Hanna i Tadeusz Jędruszczak⁸ i inni spierają się, czy należy zaliczyć „naprawiaczy" do lewicy czy też do prawicy.

Dobrze zorientowany w rodowodzie „Naprawy", jej organizacjach i działalności jest Andrzej Micewski. Wykazuje zdumiewającą znajomość tej problematyki w pracach, opartych na studiach ideologicznych prądów i koncepcji Polski międzywojennej. Píše m.in.:

„'Naprawa' była w istocie jedną z największych grup obozu sanacyjnego. Wewnątrz tego obozu przeciwstawiała się ona wpływom konserwatywnym, spornym jest natomiast, czy można ją zaliczyć do lewicy sanacyjnej. Linia grupy miała wiele sprzeczności, zygzaków, niejasności. Miała zarazem rady-

5. Tadeusz Katelbach, *Spowiedź pokolenia*, Lippstadt, 1948; Artykuł „ZET", *Zeszyty Historyczne* nr 13, 1968.

6. Janusz Żarnowski, „Lewica sanacyjna 1935-1939", *Przegląd Historyczny*, 1958, zeszyt 4.

7. Marian Marek Drozdowski, *Spółeczeństwo, państwo, politycy II Rzeczypospolitej*, Kraków, 1972.

8. Hanna i Tadeusz Jędruszczak, *Ostatnie lata II Rzeczypospolitej*, Warszawa, 1970, i inne prace.

kalną społecznie i nacjonalistyczną frazeologię polityczną, co wzięło się z rodowodu części tej grupy pochodzącej z młodzieży narodowej⁹”.

W kraju znaleźli się również historycy, którzy ruchowi zetowców „naprawiaczy” poświęcili szereg monografii specjalnych. W tym zakresie bardzo wartościowym wydawnictwem jest duża książka „Zarzewie 1909-1920, wspomnienia i materiały”, opracowana pod redakcją Aleksandry i Andrzeja Garlickich¹⁰. Zawiera ona charakterystykę tego ruchu, relacje kilkunastu zarzewiaków, ale też i wiele informacji z zakresu historii ZETU, z którego Zarzewie wyłoniło się.

Do historii ruchu zetowego należą też — ze znanych mi autorów — prace Ludwika Hassa¹¹, książka o dużej wartości dokumentarnej Seweryna Ajznera o tzw. „trzech zetach”¹², charakteryzująca m.in. grupę zetowców-syndykalistów, oraz rzeczowe, odcinkowe prace badawcze Marii Wierzbickiej¹³, Teofila Piotrkiewicza¹⁴ i Czesława Demela¹⁵.

Wszystkie te prace są poważnym wkładem do poznania historii politycznej lat 1918-1939. Będę się na nie często powoływał, choć z niektórymi wypowiedziami polemizowałem.

Co jest prawdą o ruchu zetowym? Jak działali i jaka była ich rola w życiu narodu i państwa polskiego, a w obozie piłsudczykowskim w szczególności? Nie pretenduję do wyczerpującej odpowiedzi na te pytania. Chciałem po prostu zebrać i posegregować materiał historyczny i u schyłku moich lat dorzucić nieco światła z pozycji mojej wiedzy i moich doświadczeń.

Mieczysławowi Chmielewskiemu, Wiesławowi Domaniewskiemu, Zygmuntowi Kallenbachowi, Janowi Kazimierskiemu, Stanisławowi Kudlickiemu, Wacławowi Szyszkowskiemu, Mieczysławowi Zaleskiemu i Tadeuszowi Zawadzkiemu-Żenczykowskiemu, kolegom wspólnej pracy ideowej, dziękuję szczególnie za okazaną mi pomoc w gromadzeniu dokumentacji.

Zurych, maj 1980.

9. Andrzej Micewski, *W cieniu marszałka Piłsudskiego*, wyd. Czytelnik, 1968, str. 266/267. Również *Z geografii politycznej II Rzeczypospolitej*, Biblioteka *Więzi*, Warszawa, 1964.

10. Instytut Wydawniczy „Pax”, Warszawa, 1973, str. 482.

11. Ludwik Hass, „Związek Patriotyczny 1918-1926”, *Kwartalnik Historyczny*, R. LXXXV, z. 4, 1978, i inne prace.

12. Seweryn Ajzner, *Związek Związków Zawodowych 1931-1939*, wyd. „Książka i Wiedza”, Warszawa, 1979, str. 327.

13. Maria Wierzbicka, „Problematyka 'Przełomu' w latach 1926-1935”, *Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa*, t. III, z. 1, Wrocław, 1963.

14. Teofil Piotrkiewicz, „Myśl polityczna Związku Naprawy Rzeczypospolitej wobec kwestii ukraińskiej”, *Przegląd Historyczny*, t. LXX, z. 2, 1979.

15. Czesław Demel, „Z genezy Związku Młodej Polski”, *Studia i Materiały do dziejów Wielkopolski i Pomorza*, R. 1977, t. XII, z. 2(24), str. 153-173.

I. POCZĄTKI RUCHU ZETOWEGO

Zygmunt Miłkowski

Ruch zetowy wywodzi się od Zygmunta Fortunata Miłkowskiego (1824-1915), pseudonim literacki Teodor Tomasz Jeź, który zainicjował go i patronował mu przez długie lata. Myśli i wskazania Miłkowskiego były dla młodzieży zetowej świętą księgą przykazań w pracy narodowej.

Miłkowski, polityk demokratyczny, powstaniec, pisarz, był urodzonym konspiratorem¹. Już w wieku lat 14, w roku 1838, związał w gronie kolegów szkoły w Niemirowie, do której uczęszczał, dziecinną konspirację. W 9 lat później, jako wolny słuchacz uniwersytetu w Kijowie, zorganizował znów wśród studentów spisek w duchu demokratycznym.

Gdy na jesieni 1918 roku w romantycznej atmosferze księżycowej nocy cmentarza lubelskiego zaproponowano mi przystąpienie do tajnej organizacji młodzieży gimnazjalnej „Przyszłość” (PET), wtajemniczenie rozpoczęło się od wykładu „starszego” grupy, Stanisława Pliszczyńskiego, na temat Miłkowskiego i jego wskazań w służbie narodowej, z uzasadnieniem, dlaczego kontynuować należy pracę w myśl tych wskazań w odrodzonej Polsce w ramach poufnej organizacji ideowo-wychowawczej. Miałem wówczas ledwie ukończone 16 lat i brałem już udział w poprzednich latach w tajnym skautingu, w pracach Organizacji Młodzieży Narodowej Szkół Średnich i w Kadrze Szkolnej P.O.W.

Dzisiaj wiem o Miłkowskim dużo więcej. Po romantycznych przygodach wojennych w okresie Wiosny Ludów, udziale w Legionie Polskim na Węgrzech i w Turcji, wstąpił on w roku 1850 do Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. W 1856 roku wziął się do pisarstwa, traktując twórczość literacką jako zastępczą formę służenia Ojczyźnie do czasu odnowienia się walki zbrojnej.

Gdy przez powstanie styczniowe 1863 roku walka została wznowiona, Miłkowski melduje się natychmiast. Już w październiku 1862 nawiązał kontakt z Centralnym Komitetem Narodowym, otrzymał nominację na pułkownika i brał udział w powstaniu jako dowódca oddziału na Rusi. Zmuszony do przekrocze-

1. Doskonały życiorys Z. Miłkowskiego pióra Stefana Kieniewicza i Mariana Małeckiego zamieszczony jest w „Polskim Słowniku Biograficznym”, skąd czerpię kilka szczegółów z jego życia i prac.

nia granicy rumuńskiej i złożenia broni, przedostał się na Zachód Europy, gdzie z nieprawdopodobną mocą charakteru prowadził nadal walkę o niepodległość kraju — już nie orężem, ale piórem i udziałem w organizacjach emigracyjnych.

Myśl jednoczenia Polaków przy sztandarze walki o niepodległość, unikanie tego co dzieli i koncentrowanie się na tym, co łączy było podstawą ideologii i programu działania Miłkowskiego-Jeża. W roku 1866 osiadł w Brukseli, włączając się do prac Zjednoczenia Emigracji Polskiej. W roku 1867 redagował pismo *Niepodległość*, dojeżdżając do Paryża. W roku 1869 prowadził gwałtowną polemikę z Ludwikiem Mierosławskim, wypominając mu jego rozbijackie posunięcia z lat przedpowstańowych. Urzeczywistnienie idei zjednoczenia Polaków w obliczu ważnych zadań i aspiracji narodowych uważał za możliwe tylko przy wypośrodkowaniu hierarchii celów i dróg ich realizacji na drodze patriotyzmu i demokracji. Hasła jedności, patriotyzmu i demokracji będą na długie lata ożywiać umysły młodzieży. Staną się też kamieniem węgielnym ideologii narodowej i zapoczątkowanej przez Miłkowskiego szkoły wychowania elity politycznych działaczy.

47 lat swego długiego życia spędził Miłkowski-Jeż w Szwajcarii, dokąd przeniósł się w roku 1872. Mieszkał w Lozannie, Genewie, Wetzikonie pod Zurychem i w Rapperswilu. Myśl jego krążyła stale około innego jeszcze hasła: gromadzenia funduszków na cele narodowe. Już w redagowanym w roku 1867 piśmie *Niepodległość* głosił konieczność utworzenia „Skarbonki na potrzeby Ojczyzny”. Idąc śladami Adama Mickiewicza, głosił to hasło w sytuacji, gdy na schyłku lat osiemdziesiątych kryzys przymierza 3-ch państw rozbiorowych i wzrost uświadamienia polskich mas ludowych otwierały przed sprawą polską nowe perspektywy.

ZET — Liga Polska — Liga Narodowa

Z inicjatywy Miłkowskiego, przy czynnym udziale ówczesnego socjalisty Zygmunta Balickiego, który przybył nielegalnie do Polski ze Szwajcarii, z patriotycznych i socjalistycznych kręgów młodzieży akademickiej wyłoniony został w Warszawie Związek Młodzieży Polskiej, zwany później popularnie ZETEM². Datą założenia ZETU — zgodnie z relacją Stanisława

2. *Zarzewie 1909-1920, op. cit.*, str. 5-21.

Bukowieckiego, w niepodległej Polsce lat międzywojennych prezesa Prokuratury Generalnej, który jako ówczesny student brał udział w zebraniu założycielskim — jest dzień 28 listopada 1886 roku³. Mniej więcej w tym samym czasie (historycy nie są zgodni czy działo się to nieco wcześniej czy dopiero w początkach 1887 roku) Miłkowski, w porozumieniu z niewielką grupą przyjaciół z emigracji, powołał do życia w Szwajcarii Ligę Polską. Była to tajna organizacja trójzaborowa starszych działaczy niepodległościowych. Gdy się to działo, nie istniała jeszcze Polska Partia Socjalistyczna, a Józef Piłsudski, urodzony w roku 1867, liczył niespełna 20 lat.

Program Ligi Polskiej zakładał odbudowanie Polski republikańskiej i demokratycznej w duchu manifestu Towarzystwa Demokratycznego Polskiego z roku 1836, którego Miłkowski był członkiem od Wiosny Ludów. W latach 1887-1894 ZET i Liga Polska tworzyły swojego rodzaju jedność organizacyjną. ZET miał przygotowywać przyszłych działaczy Ligi i wykonywać jej polecenia w zakresie „szkolno-przygotowawczym”⁴. Broszura Miłkowskiego „Rzecz o obronie czynnej i skarbie narodowym”, wydana w Paryżu w roku 1887, głosząca konieczność stworzenia tajnego rządu polskiego i prowadzenia orężnej walki o niepodległość, była programem działalności ZETU i Ligi Polskiej.

Czynnym działaczem w ZECIE i w Lidze Polskiej był Roman Dmowski. Przy pomocy braci zetowych, m.in. Balickiego i Popławskiego, dokonał on w roku 1893 „zamachu stanu”, przekształcając Ligę Polską na Ligę Narodową i przenosząc jej Komitet Centralny ze Szwajcarii do Warszawy. To dało początek stronnictwu Narodowej Demokracji.

Do tego czasu, w latach 1887-1894, ZET był elitarną trójstopniową tajną organizacją (eksterni, towarzysze, bracia), skupiającą młodzież o nastrojach patriotycznych i zapatrywaniach zarówno demokratycznych jak socjalistycznych. Budząca się działalność PPS z jednej oraz Romana Dmowskiego z drugiej strony, jak również szereg aresztowań w Warszawie doprowadziły do likwidacji tzw. pierwszego ZETU.

Sprawa tej faktycznej czy rzekomej „likwidacji” nie jest jasna. Aleksandra i Andrzej Garliccy piszą, że po utworzeniu Ligi Narodowej Komitet Centralny nowej Ligi (poprzednio Liga Polska) powołał własną organizację młodzieżową⁵. Stanisław Ko-

3. Tadeusz Katelbach, „Zet”, *Zeszyty Historyczne* nr 13, 1968, Paryż.

4. *Zarzewie*, op. cit., str. 6/7.

5. *Ibidem*, str. 7.

zicki stwierdza, że w ZMP (ZECIE) byli socjaliści. Gdy w roku 1890 — pisze — „jawnym” członkiem Zarządu w Warszawie został Dmowski, wówczas „najważniejsi socjaliści w liczbie jedenastu manifestacyjnie wystąpili z grupy, deklarując, że nie chcą pracować pod jego kierownictwem⁶”. W czerwcu 1895 roku miał być zwołany w zaborze rosyjskim zjazd młodzieży uniwersyteckiej. Inicjatorem zjazdu jak również autorem późniejszego programu ZETU miał być Dmowski.

Jakby nie było faktem jest, że po upływie trzech lat od wspomnianego Zjazdu akademickiego, a więc około 1898 roku, zaczęły tworzyć się środowiska nowego ZETU, początkowo w zaborze pruskim i w Niemczech, potem w Krakowie, następnie dopiero w Warszawie i we Lwowie. Nawiązano łączność z koloniami polskiej młodzieży akademickiej w Rosji, we Francji i w Szwajcarii. Był to tzw. przez Garlickich „drugi ZET”. Nowa organizacja składała się z dwóch stopni: niższego — kolegów, i wyższego — braci. Zwierzchnią władzą ZETU była trzysobowa Centralizacja (tzw. „Ciotka”). Członkowie Centralizacji oraz bracia kończący wyższe studia byli przyjmowani do Ligi Narodowej. W myśl statutu nowego ZETU stał się on „szkołą organizacyjnego i politycznego wyrobienia, a zarazem pierwszym przygotowawczym stopniem w nieprzerwanym ciągu służby publicznej” (§ 1 punkt c statutu Związku Młodzieży Polskiej z roku 1898 według Stanisława Kozickiego).

Na przełomie wieków ten „drugi ZET” był najczynniejszą i najpotężniejszą organizacją młodzieżową, jaka kiedykolwiek istniała w przeszłości. W ciągu kilku lat — zgodnie z wielu relacjami — ziemie trzech zaborów pokryły się siecią organizacji zetowej, a komórki jej pracowały sprawnie w środowiskach polskich na terenie Rosji i na Zachodzie Europy. W 1899 roku ukazał się pierwszy zeszyt organu związkowego, miesięcznika *TEKI*, z artykułem seniora ruchu Z. Miłkowskiego. Świadczy to, że Miłkowski w tym czasie nadal patronował ZETOWI, reprezentującemu — jak zresztą ówczesnie również Liga Narodowa — kierunek niepodległościowy.

Zreorganizowany ZET nie ograniczał swej działalności tylko do terenu akademickiego, ale szedł ze swą ideologią do młodzieży gimnazjalnej, jak również do środowisk robotniczych i wiejskich. W roku 1900 zetowcy założyli podległą sobie tajną organizację szkół średnich pod początkową nazwą „X” i „Czerwona Róża”, zamienioną później w Królestwie i Galicji na „P r z y s z ł o ś ć”

6. *Historia Ligi Narodowej 1887-1907*, Londyn, 1964, str. 43.

(PET). W Poznańskim koła „Czerwonej Róży” przekształciły się w okresie 1907/1908 na „Towarzystwo Tomasza Zana” (TTZ).

Lata 1905-1908 — Strajk szkolny

Jednocześnie z ZETEM rozwija się działalność Ligi Narodowej. Historia tej Ligi jest na ogół znana. Opisana została m.in. przez Władysława Pobóg-Malinowskiego⁷, Mariana Kukiela⁸, Stanisława Kozickiego⁹. Krótko więc tylko trzeba przypomnieć, że kierownicy Ligi Narodowej oddzielili kierunek narodowy od socjalistycznego, patriotyzm skierowali na drogę nacjonalizmu, obronę czynną przemienili na bierną, pozostawiając sobie Skarb Narodowy¹⁰. Kolejnymi etapami tworzenia się nowej koncepcji ideowej były: praca Z. Balickiego „Egoizm narodowy wobec etyki” (Lwów, 1902); R. Dmowskiego „Myśli nowoczesnego Polaka” (Lwów, 1903) i nowy program Stronnictwa Demokratycznego z roku 1903. W tym ostatnim Liga otwarcie zrezygnowała z walki zbrojnej, proponując działanie legalne w „istniejących układach państwowo-prawnych”¹¹.

To przejście Ligi Narodowej wywołało protest w licznych kołach zapoczątkowanego przez Jeża-Miłkowskiego ruchu ideowego, który — po różnych perypetiach — doprowadzi w roku 1908 do rozłamu.

Szczególnie młodzieżowa organizacja ZETU nie mogła zaakceptować ewolucji, jaką przechodziła od 1902 roku pod wpływem pism Dmowskiego i Balickiego Liga Narodowa i podległe jej stronnictwo Narodowej Demokracji. ZET, choć ciągle jeszcze związany z Ligą Narodową, burzył się i usamodzielniał. Do zderzenia poglądów doszło w pierwszych dniach rewolucji 1905 roku, kiedy to ZET i PET podjęły w łączności z akcją rewolucyjną PPS strajk szkolny i bojkot szkół rosyjskich, a Liga Narodowa w odezwie z dniach 28 stycznia 1905 nawoływała do spokoju. Strajk wybuchł tegoż dnia.

Według relacji Stefana Szwedowskiego¹² sprawa strajku rozważana była w ZECIE już w listopadzie 1904 roku. Wówczas

7. *Narodowa Demokracja 1887-1918*, Warszawa, 1933.

8. *Dzieje Polski Porozbiorowej*.

9. *Historia Ligi Narodowej 1887-1907*, op. cit.

10. *Zarzewie*, op. cit., str. 7.

11. *Ibidem*, str. 9.

12. „O ścisłość historyczną...”, *Przełom* nr 26, 1930, również *Więź* nr 10, 1973.

już doszło do pierwszego poważnego zatargu, na razie jeszcze formalnie, na tle taktycznym tylko, pomiędzy warszawskim Kołem Braterskim ZETU a komisarzem Ligi Narodowej Romanem Dmowskim. Wbrew jego wyraźnemu zakazowi Koło postanowiło wspólnie z młodzieżą socjalistyczną zorganizować strajk i uchwałę w tym duchu przeprowadziło w grudniu tegoż roku na Zjeździe PETU.

Główny historyk Ligi Narodowej, Stanisław Kozicki, w zasadzie nie zaprzecza, że inicjatorem były ZET i PET. Pisze, że „sprawa walki o szkołę polską była na porządku dziennym w ZMP (ZECIE) od października 1904 roku; praktycznie akcja zapoczątkowana była przez organizacje socjalistyczne i radykalne młodzieży szkół średnich”, co w świetle różnych relacji niezupełnie wydaje się być ściśle, aczkolwiek związek z wrzeniem rewolucyjnym jest niezaprzeczalny. Dmowski — według Kozickiego — był przeświadczony, że nie jest rzeczą właściwą, „by młodzież brała na swe barki i na swoją odpowiedzialność walkę polityczną o szkołę polską”. Powołując się na Stanisława Dobrowolskiego („W walce o szkołę polską 1901-1917”, Warszawa, 1932) Kozicki potwierdza, że „na Zjeździe PETU w styczniu 1905 roku podjęto też sprawę spolszczenia szkół. Dyrekcja (była nią Komisja Gimnazjalna ZETU) oświadczyła, że o tej sprawie myśli i w odpowiedniej chwili powoła PET do wystąpienia¹³”.

Lata po przegranych zrywach rewolucyjnym PPS, ale udanym strajku szkolnym, który przyniósł w rezultacie szkołę z wykładowym językiem polskim, są obfite w wydarzenia. Przeprowadzony z sukcesem strajk ogromnie podniósł morale organizacji zetowej. Zdawszy egzamin samodzielności, ZET decyduje się ostatecznie na zerwanie z Ligą Narodową na jubileuszowym zjeździe Związku w roku 1907.

Nie bez współdziałania i wpływów zetowców tworzy się też pod koniec tego roku opozycja w związanym z Ligą Narodową Narodowym Związku Robotniczym (NZR), również na tle wyrzeczenia się przez Narodową Demokrację walki bezpośredniej o niepodległość i wycofania z bojkotu szkół rosyjskich. Powstaje tzw. „Fronda”, krytykująca ugodowy kierunek stronnictwa. W niej znalazł się NZR, który zerwał z endecją w roku 1908, dając początek stronnictwu Narodowej Partii Robotniczej (NPR). Wkrótce odszedł też Narodowy Związek Chłopski, późniejsze „Wyzwolenie”.

13. *Historia Ligi Narodowej*, op. cit., str. 247-249.

Rok 1908 jest ważną i przełomową datą w ruchu zetowym. W tym roku zrywa też z Ligą Narodową i ustępuje ze Skarbu Narodowego Jeż-Miłkowski, który już od czasu przekształcenia Ligi Polskiej w Ligę Narodową i przeniesienia jej Komitetu Centralnego do Warszawy miał wątpliwości, czy nowy kierunek odpowiada podstawowym celom zapoczątkowanego w roku 1886 ruchu niepodległościowego, jako ruchu trójjaborowego popieranego przez Skarb Narodowy.

Odpadanie kół zetowych od Ligi Narodowej mimo uchwały zjazdu ogólnego nie przebiegało jednolicie. Procesowi temu towarzyszyły chwiejność i niezdecydowanie niektórych środowisk. ZET, stojąc na stanowisku niepodległościowym, musiał szukać sobie miejsca między endecją i niepodległościową akcją PPS. Piłsudski zrywa z koncepcją rewolucyjną i przechodzi do bardziej systematycznego kształcenia militarnego właśnie również w roku 1908.

Stanisław Mackiewicz stwierdza:

„Pierwsza fala zetowców, która do Ligi Narodowej nie poszła, przypada na rok 1908. Na fali tej znajdowali się Stanisław Stroński i Edward Dubanowicz (prawnik, późniejszy autor Konstytucji marcowej — J.R.), którzy założyli tygodnik *Rzeczpospolita...* Zetowcy, po zerwaniu z narodowymi demokratami, nadal kierowali Młodzieżą Narodową i w pewnych środowiskach szli razem z endekami¹⁴...”

Geneza Legionów — Józef Piłsudski

Następny okres — lata 1908-1914 — poprzedzający wybuch pierwszej wojny światowej jest szczególnie ważnym i interesującym rozdziałem polskiej historii politycznej również z punktu widzenia stosunku ruchu zetowego do Piłsudskiego i piłsudczyków.

W tym okresie poczyną się budzić wojskowy ruch niepodległościowy. Społeczeństwo polskie jest wyraźnie podzielone. Większość — to ugodowcy, przerażeni akcją rewolucyjną PPS na terenie Królestwa i represjami Skąłona. Tej większości przewodzi Narodowa Demokracja, zwalczająca socjalistycznych „bandytów”. Znaczną mniejszość stanowią niepodległościowcy, wśród których Józef Piłsudski (1867-1935) wybija się na głównego organizatora i wodza ruchu wojskowego. Jest on o 43 lata młodszy od seniora tego ruchu, Miłkowskiego-Jeża (1824-1915). W czasie wrzeń rewolucyjnych 1905 roku

14. S. Mackiewicz, *Historia Polski...*, op. cit., str. 12.

Piłsudski miał lat 38, Miłkowski 81. Rzecznik „walki czynnej”, założyciel ZETU i LIGI POLSKIEJ schodzi powoli do grobu, obserwując z goryczą, jak powołane przez niego organizacje przechodzą do obozu ugody.

Po nieudanej rewolucji 1905 roku na terenie Królestwa, Piłsudski zwołał w dniach 5-12 lipca tegoż roku do Krakowa tzw. „Konferencję Bojową” z udziałem 66 osób, członków PPS z organizacji bojowej. Na konferencji tej powiedział:

„Zakładając bojówkę marzyliśmy, iż przygotowujemy kadry bojowe, które kiedyś mają stanąć na czele zbrojnej rewolucji — od wielkich rzeczy. Ale stała się rzecz smutna. Drobna robota zaczęła obniżać poziom idealnej rewolucyjności ¹⁵”.

Wynikł zatarg ze starszymi działaczami PPS, zakwestionowanie na zjeździe partii w Wiedniu 19-22 listopada 1906 mandatu Piłsudskiego jako delegata, wniosek o usunięcie z PPS członków zawieszonego Wydziału Bojowego i uczestników konferencji bojowej w Krakowie, wydarzenia, które doprowadziły do rozłamu i założenia PPS - Frakcji Rewolucyjnej.

W Królestwie trwała nadal akcja bojówek socjalistycznych. W 3 miesiące po rozłamie, w roku 1907 — choć było to niezgodne z planami Piłsudskiego — dokonano znów 33 zamachów. W tym czasie sytuacja ruchu podziemnego w Królestwie komplikowała się tragicznie. Powstałe bojówki Narodowej Demokracji walczyły z bojówkami PPS. W bojówkach zaznaczał się bandytyzm, który trzeba było tępić ¹⁶.

Piłsudski powoli oddalał się od PPS, ale nie chciał jeszcze zrywać z partią, nie widząc innych możliwości kontynuowania walki. Wczesnym latem 1907 roku powziął decyzję. Powiedział Kazimierzowi Sosnkowskiemu (1885-1969), który w tym czasie prowadził jedną ze szkół bojowych: „Organizacja bojowa stanowi zamkniętą już i przegraną kartę historii”. Rozmowa ta przebiegała o potrzebie utworzenia bezpartyjnej organizacji wojskowej, „by na miejsce starej karty otworzyła się nowa” ¹⁷.

W tej drodze w ostatnich dniach czerwca 1908 roku w mieszkaniu Sosnkowskiego we Lwowie ukonstytuował się *Związek Walki Czynnej* (ZWC). Udział w zebraniu założycielskim wzięli: Piłsudski, Sosnkowski, Mieczysław i Stefan Dąb-

15. *Kronika Życia J. Piłsudskiego*, t. I, Londyn, 1977, str. 200.

16. *Ibidem*, str. 207, relacja K. Sokolnickiego.

17. *Ibidem*, str. 214, relacja K. Sosnkowskiego.

kowscy, Zygmunt Bohuszewicz, Kazimierz Fabrycy, Jan Gorzechowski (Jur), Marian Kukiel, Kazimierz Możdżeń, Władysław Rozeń (Barnaba), Jerzy Ołdakowski, Leon Nowakowski, Mieczysław Trojanowski i paru innych. Oprócz Piłsudskiego, liczącego sobie wówczas 41 lat, było to pokolenie ludzi znacznie młodszych, w wieku od 20-25 lat. Będzie to zaczątek Strzelca i Legionów.

Piłsudski nie wyzbywa się jednak całkowicie chęci walki rewolucyjnej, gdyż — jak pisze w liście do Feliksa Perla, lub „do tego co mój nekrolog pisać będzie” — chce walczyć i umrzeć, gdyż „w wychodku jakim jest życie, żyć nie może”. W porozumieniu z Aleksandrem Prystorem i starszymi bojowcami organizuje 26 września 1908 sławną akcję w Bezdanach, gdzie zdobyto 200.000 rubli z pieniędzy rządu rosyjskiego na spłatę długów, akcję pomocy prawnej dla uwięzionych spiskowców i dalsze prace szkoleniowe.

Atmosfera ogólnopolityczna jest w tym czasie korzystna dla aktywizowania idei walki o wolność. Mając za sobą Niemcy, Austria zdecydowała się na zajęcie Bośni i Hercegowiny. Rosja, której to krzyżowało plany, nie odważyła się jeszcze na zdecydowany sprzeciw, osłabiona wojną z Japonią i rewolucyjnym wrzeniem lat 1905-1907. Ale wojna wydawała się być możliwą.

Z punktu widzenia interesujących nas tu stosunków między narodowym i socjalistycznym skrzydłami pracy niepodległościowej, sytuację w następnych latach 1909-1914 scharakteryzować można w następującym wielkim skrócie:

Piłsudski, nie zrywając jeszcze z PPS-Frakcją Rewolucyjną, oddaje się niemal całkowicie pracy nad zagadnieniami wojskowymi, historią wojen przede wszystkim. Starzy przyjaciele z PPS, jak Jędrzejowski, Jodko, Wasilewski, Filipowicz, Sulkiewicz, odsuwają się od niego, uważając „militaryzm” za sprzeczny z doktryną socjalistyczną. Jednocześnie Piłsudski bierze udział czynny w ćwiczeniach Związku Walki Czynnej i w Związkach Strzeleckich, które powstały w 1910 roku jako zalegalizowane organizacje we Lwowie i w Krakowie na zasadzie przepisów austriackich o przysposobieniu wojskowym młodzieży. Cyrkułuje między Lwowem i Krakowem i wygłasza szereg odczytów.

Wiszący na Bałkanach w powietrzu konflikt zbrojny spowodował inicjatywę Piłsudskiego zwołania w Zakopanem 25 i 26 sierpnia 1912 roku konferencji niepodległościowych organizacji politycznych dla Powołania Polskiego Skarbu Wojskowego, zgodnie z czerwcową uchwałą PPS. Piłsudski mówił

na tym zebraniu: „Polacy chcą niepodległości, lecz pragnęliby, by ta niepodległość kosztowała dwa grosze i dwie krople krwi — a niepodległość jest dobrem nie tylko cennym, ale i bardzo kosztownym¹⁸”. Przewodniczącym Skarbu Wojskowego został Bolesław Limanowski (1835-1935), senior i wybitny działacz ruchu socjalistycznego; po rozłamie w 1906 roku pozostał on w PPS-Frakcji Rewolucyjnej i patronował później związkom strzeleckim i Legionom. Sekretarzem był Walery Sławek, a skarbnikiem Hipolit Śliwiński.

10 listopada 1912 roku na zjeździe działaczy politycznych w Wiedniu postanowiono powołać do życia Komisję Tymczasową Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych (TKSSN). Komisja ukonstytuowała się w Wiedniu 1 grudnia 1912 i mianowała Piłsudskiego tegoż dnia komendantem sił wojskowych, a Sosnkowskiego szefem Sztabu.

W wydarzeniach tych zetowcy nie biorą jeszcze udziału. Sytuację narodowego skrzydła ruchu niepodległościowego cechuje w omawianym okresie przede wszystkim wewnętrzna ideologiczna walka, najpierw między ZETEM i LIGĄ NARODOWĄ a później w samym ZECIE.

Zetowcy i Zarzewiaczy

Jak wiemy, zjazd ZETU w roku 1907 większością głosów opowiedział się za zerwaniem stosunków z Ligą Narodową, wobec czego stosunki zostały na rok zawieszone. Następny zjazd w lipcu 1908 roku powziął ostateczną decyzję o zerwaniu współpracy¹⁹. W tym czasie — jak już też zazaczyłem — wycofał się z Ligi i ze Skarbu Narodowego Jeż-Miłkowski. Jego opublikowany protest odbił się głośnym echem w szeregach młodzieżowych. Młodzież petowa i zetowa buntowała się na szerokim froncie, uznając wskazania ideowe walki czynnej za obowiązujące i uważając stale Miłkowskiego za swego patrona. Młodzi zetowcy, studjujący we Lwowie na Uniwersytecie i Politechnice oraz w Szkole Rolniczej w Dublanach, wśród nich wielu Królewaków wydalonych z gimnazjów za strajk lub nie mogących studiować na Uniwersytecie Warszawskim ze względu na trwający bojkot

18. *Ibidem*, str. 244, za W. Studnickim.

19. Ludwik Hass, *Więź*, nr 10, 1973, na podstawie pamiętnika Stefana Szwedowskiego.

szkół rosyjskich, nie mieszczą się w ramach ideologii i programu narzucanego im przez mądrych i rozważnych „braci starszych”, jak Edward Dubanowicz, Stanisław Stroński, Stanisław Kasznica, Stanisław Dąbkowski. Nie bardzo orientują się do czego zmierzają Piłsudski, pamiętają jego nieudaną i kontrowersyjną akcję bojówek PPS; rwą się do jakichś większych czynów w przychylnej atmosferze wrzenia na Bałkanach.

Na tym tle we lwowskim ZECIE akademickim dochodzi do rozłamu. Powstaje ZARZEWIE, która to nazwa pochodzi od pierwszego okazowego numeru pisma, jakie w grudniu 1909 roku poczęto wydawać pod tym tytułem.

Czytelnika interesującego się historią ZARZEWIA odsyłam do cytowanej już książki Aleksandry i Andrzeja Garlickich, „Zarzewie 1909-1920”. Historię tę przedstawiłem w skrócie w mojej broszurze o Eugeniuszu Kwiatkowskim²⁰. Zarzewiaci należeli do „niecierpliwych”. Dokonali rozłamu w ZECIE nie czekając na wynik odbywającej się już wówczas ewolucji. Nie chcieli się wiązać ani z Dmowskim ani z Piłsudskim. Dążyli do tworzenia kadry regularnych oddziałów, które mogłyby wystąpić pod własnym sztandarem w walce o niepodległość Polski. Utworzony przez nich we Lwowie i wkrótce później w Krakowie Polski Związek Wojskowy, już w następnym 1910 roku przyjął nazwę „Armia Polska”. W jej ramach od czerwca tego roku zarzewiaci organizowali w zaborze austriackim Drużyny Strzeleckie i zainicjowali drużyny skautowe. Dopiero od 4 kwietnia 1911 roku, po zrozumieniu intencji i planów Piłsudskiego, doszło do porozumienia Armii Polskiej ze Związkiem Walki Czynnej. Od tego dnia rozpoczęła się współpraca obu organizacji, która jednak nie zupełnie zagrała w decydującym momencie wybuchu wojny 1914 roku.

Inną drogą ewoluował ZET na terenie byłego zaboru rosyjskiego. Przełomowa dla losów ZETU uchwała oderwania się od Ligi Narodowej podjęta została w sytuacji, kiedy jego placówki gimnazjalne w Królestwie znalazły się bez kierowników politycznych. Funkcje te bowiem od lat spełniali „bracia zetowi”, będący studentami uczelni warszawskich. Teraz natomiast, po strajku szkolnym i proklamowaniu bojkotu tych uczelni, również wyjazdu wielu studentów na studia do uniwersytetów galicyjskich i niemieckich, wytworzyła się luka.

PET — konspiracja uczniowska — stojąc wobec odpowie-

20. J. Rakowski, *Eugeniusz Kwiatkowski, Szkic biograficzny młodych lat na tle ruchu niepodległościowego ZETU i ZARZEWIA*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1977.

działalnych zadań po proklamowaniu bojkotu, szybko dorosła i wyłoniła z siebie nową kadrę przywódczą. W jej czołówce znaleźli się: Zdzisław Lechnicki, Stefan Szwedowski, Tadeusz Pełczyński, Zygmunt Rusinek, Melchior Wańkowicz, a później nieco Stanisław Antoniewski, Alfons Borkiewicz i Gustaw Dreszer²¹. Byli oni wszyscy wychowankami PETU i należeli do pokolenia organizatorów strajku szkolnego. Spośród nich wybija się Kazimierz Wyszyński, petowiec lubelski, który w roku 1911 jako student Uniwersytetu Krakowskiego obejmie kierownictwo ZETU.

Były to lata ostrej walki z endecją o wpływy wśród młodzieży gimnazjalnej na utworzonych po strajku szkolnym uczelniach prywatnych. W walce tej praktycznie dopomagali zetowcom zarzewiacy, którzy przenosili swe koła wychowania wojskowego do Kongresówki i ze swej strony wpływali na kształtowanie się działalności ZETU, co w konsekwencji wprowadziło Związek w Królestwie całkowicie, a w Galicji częściowo do obozu legionowego. Najdłużej opierały się tej ewolucji środowisko zetowe poznańskie i krakowskie, to ostatnie pod wpływem antylegionowo uspołobionego późniejszego działacza PSL Piast, Zygmunta Rusinka²².

Jak dalece na terenie Królestwa dokonała się emancypacja ZETU od Ligi Narodowej i endecji, świadczyć może publiczne spoliczkowanie w Warszawie w dniu 30 czerwca 1911 Romana Dmowskiego, w odpowiedzi na uchwałę zjazdu Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego, wzywającą do zaniechania bojkotu szkoły zaborczej. Spoliczkowania tego dokonała podległa zetowcom Organizacja Młodzieży Narodowej (OMN) wspólnie z ZARZEWIEM²³. Po roku 1905 OMN szkół średnich była oficjalną nazwą gimnazjalnej organizacji ZETU, w której PET sprawował kierownictwo ideowe.

Na terenie Wielkopolski, ze względu na specyficzne warunki pracy niepodległościowej pod pruskim uciskiem, walki wewnętrzne w łonie ZETU i z Ligą Narodową nie przybierały tak ostrej formy. I tutaj jednak, od roku 1910, zetowcy emancypowali się, powracając do zagubionych przez Ligę Narodową haseł niepodległościowych. Emancypacja ta odbywała się w dużym stopniu pod wpływem ruchu zarzewiackiego. Nie zerwano jednak z tradycyjną nazwą ZETU, a od ZARZEWIA — o czym później — przejęto tylko program wojskowego kształcenia młodzieży,

21. Ludwik Hass, *Więź* nr 10, 1973, str. 111-112.

22. St. Mackiewicz, *Historia Polski...*, op. cit., str. 12.

23. Opis sprawy w artykule L. Hassa, *Więź* nr 10, 1973.

akcji o charakterze ogólnonarodowym, niezależnej od strzelców Piłsudskiego i Związku Walki Czynnej.

Czesław Demel w powołanej na wstępie tego szkicu pracy „Z genezy Związku Młodej Polski” pisze o powstaniu na Zachodzie „niezależnego” ZETU i wymienia m.in. dr. Antoniego Wierusza, dr. Ignacego Nowaka i Lecha Suchowiaka, którzy w latach akademickich 1910/1911 i 1911/1912 wchodzili do Centralizacji (tzw. „Ciotki”) ZETU w Lipsku i później w Monachium (str. 163). Idea niepodległości stawała się w tym środowisku, kierującym akademickimi „Grupami Narodowymi” i kółkami Towarzystwa Tomasza Zana, pozytywnym dążeniem. „Grupy Narodowe”, tworzone od 1908 roku na uniwersytetach niemieckich, stanowiły w hierarchii organizacyjnej organ przejściowy między kołami gimnazjalnymi TTZ a ZETEM. Były one odpowiednikiem Organizacji Młodzieży Narodowej Szkół Wyższych, którą to nazwę przyjęły później, już po odzyskaniu niepodległości, w roku 1921.

Sprawa utworzenia wspomnianej Centralizacji „niezależnego” ZETU nie jest jasna; Demel sugeruje związek z „secesyjnymi działaczami lwowskimi i krakowskimi”, którym „zależało na zdobyciu poparcia młodzieży zaboru pruskiego”. Była to prawdopodobnie przejściowa władza zetowców wielkopolskich, gdyż wszyscy wymienieni członkowie tej „Centralizacji” stali się później czołowymi i wybitnymi działaczami ZETU po odzyskaniu niepodległości, założycielami Związku Młodej Polski i następnie Związku Naprawy Rzeczypospolitej.

Z inicjatywy tej „Centralizacji” zachodniej podjęto w roku 1911 wydawanie w Poznaniu miesięcznika *Brzask*, który ukazywał się do lipca 1914 roku i spełniał funkcję organu zetowców na ziemiach b. zaboru pruskiego.

W przededniu wojny 1914 — Kazimierz Wyszyński

W wojennej atmosferze wywołanej wydarzeniami na Bałkanach sprawa kształcenia wojskowego przybierała na wadze. 29 czerwca 1913 roku wybuchła druga wojna bałkańska. Wojna ta zakończyła się wprawdzie w sierpniu traktatem pokojowym w Bukareszcie, ale pogłębiła konflikt serbsko-austriacki i wywołała nowe komplikacje w stosunkach rosyjsko-austriackich. Tworzą się — poza strzelcami Piłsudskiego i drużyniakami zarzewiaczami — inne związki wojskowe, jak „Drużyny Podhalańskie”, „Drużyny Bartoszone”, „Sokół” i inne.

Antagonizmy polityczne i nieufność wychowanków PETU i ZETU, również zarzewiaków, do PPS, patronującej stale jeszcze Związkom Strzeleckim (Piłsudski jeszcze w roku 1914 jest ciągle formalnie członkiem Rady Partyjnej PPS - Frakcja Rewolucyjna) — są silniejsze niż potrzeba zjednoczenia. Zetowcy nie mają jeszcze wówczas swej organizacji wojskowej. Zarzewiacy przystąpili wprawdzie do utworzonej w listopadzie w Wiedniu Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych (TKSSN), ale nie wszyscy podporządkowali się zarządzonemu w dniu 26 października przez komendanta Drużyn, M. Januszajtisa, odebraniu przysięgi na wierność i posłuszeństwo Józefowi Piłsudskiemu. Wkrótce też opuścili TKSSN z innymi niesocjalistycznymi ugrupowaniami politycznymi.

W ukształtowaniu stosunku ZETU do rozłamowej grupy ZARZEWIA z jednej, i do akcji wojskowej Józefa Piłsudskiego — z drugiej strony, odegrał w tym okresie poprzedzającym bezpośrednio wybuch pierwszej wojny wielką rolę Kazimierz Wyszyński. Rola jego w organizacjach petowej i zetowej była tak wielka, że warto zatrzymać się na paru szczegółach jego życiorysu.

Kazimierz Wyszyński urodził się 3 sierpnia 1890 roku w Lublinie. Już jako mały uczeń miejscowego rosyjskiego gimnazjum uczestniczył w manifestacjach szkolnych na tle politycznym. W roku szkolnym 1904/1905 przyjęty został do OMN szkół średnich i do tajnej grupy PETU i z ramienia tych organizacji brał udział w przeprowadzeniu strajku szkolnego. Odtąd wysuwał się szybko na czoło niepodległościowego ruchu młodzieży narodowej. Stał się osobą centralną, nie tyle z tytułu zajmowanych stanowisk, ile dzięki własnej indywidualności, jasności myśli, szybkiej decyzji, co zjednywało mu szacunek i posłuch kolegów. Nazywano go „papieżem” ZETU.

Lublin był środowiskiem uczniowskim o dominujących wpływach zetowców, niezwykle żywym pod względem intelektualnym. Gdy w czasie od 3 października do 20 grudnia 1906 roku Józef Koźuchowski, późniejszy założyciel ZARZEWIA, objeżdżał w Królestwie środowiska petowe z ramienia Dyrekcji PETU warszawskiego, zanotował w swym sprawozdaniu ten charakter szczególny grupy lubelskiej, wspominając Kazimierza Wyszyńskiego obok Witolda Giełżyńskiego²⁴. Inny ówczesny działacz petowy pisze w swych wspomnieniach, że na zjeździe organizacji uczniowskich Sekcji Koronnej, odbytym w ostatnich dniach czerwca 1908 roku w Warszawie, „delegat Lublina Kazimierz Wyszyń-

24. Zarzewie, *op. cit.*, str. 105.

ski gorąco przemawiał za dalszym bojkotem szkół carskich²⁵. Zjazd odrzucił sugestię ugodową reprezentanta Sekcji Koronnej Ignacego Kozińskiego i uchwalił kontynuować bojkot. Wyszyński był z powodu tej nieprzejednanej akcji aresztowany, ale wkrótce dzięki łapówkom uwolniony.

W roku 1909 Wyszyński otrzymał maturę i wyjechał na studia wyższe do Paryża. W następnym jednak roku powrócił do kraju i zapisał się na wydział filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Wówczas zaczęła się jego wysoce aktywna rola w ZECIE akademickim. W październiku 1910, w okresie rozłamu zarzewiackiego w Galicji, który przenosił się do Królestwa, objechał cały teren i nakłaniał grupy petowe w szkołach średnich i zetowe na wyższych uczelniach do opowiedzenia się po stronie ZETU, wskazując na jednostronność ruchu zarzewiackiego.

Dzięki wysiłkom Wyszyńskiego, zarzewiacy, mimo spontaniczności i atrakcyjności ich ruchu przysposobienia wojskowego, nie zdołali pozyskać w Królestwie większości petowców i zetowców²⁶. W myśl instrukcji Wyszyńskiego w Warszawie energicznie przeciwdziałała rozbiciu wspomniana już duża grupa młodych petowców, którzy objęli władzę w akademickim Zecie, ze Zdzisławem Lechnickim, braćmi Dreszlerami, Tadeuszem Pełczyńskim i Włodzimierzem Bochenkiem na czele, zachowując nazwę ZETU i tradycję organizacyjną. Zdzisław Lechnicki, jako przewodniczący Warszawskiego Komitetu Okręgowego i kierownik Komisji Szkolnej, najważniejszego wówczas odcinka pracy ZETU, twardo utrzymał, mimo wielkich trudności, dalszy bojkot szkoły rosyjskiej. On też doprowadził na terenie szkół średnich Królestwa, w Warszawie i w Lublinie w szczególności, osłabiony po rozłamie zarzewiackim PET do ponownego rozkwitu²⁷. Biograf

25. *Ibidem*, str. 291, Wspomnienia Ludwika Waszkiewicza.

26. Henryk Józef Bagiński, zarzewiak i historyk, autor pracy „U podstaw Organizacji Wojska Polskiego 1908-1914” pisze we wspomnieniach drukowanych we wspomnianej książce „Zarzewie” na str. 293/294, że Organizacja Młodzieży Narodowej w Warszawie (OMN) w grudniu 1909 r. „przyłączyła się do organizacji niepodległościowej zarzewiackiej”. Informacja ta, którą Bagiński podaje za Tadeuszem Dybczyńskim, a więc według relacji zarzewiaka a nie zetowca, nie jest dokładną.

27. Zdzisław Lechnicki (1890-1959), urodzony 7 czerwca 1890 w Serebryczach w pow. chełmskim, był synem Felicjana, właściciela dóbr Święcica i Serebryszcze i Marii z Hemplów, bratem Tadeusza i przyrodnim bratem Felicjana. Wszyscy byli wychowankami ZETU i członkami późniejszego Związku Patriotycznego, zasłużonymi w pracy społecznej i politycznej na stanowiskach kierowniczych. Zyciorysy tych 3-ch braci zamieszczone są w „Polskim Słowniku Biograficznym”: Zdzisława i Felicjana — pióra Zofii Dłużewskiej-Kańskiej, Tadeusza — pióra Zbigniewa Landaua.

Gustawa Dreszera, wymienia go obok K. Wyszyńskiego, Z. Lechnickiego, Przemysława Podgórskiego, Zygmunta i Rudolfa Dreszerów, Mirosława Kernbauma, Tadeusza Zieleniewskiego, Jana Dębskiego i Mieczysława Jastrzębowskiego jako działacza lat 1908-1914 w których kształtowała się ideologia młodego pokolenia zetowców²⁸.

Kazimierz Wyszyński, powołany w roku 1911 do Komitetu Centralnego jako jego „Sekretarz”, kierował organizacją ZETU akademickiego i Kołami „Braci Starszych” do 1918 roku. Dmowski mówił niejednokrotnie, że wiele ówczesnych i późniejszych niepowodzeń Narodowej Demokracji związane było z utratą młodości owych czasów. W tej mierze nie tylko zarzewiacy ale i zetowcy pod przewodnictwem Wyszyńskiego zadali endencji wiele bolesnych ciosów.

Podobnie jak ZARZEWIE również ZET nie wszedł do utworzonego w czerwcu 1908 roku we Lwowie Związku Walki Czynnej, patronującego później Związkowi Strzeleckim. Zetowcom, związanym jeszcze wówczas we Lwowie z Ligą Narodową, przystąpienie do ZWC nie mogło być proponowane. Stąd też nie wytrzymuje krytyki (m.in. w pamiętniku Stefana Szwedowskiego) twierdzenie, że Wyszyński odmówił Piłsudskiemu przystąpienia do ZWC i że to miało być początkiem scysji między zetowcami i Piłsudskim.

Konflikt rzeczywiście zaistniał, ale w cztery lata później, gdy Piłsudski poddał „Strzelca” Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, utworzonej w Wiedniu 10 listopada 1912, a więc w czasie, gdy Wyszyński był już kierownikiem zetowców. O tym konflikcie pisze Konrad Libicki, ówczesny zetowiec, w liście do Tadeusza Katelbacha²⁹:

„Gdy Józef Piłsudski poddał 'Strzelca' Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, krakowskie Koło Braterskie delegowało do rozmów z Komendantem Wyszyńskiego i Libickiego. Obaj udali się na Szlak, gdzie mieszkał Piłsudski. Wyszyński postawił sprawę bardzo jasno, wyrażając opinię, że 'Strzelec' powinien być całkowicie niezależny od czynników politycznych. Piłsudski odpowiedział krótko, że przyszłe wojsko, do

28. Gustaw Dreszer (1889-1936). W Częstochowie, gdzie uczęszczał do gimnazjum rosyjskiego, należał pospółu ze swymi braćmi, Zygmunt, Rudolfem i Juliuszem, do czołowych działaczy ówczesnej młodzieży gimnazjalnej. W dobie walki o szkołę polską należał do komitetu wykonawczego akcji strajkowej w Częstochowie. Od roku 1906 był członkiem PETU, następnie ZETU i później KÓŁ BRATERSKICH. Zginął w roku 1936 jako generał w katastrofie samolotowej. Zyciorys w „Polskim Słowniku Biograficznym” pióra Stefana Pomarańskiego.

29. *Zeszyty Historyczne*, Paryż, nr 15, 1969.

czasu powstania rządu, musi mieć zaplecze polityczne. W wyniku dłuższych debat Koło Braterskie postanowiło wycofać członków Organizacji Młodzieży Narodowej ze 'Strzelca' i stworzyć 'Wolnego Strzelca'. Komendantem tej organizacji został Tadeusz Pełczyński (późniejszy generał — J.R.). Wskutek uchwały Koła Braterskiego zgłosili prośbę o urlop z organizacji Libicki i Melchior Wańkowicz. Wańkowicz z ZETU, Libicki z Koła Braterskiego. Obaj pozostali w 'Strzelcu'".

Wyszyński był konsekwentnym reprezentantem ideologii Jeża-Miłkowskiego i twardym partnerem w rozmowach z Piłsudskim. Zetowcy — o czym później — utworzyli rzeczywiście „Wolną Szkołę”. To pierwsze starcie z Piłsudskim ze stanowiska stale przestrzeganej przez zetowców niezależności politycznej ich ruchu niepodległościowego nie miało znaczenia. Mimo ostrości w reprezentowaniu tej zasady przez Wyszyńskiego, jednak on to właśnie spowodował podporządkowanie organizacji zetowej Piłsudskiemu w decydującym momencie wybuchu wojny, zastrzegając sobie powrót do niezależności po odzyskaniu niepodległości.

W czasie pobytu na studiach w Krakowie Wyszyński założył w 1911 roku miesięcznik *Sprawa Polska*, który miał zastąpić endeckoidalną *Tekę*. Do redakcji *Sprawy* wchodził poza Wyszyńskim Libicki, Stanisław Cheliński i Stanisław Janikowski.

II. W OKRESIE WOJNY 1914-1918

Spory orientacyjne — Rozłam w Zarzewiu

W miarę zbliżania się wojny 1914 roku i potęgowania się nadziei na wyzwolenie kraju z obcego panowania wzrastają również w społeczeństwie polskim spory orientacyjne. Z kim iść? Po której stronie będzie zwycięstwo? Roman Dmowski i stronnictwo Narodowej Demokracji stawiają na Rosję; później dopiero, pod wpływem klęsk armii rosyjskiej modyfikują swą orientację w kierunku „za koalicją”. Józef Piłsudski idzie ze sprzymierzoną z Niemcami Austrią, na której terenie ćwiczy swoich strzelców.

Spory orientacyjne zaczęły się już pod koniec 1913 roku w łonie Tymczasowej Komisji Skonfederowanych Stronnictw Nie-

podległościowych (TKSSN). W maju 1914 roku z TKSSN wystąpiły Narodowy Związek Chłopski, Narodowy Związek Robotniczy i Związek Niepodległości, zresztą nie tyle na tle politycznej orientacji, ile swarów personalnych i nieporozumień wewnętrznych co do sum przekazywanych z Ameryki dla Skarbu Wojskowego. W dwa dni potem, 12 maja, zarzewiackie Drużyny Strzeleckie zerwały stosunki z Polskim Skarbem Wojskowym. Zarzewiacy nadal nie chcieli się wiązać ani z Dmowskim ani z Piłsudskim, ani po stronie Rosji czy koalicji, ani Austrii. Zajmowali stanowisko wyczekujące, po prostu nie umiając odpowiedzieć na pytanie, po której stronie jest miejsce narodu polskiego i gdzie w wypadku wojny walczyć mają organizowane przez nich siły zbrojne.

Wypadki rozwijają się szybko. W dniach 27 i 28 czerwca 1914 roku Zjazd Oficerski Związków Strzeleckich, zarazem posiedzenie Rady Głównej Związku Walki Czynnej (ZWC) oraz członków TKSSN i Skarbu Wojskowego, potwierdził jednomyślnie wybór Piłsudskiego na Komendanta Głównego wszystkich oddziałów. Gdy jednak w dniach 29 i 30 lipca Piłsudski wydał pierwsze rozkazy mobilizacyjne Związku Strzeleckiego, a komendant naczelny Drużyn Strzeleckich, Marian Józef Januszajtis, podporządkował swym rozkazem Drużyny Komendzie Głównej wyłonionej z TKSSN (czyli Józefowi Piłsudskiemu) — tylko niewielka część zarzewiaków poszła za tymi rozkazami. Niemniej spory oddział sformowany z zarzewiackich Drużyn wyjechał pod wodzą Januszajtisa ze Lwowa do Krakowa. Pierwsza Kompania Kadrowa, wyruszając w dniu 6 sierpnia na pole walki, składała się w połowie ze Strzelców i w połowie z Drużyniaków. W dniu wybuchu wojny, według relacji H. Bagińskiego, Piłsudski miał w „Strzelcu” około 7.000 wyszkolonych żołnierzy, zarzewiacy w Drużynach około 4.000, a ze skautingiem i oddziałami pokrewnymi około 12.000 ludzi.

16 sierpnia odbyło się w Krakowie posiedzenie Koła Sejmowego z udziałem posłów socjalistycznych, delegatów KSSN i Centralnego Komitetu Narodowego (zespół pravicowych organizacji galicyjskich), na którym powzięto uchwałę o powołaniu Naczelnego Komitetu Narodowego (NKN) i Legionów Polskich. Komitet opowiedział się za tzw. „austro-polskim” rozwiązaniem sprawy narodowej. Na drugi dzień Komisja Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych postanowiła rozwiązać się¹. NKN podzielił się na dwie sekcje: krakowską

1. *Kronika życia Józefa Piłsudskiego 1867-1935*, t. I, str. 281.

i lwowską. Był to — jak pisze Malinowski — kompromis między tymi, którzy „żyli ideą walki z Rosją i tymi, którzy tej walki nie chcieli”². Wschodniogalicyski odłam NKN już w końcu sierpnia wycofywać się zaczął z zajętego pod moralnym przymusem stanowiska, potępiając akcję legionową i orientując się na akcję „za koalicją”.

Na tym tle w Z a r z e w i u dokonuje się rozłam. Większość zarzewiaków daje się uwieść propagandzie endeckiej. Wojna w swych początkach przynosi bowiem niepowodzenie Austrii. Armia rosyjska maszeruje w głąb Galicji. Już w początkach sierpnia — jeszcze zanim powstał NKN — Stanisław Grabski przy pomocy Aleksandra Ładosia utworzył we Lwowie C e n t r a l n y K o m i t e t N a r o d o w y (CKN) dla przeciwdziałania planom Piłsudskiego. Z wyjątkiem wspomnianej grupy M. Januszajtisa, która poddała się rozkazom Piłsudskiego, zarzewiacy lwowscy współdziałali w zorganizowaniu „Legionu Wschodniego” wspólnie z „Sokołem” i „Drużynami Bartoszewskimi”, a więc związkami, pozostającymi pod wpływami stronnictwa Narodowo-Demokratycznego.

„Legion Wschodni”, hołdując orientacji „za Rosją” lub „za koalicją”, odmówił złożenia przysięgi austriackiego *Landsturmu*. Wysłany 29 sierpnia 1914 do Mszany Dolnej bez należytego zaopatrzenia i wyżywienia, rozwiązał się w przykrych okolicznościach 23 września. Tylko mała grupka około 300 żołnierzy z kpt. armii austriackiej Józefem Hallerem na czele wytrwała przy idei legionowej. Jako dowódca sformowanego 3-go pułku Józef Haller wszedł później w skład II Brygady Legionów i bił się w Karpatach, ale ani on, ani większość zarzewiaków, którzy dzielili z nim dalsze losy wojny nie stali się „piłsudczykami” i nie weszli w wolnym kraju do obozu Piłsudskiego.

W dniu 18 października 1914 roku, w niecały miesiąc po rozwiązaniu się Legionu Wschodniego, grupa przebywających w Lublinie założycieli ZARZEWIA, na czele z Józefem Kożuchowskim, Ryszardem Wojdalińskim i Wacławem Gajewskim, wydała odezwę tzw. „starszych zarzewiaków”. Odezwa ta nie występowała wyraźnie przeciwko Legionom, ale dawała mocny wyraz orientacji „za koalicją”³. W konsekwencji autorzy odezwy nawiązali kontakt z Romanem Dmowskim i wstąpili do Ligi Narodowej.

2. W. Pobóg-Malinowski, *Najnowsza Historia Polski*, op. cit., t. I, str. 253.

3. Tekst odezwy i okoliczności jej wydania, patrz *Zarzewie*, op. cit., str. 133-134 (Kożuchowski) i 284 (Wojdaliński).

Zarzewiacy, którzy z wybuchem wojny podporządkowali się Piłsudskiemu, zasymilowali się szybko ze Strzelcami. Była to tzw. „lewica zarzewiacka” z czołowymi — choć nie zawsze później „lewicowymi” — postaciami wspomnianego Mariana Żegoty-Januszajtisa (1889-1973), Mieczysława S. Norwid-Neugebauera (1889-1954), Juliusza Ulrycha (1888-1959), Henryka Bagińskiego (1888-1973), a z młodszej generacji Stefana Roweckiego (1895-1944), legendarnego późniejszego generała „Grot”, dowódcy AK rozstrzelanego po aresztowaniu w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen, i wielu innych. Osiągnęli oni w Legionach i później w wojsku polskim wysokie stopnie. Weszli niemal całkowicie do obozu legionowego, choć wielu, pamiętając szkołę ideową PETU i ZETU (np. Ulrych), zachowało pewną samodzielność w działalności politycznej. M. Januszajtis wziął udział w operetkowym endeckim „zamachu stanu” z 4 na 5 stycznia 1919 roku, po wojnie i odzyskaniu niepodległości. Dał się uwieść dawnym „narodowym” poglądom, jakim hołdował w młodości w szkole ruchu zetowego. Piłsudski przebaczył mu ten zamach na Naczelnika Państwa i mianował generałem.

W stosunku do zarzewiaków, którzy podporządkowali się bez zastrzeżeń, Piłsudski był na ogół życzliwy i traktował ich na równi ze swoimi dawnymi bojowcami z PPS i Strzelcami. W dniu 2 marca 1916 roku, już jako Brygadier Legionów, wydał rozkaz oficerski w sprawie nadania odznaki zwanej „parasolem” oficerom dawnych „Drużyn Strzeleckich”. Odznaka ta została nadana jeszcze przed wojną oficerom Związku Strzeleckiego. Dopiero po poznaniu w bojach Piłsudski zdecydował się nadać ją również drużyniakom. W rozkazie, opisując pracę Związków i Drużyn, podkreślił, że nadaje tę odznakę dla upamiętnienia wspólnej pracy podczas pokoju, gdyż ta praca, pomimo sporów, do jednego zmierzała celu⁴.

Zetowcy — „Wolna Szkoła” — Wielkopolska

Inaczej ułożyły się stosunki Piłsudskiego z ZETEM. Po wspomnianym w poprzednim rozdziale sporze Wyszyńskiego z Komendantem o polityczną niezależność „Strzelca” zetowcy zorganizowali w Warszawie własną niezależną „Wolną Szkołę Wojskową”.

W tym czasie Armia Austriacka gen. Dankla i grupy gen.

4. *Kronika życia J. Piłsudskiego, op. cit., str. 319.*

Kummera wkraczały do Lubelszczyzny i Kieleckiego, ale zostały wkrótce rozbite przez wojska rosyjskie. We wrześniu 1914 roku rozpoczął się ich odwrót. U boku Austriaków walczyły oddziały legionowe. Po klęskach i wycofaniu się Piłsudski na zebraniu w Kielcach polecił zorganizowanie za frontem posuwających się wojsk rosyjskich polskich tajnych oddziałów szkolenia wojskowego. Powstała Polska Organizacja Wojskowa (POW) z Adamem Kocem na czele w Warszawie i Tadeuszem Żulińskim jako komendantem głównym, odkomenderowanym do tej pracy podziemnej.

W tej sytuacji zetowcy w Królestwie postanowili przyłączyć „Wolną Szkołę Wojskową” do POW. Z tym momentem rozpoczął się też właściwy oficjalny kontakt z kołami legionowymi.

Twórcą „Wolnej Szkoły Wojskowej” było pokolenie zetowców urodzonych w latach 1890-1895, jak Aleksander Graff, Stanisław Janikowski, Tadeusz Jankowski, Zdzisław Lechnicki, Bolesław Srocki, Stefan Szwedowski, Gustaw Zieliński. Brały w niej jednak udział — w pracy organizacyjnej i w ćwiczeniach — i młodsze roczniki zetowców i oemenowców.

Nawiązanie współpracy z POW nie nastąpiło bez wahań i zastrzeżeń. Píše o tym Konrad Libicki w liście do Tadeusza Katelbacha⁵, relacjonując, że w połowie września 1914 roku zawiadomiony został o utworzeniu „Wolnej Szkoły” przez przyjaciela zetowca, Gustawa Zielińskiego, w imieniu Koła Braterskiego. Libicki, będący już wówczas członkiem Komendy Naczelnej POW, oświadczył Zielińskiemu, że uchwała Koła Braterskiego o utworzeniu „Wolnej Szkoły” mogłaby być poczytana za rozbijanie POW, powstałego w Warszawie z połączenia „Strzelca” i zarzewiackich „Drużyn Strzeleckich”. Zieliński zakomunikował stanowisko Libickiego Kołu Braterskiemu. Po dwóch dniach spotkali się z Libickim Zieliński i Janikowski. Oświadczyli, że proponują mu objęcie stanowiska Komendanta „Wolnej Szkoły”. Stawiają jeden warunek, aby w Komendzie „Wolnej Szkoły” byli wyłącznie zetowcy. Libicki propozycję przyjął, a po przybyciu do Warszawy z I Brygady Tadeusza Żulińskiego i po objęciu przez niego Komendy POW zameldował mu sprawę „Szkoły” i uzyskał od Żulińskiego zgodę na jej prowadzenie. Osoba Konrada Libickiego, jako równoczesnego członka Komendy POW, dawała gwarancję harmonijnej współpracy obu organizacji.

5. *Zeszyty Historyczne* nr 15, 1969.

Tutaj trzeba zaznaczyć, że tak jak w Krakowie, również w Królestwie w czasie ofensywy austriackiej niektórzy zetowcy i oemenowcy zaciągali się do Legionów lub tworzącego się POW nie czekając na decyzję czy zezwolenie organizacji. Do tych należał m.in. Gustaw Dreszer. Z 14 pułku huzarów rosyjskich, gdzie obywatel służył, przeszedł do Legionów i przydzielony został do oddziału Beliny-Prażmowskiego jako jego 7 z kolei ułan. Do tych należał również zetowiec Konrad Libicki, który samorzutnie wstąpił do POW. Ci ludzie, podobnie jak grupa zarzewiaków, która wytrwała przy Legionach, asymilowali się szybciej i byli uważani przez Piłsudskiego za „jego chłopców”.

Od września 1914 do 20 czerwca 1915 roku przez „Wolną Szkołę” przeszło 317 członków ZETU i OMN⁶. W czerwcu 1915 ukazała się w zajętej jeszcze przez Rosjan Warszawie broszura Kazimierza Wyszyńskiego „Kujmy broń”, wydana przez POW po pomyślnym rozwoju współpracy.

W dwa miesiące później, po przyjeździe Piłsudskiego do oczyszczonej z wojsk rosyjskich Warszawy, sformowany został w połowie z żołnierzy „Wolnej Szkoły” i w połowie z POW batalion w sile około 400 ludzi. Za zgodą Piłsudskiego batalion ten odmaszerował w dniu 22 sierpnia 1915 roku do I Brygady pod wodzą por. T. Żulińskiego. Była to garstka, otoczona obojętnością, a nawet — jak stwierdzali uczestnicy batalionu — wrogością ówczesnej Warszawy. Sam Wyszyński, główny sprawca przejścia ZETU na orientację prolegionową, zaciągnął się w tym samym czasie do 1-go pułku ułanów I Brygady Legionów, nie zaniebując kontaktów z kolegami organizacyjnymi. Przed utworzeniem w Warszawie „Wolnej Szkoły Wojskowej”, już w latach 1911/1912 zetowcy podjęli akcję przysposobienia wojskowego młodzieży na terenie Wielkopolski i Pomorza. Podobnie jak w Kongresówce również na tych terenach była to akcja samodzielna, niezwiązana z ruchem wojskowym Piłsudskiego, inspirowana raczej przez ruch zarzewiaków. W braku uniwersytetów polskich kierowała się do młodzieży gimnazjalnej, miała więc nieco inny charakter.

Pracę podjęto na siatce organizacyjnej tajnych kół Towarzystw Tomasza Zana (TTZ), działających niemal we wszystkich szkołach średnich i liczących w roku szkolnym 1909/1910 ponad 1.000 członków. Opiekę nad tymi kołami sprawował z ramienia podległych Zetowi „Grup Narodowych” główny komisarz gimnazjalny z siedzibą w Lipsku, mający do pomocy podkomisarzy

6. T. Katelbach, „Zet”, *Zeszyty Historyczne* nr 13, 1968.

w 6 okręgach. Pierwszym komisarzem głównym zaboru pruskiego został Antoni Wierusz, członek Koła Braterskiego ZETU w Monachium. Kolejno po nim funkcję tę pełnili T. Graczykowski i Witold Jeszke (ten ostatni w latach 1912-1913), późniejsi wybitni zetowcy-„naprawiacze”*. Podjęta praca wychowania wojskowego była prowadzona konspiracyjnie. Rozwijała się na ziemiach b. zaboru pruskiego właśnie w okresie, gdy funkcję głównego komisarza gimnazjalnego pełnił Witold Jeszke.

Punktem wyjściowym były organizowane przez TTZ wycieczki wielkopolskie do Krakowa, gdzie nawiązano kontakt z tamtejszym ruchem strzeleckim. W roku 1912 Kazimierz Glabisz, jako dziewiętnastoletni uczeń Szkoły Edukacji Narodowej, późniejszy członek ZETU we Wrocławiu, rozpoczął szkolenie wojskowe w TTZ⁷. Niebawem nawiązano ściślejszy kontakt z zarzewiakami „Drużynami Strzeleckimi” w Galicji, a gdy w sierpniu 1914 roku wybuchła wojna, powołano do życia Tajną Organizację Niepodległościową (TON). Organizacja ta, działająca w latach 1915-1916, przyczyniła się do wyszkolenia wojskowego młodzieży wielkopolskiej, która wzięła później udział w rozbrajaniu oku-

* Antoni Wierusz (1883-1945) był prezesem koła TTZ w Ostrowie Wielkopolskim w latach 1902-1904. W latach 1903-1904 był też członkiem PETU. Po otrzymaniu dyplomu lekarskiego w Monachium (22. 5. 1911) i doktoratu w Lipsku (6. 6. 1912) współpracował z redakcją *Brzasku* (1911-1914). Później był założycielem i prezesem powołanego przez ZET Związku Młodej Polski (od 20.10.1918 do 6.5.1919), wydawcą tygodnika *Sprawa Polska*, a po przewrocie majowym współzałożycielem Związku Naprawy Rzeczypospolitej i Zjednoczenia Pracy Wsi i Miast (Cz. Demel, *op. cit.*, str. 161).

Witold Jeszke (1891-1970) był zetowcem z młodszej generacji. W latach 1908-1910 pełnił funkcję prezesa koła TTZ w Gnieźnie, do którego należał od roku 1906. W roku 1909 uczestniczył w wycieczce do Krakowa, gdzie nawiązał kontakty z tamtejszym ruchem przysposobienia wojskowego. Jako prezes PETU gnieźnieńskiego brał udział w tym samym roku w zjeździe organizacji w Poznaniu. Był członkiem pierwszej redakcji *Brzasku* (1911). Studiował prawo i filozofię w Królewcu, Lipsku i Wrocławiu (1912-1913), gdzie aktywnie pracował w „Grupach Narodowych”, z ramienia których sprawował w latach 1912-1913 wspomnianą funkcję głównego komisarza gimnazjalnego. W 1917 roku uzyskał doktorat we Wrocławiu. Osiedlł później w Poznaniu, gdzie pracował jako referendarz, od 1921 roku jako adwokat, a od 1926 roku również jako notariusz. Należał do grupy założycieli Młodej Polski (prezes 1923), ZNR, ZOKZ. Aktywnie pracował w Związku Seniorów OMN i w Związku Patriotycznym. W wyborach 1930 uzyskał mandat poselski z listy BBWR, a od 1935-1938 zasiadał w Senacie. (Cz. Demel, *op. cit.*, str. 162).

7. Aleksander Markwicz, *1000 lat historii organizacji TTZ*, wydanie Związku Polskich Ziem Zachodnich, Londyn, 1975, ze wstępem, ilustracjami i przypisami Stanisława Pilarczyka, str. 63.

panta. Mieczysław Chmielewski kierował m.in. kółkiem Szkoły Podchorążych, założonym w kwietniu 1915 w Gnieźnie⁸.

Z wybuchem wojny 1914 roku — pisze K. Suchowiak w broszurze o TON — w zaborze pruskim społeczeństwo polskie owiane było zupełnie innym duchem niż w Galicji i częściowo w Królestwie. Wypowiadano się stanowczo po stronie wrogów Niemców, ciemżycieli Polaków. Wielkopolanom nie mogło pomieścić się w głowach, jak można było tworzyć polskie wojsko walczące u boku armii austriackiej, sprzymierzonej z niemiecką, przeciwko Moskalom.

Suchowiak opisuje wydarzenie bardzo charakterystyczne dla ówczesnej orientacji politycznej Wielkopolan. Dla wzmocnienia ruchu wojskowego w oparciu o TTZ, wkrótce po założeniu TON sformowano z istniejącego już wydziału wojskowego TTZ pluton Poznańczyków i wysłano go do Krakowa na manewry Drużyn Strzeleckich. Manewry miały miejsce w lipcu i w sierpniu 1914 pod Nowym Sączem. Pluton Poznańczyków, który — jak pisze autor broszury — „zdał chlubnie egzamin fizycznej i moralnej dojrzałości”, miał wracać do domu, gdy wybuchła wojna. Poznańczycy otrzymali formalny rozkaz przyłączenia się do Legionów, znaleźli się jednak w kłopotliwym położeniu właśnie z powodu wspomnianych ogólnych nastrojów w Wielkopolsce. Rozkazu nie wykonali; uznali, że spełnili swe zadanie i powrócili do domu nie chcąc walczyć po stronie Austrii i Niemiec. Zapisano ich wszystkich (według pseudonimów) jako deztererów legiono-
wych.

Tymczasem szaleje wojna. 5 sierpnia 1915 roku wojska niemieckie zajęły Warszawę i POW ujawniła się. Legiony walczyły na polskich ziemiach wschodnich, ale jednocześnie rosły kontrowersje Piłsudskiego z dowództwem austriackim i niemieckim. 15 listopada rozkazem naczelnego wodza, arcyksięcia Fryderyka, Piłsudski został mianowany Brygadierem. Ale wniosek o odznaczenie go orderem Leopolda komendant Legionów, gen. Karol Trzaska-Durski, w liście swym z 29 listopada opiniuje negatywnie, pisząc, że Piłsudski „przedstawia ze swą brygadą ten element, który, dążąc do zupełnie wolnej i niezależnej Polski, uznaje austrofiłski kierunek tylko jako środek do celu, gotów każdej chwili podjąć orientację inną, jemu odpowiadającą, lub za taką uchodzącą⁹”.

8. Kazimierz Suchowiak, *Tajna Organizacja Niepodległościowa — TON*, Poznań, 1922, w zbiorach Mieczysława Chmielewskiego.

9. *Kronika Życia J. Piłsudskiego...*, op. cit., t. I, str. 315/316.

W zatargu z władzami austriackimi i w kontrowersji z NKN i jego Departamentem Wojskowym, kierowanym przez Władysława Sikorskiego, zetowcy stali po stronie Piłsudskiego. W tym czasie raczej zarzewiacy zajmowali w powstałym sporze stanowisko odmienne. Zarzewiak Jan Dąbrowski pracował w Departamencie Sikorskiego¹⁰, a Eugeniusz Kwiatkowski, po wstąpieniu do Legionów, był z ramienia tego Departamentu oficerem werbunkowym w Chełmie i następnie w Łukowie¹¹.

18 grudnia 1915 roku powstał w Warszawie z inspiracji Piłsudskiego Centralny Komitet Narodowy (CKN) jako tymczasowa reprezentacja stronnictw lewicy niepodległościowej. CKN ogłosił program odbudowania niepodległego państwa polskiego z zaborów rosyjskiego i austriackiego. W skład tego komitetu weszły: PPS, PSL - Wyzwolenie, Narodowy Związek Robotniczy, Związek Państwowości Polskiej i inne ugrupowania. Przez Wyzwolenie i NZR byli w nim też prawdopodobnie reprezentowani zetowcy. Nie mogą tego stwierdzić z pewnością i ustalić nazwisk. Kazimierz Wyszyński pełnił służbę wojskową i w I Brygadzie. Musiał być jednak wzywany do narad w ważniejszych sprawach, gdyż później, w związku z kryzysem przysięgowym Legionów w lipcu 1917 roku, wynikła znów między nim i Piłsudskim różnica zdań co do formy oporu.

Wyszyński i Stanisław Leopold Janikowski (zdaje się, że Janikowski był oficjalnym reprezentantem ZETU w CKN przez jedną z wchodzących do niego organizacji politycznych) byli zdania, że wobec konieczności zwrócenia frontu przeciwko Niemcom nie należy skazywać Legionistów na rolę bierną i zamknięcie w obozach koncentracyjnych. Według relacji Stefana Szwedowskiego Wyszyński miał być zdania, że należy teraz — wobec czasowego przynajmniej wyeliminowania z wojny Rosji i wobec zaznaczającego się upadku sił państw centralnych — jak najszybciej znaleźć się w obozie walczącej koalicji zachodniej nie przez deklarację ale *via factis*. Proponował więc skoncentrowany marsz na Warszawę ściągniętych już zza Bugu wszystkich pułków legionowych. Było sprawą jasną, że Niemcy rozbiją tę próbę zawładnięcia Warszawą, ale Wyszyński myślał — jeśli można wierzyć Szwedowskiemu — że rozgłos tej walki musiałby wstrząsnąć opinią świata i wprowadzić Polskę oficjalnie do obozu zwyciężającej koalicji.

Po odmowie złożenia przysięgi Wyszyński poszedł z innymi

10. Jan Dąbrowski, *Dziennik 1914-1918*, Kraków, 1977.

11. J. Rakowski, *Eugeniusz Kwiatkowski, op. cit.*, str. 38-39.

legionistami do obozu internowanych w Szczypiornie, ale w krótkim czasie uciekł i przedostał się do Krakowa dla ukończenia studiów i dalszej pracy politycznej w Centralizacji ZETU.

Piłsudczykowski Lublin

Jeżeli — jak już podkreśliłem — w starszym pokoleniu zetowców, rówieśników Wyszyńskiego, ludzi urodzonych około 1890 roku, mimo poparcia Legionów przejawiała się jeszcze w stosunku do Piłsudskiego pewna rezerwa i chęć utrzymania samodzielności w ustalaniu dróg politycznego działania, to młodsze pokolenie — ludzie urodzeni na przełomie wieków (do których i ja należę) — było w okresie wojny na terenie Królestwa stu-procentowo piłsudczykowskie. Poznań był antylegionowy, a środowiska w Krakowie i Lwowie niejednolite.

Nie należy zapominać, że ZET nie zaprzestał nigdy swej działalności wśród młodzieży gimnazjalnej przez PET i OMN szkół średnich. W tym okresie Liga Narodowa, która po zerwaniu z nią ZETU z trudem odbudowywała swą młodzieżową organizację, większego wpływu na młodzież gimnazjalną nie miała. Nie dysponowało też długotrwałym wpływem ZARZEWIE, które było secesją z ZETU jednego pokolenia rówieśników Wyszyńskiego. Rok w rok PET i OMN szkół średnich zasilały szeregi ZETU i akademickiego OMN.

30 lipca 1915 szwadron kawalerii legionowej pod dowództwem zetowca Gustawa Orlicz-Dreszera wkroczył do Lublina. Ropoczął się w mieście okres okupacji austriackiej. Natychmiast ujawniła się organizacja skautowa, budowana przy czynnym poparciu petowców i oemenowców. W skład komendy skautowej wchodził wówczas Włodzimierz Bochenek, jeden z głównych odnowicieli ZETU po rozłamie zarzewiackim obok Wyszyńskiego i Zdzisława Lechnickiego. W dniu 12 listopada 1916 roku nastąpiło uroczyste przyłączenie okręgu lubelskich drużyn skautowych do Związku Harcerstwa Polskiego. Zetowcy Królestwa wybitnie przyczynili się do stworzenia organizacji harcerskiej i zachowali w niej wpływ przez cały okres niepodległości 1918-1939.

W końcu 1916 roku przy prezesie ZHP ks. Janie Mauersbergerze szefem Głównej Kwatery Męskiej był zetowiec Piotr Olewiński, późniejszy działacz wiejski, jeden z organizatorów Związku Naprawy Rzeczypospolitej, poseł i senator z Polesia. W skład utworzonej Komendy XII Lubelskiego Okręgu Harcerstwa weszli zetowcy i oemenowcy, m.in. Stefan Mydlarz i Marian Żebrowski,

ten ostatni wówczas drużynowy II Lubelskiej Drużyny, później Legionista, oficer 7 pułku Ułanów Lubelskich (w Londynie, na emigracji, ppłk, historyk wojskowy).

Lublin, jak również inne ośrodki gimnazjalne Królestwa pod okupacją austriacką (Kielce, Radom i inne) były wybitnie prolegionowe. W gronie profesorskim znalazło się wielu wychowanków ZETU, którzy popierali prace młodzieży. Uczelnie były całkowicie pod wpływem PETU i OMN. Pisał o tym prof. dr Zygmunt Kulczycki, dyrektor „Szkoły Lubelskiej”, w pamiętniku tej szkoły wydanym z okazji jej 30-lecia 1906-1936¹².

Przez cały okres pierwszej wojny nie działały na terenie gimnazjów lubelskich żadne inne organizacje młodzieżowe. PET i OMN były tymi, które w pierwszym rządzie poparły ideę legionową i wychowały wielu poważnych działaczy społecznych i politycznych, również późniejszych wojskowych, którzy weszli do obozu piłsudczyków.

ZET i OMN w Warszawie

To samo można powiedzieć o środowisku młodzieżowym warszawskim.

5 sierpnia 1915 roku wojska niemieckie zajęły Warszawę. POW, z którą zetowcy współpracowali przez „Wolną Szkołę Wojskową”, ujawniła się jako komenda wojsk polskich. W dzień później, 15 sierpnia, Piłsudski przybył do Warszawy i odebrał raport o działalności POW złożony mu przez ppr. Konrada Libickiego, zastępującego komendanta głównego por. T. Żulińskiego.

Libicki i Żuliński mieli trudne rozmowy w Hotelu Francuskim z Piłsudskim, który nie chciał zezwolić na wyjazd do Brygady Legionów batalionu peowiaków z Warszawy. Ostatecznie zgodził się na odmarsz już sformowanego batalionu, ale zakazał dalszego werbunku do Legionów. Miał już wówczas zamiar rozbudować, a nie likwidować POW i potrzebował na to ludzi¹³.

Jesienią 1915 roku otwarte zostały wyższe uczelnie warszawskie z nowo utworzonym Uniwersytetem Warszawskim na czele. Zawrzało zaraz życie organizacyjne młodzieży. Przełom w nastrojach był wyraźny. Młodzież endecką w roku akademickim

12. „Prywatne męskie Gimnazjum im. Stefana Batorego („Szkoła Lubelska”) w XXX-lecie”, Lublin, 1936, słowo wstępne.

13. *Kronika Życia J. Piłsudskiego...*, op. cit., t. I, str. 306/307.

1915/1916 reprezentowała wówczas stosunkowo nieliczna grupa prowadzona początkowo przez Tadeusza Kobylańskiego (1890-1970), b. zetowca, który z grupą lubelską tzw. „starszych zarzewiaków” przyłączył się do endecji, J. Dziezbickiego i F. Majorowicza, z czasem dopiero przez najwybitniejszego przedstawiciela młodzieży tego kierunku — Jana Rembielińskiego.

Większość ideową reprezentowały trzy organizacje niepodległościowe: OMN, ZARZEWIE i FILARECJA. Między OMN i „Zarzewiem” nawiązana już była ścisła współpraca; z uzyskaniem niepodległości i rozwiązaniem „Zarzewia” w roku 1920 większość zarzewiaków powróciła do ZETU. „Filarecja”, wierna założeniom Związku Młodzieży Postępowo-Niepodległościowej, podkreślała swe lewicowe oblicze społeczne o zabarwieniu socjalistycznym. Z czasem w łonie tej organizacji nastąpił rozłam. Przy „Filarecji” zostały elementy postępowe, a elementy wyraźnie socjalistyczne powołały do życia organizację pod nazwą Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej, która uchodziła za ekspozyturę PPS-u.

Wśród akademickich grup ideowych najbardziej zwarta, najlepiej zorganizowana i najliczniejsza była Organizacja Młodzieży Narodowej, popularnie zwana „oemenem”. Wydawała ona w Warszawie regularnie swój organ prasowy pod nazwą *Miesięcznika Młodzieży Polskiej*, który był też organem tajnego ZETU. „W całym okresie wojennych lat studenckich — pisze Tadeusz Katelbach — zwłaszcza w pierwszych dwóch latach akademickich 1915/16 i 1916/17, OMN dosłownie trzęsła wszystkimi uczelniami warszawskimi. Nic się bez nas nie działo, a biada temu, kto by wbrew nam ośmielił się podejmować jakąś akcję¹⁴”.

Oprócz Tadeusza Katelbacha (1897-1978) wybitnymi działaczami zetowymi i oemenowymi tego pokolenia i tych czasów byli m.in. Stanisław Paprocki (1895-1976), Adam Stebelski (1894-1969), Stanisław Groniowski (1895-1939), Wiesław Domaniewski (ur. 1896), ludzie, którzy w życiu niepodległej Polski będą niezwykle czynni na różnych polach działalności politycznej, administracyjnej i gospodarczej.

Tzw. „starszymi braćmi” zetowymi są wówczas w Warszawie Stanisław Janikowski, Gustaw Zieliński, Zdzisław Lechnicki, Aleksander Graff, Bolesław Srocki, Stefan Szwedowski. „Papież” zetowy, Kazimierz Wyszyński, odbywa służbę w Legionach z wielu innymi braćmi. Brak w tym gronie Jerzego Szuriga, który

14. T. Katelbach, *Spowiedź pokolenia*, op. cit., str. 62.

w tym czasie jest we Francji w formacji wojskowej Bajończyków, z której wyjdzie jako częściowy inwalida (porażony gazem w okopach), a po powrocie do kraju, po przewrocie majowym, stanie się przywódcą grupy syndykalistów na lewym skrzydle ZETU.

Tadeusz Katelbach był jedynym delegatem młodzieży akademickiej obecnym na sali Zamku Królewskiego, gdzie odczytana była deklaracja dwóch cesarzy z 5 listopada 1916 roku, zapowiadająca utworzenie z ziem wydartych panowaniu rosyjskiemu samodzielnego państwa z dziedziczną monarchią i konstytucyjnym rządem¹⁵.

W roku akademickim 1917/18 niepodległościowa młodzież Warszawy rewoltuje się przeciwko obłudnemu stanowisku Niemiec i Austrii. Wybuchnął kryzys Legionów i aresztowanie Piłsudskiego w dniu 22 lipca 1917 roku. W grudniu tegoż roku OMN zorganizowała wspólnie z „Zarzewiem” i „Filarecją” manifestację w Warszawie pod hasłem „uwolnić Komendanta Piłsudskiego oraz więźniów Benjaminowa i Szczypiorny”. Przedstawiciele młodzieży endeckiej Jan Rembéliński i Feliks Majerowicz odmówili udziału w Komitecie i poparcia tej manifestacji. Nie mieli oni jednak wówczas żadnego wpływu na młodzież. Demonstracja została zorganizowana w dniu 9 grudnia. W czasie jej przebiegu — według relacji Wacława Jędrzejewicza¹⁶ — Tadeusz Katelbach został ranny.

Piłsudski najprawdopodobniej mało wiedział, albo mało zdawał sobie sprawę z intensywności tego wybitnego zaangażowania się młodszych roczników ZETU i OMN po jego stronie. Jeśli chodzi o starszych, niewątpliwie cenił charakter, uczciwość ideową i niepodległościową postawę K. Wyszyńskiego, nie lubił jednak sprzeciwów i nie znosił otwartości z jaką Wyszyński ośmiewał się wyrażać wobec niego odmienne zdanie. Wyszyńskiego i reprezentowanej przez niego „Młodzieży Narodowej” nie uważał za „swoich” ludzi. Jego zaufanymi ludźmi byli w tym czasie Kazimierz Sosnkowski, Artur Śliwiński, Menard Downarowicz, Leon Wasilewski, a przede wszystkim w sprawach politycznych Michał Sokolnicki, który był jego prywatnym sekretarzem po powołaniu Piłsudskiego w dniu 11 stycznia 1917 roku na członka Tymczasowej Rady Stanu.

W Komisji Wojskowej Tymczasowej Rady Stanu nie ma też zetowców. Jedynie Wacław Jędrzejewicz bierze udział w kierow-

15. Relacja Wiesława Domaniewskiego.

16. *Kultura paryska* nr 3, 1978.

niczych pracach politycznych i w POW, zetowiec, który szybko zasymilował się z ludźmi Piłsudskiego.

W dniu 2 lipca 1917 roku na posiedzeniu TRS Piłsudski podał się do dymisji, a wraz z nim jego współpracownicy w Komisji Wojskowej i w POW: W. Sławek, A. Skwarczyński, M. Downarowicz, P. Górecki, St. Pomarański i Stanisław Hempel. Zostali oni aresztowani z rozkazu Beselera 14 lipca, na tydzień przed aresztowaniem Piłsudskiego przez tajną policję niemiecką i wywiezieniem go do twierdzy w Magdeburgu. POW zeszła znów w podziemie.

Sprawa „Konwentu” — Poprawki historyczne

W tym czasie projektowano z inicjatywy Piłsudskiego, ale już bez jego udziału, dwie szczupłe tajne organizacje wybranych ludzi, zwane *Konwentami A i B*. Konwent A ukonstytuował się. Obejmował kilkanaście osób z lewicowych ugrupowań politycznych. Konwent B miał być zorganizowany z kierowników prawicy. Piłsudski względnie K. Sosnkowski mieli kierować całym ruchem niepodległościowym przez te dwa Konwenty. W czasie tworzenia tych komórek dalszego politycznego działania miało miejsce aresztowanie Piłsudskiego i Sosnkowskiego. W tej sytuacji na czele Konwentu A stanęli Rydz-Śmigły i Moraczewski. Konwent B nigdy nie został ukonstytuowany¹⁷.

Jest to bardzo ważny moment dla przyszłego rozwoju stosunków zetowców z grupą tzw. „piłsudczyków miarodajnych”.

Władysław Pobóg-Malinowski pisze: „W 1917/1918, gdy Piłsudski był w Magdeburgu i ważyły się losy sprawy polskiej [zetowcy — J.R.] zajęli stanowisko wyczekujące (z jednym wyjątkiem należącego wtedy do nich J. Jędrzejewicza¹⁸) i reprezentanta swego do Konwentu nie dali¹⁹”. Jest to twierdzenie niezgodne z prawdą, podobnie jak podnoszony z innej strony zarzut, że Kazimierz Wyszyński i zetowcy odmówili przystąpienia do Związku Walki Czynnej, powołanego w czerwcu 1908 roku we Lwowie na zebraniu w mieszkaniu K. Sosnkowskiego na wniosek M. Kukieła. Po prostu... w obu wypadkach, może nie tyle w myśl poleceń czy intencji Piłsud-

17. *Kronika życia J. Piłsudskiego...*, op. cit., str. 363/364, na podstawie L. Wasilewskiego i B. Miedzińskiego.

18. Błąd w imieniu, chodzi oczywiście o Wacława, nie Janusza.

19. *Najnowsza Historia Polityczna Polski*, t. II, 1956, nota na str. 499.

skiego ile przez jego socjalistyczne otoczenie zetowcy do udziału w tych organizacjach nie zostali zaproszeni. Nosili tradycyjne piętno „młodzieży narodowej” i uważani byli za zbyt samodzielnych.

Istotną poprawkę do twierdzeń Malinowskiego wniósł Bogusław Miedziński w swych wspomnieniach drukowanych w *Zeszytach Historycznych* nr 36 z 1976 r.

Miedziński pisze, że w przededniu aresztowania Piłsudskiego przez Niemców, obok zmian w organizacji POW nastąpiły wówczas z inicjatywy Komendanta pewne kroki w dziedzinie organizacji politycznej. Komendant postanowił powołać tzw. „Związek A” i „Związek B” — organizację z dwóch członów, w skład której wejść mieli tylko najbardziej pewni i zaufani ludzie z obozu niepodległościowego. Organizacja ta miała dbać o jednolitość poczynań i prac całego obozu. „Związek A”, którego się — jak mówił Miedzińskiemu Piłsudski — „ma objąć wszystkie ważniejsze ośrodki na przestrzeni kraju, kierowany będzie przez niewielką Radę, którą nazywać będziemy Konwentem”... „Związek B” miał się składać z ekonomistów, finansistów i działaczy gospodarczych [a więc nie „kierowników prawicy”, jak notuje „Kronika” — J.R.] z zadaniem przygotowania rozstrzygnięć zagadnień finansowo-gospodarczych przyszłego państwa. Sosnkowski miał się zająć powołaniem do życia Konwentu, Miedziński otrzymał rozkaz wyjazdu w tych sprawach do Lublina.

Miedziński pisze dosłownie:

„Układając listę zrobiliśmy pewien błąd, który później doprowadził do dość poważnych komplikacji: nie wzięliśmy pod uwagę [podkreślenie moje] organizacji tzw. Młodzieży Narodowej, znanej później, już w czasach niepodległości, pod nazwą 'naprawiaczy'. Była to organizacja — stwierdza Miedziński — silnie reprezentowana zarówno w POW, jak i w naszym politycznym obozie; organizacja zwarta, ścisła, idąca wprawdzie już od wielu lat za Piłsudskim i uznająca jego autorytet, ale dbająca bardzo o swoją niezależność, mająca swoje tajne władze i nieskora do podporządkowania się jakiemukolwiek innemu oprócz Piłsudskiego autorytetowi zbiorowemu, szczególnie jeśli nie była w nim reprezentowana. Jeszcze gdy rozmawiałem w Warszawie z Sosnkowskim o Związku A — pisze Miedziński — poruszyłem sprawę konieczności włączenia doń Młodzieży Narodowej. Sosnkowski odpowiedział mi, że jest to dla niego jasne i że oczywiście weźmie to pod uwagę przy składzie Konwentu. Najwidoczniej jednak nie zdążył tego załatwić definitywnie, ja zrobiłem ciężki błąd [podkreślenie moje] nie pamiętając o tym w Lublinie, zaś Moraczewski ani Kasprzycki nie znali dostatecznie układu stosunków, szczególnie w zaborze rosyjskim, i rzecz cała uszła naszej uwadze”.

„Ułożyliśmy listę Konwentu w następującym składzie: J. Moraczewski, E. Rydz-Śmigły, M. Downarowicz, T. Kasprzycki, W. Sieroszewski, M. Sokolnicki, L. Wasilewski, J. Zdanowicz-Opiełiński, Andrzej Strug, Z. Ziemięcki.

W kwietniu 1918 wszedł do Konwentu A. Koc na miejsce T. Kasprzyc-
kiego”.

„... Obrady nasze nie miały charakteru 'uzgadniania' międzypartyjnego, toczyły się na wysokim poziomie i z pełnym poczuciem wagi zadania, które na nas spadło. Przetrwaliśmy czasy Magdeburga²⁰”.

Miedziński stwierdza, że „Konwent w zmienionym składzie — dopełniony przez tych, którzy w okresie magdeburskim bądź siedzieli w więzieniach niemieckich jak Sławek, bądź w katordze rosyjskiej jak Aleksander Prystor — funkcjonował jeszcze przez pierwsze lata niepodległości. Oczywiście już nie jako ciało decydujące, ale tylko doradcze... Komendant zwoływał jeszcze tych samych ludzi i brał — choć nie zawsze — pod uwagę wypowiedane zdania”.

Była to więc też swojego rodzaju „konspiracja”, do której nie zaproszono zetowców, ani jej później zetowcami nie „dopełniono”. Według Miedzińskiego był to błąd przez „zapomnienie”. Błąd ten nie przyniósł na razie większych konsekwencji. Ale w niepodległej Polsce, zwłaszcza po przewrocie majowym, zetowcy, nie będąc reprezentowani w Konwencie w gorących czasach wojny, będą też świadomie odsuwani od wpływu na bieg polityki państwowej, choć również należeć będą do obozu piłsudczykowski.

(*c.d.n.*)

Janusz RAKOWSKI

20. *Zeszyty Historyczne* nr 36, 1976, str. 183.

Emanuel HALICZ

KSIĄDZ BRZÓSKA (Hierarchia kościelna a Powstanie Styczniowe)

„La vie, l'histoire du monde, toutes les histoires particulières se présentent à nous sous la forme d'une série d'événements: entendez d'actes toujours dramatiques et brefs” (Fernand Braudel, *Écrits sur l'histoire*, Paris, 1969, str. 22).

23 maja 1865 roku o godz. 11-tej przed południem na rynku m. Sokołowa wobec 10-tysięcznego tłumu złożonego z mieszkańców Sokołowa, wsi Sypitki i sąsiednich dokonano egzekucji na księdzu Stanisławie Brzósce i jego pomocniku Franciszku Wilczyńskim, synu kowala z Łukowa. W cztery godziny po egzekucji, przy której asystował podpułkownik Drozdow, zdjęto ciała z obydwu szubienic i w dwu skrzyniach zawieziono do Brześcia, gdzie zostały pochowane 24 maja w rowie tamtejszej twierdzy.

Już ten fakt, jak też i to, że egzekucji dokonano na ostatnich powstańcach 1863 roku, stanowi dostateczny powód, aby zająć się tą sprawą szczegółowo, a także zastanowić się jakie czynniki spowodowały, że oddział pod dowództwem księdza Brzóska jako jedyny przetrwał do wiosny 1865 roku. Niestety bogata literatura przedmiotu (chodzi mi o historiografię powstania styczniowego) nie dała nam dotąd wyczerpującej odpowiedzi na to pytanie i poza artykułem K. Groniowskiego „Oddział Księdza Brzóska”, zamieszczonym w *Przeglądzie Historycznym*, 1959 r., zeszyt 4, str. 831-840, bardzo niewiele wiemy o stosunku ludności Podlasia do Brzóska i jego powstańczej działalności. Jedyna w literaturze przedmiotu monograficzna rozprawa o księdzu Stanisławie Brzósce, opracowana przez H. Maliszewską i opublikowana w *Pamiętniku Lubelskim*, t. I, 1939 r., str. 184-215, jest właściwie

tylko zbiorem faktów o jego życiu podanych w sposób chronologiczny bez krytycznego ustosunkowania się do źródeł.

Nas jednak w tej chwili interesuje nie tyle działalność księdza Brzóska w dobie powstania styczniowego, ile stosunek hierarchii kościelnej, zwłaszcza biskupa podlaskiego Beniamina Szymańskiego, do Brzóska. Na tym przykładzie chcielibyśmy przedstawić problem, w naszym przekonaniu niedostatecznie naświetlony w literaturze przedmiotu.

Nic tak nie utrudnia drogi do prawdy historycznej jak mity. Jednym z takich mitów jest mit o negatywnym stosunku biskupa Szymańskiego i o wyklęciu przez niego księdza Brzóska. Do rozpowszechnienia tej pogłoski walnie przyczyniła się Maria-Jehanne Wielopolska, autorka „Kryjaków”, pięknej klechdy ludowej o sześćdziesiątym trzecim roku, opowieści z przedmową Stefana Żeromskiego, ukończonej 4 kwietnia 1913 roku, w sto dziewiętnastą rocznicę stracenia Kamila Desmoulins i czterdziestą ósmą rocznicę pojmania Brzóska i Wilczyńskiego.

„Ty nie pójdziesz, wierny synu Kościoła, za księdzem, którego wyrzucam ze społeczności kościelnej. Od dziś nie ma już prawa ksiądz Brzóska ani sakramentów udzielać, ani odprawiać mszy. *Suspensa ad beneplacitum suum*”. Ta fikcja literacka, słowa włożone w usta biskupa Szymańskiego przez Marię-Jehannę Wielopolską stały się prawie, że prawdą historyczną, wielokrotnie powtarzaną przez publicystów i historyków. Ani Maliszewska ani też Paweł Kubicki, autor pracy „Bojownicy kapłani za sprawę Kościoła i Ojczyzny w latach 1861-1915”, do tej sprawy, mam tu myśli sprawę suspendowania ks. Brzóska, nie ustosunkowali się.

Publicysta zaś *Trybuny Ludu* w artykule „Wyklęty ksiądz powstaniec” (22. 5. 1955) pisał: „Niestraszny jest dla niego (Brzóska — E.H.) papież Pius IX wyklinający powstanie styczniowe. Niestraszny wreszcie jest dla księdza Brzóska jego ordynariusz, zacieklej wróg powstania i sługus caratu, biskup podlaski Szymański, który rzuca na bohaterskiego wikarego klątwę”.

Celem mego artykułu jest odpowiedzieć na pytanie: czy tak było naprawdę, w jakiej relacji pozostają te tezy z prawdą historyczną, jaki był rzeczywście stosunek biskupa podlaskiego do Brzóska, w jakich okolicznościach wydany został list pasterski z 21 sierpnia 1865 roku i jaka jest jego wymowa.

Wyjaśnienie tej sprawy wydaje mi się ważne z wielu powodów. Jednym z nich jest fakt, że sprawa ta jest fragmentem wielkiego zagadnienia któremu na imię „Kościół a powstanie sty-

czniowe", zagadnienia, które nie zostało dotąd w sposób naukowy przebadane. W 1938 roku M. Żywczyński w swym artykule „Kościół i duchowieństwo w powstaniu styczniowym” (*Przegląd Historyczny*, 1938, str. 512-525) ubolewał, że nie mamy dotąd żadnej naukowej rozprawy na ten temat, a w 1972 roku S. Kieniewicz w swej syntezie „Powstanie Styczniowe” stwierdza, że stosunek Kościoła do Powstania, ujmowany dotąd w literaturze w sposób jednostronnie apologetyczny lub potępiający, czeka na sumiennego historyka.

Celem mego artykułu nie jest formułowanie nowych tez czy też rehabilitacja biskupa Szymańskiego. Nie o taką rewizję nam chodzi. Jeden przykład nie wystarcza też, aby wyciągać wnioski uogólniające. Chodzi mi głównie o to, aby w oparciu o ten przykład pokazać, jak dalece mity i legendy przysłaniają prawdę historyczną, i zachęcić do dalszych badań na tym odcinku.



Sprawę stosunku biskupa Szymańskiego do Brzóski chciałbym przesłodzić na dwu przykładach. Pierwszy z nich dotyczy działalności Brzóska w dobie przedpowstaniowej, drugi lat 1864/65.

Jeśli chodzi o pierwszą sprawę, związaną z postawieniem Brzóska przed sądem wojennym jesienią 1861 roku, to zaliśmy ją w ogólnych zarysach dzięki pracy Jana Riabinina „Lublin i Lubelskie w przededniu Powstania Styczniowego”, wydanej w Lublinie w 1925 roku, oraz urywkom z dokumentów opublikowanych przez Maliszewską w jej rozprawie o Brzósce i przez P. Kubickiego w wyżej wspomnianej książce. Dzięki szczęśliwie zachowanym odpisom z akt Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Lublinie, sporządzonym przed wojną przez dr. P. Bańkowskiego a udostępnionym autorowi niniejszego artykułu przez p. doc. dr F. Ramotowską, oraz odpisom z „Akt osobistych X-a Stanisława Brzóska”, vol. I.N.R. 25. L.B. z Archiwum Kurii Biskupiej w Siedlcach istnieje możliwość bardziej wnikliwego przedstawienia samej sprawy i roli jaką odegrał w tym czasie biskup podlaski¹.

11 listopada 1861 roku wikary w kościele popijarskim w Łukowie ks. Brzóska stwierdził w piśmie do Konsystora General-

1. Z „Akt osobistych” wynika, że S. Brzóska urodził się 30.12.1834 r. Wielu autorów podaje rok urodzenia 1832 a Maliszewska raz 1832 a raz 1834. W własnoręcznym życiorysie Brzóska nie wspomina o studiach na Uniwersytecie Kijowskim, o czym jest mowa w wyroku Audytoriatu Polowego Warszawskiego Okręgu Wojskowego N.1131 z 10. (s.s.) VI.1865.

nego Diecezji Podlaskiej, że „oficerowie strzeleckiego batalionu konsystującego w Łukowie z pułku piechotnego Kostromskiego, w czasie summy i innych nabożeństw, w przytomności zgromadzonego ludu ze zgorszeniem tegoż, z obrazą religii i Świątyni Pańskiej dopuszczali się czynów gorszących, jako to: śmiechów, głośnych rozmów mieszających nabożeństwo, zaglądań w książki i oczy modlących się niewiast itp. Gdy w niedzielę dwudziestą piątą po Zielonych Świątkach myśli Ewangelii Świętej o kąkole i pszenicy ludowi podczas summy wykladałem, nie dotykając osobiście nikogo, przytomni oficerowie, poczuwając się zapewne, jak zwykle słuchacz, do swoich czynów, dnia następnego do tego stopnia potrafili podburzyć dowódcę wyż rzeczonego batalionu, że ten dał rozkaz burmistrzowi miejscowemu zawezwania mnie do Magistratu”.

W spełnieniu tego rozkazu przez burmistrza Jackowskiego ks. Brzóska a za nim parafianie, potem też i biskup Szymański dopatrzili się „przekroczenia przez burmistrza służącej mu władzy”, „występuku przeciw prawu”, nawet „gwałtu publicznego”, nie major bowiem jako „nieobeznany z prawami krajowymi”, lecz burmistrz winien był wiedzieć, że władza policyjna bez odniesienia się do władzy duchownej nie może „na każde zawołanie władzy wojskowej prowadzić księży do magistratu jako złoczyńców”.

W związku z incydentem biskup diecezji podlaskiej wystosował w dniu 16 listopada dwa pisma, a mianowicie do gubernatora cywilnego Guberni Lubelskiej Boduszyńskiego i do p.o. naczelnika wojennego Guberni Lubelskiej generała Chruszczowa.

W pierwszym z nich czytamy:

„Ksiądz Stanisław Brzóska, Wikariusz przy kościele parafialnym w mieście powiatowym Łukowie złożył mi raport, który JW Panu przesyłając przy niniejszym w kopii, następujące mam zaszczyt złożyć wyjaśnienie.

Kapłan ten znany mi osobiście nie był i nie jest bynajmniej człowiekiem niespokojnego charakteru, odznaczał się zawsze wzorowem prowadzeniem się i duchem prawdziwej pobożności.

Wykładając wedle rozumienia Kościoła powszechnego naukę w Ewangelii podaną, skoro nie dotykał, jak przedstawia, osób, ale tłumaczył ją w wyrazach ogólnych, nie może być pociągany do odpowiedzialności, mianowicie też przez władzę policyjną, która w żadnym razie nie ma prawa przywłaszczać sobie wyrokowania czy kapłan źle lub dobrze, tj. czy w duchu i rozumieniu Kościoła lub też przeciwnie, ludowi naukę wyklada; rzecz ta albowiem przez wszelkie prawodawstwa pozostawiona jest ocenieniu Władzy Duchownej, do której jedynie sąd w rzeczach wyłącznie sumienia dotyczących należeć może.

Gdyby zaś kapłan, w czasie pełnienia obowiązków swoich duchownych, wykroczył w czem przeciw porządkowi publicznemu lub dobrej sławie osób,

to i w takim nawet razie władzy policyjnej, do której czuwanie nad ich zabezpieczeniem bez wątpienia należy, służy tylko prawo podania skargi na wykraczającego do biskupa lub konsystorza, którym prawa krajowe obowiązek czuwania nad postępowaniem kapłanów w tem co ich obowiązków duchownych dotyczy bezwarunkowo zostawiły.

Winienem to jeszcze wyjaśnić JWPanu, iż wedle zasad prawa kanonicznego, którym duch ustaw cywilnych w kraju naszym dotąd obowiązujących nie tylko się nie sprzeciwia, ale owszem wszelką moc im zostawia; kapłan, który by w przedmiotach dotyczących jego obowiązków czysto duchownych poddał się dobrowolnie pod sąd urzędu świeckiego, wykroczyłby przeciw swemu sumieniu i ustawom całej Kościoła Katolickiego obowiązującym.

Czyn zatem burmistrza Łukowskiego, który ks. Brzóske za kazanie pociągał do tłumaczenia się w Magistracie, jest przekroczeniem służącej mu władzy, jest występkiem przeciwko prawu, jest po prostu gwałtem publicznym, pod zasłoną charakteru publicznego przestrzegacza porządku dopełnionym.

I pozwoli JWPan zwrócić swoją światłą uwagę, że czyn tego rodzaju, jako niesprawiedliwy i nielegalny, nie może przyłożyć się do uspokojenia umysłów, ale przeciwnie tem więcej je rozjątrzać i oplakany stan kraju przedłużać.

Z tych przeto powodów — kończy biskup — mam zaszczyt uprzejmie prosić JW Pana, abyś wykraczającego przeciw prawu burmistrza Łukowskiego upomnieć, i stosowne rozporządzenie, mające na celu zabezpieczenie nadal duchownych od podobnego rodzaju nadużyć w guberni zarządowi swemu powierzonej wydać raczył”.

W piśmie zaś do gen. Chruszczowa po scharakteryzowaniu postaci ks. Brzóske apeluje do generała w imię praworządności, która obowiązywać powinna nawet w czasie trwania stanu wojennego:

„...Lubo nie do mnie należy sądzić o nie znanych mi prawach wojennych, rozumiem wszakże iż te lubo surowe opierać się jednak muszą, jak wszelka ustawa, praw nazwisko nosząca, na zasadach sprawiedliwości, porządku i poszanowaniu tego co opinia oparta na rozwoju cywilizacji i religii uznawa za święte, poszanowania godne. Stąd też we wszystkich krajach europejskich, nie tylko świątynie wyznań chrześcijańskich, ale nawet synagogi żydowskie już w wieku dzisiejszym osłonięte są tarczą opieki praw, które w nich czynów nieprzyzwoitych, swawolnych rozmów, gorszących śmiechów zabraniają i pozwalają ministrom religijnym, do których z prawa Bożego należy przestrzegać porządku w domach publicznej czci Bożej, tego rodzaju nadużycia gromić i przeciwko dopuszczających się tychże pomocy władz świeckich wzywać”.

Niepodobna zdaniem biskupa doszukiwać się w postępowaniu ks. Brzóske znamion winy. W końcu apeluje do sumienia, zacności i wyrozumiałości generała.

Interwencje biskupa nie dały należytego rezultatu. Jackowski, będąc pociągnięty przez gubernatora cywilnego lubelskiego do protokolarnego tłumaczenia, oraz broniący go naczelnik powiatu łukowskiego powoływali się na konieczność spełnienia roz-

kazu władzy wojskowej i w końcu został on uznany za niewinnego.

Brzóska natomiast na polecenie naczelnika radzyńskiej żandarmerkiej komendy Chwoszczańskiego został 27 listopada aresztowany i na rozkaz gen. Chruszczowa odwieziony do Siedlec i oddany pod sąd polowy za wygłoszenie podburzającego kazania. Podstawą przewodu sądowego było doniesienie dowódcy kostromskiego pułku piechoty, że 29 października (.s.) ks. Brzóska, wskazując na obecnych w kościele oficerów i krzycząc, wypowiedział obelżywe słowa na rząd i wojsko. Z kolei na wezwanie burmistrza wzywającego go na „konferencję” do Magistratu zareagował negatywnie, podobnie jak i na powtórne wezwanie burmistrza i dyżurnego oficera Chodynowicza. Ks. Brzóska potępił nie tylko powyższy raport, obciążał go zeznania wielu oficerów.

Interwencja ze strony proboszcza ks. Jakóba Roszkowskiego adresowana do naczelnika wojennego łukowskiego płk. Kannabicha nie odniosła żadnego skutku. Sąd wojenny połowy uznał Brzóske winnym i na posiedzeniu w dniu 28 listopada (s.s.) skazał go na dwuletnie więzienie. Przedstawiając wyrok p.o. namiestnika Lüdersowi gen. Chruszczow zaproponował zamienić ks. Brzósce dwuletnie zesłanie do Rosji na 6 miesięcy w kazamatach fortecznych a następnie oddać go pod surowy nadzór policyjny. Jako motyw tej zamiany wysuwał generał dwie okoliczności: słabe zdrowie Brzóska i fakt, że nie brał dotąd udziału w manifestacjach patriotycznych. Audytoriat zaś połowy postawił swój własny wniosek, a mianowicie: przetrzymać winnego półtora roku w kazamatach a potem oddać go pod ścisły nadzór policji. 17 stycznia 1862 namiestnik zatwierdził wyrok sądu polowego i Brzóska odesłany został 28 stycznia na 1 rok do twierdzy w Zamościu. Po 6 jednak miesiącach na polecenie Namiestnika Królestwa Polskiego został zwolniony z powodu choroby (melancholii) i odesłany do Łukowa, dokąd przybył 23 czerwca/5 lipca i oddany został pod ścisły nadzór policyjny.

Trudno ustalić jakie były główne motywy którymi kierował się Lüders. W piśmie dowódcy Kostromskiego pułku i naczelnika oddziału Siedleckiego i Łukowskiego płk. Czernickiego do naczelnika oddziału Łukowskiego z 25 maja 1862 roku jako przyczyny zmniejszenia wyroku wymienia się orzeczenie ordynatora szpitala wojskowego w Zamościu, stwierdzające że Brzóska cierpi na melancholię, która może spowodować pomieszanie zmysłów, oraz dobre prowadzenie się więźnia. Sam Brzóska, indagowany na ten temat przez Audytoriat Polowy w maju 1865 do-

wodził, że powodem zwolnienia był fakt, że władze doszły do wniosku, że był niewinnie posądzony.

Wydaje mi się, że przyczyny tego kroku władz carskich były głębsze i mogły się wiązać ze zmianą kursu politycznego zapoczątkowanego w tym czasie w powiązaniu z nominacją W. Ks. Konstantego i Wielopolskiego. Nie wykluczam też, że biskup Szymański, który był o Brzósce wysokiego zdania, o czym świadczy charakterystyka nadesłana na ręce Sądu Polowego z dnia 11 grudnia 1861 (czytamy w niej m.in.: „Ze wszech miar (Brzóska — E.H.) na zaufanie i względy Wysokiego Rządu zasługuje”) mógł interweniować w jego sprawie u Namiestnika. Znajdował się biskup też pod przemożnym wpływem miejscowego kleru i ludności Podlasia, uczestniczącej aktywnie w ruchu patriotycznym². O klimacie panującym wśród kleru Podlasia świadczy fakt, że w grudniu 1862 roku w Kłoczowie odbył się zjazd duchowieństwa podlaskiego na którym postanowiono podporządkować się uchwałom Centralnego Komitetu Narodowego. Nie było więc rzeczą przypadku, że w liście do Aleksandra Górczaka z Warszawy z 1/13 stycznia 1863 Julian Tęgoborski, dyrektor kancelarii dyplomatycznej, wymieniał Szymańskiego w kontekście masowego udziału duchowieństwa podlaskiego w ruchu patriotycznym, piętnując jednocześnie dwukrotnie brak reakcji ze strony biskupa.

Z przytoczonych dokumentów wynika niedwuznacznie, jaką postawę zajął biskup Szymański wobec sprawy ks. Brzóska w 1861 roku. Nie wynikała ona jedynie z pobudek religijnych i nie była jedynie chęcią przeciwstawienia się ingerencji władz carskich w sprawę Kościoła. Duch manifestacji patriotycznych i nastrojów społeczeństwa oraz poważnej części kleru musiał wpłynąć na postawę zajętą przez biskupa. Do tego mogły dołączyć się względy osobiste.

A jak kształtował się stosunek biskupa podlaskiego do sprawy ks. Brzóska w 1864/65 roku?

Nim przejdę do omówienia tego problemu, pragnę zwrócić uwagę na moment zasadniczy, a mianowicie na zasadniczą zmianę w układzie sił i zmianę nastrojów jaka zapanowała w Królestwie Polskim w 1864 roku, zwłaszcza po straceniu Romualda Traugutta i członków Rządu Narodowego.

Rozprawiając się z polskim ruchem narodowo-wyzwoleńczym

2. 10.10.1861 biskup odprawił w Warszawie nabożeństwo ku czci Tadeusza Kościuszki.

carat uderzył w polską inteligencję, szlachtę i duchowieństwo. Na Sybir i do północnych guberni wywieziono 297 księży, 649 aresztowano i uwięziono na terenie Królestwa Polskiego, 49 wysiedlono za granicę. Ściganych za udział w manifestacjach i obchodach patriotycznych było 190 księży. Wielu torturowano w twierdzach fortecnych. 42 zmarło z wycieńczenia w Rosji. 5 stracono. Szczególnie dotkliwie rozprawiono się z klasztorami w Królestwie Polskim, znosząc wiele męskich i żeńskich zakonów. Tych spraw nie możemy nie zasygnalizować.

Działalność powstańczą rozpoczął Brzóska 22/23 stycznia 1863 atakiem na Łuków. Wpierw walczył w partii Lewandowskiego, potem Krysińskiego, w końcu uformował z resztek partii Krysińskiego, Rudzkiego i Kobylińskiego oddział którym w ostatnim etapie Powstania sam dowodził w randze generała i naczelnego kapelana Powstania.

W drugiej połowie 1864 roku oddział Brzóska był jednym z nielicznych oddziałów dogorywającego powstania, a na przełomie 1864/65 roku ostatnim oddziałem powstańczym. Centrum jego bazy stanowiły Błota Jackie. Jata stanowi jeden wierzchołek błotnistej trójkąta, którego dwa pozostałe wierzchołki leżą pod Dęblinem i Nowym Dworem. Zasięg bazy zaopatrującej oddział sięgał na zachód rejonu miasteczka Latowicz, na wschód Łukowa i Radzyna, na południe Miastkowa.

Fakt, że mimo wielkich wysiłków ze strony władz represyjnych nie udało się zlikwidować oddziału niepokoił władze carskie. 11 września 1864 roku naczelnik iwangrodzkiej (dęblińskiej) komendy żandarmów major Isadbiefow nadesłał generał-policmajstrowi Królestwa Polskiego Trepowowi meldunek następującej treści:

„Wiadomą jest rzeczą, że w Królestwie istnieje jeszcze złoczyńca ukrywający się w lasach, Brzóska, który z godziny na godzinę, z minuty na minutę powiększa swą szajkę i nie mam możliwości go uchwycić. Przeto należy nakazać wójtom, aby śledzili za mieszkańcami. Jeżeli schwytyany będzie gdziekolwiek włóczęga (w oryginale *brodiaga*), należy nałożyć kontrybucję na tę miejscowość”.

Inicjatywę nakładania kontrybucji na miejscowości w których ukrywał się Brzóska dał ppłk Zankleow, komendant wojenny w Dęblinie (Iwangorodzie) w depeszy do Trepowa z 20. 10. 1864. Wniosek ten został z miejsca zaaprobowany, jeśli nazajutrz 21. 10/2. 11 Trepow zadepeszował do Dębina: „Donieść najbliższemu naczelnikowi wojennemu o kontrybucji i jej ściąganiu, a samemu szukać Brzóska”. Już poprzednio władze wojskowe

wydały zarządzenie, aby oddawać pod sąd wojenny wszystkich, którzy dadzą ks. Brzósce schronienie.

Do okolicznych i dalszych powiatów wysłano listy gończe z następującą charakterystyką postaci Brzóski:

„Rost (!) wysoki, konstytucji mocnej, twarz szeroka, nos duży, oczy szare, włosy na głowie świątły błąd (!) spadające na plecy, między włosami znajduje się kołtun, ma niewielką bródkę, ze włosami rzadkimi, które są światlejsze niż na głowie, na prawej nodze z obuch stron wyżej kości płamy z ran kulo (!), wygląda więcej niż na 30 lat”.

Ofiarą pościgu za Brzóska padło około 100 osób, aresztowanych za udział względnie pomoc udzielaną oddziałowi Brzóska. Zasądzeni zostali na wiele lat katorgi, zesłani na osiedlenie na Syberię, do rot aresztanckich, a 4 zostało rozstrzelanych.

Ofiarą pościgu padł też (tylko z uwagi na nazwisko) 53-letni ks. Jan Brzóska, będący wikarym w kościołach w okolicy Piotrkowa i Widawy. Radość z aresztowania księdza Jana Brzóska trwała krótko i 13/25 grudnia 1864 Namiestnik Berg meldował Aleksandrowi II: „*Le prêtre Jean Brzoska qu'on nous a amené à Varsovie est un vaurien, mais il n'est pas le prêtre brigand Brzosko (!) que nous cherchons...*”.

Specjalne oddziały lotne pod dowództwem ppłk. Zankleowa przeczesywały teren i terroryzowały ludność, ale poszukiwania za Brzóska nie dawały rezultatu. Naczelnik wojenny okręgu siedleckiego w czasie jednej z wielkich obław w drugiej połowie listopada aresztował 35 osób związanych z powstaniem, ale i to nie zbliżyło go do celu. Zaproponował więc w swym raporcie do Berga, aby każdemu mieszkańcowi u którego uda się schwycić powstańca konfiskować majątek, a wszystkich mieszkańców wsi, gdzie będzie przyłapany powstaniec, o ile okaże się kto w niej winien, wysiedlać do Rosji. Wszakże Namiestnik tego projektu nie przyjął, tylko ścigającym ks. Brzóske żołnierzom polecił powiększyć porcję wódki, jak proponował siedlecki naczelnik wojenny, oraz pozwolił wyciąć przydrożne lasy.

Gdy zawiodły i te zabiegi, postanowiono użyć innego środka. Aby zapobiec dalszemu faktycznemu i moralnemu poparciu ludności władze rosyjskie w osobie W. A. Czerkaskiego, głównego dyrektora rządowej komisji spraw wewnętrznych i generała Z. Maniukina z Siedlec zwrócili się do biskupa podlaskiego z żądaniem bezzwłocznego zdjęcia z ks. Brzóska godności duchownej i ogłoszenia z ambon we wszystkich kościołach powierzonej mu diecezji, że Brzóska jako pozbawiony praw kapłańskich i jako ukrywający się przed ręką sprawiedliwości rozbójnik nie zasługuje na

żadne współczucie pobożnych chrześcijan. Pismo to zostało wystosowane 15/27 grudnia 1864 roku.

Zdaniem Cerkaskiego Brzóska sprzeniewierzył się swym obowiązkom kapłańskim i ogłoszenie tego miałooby ten efekt, że nikt nie zdecydowałby się ochraniać tego szkodliwego człowieka. Z tego widać, że carat zdawał sobie sprawę z autorytetu jakim cieszył się kler i z wagi i możliwości jakie dawała ambona — jedyny środek masowego oddziaływania w tych latach.

Nie dysponujemy wprawdzie tekstem odpowiedzi Szymańskiego, ale opierając się na treści kolejnego listu Cerkaskiego do biskupa z dn. 5/17 lutego 1865 wnioskujemy, że ten ostatni musiał wysunąć szereg zastrzeżeń pod adresem postulatów wysuniętych w pierwszym liście dyrektora rządowej komisji spraw wewnętrznych. Polemizując z treścią listu biskupa z 22 grudnia/3 stycznia 1865 w którym ten wymawia się od zadośćuczynienia żądaniu Cerkaskiego co do pozbawienia Brzóska praw stanu duchownego, ponieważ ten jakoby opuścił kraj, biskup zatem zgodnie z prawem kanonicznym nie jest władny go ekskomunikować, Cerkaski poucza biskupa, jakie prawa zgodnie z uchwałami Soboru Trydenckiego mu przysługują. Nie widzi on przeszkód w wykonaniu żądania rządu co do Brzóska, jeśli według zasad kościelnych degradacja bywa dwojaka, jedna rzeczywista (*degradatio actualis*), wykonywana z pewnymi uroczystymi obrzędami, druga słowna (*degradatio verbalis*), dopełniona przez samo wyrzeczenie wyroku, bez zastosowania przymusowych formalności.

„W sesji XIII rozdziału 4 Soboru Trydenckiego wyrzeczono: że ponieważ wedle ustaw kanonicznych dla zdjęcia z osób duchownych święceń kapłańskich wymagana jest pewna liczba biskupów, co mogłoby częstokroć przyczyniać zwłokę w wymiarze sprawiedliwości i przeto biskup może bez asystencji innych biskupów, sam bezpośrednio lub za pośrednictwem swego wikariusza generalnego dopełnić degradację ustną, a nawet zarządzić degradację rzeczywistą w obecności ustanowionej liczby biskupów, a w braku takowych w obecności innych osób zajmujących odznaczające się stanowisko w hierarchii duchownej”.

„Z tego wynika, że degradację rzeczywistą biskup może dopełnić w obecności wezwanych przezeń w tym celu kilku prałatów, którzy nie mają udziału w wydaniu wyroku, lecz tylko służą jako świadkowie przy dokonaniu uroczystego obrzędu pozbawienia winnego odznak kapłańskich, degradację zaś słowną biskup ma prawo wyrzec sam lub za pośrednictwem swego wikariusza generalnego”.

Dalej pouczał Cerkaski biskupa, że znaczenie degradacji kościelnej polega na tym, że nie jest ona tylko pozbawieniem winnego kapłańskiego prawa ale służy i do oddania go w ręce sądziego świeckiego i zgodnie z decyzją papieża Inocentego IX

podjętą na Soborze Lungdunskim (Liońskim) do rzędu przestępstw uzasadniających taką decyzję zaliczone zostało zabójstwo lub danie komukolwiek polecenia do dopełnienia onego. Dlatego też jego zdaniem odmowa biskupa zastosowania do ks. Brzóska kościelnej kary degradacji, która mu się należy za czynny jego udział w powstaniu zbrojnym i przywództwo ludziom oddającym się rozbojowi i rabunkowi jest zupełnie bezzasadna.

„Dlatego — kończy Czerkaski — znajdując, że Waszej Ekscelencji służy zupełna możność zadosyć uczynienia żądaniu Rządu co do wydania decyzji względem degradacji ks. Brzóska i ogłoszenia o tem z ambony, mam mocną nadzieję, że WPan nie będzie dłużej uchylał się od wykonywania tego i będę oczekiwał od Waszej Ekscelencji zawiadomienia o należytych spełnieniu rzeczonych żądań”.

Nie otrzymawszy od biskupa odpowiedzi na swój list z 27 lutego/11 marca, Czerkaski wystosował nowy list, bardzo ostry w treści i zdecydowany w tonie i zawierający szereg pretensji wobec biskupa.

„Nie otrzymawszy dotąd od JWPana należytego zawiadomienia o spełnieniu mego powyższego powtórnego wezwania, nie mogę — pisał Czerkaski — nie widzieć w tem widocznego uchylenia się Waszej Ekscelencji od uczynienia zadosyć prawnemu żądaniu rządu. Oprócz tego nie mogę nie zauważyć, że ponieważ ks. Brzóska ze stanowiska swego zostawał pod jurysdykcją JWPana, to o samowolnem wydaleniu się jego, jeżeli takowe nastąpiło bez upoważnienia Waszej Ekscelencji, JWPan winien był uprzedzić w swoim czasie właściwe władze, nadto z obowiązku swego pasterskiego urzędu JWPan i bez nalegania władzy cywilnej nie powinien był być obojętnym na długotrwałą nieobecność księdza, którego postęпки nie mogły ukryć się przed pasterską czujnością Waszej Ekscelencji i winien był przedsięwziąć potrzebne środki względem powrócenia go na drogę prawych obowiązków, lub też zastosowania do niepoprawnego przestępcy całej surowości prawa kościelnego”.

Dlatego też prosi biskupa, aby bezzwłocznie przedstawił wyjaśnienia, kiedy i na mocy czyjego zezwolenia ks. Brzóska wydalili się z parafii Łuków oraz jakie względem niego i kiedy mianowicie przedsięwzięte były przez biskupa środki i żąda, aby nie zaniechał zająć się wydaniem i ogłoszeniem decyzji co do degradacji ks. Brzóska, w ścisłym zastosowaniu się do prawa kanonicznego i do wiernopoddańczej Jego powinności i tym samym położył koniec sprzeciwianiu się rozporządzeniu rządu skierowanemu do uspokojenia i dobra kraju.

Dopiero pod naciskiem tych listów, zawierających w sobie załączek gróźb, zdecydował się biskup Szymański wystosować

pismo do Czerkaskiego, z datą 5 marca, w którym próbował odparowywać zarzuty Czerkaskiego. Dowodził w nim, że jak wynika z reskryptu Czerkaskiego z 5/17 lutego, raport jego (biskupa) z 3 stycznia został opacznie zinterpretowany, ponieważ on nigdy nie wymawiał się od pozbawienia ks. Brzóska praw stanu i jeśli nie ogłosił okólnika dla przekonania ludu, że nie powinien się opierać rozporządzeniom rządu mającym na celu ujęcie kryjących się przestępców zanim nie wezwał go do tego Czerkaski, to na usprawiedliwienie ma fakt, że doszły do niego prywatne wiadomości o rzekomym wyjeździe Brzóska z kraju. Odrzuca zarzut dotyczący sprawy degradacji Brzóska i podtrzymuje, że zgodnie z prawem kanonicznym nie wolno mu było wydać bezzwłocznie decyzji o pozbawieniu ks. Brzóska godności duchownej. W związku z poleceniem Czerkaskiego nasunęły mu się dwie kwestie: 1) Czy może zdjąć z księdza godność duchowną i w jaki sposób; 2) czy może zdjąć ją bezzwłocznie, tj. bez dopełnienia formalności prawnych. Co do pierwszej sprawy doszedł do wniosku, że zgodnie z uchwałami Soboru Trydenckiego pozbawienie godności duchownej może się dokonać na mocy wyroku wydanego nie przez samego biskupa ale w asystencji 6 kapłanów powołanych nie na obojętnych świadków, lecz na czynnych i decydujących o zbrodni i karze współsędziów. Samo nawet zastrzeżenie, aby w prawie biegłymi byli, jawnie dowodzi, że konsilium sędziami a nie świadkami ich ustanowiło, u świadka bowiem — jak wyjaśniał biskup — znajomość prawa nie jest potrzebna.

Co zaś dotyczy drugiej sprawy, to chociaż najgoręcej pragnie przyłożyć się do położenia tamy tym klęskom, które z powodu ks. Brzóska „lud pieczy mojej pasterskiej poruczony spotykają oraz do przywrócenia prawego porządku”, to jednak nie uważa się władnym sądzić jego sprawy i wyrokować inaczej jak zgodnie z porządkiem prawnym. Wydając wyrok zaocznie i bez pozwu popełniłby bezprawie, a uczynić tego mu się nie godzi tak ze względu na odpowiedzialność przed Bogiem jak i na konieczność utrzymania powagi urzędu swego względem podwładnych. Na obronę zaś przytacza, że sądy wojenne nie inaczej ferują wyroki, jak według wojennego kodeksu i nie wprzód aż sprawa winnego, ze świadków i z jego własnych zeznań lub innych dowodów wyjaśniona i przesądzona zostanie.

Zapewnia biskup, że jak tylko otrzyma opinie biskupów do których w w/w sprawie się zwrócił oraz uzyska pozwolenie ogłoszenia zapozwów edyktałnych, natychmiast z pozwolenia tego skorzysta i wyroku jaki z prawa wypadnie wydać nie omieszka.

Stwierdza też biskup, że zna swoje obowiązki względem monarchy, któremu wierność zaprzysiągł i oddaje pod osąd Czerkaskiego, czy jego jest winą, że „w obecnym czasie przepisy, środki i wymagania stanu wojennego często z prawem Kościoła są niezgodne”.

Odpowiedź jaką Szymański otrzymał od biskupów, do których się zwrócił o zdanie jest wielce interesująca, gdyż rzuca światło na ich poglądy na problemy dotyczące nie tylko sprawy Brzóski.

Wszyscy do których zwrócił się Szymański w swym piśmie z 5 marca poparli jego stanowisko wobec sprawy i władz. Ks. Kazimierz Sosnowski, administrator diecezji lubelskiej, zapewniał w swej odpowiedzi z 11 marca, że w pełni solidaryzuje się ze zdaniem biskupa Szymańskiego względem degradacji, bowiem jest ono „tak uzasadnione, tak gruntowne, że tylko nieświadomość lub przewrotność może ośmielić się do przeciwnego onemuż mniemaniu”. „A jak i w każdej sprawie cywilnej, tak tym bardziej w sprawie kryminalnej, i to najgłówniejszej, nie można z samej relacji choćby największą powagę mającej wyrokować, jak też co do ks. Brzóski nie podobno jest wyrzekać winy i kary na skutek prostego wezwania władzy administracyjnej; wszakże taki sąd byłby gorszy od sądu Piłata”.

Ks. Maciej Majerczak, biskup kielecki, w liście z 12 marca określił postępowanie biskupa Szymańskiego jako właściwe: „Jak na biskupa przystoi i jak prawa kościelne wymagają”. Ks. Józef Juszyński, biskup sandomierski, w piśmie z 15 marca powinszował Szymańskiemu przytomności umysłu i godnego zachowania: „Co Waszą Ekselencję dotknęło względem Brzóska to i nas może spotkać względem innych — z tą tylko różnicą, że u mnie wszystko uśmierzzone, że nikt się nie ważyła po lasach — ale czy to dosyć?”.

Ks. Wincenty Popiel, biskup płocki, uważał, że w żadnym przypadku nie można ferować wyroku bez prawem przepisanego sądu. Przystępując do wyroku trzeba by się oprzeć na dwóch punktach: na apostazji i homicidium, albowiem ani *rebelio* ani *crimen lesae Maiestatis* nie pociąga za sobą degradacji...

Co do cytacji — podkreślił — „sądzę, że *pro forma* można by ją zrobić po niektórych parafiach gdzie kapłan dłużej przebywał, a także w miejscu zamieszkania jego rodziny, i ogłosić, że się do wyroku przystępuje”. W jego przekonaniu trzeba nawet dowieść publicznie, że takie postępowanie kapłana odrzuca od Kościoła, że „obok zadość uczynienia niezbędnym warunkom

sprawiedliwości, *tak uporczywie winnego osłaniać już nie wypada*” (podkreślenie E. H.).

Popiel uważał, że warto by wyrok tak sformułować, ażeby móc w przypadku ujęcia winnego uniknąć degradacji realnej.

Ks. Paweł Rzewuski w odpowiedzi swej z Warszawy z dn. 13 marca podkreślał, że zgadza się z Szymańskim, że nie można degradować z pogwałceniem prawa kanonicznego, że biskup po dopełnieniu degradacji prawem jest zobowiązany prosić, aby winny nie był śmiercią karany, a że zdegradowaniem ks. Brzóska i ogłoszeniem tego z ambony biskup zachęciłby lud do pojmania go, przyczyniłby się do ukarania go śmiercią. Ubolewa biskup Rzewuski, że nie ma w kraju podobnej zgody między biskupami jak we Francji, że biskupi zapominają o wolności Kościoła. Widoczną jest rzeczą — pisze na końcu swego listu — „że Rząd chce z nami wszystko zrobić bez udziału Ojca Świętego i następnie oddzielić nas od niego, czyli zrobić Kościół narodowy, lecz my стоимy przy prawie cokolwiek by mogło nas spotkać...”.

W międzyczasie biskup Szymański przesłał do Cerkaskiego egzemplarz pozwu edyktalnego w sprawie wezwania ks. Brzóska do Sądu Duchownego; 15/27 marca Cerkaski odesłał mu z powrotem 180 egzemplarzy w formie drukowanej, prosząc o zawiadomienie go, kiedy pozwy będą w kościołach ogłoszone i w których, z kolei zaś zapytywał, jaki termin będzie oznaczony do stawienia się ks. Brzóska i ponaglał do jak najrychlejszego ukończenia sprawy oraz polecił przysłać mu decyzję względem degradacji Brzóska przed ogłoszeniem jej.

Bardzo się Cerkaskiemu spieszyło, a to z uwagi na naciski Berga i kół wojskowych, które mimo stale dokonywanych wypadów nie mogły Brzóska ująć.

W odpowiedzi na ten ostatni list Szymański powiadamiał Cerkaskiego, że chociaż sam czuje potrzebę spiesznego załatwienia sprawy, to jednak ze względu na niejednakową odległość kościołów od stacji pocztowych i na możliwość oznajmienia ludowi tego rodzaju ogłoszeń tylko w dniach niedzielnych i świątecznych nie może tego uczynić wcześniej niż 17 kwietnia tj. w drugi dzień Świąt Wielkanocnych, termin zaś zasądzenia sprawy na dzień 18 maja został oznaczony, ponieważ prawo zapozwu krótszego nad dni 30 licząc od daty ogłoszenia peremptoryjnego w kryminalnym procesie nie dopuszcza. Jak z tego widać biskup czynił wszystko co było w jego mocy aby odwlec dzień w którym miałyby się odbyć rozprawa. Prosił przy tym, aby nadesłano mu akt oskarżenia obejmujący szczegółowo opisane zdrożności

dokonane przez ks. Brzóske w czasie powstania i dostarczono na 18 maja na godzinę 10-tą rano najmniej 2 wiarygodnych świadków na każdy fakt, gotowych zeznania swoje stwierdzić pod przysięgą, wreszcie z powodu tego, że sam lęka się przystąpić do kompetentnego sądenia i zawyrokovania najwyższej kary kościelnej prosił, aby Czerkaski raczył wezwać pod jego prezydencją: biskupa Łubieńskiego z Sejn, ks. Kossowskiego, rektora Duchownej Rzymsko-Katolickiej Akademii Warszawskiej, biskupa sufragana Baranowskiego i ks. prałata Sosnowskiego, administratora z diecezji lubelskiej, oraz przeznaczyć im pieniądze na koszty podróży. On zaś prosić ich będzie listownie, „aby od przyniesienia nader ważnej dla mnie usługi uchylać się nie chcieli”.

Nim jednak doszło do sądu duchownego zaszły nowe istotne okoliczności. Na skutek denuncjacji niejakiego Leopolda Mikulskiego z Kałuszyna aresztowany został mieszkaniec tej miejscowości, niejaki S., przy którym znaleziono pisemny rozkaz na odebranie broni zdeponowanej przez powstańców u Mikulskiej. Odstawiony do naczelnika powiatu stanisławowskiego mjr. Kremera aresztant zeznał, że rozkaz ten otrzymał od Antoniny Konarzewskiej, kurierki ks. Brzóske. Ta ostatnia, uwięziona przez sztabskapitana Czygiryńa w Starym Dworze, nie mogąc znieść tortur wskazała, że ksiądz Brzóska mieszka we wsi Sypitki w domu sołtysa Bielińskiego ukryty za podwójną ścianą.

Po tylu wysiłkach wojska, tajnej policji i żandarmerii oblawa nareszcie dobiła do celu. Dnia 29 kwietnia naczelnik powiatu stanisławowskiego i żandarmeria udali się do wsi Sypitki, do domu sołtysa Bielińskiego. Przywitani zostali strzałami. Osaczeni w zagrodzie chłopskiej, Brzóska i Wilczyński do ostatniej chwili stawiali opór. Ranny w lewą rękę Brzóska próbował ratować się ucieczką, ale w końcu musiał się poddać. 17/29 kwietnia wojenny naczelnik powiatu siedleckiego kpt. Łagutyński przesłał z Siedlec raport do generał-policmajstra, że ks. Brzóska został schwytany.

Następnego dnia o pojmaniu Brzóske i Wilczyńskiego meldował generał-policmajstrowi sztabskapitan Mołczanow, dodając przy tym, że Brzóska i jedna kobieta zostali w czasie strzelaniny ranni i znajdują się obecnie w Sokołowie. Generał-policmajster w dn. 19 kwietnia powiadomił dyrektora rządowej komisji spraw wewnętrznych, że „ukrywający się przez czas długi powstańiec ks. Brzóska został zaaresztowany w guberni siedleckiej, dostawiony wczoraj do Warszawy do więzienia śledczego przy ul. Pawiej i z rozkazu Namiesznika Królestwa Polskiego będzie oddany pod doraźny skrócony sąd wojenno-polowy”.

O fakcie tym zameldował Berg carowi dn. 19. 4/1. 5, raportując m.in.:

„Les deux télégrammes ci-annexés en copie nous apprennent que le prêtre et chef de bande Bzosko (!) a été découvert et saisi. C'est un très important succès. Les paysants et le bas peuple, impressionnés par son caractère ecclésiastique ne le délivraient pas et contribuaient même à le cacher. On a commencé par découvrir et par saisir une femme qui, dit-on, était sa maîtresse, son affidée, son courrier, son intermédiaire le plus habile et le plus hardi avec d'autres conspirateurs. En l'intimidant, on est parvenu à découvrir les lieux où Bzosko (!) se cachait. Des petits détachements de 6 à 10 hommes ont fait de minutieuses recherches. Celles-ci ont abouti à la capture du prêtre brigand. Cette saisie est réellement importante d'autant plus que la frontière galicienne recommence à devenir incertaine”.

W kilka dni potem Berg meldował (25. 4/7. 5):

„Sous bonne escorte Brzosko (!) sera envoyé à Sedletz pour y subir une peine bien méritée. On fera venir les habitants de plusieurs villages, des individus qui le connaissent personnellement. Ils en seront les témoins. Le peuple saura que c'est bien lui et non pas un autre criminel substitué à sa personne”.

A 1/13 maja Berg pisał:

„Il faut espérer que ce sera le dernier de son espèce et que nous ne serons plus dans le cas de saisir des chefs de bande”.

Wyrokiem Audytoriatu Polowego Brzóska za udział w powstaniu skazany został na karę śmierci, a po zatwierdzeniu przez Berga (7/19 maja) wyrok został wykonany w dniu 11/23 maja na rynku w Sokołowie.

Jednakże sprawa na osi Czerkaski - biskup Szymański na tym się nie zakończyła. Jak olbrzymi musiał być autorytet Brzóski wśród ludu, że 10 lipcu Czerkaski do niej powróci. 2/14 lipca 1865, powołując się na poprzednią korespondencję w sprawie — jak to określił — przestępcy politycznego ks. Brzóska i powiadając oficjalnie biskupa o wyroku i skazaniu go, Czerkaski nawiązuje do przepisów prawa kanonicznego i daje biskupowi dłuższy wywód o tym, że zasady tego prawa zabraniają udzielania święceń kapłańskich osobom winnym popełniania dobrowolnego zabójstwa i tym, którzy brali udział w wojnie połączonej z roz-

bojem. A jako że takie właśnie przestępstwa zostały przez Brzós-
kę popełnione, co wynika z odezwy Audytoriatu Polowego, Czer-
kaski domaga się od biskupa, aby oznajmił o tym parafianom
diecezji w specjalnej odezwie.

„Dlatego sądzę, — pisał Czerkaski — że JWPan uznasz za pożyteczne
oznajmić przez okólną od siebie odezwę duchowieństwu i parafianom die-
cezji, pod zarządem jego zostającej, o wszystkich przestępstwach Brzós-
ki i o karze, jaka go spotkała z ręki sprawiedliwości, z przedstawieniem całej
ujemnej strony takowych przestępstw, potępionych przez prawo cywilne
i kościelne i z wystawieniem godnych ubolewania skutków, wynikających
dla społeczności i dla duchowieństwa z porzucenia przez osoby duchowne
drogi ich wiernopoddanych i pasterskich moralnych obowiązków, a tem
bardziej jeszcze z pociągnięcia przez nie bliźnich w przepaść zdrady i
zbrodni”.

5 sierpnia biskup przesłał do Warszawy projekt okólnika do
duchowieństwa i ludu a dotyczącego ks. Brzós-ki; opóźnienie w
sporządzeniu okólnika motywował swoją nieobecnością w Jano-
wie do 30 lipca i kilkudniową słabością. Tekst składał się
z dwóch części. Pierwsza przytacza przysłany biskupowi z War-
szawy tekst wyroku Audytoriatu Polowego, druga zawiera pou-
czenia Św. Pawła i Ewangelii na temat miłości chrześcijańskiej
i powinności wobec zwierchności, przestro-
gę dla innych wyni-
kającą z kary jaka spadła na ks. Brzós-
kę oraz nawoływanie, aby
wierni „nie dali się uwieść duchowi bezbożnych rewolucji nurtu-
jących wnętrza społeczeństw chrześcijańskich”. Nietrudno znaleźć
w całej tonacji elementy zapożyczone z listu Czerkaskiego
z 2/14 lipca.

Komisja Rządowa w piśmie podpisanym przez dyr. wydziału
radcę stanu Krzyżanowskiego nazwała tekst nadesłany przez bis-
kupa odpowiednim i zaleciła 200 egzemplarzy opatrzonych w
podpis biskupa i pieczęć rozesłać do wszystkich proboszczów
diecezji, polecając ogłoszenie ich z ambon w jak najkrótszym
czasie. Dyrektor Czerkaski o fakcie wydania listu pasterskiego
powiadomił naczelnika wojennego w Łukowie. Ciekawe, że w
oryginalie pisma z 22 sierpnia (s.s.) zaszła niewielka, ale istotna
zmiana w stosunku do brulionu, a mianowicie pominięto fakt,
że list biskupi został wydany na żądanie Czerkaskiego.

Epilog sprawy jest znany. Władze carskie zdawały sobie
sprawę z tego, że zarówno list homogialny biskupa Szymańskiego
z 1863 roku jak i list pasterski w sprawie ks. Brzós-ki wydany
był pod presją władz i wbrew woli biskupa. Stosunek władz
do biskupa był nadal nieufny i niechętny. Dały temu wyraz
w swej decyzji o przymusowej likwidacji diecezji podlaskiej.

Biskup przeniósł się do klasztoru Kapucynów w Janowie, życie swe zakończył w 1868 roku w Łomży.



Nie pretendując do wyczerpania tematu pragnę na zakończenie zwrócić uwagę na następującą kwestię. Na przykładzie sprawy ks. Brzóska widać, że hierarchia kościelna w dobie powstania 1863 roku pozostawała nie tyle pod wpływem polityki Watykanu, jak dotąd sądzono, co pod wpływem wydarzeń w kraju. Mam tu na myśli krajową opinię publiczną, ruch narodowo-wyzwoleńczy, nacisk ze strony Rosji i aparatu carskiego. Hierarchia nie reprezentowała w dobie powstania polityki własnej, a ulegała krzyżującym się wpływom opinii publicznej. Zmienność sytuacji politycznej wpływała na postawę Kościoła. Sprawy wokół których toczył się bój były bardzo skomplikowane i niejednoznaczne. Nawet zdecydowanie niechętnie do powstania nastawieni księża nie mogli patrzeć obojętnie na prześladowania wiernych współbraci. A coś dopiero gdy chodziło o duchownego zaangażowanego w walkę.

Stosunek Kościoła do powstania, ujmowany dotąd w literaturze w sposób albo jednostronnie apologetyczny, albo potępiający, czeka na sumiennego historyka. Jak próbowałem wykazać na przykładzie sprawy ks. Brzóska, ten delikatny, skomplikowany problem wymaga starannych badań, wnikliwej i wolnej od pochopności analizy źródeł, zwłaszcza przy wysuwaniu wniosków uogólniających. Istotne są nie tylko listy i odezwy, ale i towarzyszące im okoliczności. Czasem, jak przy temacie który podjąłem, ważniejsze są okoliczności.

Emanuel HALICZ



Przy opracowaniu niniejszego artykułu prócz literatury drukowanej wykorzystałem następujące zespoły archiwalne:

- 1) Archiwum Główne Akt Dawnych, Warszawa:
 - *Zarząd Generał-Policmajstra*, vol. 6262, 6268, 6269.
 - *Naczelnik Wojenny Oddziału Siedleckiego za lata 1863-65.*
 - *Naczelnik Wojenny Oddziału Łukowskiego za lata 1863-65.*
- 2) Wojewódzkie Archiwum Państwowe, Lublin:
 - *Akta Rządu Gubernialnego Lubelskiego za lata 1863-65.*
 - *Naczelnik Wojenny powiatu Łukowskiego za lata 1863-65.*
 - *Naczelnik Wojenny powiatu Łomżyńskiego za lata 1863-65.*

- 3) Biblioteka im. Łopacińskich, Lublin:
— *Rkps* 1896.
- 4) Archiwum Kurii Biskupiej w Siedlcach:
— *Akta Osobiste X-a Stanisława Brzóskei*, vol. I.N.R. 25 L.B.
- 5) Centralne Państwowe Archiwum Historyczne, Moskwa:
— *F. 728. Doniesienija Namiestnika F. Berga Imperatoru Aleksandru II za gody 1863-1865.*
- 6) Centralne Państwowe Wojenno-Historyczne Archiwum, Moskwa:
— *F. 547, op. N. 1. Jed. chranienia N. 264.*

NOTA BIOGRAFICZNA

Prof. dr Emanuel HALICZ ur. 19.9.1921 we Lwowie. Studiował na Uniwersytecie we Lwowie, następnie w Krakowie. Stopień mgr. w zakresie historii uzyskał w 1947 r., dr filozofii w 1950 r. Habilitował się w 1954 r. Od 1951 r. pracował w Instytucie Nauk Społecznych w Warszawie, na Uniwersytecie Warszawskim, w Wojskowej Akademii Politycznej, a w latach 1956-1970 był członkiem Komisji naukowej polskiej i sowieckiej Akademii Nauk, powołanej do wydania źródeł do okresu powstania styczniowego. W 1971 r. opuścił kraj i od tego czasu pracuje w Danii na Uniwersytecie w Odense. Główne zainteresowania naukowe E. Halicza skupiają się wokół historii Polski i powszechnej XIX wieku. Najważniejsze publikacje: *Kwestia chłopska w Królestwie Polskim w dobie Powstania Styczniowego* (1955), *Proces Romualda Traugutta i członków Rządu Narodowego*, t. I-IV (1960-1961), *Geneza Księstwa Warszawskiego* (1961), *Partisan Warfare in 19th Century Poland* (1975), *Danish Neutrality during the Crimean War (1853-1856)* (1977).

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

TEATR AK W SOWIETACH

Sprawa rozbrajania, aresztowania i deportacji żołnierzy Armii Krajowej do Rosji Sowieckiej ma obszerną i na ogół dobrze udokumentowaną literaturę. Wszyscy autorzy, od oficjalnej publikacji *Polskie Siły Zbrojne*¹ aż po nieoficjalny *Zarys historii PRL* pióra Natalii Naruszewicz², zgodnie kończą opis dramatycznych dni lipca 1944 roku stwierdzeniem, że „oddziały AK rozbrojono i wywieziono do łagrów”. Mało natomiast, poza wspomnieniami rozrzuconymi w drobnych wydawnictwach periodycznych i okolicznościowych, znaleźć można wiadomości o dalszych losach tysięcy żołnierzy AK z Wileńszczyzny, Lwowa i Lubelszczyzny, którzy w deportacyjnych transportach trafili do sowieckich obozów i spędzili tam co najmniej trzy lata, aż do nieoficjalnej „repatriacji” w jesieni 1947 roku, przeprowadzonej po wymianie listów między J. Cyrankiewiczem a A. Wyszyńskim w sprawie powrotu do kraju „internowanych Polaków”³. Prawdopodobnie nikt się nigdy nie dowie, ilu z nich pozostało „na gościnnej ziemi sowieckiej” na następne lat dziesięć, jeśli nie na zawsze.

1. *Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej*. Tom III — Armia Krajowa (Londyn, 1950), str. 614-628.

2. Natalia Naruszewicz, *Zarys historii PRL*, zeszyt II (Warszawa, 1979, maszynopis powielany).

3. *Dokumenty i materiały do stosunków polsko-radzieckich*, tom IX (styczeń 1946 - grudzień 1947) (Warszawa, 1974). Zob. list J. Cyrankiewicza do A. Wyszyńskiego, m.in. w sprawie „Polaków internowanych przy oczyszczaniu tyłów w okresie wojny” (str. 191) i odpowiedź Wyszyńskiego z 11 marca 1947, wyrażającą zgodę na powrót Polaków (str. 193). Warto zauważyć, że ta oficjalna korespondencja między premierem rządu PRL a rosyjskim ministrem, wydana przez polskie wydawnictwo, ogłoszona jest w języku rosyjskim.

Szkic niniejszy ma na celu ukazanie nieznanego fragmentu życia w sowieckich obozach, fragmentu świadczącego o sile i żywotności pewnych tradycji kulturalnych, przewyższających najbardziej nawet niesprzyjające warunki, na przykładzie obozowego teatru „Nasza Buda”, zorganizowanego w jenieckim obozie żołnierzy AK pod Riazaniem w latach 1944-47. Historia tego teatru, na pozór marginalna wobec ogromu tragedii deportacji, nabiera szczególnego znaczenia, jeśli po pierwsze zważy się fakt, że obóz riazański był obozem centralnym AK, po drugie zaś zrozumie się rolę teatru jako jedynej otwartej formy demonstrowania i podtrzymywania nieugiętej postawy uwięzionych wobec ustawicznych nacisków władz sowieckich. Dopiero w tym świetle drobny zdawałoby się epizod nabiera zgola wyjątkowego znaczenia.

Historię obozowego teatru zacząć należy od przypomnienia pewnych faktów i dat. W miarę wkraczania wojsk sowieckich na ziemie polskie powtarzać się zaczął pewien wzorzec, który z czasem ujawnił istnienie z góry przygotowanego systemu: początkowa współpraca i wykorzystywanie zdolności bojowych oddziałów AK, podstępne aresztowanie dowództwa tych oddziałów, rozbrajanie, aresztowanie i deportacja oficerów i żołnierzy. Nastąpiło to w Wilnie (16. VII. 1944), Lwowie (30. VII. 1944), Lublinie (23. VIII. 1944) i wielu mniejszych miejscowościach między Bugiem a Wisłą. Żołnierze AK, którzy bądź to siłą wcieleni zostali do oddziałów Berlinga, jak np. zgrupowanie „Gardy” 27 WDP, które 28 V przeszło Prypeć⁴, czy następnie do II Armii Ludowego Wojska Polskiego, bądź też ci, którzy w szeregach LWP szukali schronienia przed aresztowaniem, nie na długo mieli uniknąć losu swoich kolegów. 6 listopada 1944 r. zapełniać się zaczął obóz w Skrobowie koło Lubartowa, gdzie zgromadzono przeszło 600 akowców wyłuskanych z obu armii. Wielu z nich miało spotkać się potem ze swymi kolegami właśnie w Riazaniu.

Sowiecki system był na przyjęcie Polaków dokładnie i z góry przygotowany. Licząca ok. 200 osób pierwsza grupa lubelska, deportowana 23 sierpnia 1944 roku, znalazła się w Obozie Specjalnym Nr 178 w Riazaniu już 27 sierpnia; w dwa tygodnie później, 11 września, dołączono do niej 154 oficerów i żołnierzy tzw. „kompanii wileńskiej”, aresztowanych 3 sierpnia i po kilku-

4. Zob. Tadeusz Sztumberk-Rychter, *Artylerzysta piechur* (Warszawa, 1966) i Grzegorz Fedorowski, *Lesne ognie* (Warszawa, 1965). Żaden z autorów nie wspomina o dalszych losach żołnierzy 27 WDP, jakkolwiek obaj znaleźli się w riazańskim obozie.

tygodniowym pobycie w więzieniu na Łukiszkach w Wilnie wywiezionych 1 września⁵. 12 października przywieziono grupę Brześć-Lwów, aresztowaną 30 września i osadzoną we lwowskim więzieniu przy ul. Łąckiego. W styczniu 1946 r. przywieziono grupę z więzień w Kijowie i Charkowie, a w kwietniu 1946 r., w rok po przeniesieniu obozu z Riazania do położonego o 10 km na północo-wschód od miasta obozu w Diagilewie, część grupy deportowanej 22 kwietnia 1945 ze Skrobowa i następnie więzionej w Stalinogorsku. Ogółem obóz w Diagilewie, nazywany tu dla uproszczenia obozem riazańskim, liczył ok. 2.600 jeńców, z których co najmniej jedną trzecią stanowili oficerowie, resztę podchorążowie, podoficerowie i szeregowi AK jak również niewielka ilość osób cywilnych, związanych najczęściej z konspiracją. Znaleźli się tam prawie wszyscy wybitni dowódcy z terenów położonych na wschód od Wisły, m.in. generałowie K. Tumidajski („Marcin”), L. Bittner („Halka”), A. Świtalski („Dąbrowa”), W. Filipkowski („Janka”).⁶ Późną jesienią 1946 r. przywieziono wprost z Łubianki gen. A. Krzyżanowskiego („Wilk”). Wśród uwięzionych było całe niemal kierownictwo Delegatury Rządu na Okręg Lubelski, z delegatem W. Cholewą na czele. Od pierwszego bodajże z aresztowanych przez Rosjan w okresie po-katyńskim oficera AK W. Pełki⁷ poprzez ok. 10 % wszystkich zrzuconych do kraju „cichociemnych” aż po kilkunastoletnich żołnierzy konspiracji a nawet kilkanaście kobiet, obóz riazański zgromadził możliwie pełną reprezentację AK, a tym samym stał się niejako miniaturowym przekrojem społeczeństwa w kraju. Nic też dziw-

5. Z. Szyłejko, „Meldunek z Kresów”, *Biuletyn Informacyjny Koła AK*, Londyn, XXVIII, Nr 49 (Sierpień, 1972), str. 2-10.

6. Wezwania wszystkich tych generałów jako świadków obrony zażądał gen. L. Okulicki na procesie szesnastu przywódców Polski Podziemnej w Moskwie. W dniu 19. VI. 1945 sąd postanowił „odmówić wezwania pozostałych świadków, ponieważ Tumidajski i Świtalski nie zostali wykryci (!) na terytorium Związku Sowieckiego, Filipkowski zaś został wysłany etapem do oddalonego obozu i znajduje się w drodze”. W dniu następnym sąd oświadczył, iż Kulczycki, Kotowicz i Bittner „wskutek warunków meteorologicznych... nie mogą być przywiezieni na samolocie ani dziś ani jutro”. Zob. *Sprawozdanie sądowe w sprawie organizatorów, kierowników i uczestników polskiego Podziemia na zapleczu Armii Czerwonej na terytorium Polski, Litwy oraz obwodów zachodnich Białorusi i Ukrainy, rozpatrzonej przez Kolegium Wojskowe Sądu Najwyższego ZSSR 18-21 czerwca 1945 roku w Moskwie* (Moskwa, 1945), str. 234. Warto dodać, że odległość z Riazania do Moskwy wynosi ok. 200 km i nawet w powojennych warunkach chaosu komunikacyjnego podróż pociągiem nie trwała dłużej niż 5-6 godzin.

7. „Góra” (Adolf Pilch), „Oddzielili pięciu”, *Drogi cichociemnych* (Londyn, 1972), str. 130-134.

nego, że nie zabrakło tam niewielkiej, ok. 50-osobowej grupy „demokratów”, idących na jawną współpracę z władzami NKWD i całkowicie bojkotowanych przez obozową społeczność. Konflikt między tą małą grupą a ideologicznie zwartą większością wypłynął w całej ostrości właśnie w związku z powstaniem i działalnością obozowego teatru.

W przeciwieństwie do innych obozów sowieckich, do których wywożono deportowanych żołnierzy AK, „*Spiec-lagier 178*” od początku zorganizowany został na prawach obozów jenieckich, tzn. internowani — tak bowiem władze sowieckie oficjalnie nazywały deportowanych oficerów i żołnierzy — nie podlegali surowym nakazom pracy obowiązującym gdzie indziej. W okresie późniejszym sytuacja ta uległa pewnej zmianie, gdy podoficerów i żołnierzy wyprowadzać poczęto na roboty do pobliskich kołchozów i przedsiębiorstw, co z kolei umożliwiło uwięzionym nawiązanie nielegalnej korespondencji z krajem, przez całe bowiem trzy lata niewoli obóz pozbawiony był całkowicie łączności pocztowej ze światem zewnętrznym i jeńcy uważani byli w wielu wypadkach za zaginionych czy przepadłych. Prawa jenieckie, respektowane w różnym stopniu przez zmieniające się często władze obozowe, pozwoliły na powstanie pewnych luzów psychicznych i dyscyplinarnych. I podczas gdy np. w obozach jeńców niemieckich działalność kulturalna ograniczała się do oficjalnie akceptowanych „czerwonych kącików”, a wśród uwięzionych Rosjan do mniej lub więcej propagandowej „działalności artystycznej”, Polakom pozostawiono w tej dziedzinie na ogół wolną rękę, oczywiście pod warunkiem uprzedniego ocenzenia tekstów i prób generalnych.

Trzeciego września 1944 roku, w niecałe dwa tygodnie po osadzeniu w Riazaniu, zorganizowano pierwsze, bardzo jeszcze amatorskie występy, które z czasem stać się miały początkiem „prawdziwego” teatru nazwanego „*Naszą Budą*”. Z inicjatywy E. Downarowicza⁸ urządzono mianowicie składankę-rewię, przygotowaną w ciągu kilku godzin, w najprymitywniejszych warunkach, bez najbardziej podstawowych pomocy jak papier czy ołówki. W programie znalazł się m.in. wiersz B. Ałapina „Do Ciebie, Warszawo” — wiersz deklamowany w dniach ciągle jeszcze trwającej w stolicy walki. I tylko w ten sposób żołnierz 27 WDP, aresztowany w marszu na odsiecz walczącej Warszawie,

8. W opracowaniu niniejszym pominięto stopnie wojskowe oficerów i podoficerów.

zamanifestować mógł swą jedność z tymi, od których odgrodził go kolczasty drut obozowej zony⁹.

Po przybyciu do obozu kompanii wileńskiej zespół artystyczny zwiększył się nie tylko ilościowo. Powstały dwa chóry, improwizowana orkiestra złożona z bałabajki, mandoliny i gitary, znalazły się talenty aktorskie. Toteż już 17 września 1944 wystąpiono z rewią „Kwarantanna”, której przebojem był skecz pióra Mickunasa: wychudzony mieszkaniec obozu wyciąga wędka z miski kartofel, śpiewając przy tym „*Wołga, Wołga mat’ rod-naja...*”. Oburzeni oficerowie sowieccy opuścili salę i działalność teatralna została na jakiś czas przerwana.

Dopiero w październiku, po przyjeździe grupy brzesko-lwowskiej, niestrudzony Downarowicz uzyskuje zezwolenie na urządzenie następnej rewii, „Dla gości” (15. X. 1944). W repertuarze m.in. słynny wiersz A. Nowickiego „*Kriegsgefangenenpost*”, szeroko znany w kraju podczas okupacji otwarcie implikujący podobieństwo między niemiecką a sowiecką niewolą, „Nostalgia” Ałapina, występy chóru, groteska taneczna, kozak — wszystko co dało się wystawić w warunkach pełnej improwizacji. Ale wczesna jesień i nadchodząca zima nie sprzyjały atmosferze rozrywki, toteż ledwie na Boże Narodzenie udało się zorganizować występ chóru J. Chmury w repertuarze kolęd. Nieco później, po Nowym Roku, prof. Czuma z kompanii wileńskiej zaimprovizował „Wieczór karnawałowy w myśliwskim zameczku kapitana Makowskiego”, wprowadzając sporo nowych talentów, m.in. solistki z grupy lwowskiej i młodego muzyka R. Damrosza, późniejszego dyrygenta orkiestry Polskiego Radia w Warszawie. Wieczór ten jak gdyby antycypował jego przyszłą karierę, odbył się bowiem przy sporządzonym ze starych puszek mikrofonie, który imitować miał transmisję programu do kraju, nadając występom symboliczny charakter stałej łączności z Polską.

Po marcowej głodówce, pierwszej w historii obozu i jednej z nielicznych w dziejach całego Gułagu, przeniesiono jeńców do Diagilewa, pomieszczając ich w obszernych barakach rozłożonych wśród otwartych pól nad Oką, przy czym, rzecz charakterystyczna, nieoficjalny hymn armii Berlinga „Oka” nigdy nie był w obozie śpiewany. I jakkolwiek warunki do pracy teatru polepszyły się dzięki obszernej stołówce, która, zamieniana na salę widowiskową, mogła pomieścić 300 widzów, narastać zaczęły

9. Dowodzący 27 Dywizją w przełomowych dniach lipca 1944 roku T. Sztumberk-Rychter napisał później otwarcie: „Nikt z nas, dowódców, nie mógł i nie chciał wziąć odpowiedzialności za ewentualne rozpętanie konfliktu. Historia nas za to osądzi” (*op. cit.*, str. 297).

trudności innego, poważniejszego rodzaju. Aktywizacja grupy „demokratów” zbiegła się z utworzeniem przez Rosjan tzw. „polskiej komendantury”, mającej stać się organem kontroli życia jeńców i infiltracji sowieckiego kontrywywiadu. Obie grupy, jedna motywowana rzekomo ideologicznie, druga zaś równie pozornie dbająca o interesy uwięzionych, miały wspólny cel, złamanie jednolitej patriotycznej postawy obozowej społeczności. Żołnierze bowiem dobrowolnie zachowywali surową dyscyplinę, słuchali jedynie swoich dowódców z AK, oddawali im honory wojskowe i na każdym kroku okazywali należny szacunek. Zdając sobie sprawę z roli obozowego teatru w utrzymywaniu ducha narodowego, Rosjanie nie zaniedbali i tego ważnego odcinka infiltracji, wyznaczając przedstawicieli grupy „demokratów” na kierownictwo nowostworzonego „Klubu”. Jedyną drogą utrzymania niezależnego teatru okazał się kompromis. Zespół teatru zgodził się wziąć udział w akademii 1 maja pod warunkiem, że uzyska zezwolenie na urządzenie akademii 3 maja... I podczas gdy pierwsza wypadła bezbarwnie i sztywno, rocznica Konstytucji przerodziła się w jeszcze jedną manifestację polskości. A gdy w tydzień później nadeszła wiadomość o zakończeniu działań wojennych, zespół teatru dał z siebie wszystko, by w specjalnej akademii 9 maja 1945 roku wyrazić nadzieję na rychły powrót do kraju.

Ten przypływ wiary w rychły koniec zesłania widać wyraźnie we wzmożonej działalności teatru: rewia 20 maja wystawiona jest już w kostiumach i z akcesoriami tworzonymi dosłownie „z niczego”, wprowadza liczne skecze, piosenki, tańce i recytacje. Powstałe równocześnie obozowe pisemko „Krokodyl znad Oki” wita ją bardzo pozytywnymi, choć nie pozbawionymi satyrycznego tonu uwagami. Pod koniec czerwca „Rewia morska” przynosi repertuar jeszcze obfitszy, lansując coraz to nowe talenty pisarskie, aktorskie, wokalne i scenograficzne. Lipcowy „Bigos à la minute” urządzony zostaje na świeżym powietrzu, co pozwala na poszerzenie ciągle za małej widowni.

Ale wraz z upływem miesięcy blednie nadzieja na szybki powrót, wzmagają się konflikty wewnątrz obozu. Wyływają one szczególnie ostro przy omawianiu następnej rewii, „Warszawa”, wystawionej 13 i 23 lipca 1945 roku w dwu wersjach — pierwszej, narzuconej przez „demokratów”, i drugiej, zaakceptowanej przez cały zespół teatralny. Próba narzucenia ścisłej kontroli amatorskiej twórczości kończy się i tym razem kompromisowym podziałem na oficjalny „Klub” i niezależny teatr, odpowiadający bezpośrednio przed sowieckim politrukiem z pominięciem „demokratów” i „polskiej komendantury”, obsadzonej *nota bene*

przez grono karierowiczów. Teatr przyjmuje wymowną nazwę „Nasza Buda”. Jego kierownikiem zostaje Wędziński, stroną literacką zajmuje się L. Terlecka, reżyseruje T. Borówka-Kalweit.

Pierwszą ambitną produkcją nowego teatru staje się rewia „Z biegiem Wisły”, nostalgiczna wędrówka przez Polskę prowadzona przez Szczepcia i Tońcia. Od wnętrza Tatr, poprzez Kraków, Sandomierz, Kazimierz i Warszawę, aż do Gdańska przez Płock i Toruń podróżują zasłuchani widzowie po ojczyściej ziemi, ożywającej przed nimi na riazzańskiej scenie dzięki entuzjazmowi i talentowi grupki ludzi, którzy nie chcieli się poddać.

Działalność „Naszej Budy” uzupełniają koncerty dużego chóru, czasem pod gołym niebem, na tle komina obozowej piekarni, w miejscu gdzie co niedziela księża-jeńcy odprawiają uroczyste celebrowane msze polowe, przyciągające pod druty obozu riazzańskich kołchoźników, czasem na zaimprowizowanej w stołówce scenie, obie jednak inicjatywy stają się zbyt popularne by nie wzbudzić przeciwdziałania „Klubu”. Wystawiona jednak przez „demokratyczny” zespół sztuka „z wydźwiękiem ideologicznym” pt. „Szttygar Mączka” okazuje się zupełnym fiaskiem. I mimo że władze sowieckie zarządziły zbiórkę żołnierzy i odkomenderowały po dwudziestu ludzi z każdego batalionu, już po pierwszym akcie widownia opustoszała.

Dyrekcja „Naszej Budy” świadomie unikała zaostrzania konfliktu, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa natychmiastowego zakazu działalności teatru. Ambicją jej było utrzymanie programów, toteż późniejszy dyrektor zespołu, J. Kozakiewicz, mógł napisać później o ostentacyjnie apolitycznym charakterze pracy swojej grupy: „My traktowaliśmy ‘Naszą Budę’ tylko jako rozrywkę dla żołnierzy, którzy pracują. Należał im się kulturalny odpoczynek od czasu do czasu. Uważaliśmy, że to co pokazujemy ma bawić i podtrzymywać na duchu. Ideologię każdy sam sobie wybierze, na tych sprawach się nie znamy”. W warunkach sowieckiego obozu stwierdzenie to było zupełnie jednoznaczne — więcej powiedzieć nie było można.

Z radością powitał obóz następną rewie, „Na deskach znowu Buda gra”, prawdziwym jednak sukcesem okazała się długo przygotowywana adaptacja operetki „Rose-Marie” wystawiona jesienią 1945 roku. Kolorowa, pełna ruchu, tańca i piosenek operetka, przystosowana zarówno do możliwości aktorskich jak i scenograficznych, stała się prawdziwym wydarzeniem kulturalnym. „Nasza Buda”, została oficjalną instytucją, do tego nawet stopnia, że do jej programów i koncertów starali się włączać nie tylko tzw. repatrianci, grupka Rosjan, którzy dobrowolnie wrócili z Zachodu

i trafili oczywiście do obozu, ale nawet oficerowie NKWD, którzy poza programem jesiennego koncertu odtńczyli na scenie kozaka!

Boże Narodzenie 1945 roku przyniosło duży program składowany, raz jeszcze wciągając do pracy nowych autorów tekstów (m.in. dr. A. Paczkowskiego¹⁰), aktorów (m.in. J. Ciecierskiego), rewelersów i tancerzy. Charakterystyczną dla ogólnej sytuacji opinię krytyczną programu wyraziło tylko obozowe piśmko *Robotnik*, pisząc: „Jedyną rzecz, którą można by wytknąć 'Naszej Budzie' to, że w czasach kiedy prądy demokratyczne ogarniają cały świat, wszystkie warstwy społeczne, znalazł się w programie 'Naszej Budy' numer całkiem nie demokratyczny. Mam tu na myśli rewelersów murzyńskich. Zamiast nam pokazać Murzynów jako ludzi pełnowartościowych, walczących o nowe, lepsze jutro, widzimy ich jako niewolników białego pana, podleających jego kaprysom. Znamy wszyscy fakty świadczące o walkach Murzynów o zniesienie niewolnictwa, a jednak tu na scenie zobaczyliśmy ich jako niewolników, co należy wytknąć w programie, którego 'Nasza Buda' więcej nie powtórzy”. *Sapienti sat.*

Na koniec roku 1945 zorganizowano dwa koncerty i sylwestrową rewię, przy czym coraz mocniej próbowano eksponować akcenty ogólnostowiańskie, m.in. wskutek protegowania przez „Klub” wokalnych talentów rosyjskich „repatriantów”. Ale już 13 stycznia 1946 roku, na powitanie grup z Kijowa, Charkowa i Lwowa, „Nasza Buda” wystawia składankę starych programów, zatytułowaną „Dla gości”.

Wśród nowoprzybytych znalazło się sporo nowych talentów, toteż już 6 lutego 1946 roku „Nasza Buda” wystawia kolejną rewię z ich czynnym udziałem. Dopiero jednak rewia następna, „Szukamy artystów”, wyreżyserowana przez zawodowego reżysera Jana Orszę¹¹, przyniosła zupełnie nowe tematy, efekty teatralne i osiągnięcia techniczne. Wprowadziła ona na scenę świat bajek i legend, dając widzom pełne oderwanie od ponurej rzeczywistości obozowej. Zmiana tematyki nie oznaczała jednakże osła-

10. Dr Alfred Paczkowski „Wania” był jednym z pierwszych cichociemnych zrzuconych do kraju (27 grudnia 1941), brał czynny udział w operacjach „Wachlarza”, m.in. był więziony w Pińsku, skąd odbito go w akcji grupy „Ponurego”. Zob. Józef Garliński, *Politycy i żołnierze* (Londyn, 1971), str. 105-121; Cezary Chlebowski, *Zagłada IV Odcinka* (Warszawa, 1968).

11. Jan Orsza-Łukasiewicz był podczas okupacji w Lublinie kierownikiem kawiarni „U aktorów”. Posądzony o współpracę z Niemcami przyjęty był w obozie nieufnie, jednak wyjaśnienie gen. Tumidajskiego oczyściło go z wszelkich podejrzeń. Poobozowe kłopoty Orszy z władzami PRL opisał Konrad Bielski, *Tajemnica kawiarni „U aktorów”* (Lublin, 1970), str. 5-49.

bienia „czujności ideologicznej” cenzury, która nakazała aby zabijany przez Janosika smok ciągnięty był w odwrotnym kierunku, gdyż przesuwanie go ze wschodu na zachód mogło być interpretowane jako symbol „sowieckiego sojuza” pobitego przez dzielnego Polaka...

W kwietniu 1946 roku teatr wystawił drugą w swej historii operetkę, „Rodrigo”, napisaną przez obozowego poetę W. Lisowskiego. Ta trzyaktowa adaptacja „Fra Diavolo” w reżyserii Orszy i z dekoracjami S. Biernackiego została opracowana muzycznie przez Damrosza. Znakomite dekoracje i kostiumy, dramatyczna gra aktorów i dużo humoru stworzyły spektakl przewyższający wszystkie poprzednie, czyniąc „Naszą Budę” teatrem niemal zawodowym. I jak w każdym zawodowym teatrze ustalać się tu poczęły pewne własne tradycje. Jedną z nich było ostatnie po tygodniu sukcesów przedstawienie, podczas którego aktorzy stwarzali niespodziane dla partnerów sytuacje, wymagające natychmiastowej orientacji i ciętej repliki. Te ostatnie nie były oczywiście uprzednio cenzurowane, co wywołało ostre protesty polityków, pilnie śledzących każde przedstawienie.

Pierwszego maja 1946 roku odbył się koncert dużego chóru pod dyрекcją Turowicza, a w trzy dni później wystawiono rewię złożoną ze starych programów, rozpoczynając ją hymnem narodowym i pieśnią „Witaj majowa jutrzeńko”, po czym następowały skecze, deklamacje i występy rewelersów męskich i — po raz pierwszy — damskich, w obozie było bowiem sporo kobiet, m.in. Nina Orszyna, aktorka ze szkoły Osterwy. Jej deklamacja „Koncertu Jankiela” wywołała prawdziwy entuzjazm.

Dziewiątego maja powtórzono składankę starych programów, a 23 maja „Nasza Buda” wystąpiła z nową rewią „Wiosna”, w miesiąc później dając premierę programu „O ziew, ziew”, który według solennych zapewnień Rosjan miał być ostatnim przed powrotem do kraju. Napięcie bowiem w obozie rosło coraz bardziej, zważywszy, że od zakończenia wojny upłynął już przeszło rok. Jeńcy coraz głośniejsze domagali się powrotu do Polski, Rosjanie zaś zwodzili albo powoływali się na Moskwę, albo też uciekali się do zgola oszukańczych chwytów. M.in. komendant obozu zapewnił swym oficerskim słowem honoru, że pod koniec czerwca wszyscy zostaną repatriowani, gdy jednak termin ten minął bez żadnej zmiany położenia, komendanta odwołano, jego zaś zastępca oświadczył, że przecież on nikomu żadnego słowa nie dawał.

W warunkach rosnącej frustracji dyrektor „Naszej Budy” po dał się do dymisji, ogólne jednak zebranie członków zespołu

postanowiło kontynuować pracę. Nowym dyrektorem wybrano J. Kozakiewicza i pod jego kierownictwem już z początkiem lipca 1946 roku przystąpiono do montowania nowych programów. Nie było jednak łatwo uzyskać na nie pozwolenia władz rosyjskich, którym najwidoczniej zależało na likwidacji teatru, stanowiącego niejako symbol jedności i ducha uwięzionych. Zakazano nawet występów chóru, proponując w zamian występ orkiestry Niemców z sąsiedniego obozu. Propozycja ta spotkała się z bardzo ostrym protestem ze strony polskiej. I dopiero pod koniec października nowy polityk zezwolił na wznowienie pracy teatru, chóru i orkiestry. 31. X i 3. XI. 1946 odbywają się dwa koncerty, a gdy „Klub” postanawia zorganizować obchód rocznicy rewolucji październikowej, „Nasza Buda” korzysta z zaproszenia do udziału i 11 listopada występuje z krótkim koncertem, tym samym wznowiając swą działalność.

W okresie bezczynności na scenie rozwinęło się Kółko Poetyckie (B. Ałapin, J. R. Krzyżanowski, W. Lisowski, J. Litwiniuk¹², T. Sztumberk-Rychter i in.), ściśle związane z „Naszą Budą”, zwłaszcza w dostarczaniu tekstów. Po przyjeździe gen. „Wilka” urządzono dla niego wieczór poetycki, na którym autorzy czytali swoje utwory. W tym samym okresie obozowa orkiestra wzbogaciła się o szereg cennych instrumentów, bądź to przyniesionych przez wychodzących do pracy żołnierzy, bądź też kupionych za odebrane przy aresztowaniu pieniądze, przechowywane w depozycie komendy obozu. W pełnym składzie orkiestra wystąpiła w nowej rewii „To i tamto”, w której wystawiono m.in. jednoaktówki Czechowa i Kuprina w tłumaczeniu Sztumberk-Rychtera.

Na Sylwestra 1946 roku „Nasza Buda” wystawiła program składany, zawierający „Oświadczyń” Czechowa, w nowym jednak roku wysuwać się zaczęła coraz bardziej w programach orkiestry Damrosza — na koncercie 19. I. 1947 repertuar jej zawierał m.in. utwory Paderewskiego, Lehara, Offenbacha i Griega. Teatrowi natomiast zdawało się braknąć dawnego entuzjazmu. Wystawiona 10. III. 1947 rewia „Hej, jedziemy kuligiem” nie była sukcesem, a przywykła do wysokiego poziomu produkcji teatralnej widownia zareagowała krytycznie. Natomiast wspólny koncert chóru „Hasło” i orkiestry „Naszej Budy” z połowy marca

12. Satyryk, tłumacz poezji rosyjskiej. Jakkolwiek już w 1949 roku wstąpił do ZMP i debiutował przekładami w tomie *Wiersze o Stalinie*, Litwiniuk jest jednym z niewielu piszących, którzy mają odwagę wspomnieć obóz riazański w oficjalnej biografii. Zob. *Słownik współczesnych pisarzy polskich. Seria II. Tom II* (Warszawa, 1978), str. 43.

przyjęty został bardzo przychylnie, podobnie jak następny koncert na fundusz matki i dziecka, i takie bowiem potrzeby pojawiać się poczęły w obozie po przeszło dwu latach niewoli.

Pragnąc jak gdyby zrehabilitować się za nieudany występ, teatr zaczął przygotowywać bardzo pieczołowicie nową premierę, zapowiadzaną na Wielkanoc 1947 roku. Tymczasem interwencja rosyjskich władz omal nie przekreśliła całego projektu. Dyrektor „Naszej Budy” stanowczo sprzeciwił się włączeniu do programu wykładu politycznego jednego z „demokratów”, co Rosjanie uważali za warunek zezwolenia na występ. Dopiero po osobistej interwencji gen. Bittnera u Rosjan i uzyskaniu pewnego kompromisu zezwolenie wydano i „Nasza Buda” po raz ostatni wystąpiła z sześcioma kolejnymi przedstawieniami nowego programu. Nowy zakaz sowieckich władz położył kres jej działalności po trzech prawie latach pracy w warunkach najtrudniejszych i najmniej sprzyjających życiu kulturalnemu. W sumie teatr dał ponad czterdzieści różnych przedstawień i koncertów.

Historia „Naszej Budy” nie weszła jednak do kronik polskiego teatru i podobnie jak cała sprawa zsyłki żołnierzy AK jest w dalszym ciągu pokrywana milczeniem. Nie wspominają o jej utworach poetyckich ani J. Szczawiej w swej antologii *Poezja Polski Walczącej 1939-1945*, ani T. Szewera w antologii pieśni *Niech wiatr ją poniesie*, jakkolwiek obie prace skrupulatnie rejestrują zarówno utwory powstałe po Powstaniu Warszawskim, jak i w obozach jenieckich w Niemczech. Zachowała się na szczęście starannie spisana, nieopublikowana kronika „Naszej Budy”, z której zaczerpnięto tu wiele informacji. Dotarł do niej i jedyną bodającą drukowaną o teatrze tym wzmiankę ogłosił S. Marczak-Oborski w swej książce *Teatr czasu wojny 1939-1945*, jakkolwiek ogranicza się do jednego zaledwie paragrafu, pisząc:

„Nieznany w kraju epizod trudnych dziejów wojennych stanowił teatrzyk 'Nasza Buda' w Obozie Internowanych Polaków w Riazaniu, który od września 1944 do świąt Wielkanocy 1947 wystawił liczne rewie; widowiska okazjonalne na 1 maja, 3 maja, 9 maja; dwie komedie muzyczne: zrekonstruowaną z pamięci *Rose-Marie* i powstałego na miejscu *Rodriga* Wacława Lisowskiego; oraz dwa jedyne dostępne teksty dramatyczne: *Clown* Kuprina i *Niedźwiedź* Czechowa; wreszcie zapamiętane teksty Mickiewicza (*Oda do młodości*, *Koncert Jankiela z Pana Tadeusza*), Słowackiego (*Anielli* — fragmenty), Żeromskiego (urywki ze *Snu o spadzie* i *Wiatru od morza*), Konopnickiej, Makuszyńskiego...¹³”.

13. Stanisław Marczak-Oborski, *Teatr czasu wojny 1939-1945* (Warszawa, 1969), str. 187.

Oborski ani słowem nie wspomina o przynależności „internowanych Polaków” do AK. W przypisach wymienia kilka nazwisk głównych organizatorów teatru i konkluduje: „W Riazaniu przebywało 500 oficerów i 2 tysiące żołnierzy. Przy końcu roku 1947 powrócili oni do Polski¹⁴”. Tyle dowiedzieć się może krajowy czytelnik o tych, jak ich Oborski nazywa w kronice, „internowanych jeńcach polskich” (!).

Istotnie, większość jeńców repatriowano w listopadzie 1947 roku, nim to jednak nastąpiło, obóz rizański przeszedł swój najbardziej dramatyczny okres, gdy latem tego roku żołnierze ogłosili masową głodówkę, którą na próżno starały się złamać specjalnie sprowadzone z Moskwy ekipy NKWD. W wyniku głodówki zmarł m.in. gen. K. Tumidajski¹⁵. Obóz rozproszono po kilku innych ośrodkach Gułagu (Griazowiec, Czerepowiec, Skopin i in.) i dopiero po paru miesiącach zaczęto zwozić poszczególne grupy do Brześcia, skąd odbierali je przedstawiciele Urzędu Bezpieczeństwa legitymujący się papierami Państwowego Urzędu Repatriacyjnego z Warszawy. Wielu „zagubionych” po drodze wróciło z Rosji dopiero po październiku 1956 roku, wielu pozostało tam na zawsze. Losy ich nigdy nie zostały zbadane.

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

14. *Ibid.*, str. 234.

15. Wymownym hołdem jego pamięci jest tablica pamiątkowa odsłonięta w lubelskim kościele Matki Boskiej Zwycięskiej 13 listopada 1977 r.: „Sp. żołnierzom Armii Krajowej Okręgu Lublin, ich Komendantowi gen. bryg. Kazimierzowi Tumidajskiemu „Marcinowi”, poległym i pomordowanym w walce o wolność ojczyzny. Towarzysze broni”.

WSPOMNIENIA

Stanisław JERZMANOWSKI

W P O T R Z A S K U

(Przyczynek do dziejów likwidacji niepodległości
w Polsce w 1945 roku przez sowieckich okupantów)

OD AUTORA

Podpisując te notatki posłużyłem się nazwiskiem okupacyjnym z „lipnych” papierów brata Zbyszka Stanisława, który poległ 17 września 1944 roku w Powstaniu Warszawskim. Żyjąc w okresie, który jest kolejnym rozdziałem opisanych tu wydarzeń muszę, jako autor poniższego szkicu, pozostać w konspiracji. Do zapisania tej, z cudzych doświadczeń wynikłej, relacji skłoniły mnie dwa motywy. Pierwszy — osobisty. Zbyszek, o którego ostatnich miesiącach życia będzie tu mowa, był moim przyjacielem. Kiedy wróciłem z niewoli w Niemczech, gdzie znalazłem się po Powstaniu Warszawskim, nie było go już wśród żywych. Puste miejsce po nim jest przy mnie do dziś. Motyw drugi — ogólniejszy: nakaz pamięci narodowej, by nie dopuścić do pograżenia się w zapomnieniu, więc niewiedzy — małej ale niebłahajęj części naszych dziejów najnowszych, jednego z jej momentów najtragiczniejszych.

Zbyszek był synem powstańca śląskiego, oficera rezerwy, aktywnego działacza w zakresie ochrony tamtejszego przemysłu przed infiltracją kapitałów Trzeciej Rzeszy. Niemcy aresztowali go wkrótce po wkroczeniu do Katowic w pierwszych dniach września 1939 i zgładzili w Dachau. Wdowa z dwoma synami

i małą córeczką po ucieczce do Pińska znalazła się w końcu w Warszawie w schronisku Rady Głównej Opiekuńczej. Zbyszek chodził w ubraniu z papierowego włókna i w drewniakach do zatwierdzonej przez władze szkoły zawodowej oraz na tajne komplety, będące podziemnym przedłużeniem działalności oświatowej Gimnazjum im. Jana Zamoyskiego w Warszawie. Po pewnym czasie był już uczestnikiem konspiracji w szeregach AK. Pracował jako praktykant w prywatnym zakładzie fotograficznym Janika i z własnej inicjatywy rozpoczął wykonywanie zdjęć dokumentarnych okupowanej Warszawy. Przede wszystkim zajął się fotografowaniem żebrzących dzieci — uciekinierów z zamkniętego już getta warszawskiego. Długo chodził bez dokumentów, z pistoletem w jednej kieszeni, z oswojoną wiewiórką „Skierką” w drugiej. Rwał się do działania, do czynnej walki. Na krętych i często popłatanych drózkach konspiracji znalazł pole do działania zdawałoby się bojowego, patriotycznego. Okazało się to pozorem. Kiedy się spostrzegł, że znajduje się w „usługowej” grupie, zajmującej się odpłatnym wykonywaniem mokrej roboty dla różnych zleceniodawców i dowodzonej przez kondotiera o skrajnie faszystowskim obliczu, tzw. „Andrzeja” — było już za późno. Andrzej, późniejszy zabójca prof. Widerszala z BIP-u AK, nie tolerował „odstępców”; jeden z kolegów został z rozkazu „Andrzeja” zabity przy ulicy Sosnowej czy Wielkiej, w lokalu prowadzonym przez rodzinę zastrzelonego. O wycofaniu się nie mogło być mowy. Zbyszek zaczął wódką tłumić poczucie osaczenia; przemyślał też cichaczem o wyjeździe i oddalonej od Warszawy partyzantce. Udało mu się nawiązać pewne kontakty. Tymczasem „Andrzej”, nazwiskiem Sudeczko, morderca do wynajęcia i na własną rękę, został skazany na śmierć wyrokiem Polski Podziemnej i zastrzelony na cmentarzu powązkowskim przez „Zygmunta” z Armii Krajowej. „Grupa Andrzeja” przestała istnieć. Był to początek lata 1944 roku. Zbyszek wraz z kolegą opuścił Warszawę i wstąpił do oddziału partyzanckiego AK w Lubelskiem. Nadszedł front ze wschodu, pojawiali się uciekinierzy, którym udało się uniknąć aresztowania przez NKWD, liczne grupy partyzanckie ze wschodu Rzeczypospolitej kończyły swą bojową drogę w więzieniach sowieckich i w pociągach jadących do Workuty i innych wysp Archipelagu Gułag. Chłopcy z oddziału Zbyszka usiłowali przedostać się do Warszawy, ale Armia Czerwona nie przepuszczała nikogo. Udało się im zakopać broń, zgodnie z rozkazem dowódcy oddziału, i rozejść się — każdy w swoją stronę. Zbyszek nie miał „swojej strony” — wszyscy jego bliscy byli po tamtej stronie, w Warszawie,

której dymy widział z daleka. Do końca nie dowiedział się o śmierci brata na Mokotowie i o tym, że reszta rodziny przeżyła piekło powstania. Kiedy front sowiecki osiągnął Wisłę i opanował Pragę, Zbyszek raz jeszcze usiłował przedostać się do powstania. Bezskutecznie. Nie wytrzymując głodu i bezczynności, chcąc osobiście dokończyć swej wojny z Niemcami, którą rozpoczął mając 16 lat, bezdomny dziewiętnastolatek zgłosił się do wojska zwanego wówczas Berlingowcami. Przyjęto go do szkoły oficerskiej, umundurowano, były tam setki skoszarowanych młodych ludzi, którzy chcieli iść na front. Szkolenie nie trwało długo. Rozpoczęła się zarządzona przez Kreml ogólnopolska akcja wykańczania resztek młodej inteligencji i patriotycznej młodzieży. W Warszawie załatwiono ten problem niemieckimi rękami; na terenach „wyzwolonych” trzeba to było robić samemu.

I

We wszelkich pracach na temat historii Ludowego Wojska Polskiego brak jest jakiegokolwiek wzmianki o 31 Pułku Piechoty, zgrupowanym jesienią 1944 roku w Białce koło Krasnegostawu. Pułk ten składał się w większości z byłych partyzantów polskiego podziemia, Armii Krajowej. Jakoś we wrześniu czy w początkach października doszły do żołnierzy i oficerów tego pułku pierwsze alarmujące i odąd coraz częstsze wieści o grupowych i indywidualnych aresztowaniach wśród byłych partyzantów — również w nowo tworzonych oddziałach ludowego wojska. Budziło to w szeregach niepokój a nawet popłoch. Wszyscy postanowili zniknąć, uciec, zdezerterować, nie czekając na najgorsze. Postanowienie było bezprzykładnie jednomyślne: cały pułk w pełnym uzbrojeniu odszedł do lasu. Namawiano sowieckich dowódców, aby odeszli razem z nimi. Wówczas we wszystkich oddziałach dowództwo było w rękach rosyjskich. Rosjanie odmówili i pozostali bez podległych im wojsk na miejscu. Już nazajutrz NKWD zorganizowało „sąd polowy”. Wszystkich dowódców skazano na śmierć i rozstrzelano. Był to październik 1944 roku.

Masowa akcja aresztowań w oddziałach i wśród młodego narybku szkół wojskowych trwała. W dniu 7 listopada 1944 — dokładnie w dniu święta rewolucji październikowej — ciężarowe samochody dowoziły zewsząd aresztowanych oficerów, podoficerów i szeregowców do poniemieckiego obozu w miejscowości Skrobów koło Lubartowa. W obozie tym Niemcy wymordowali zgromadzonych tam Żydów, a później więzili w nim jeńców rosyj-

skich. Dowożono ubranych w polskie mundury wojskowe aresztantów jeszcze przez kilka kolejnych dni. Ostatecznie liczba więźniów obozu w Skrobowie wyniosła około 460 ludzi. W obozie, otoczonym kolczastym drutem, a od strony przylegającej doń szosy nieażurowym płotem z desek 3-metrowej wysokości, znajdowały się cztery poniemieckie budynki: budynek murowany, murowane koszary wraz z kuchnią obozową, łaźnia zwana *banią* wraz ze składem drzewa i czwarty, w którym mieszkało *naczalstwo* — dowódca obozu mjr Kałasznikow — enkawudzista (jak i wszyscy inni Rosjanie chodzący w polskim mundurze), a także major z Informacji nazwiskiem Kazakow. Budynek, w którym mieszcili się żołnierze-więźniowie był odizolowany od reszty terenu obozowego potrójnymi zasiekami z drutu kolczastego. Straż, czy według ówczesnej tamtejszej terminologii ochrona obozu liczyła około 900 żołnierzy w polskich mundurach, a więc była dwa razy liczniejsza niż stan więźniów. Ci po polsku umundurowani „ochroniarze” to przeważnie Rosjanie nie znający zupełnie polskiego; byli też dość liczni przedstawiciele wschodnich republik ZSSR, którzy nie znali nawet rosyjskiego; oprócz nich znaleźli się tam i nieliczni Polacy z kresów, a w pewnym okresie — zresztą bardzo krótko — kompania, w której byli także powstańcy z Warszawy. Dowództwo poinformowało ich, że strzec mają obozu, w którym znajdują się zdrajcy i folksdojcz. Wykrzykiwali więc pod adresem uwięzionych: „Wy tacy-owacy, szwab-y” itd. Jeden z więźniów poznał wśród strażi swego kolegę z powstania. „Co tu robisz?!” — zapytał go zdumiony ochroniarz. Odpowiedź uświadomiła mu całą prawdę, naradził się z paroma kolegami z ochrony, obiecali pomóc. Najwidoczniej ktoś doniósł o tych konszachtach, bo nocą zabrano stamtąd całą kompanię i nigdy już nikogo spośród jej żołnierzy nie widziano. Do zadań wstępnych ochrony należało także stawianie i zbrojenie ogrodzeń. Na czterech rogach stały wieżyczki strażnicze, zwane bocianami, z erkaemami.

Zbyszek, Robert i Zygmunt przyjechali 7 listopada i postanowili „zamieszkać” na jednej pryczy. Na samym początku pomieszczenia w budynkach były puste. Z dostarczonych desek więźniowie zbijali prycze w trzech rzędach, ciągnących się przez całą długość przeznaczoną dla szeregowców sali. Bo trzech przyjaciół — nie znających się przedtem — postanowili zamieszkać wśród szeregowców (pomieszczenie było przestronniejsze, mniej zatłoczone i cieplejsze), pomimo że byli podoficerami; Zbyszek był kapralem-podchorążym. Na każdej pryczy mieściły się cztery osoby.

Jakimi kryteriami kierowały się decydujące czynniki NKWD i podległe im zaczątki „rodzimej” bezpieki i Informacji wojskowej w owej nie pierwszej i nie ostatniej pokatyńskiej akcji wobec polskich żołnierzy i oficerów? Czym się kierowano, przeczesując nowo tworzone jednostki, wyławiając z nich jednych, a pozostawiając na wolności innych? Oprócz naczelnej idei przyświecającej mocodawcom, którym chodziło o likwidację młodych kadr inteligencji i elementów patriotycznych, jednostek, które w latach okupacji udowodniły w walce swoje oddanie sprawie niepodległości — ujawniał się tu również zamysł terrorystyczny, taktyka paraliżowania strachem pozostałych w oddziałach żołnierzy. Nie wiemy, ile stworzono podobnych do Skrobowa obozów przejściowych, nie wiemy, jak wyglądał w wielu innych jednostkach wojskowych stosunek liczbowy całego stanu osobowego do grup aresztantów. Dwa znane nam przykłady zdają się świadczyć o tym, że wyławiano 10 %. Z VIII Pułku z Lublina, ze Szkoły Politycznej (tzw. Pol.-Wychu) liczącej 700 osób przywieziono do Skrobowa 70-ciu młodych chłopców. Z I Dywizjonu Lotnictwa, stacjonującego na terenie byłego hitlerowskiego obozu na Majdanku i liczącego 420 osób — wywieziono do Skrobowa czterdziestu dwóch żołnierzy, a wśród nich szefa dywizjonu, starszego sierżanta Wałkuskiego. Dowódcą dywizjonu był kpt. pilot-observator Bandrowski. Jego zastępca, kpt. Berger, osobiście z pistoletem w ręku wyprowadzał 42 aresztowanych, by ich przekazać dwunastu *automatczykom*. Krótco przedtem na terenie dywizjonu dała się zauważyć złowróżbna obecność „kapusiów” oraz nie całkiem zakamufLOWANA działalność Informacji — bezpieki wojskowej — i jej moskiewskich mocodawców. Tak np. pojawiła się tam młoda dziewczyna w butach z cholewami, w wyróżniającym się — bo sukiennym, a nie drelichowym — mundurze. Nazywała się Ina Karczewska, była kochanką jednego z wojskowych Rosjan i narzeczoną oficera nazwiskiem Pióro, obecnego generała Ludowego Wojska. Była córką ziemianina z Białostockiego i po najeździe Czerwonej Armii została wraz z całą rodziną wywieziona na Sybir. Z chwilą utworzenia w ZSSR Armii Andersa Ina i jej ojciec wstąpili do organizujących się oddziałów; matka została na Syberii. Tuż przed przejściem do Iranu Ina zachorowała na tyfus i została w sowieckim szpitalu, skąd przewieziono ją do więzienia. Wówczas to, w nie znanych nam okolicznościach, rozpoczęła się jej współpraca z NKWD. W Dywizjonie Lotniczym pojawiła się już jako zaufana funkcjonariuszka Informacji. Rodzina na wieść o jej zdradzie zerwała z nią. Jednemu z podoficerów dywizjonu, który później trafił do Skro-

bową, radziła poufnie, kierując się zapewne życzliwością o podłożu erotycznym: „Zostaw to lotnictwo, chodź do nas — do Informacji. Front ci potrzebny do szczęścia? Odznaczenia dają u nas, nie na froncie. Zabraknie ci miejsca na ordery”. Podchorąży odmówił dwudziestoletniej agentce i wkrótce znalazł się za drutami Skrobowa. Nie ona jedna zajmowała się wówczas węszeniem na terenie dywizjonu. Krótco przed aresztowaniami NKWD podrzuciło do jednostki wielu „Polaków”, mówiących łamaną polszczyzną i to z trudem; najwidoczniej nie zdołano jeszcze wówczas zwerbować agentów o lepszych pozorach.

Wszyscy, a ściślej prawie wszyscy przywiezieni zostali do obozu w Skrobowie nagle, bez żadnych wyjaśnień, bez oskarżenia o cokolwiek, bez badań, bez jakichkolwiek przesłuchań. Wszyscy, oprócz paru zaledwie, w mundurach wojskowych. Nieliczni byli obwiniani o jakieś urojone przestępstwa, jak np. podchorąży Brzozowski ze szkoły oficerskiej w Chełmie Lubelskim, skąd także przybył transport więźniów do Skrobowa. Brzozowski był kandydatem na wzorowego elewa, miał otrzymać pierwszą lokatę w szkole, co miało być uwidocznione nagrodą w postaci skórzanego pasa i takiejż raportówki. Jak twierdził już w Skrobowie, zwierając się zaufanym kolegom, nigdy nie był w żadnej partyzantce, tylko jego konkurent do pierwszego miejsca w szkole, Ukrainiec, podłożył mu pod siennik kartkę z jakimiś cyframi, po czym zawiadomił Informację o „szpiegu”. Badało go NKWD, był bity, strzelano mu koło głowy. Do końca utrzymywał, że zgubił go zawistny podstęp rywala, choć w istocie była to zapewne zwykła prowokacja władz.

W Skrobowie znaleźli się przedstawiciele przedwojennej kadry oficerskiej — począwszy od dość wiekowego już, najstarszego rangą podpułkownika, oraz liczni partyzanci Armii Krajowej. Był wśród nich wysoki, niemal dwumetrowego wzrostu, dowódca oddziału AK z Lubelskiego, pseudonim „Mały”. Znalazło się w Skrobowie również dwunastu skoczków spadochronowych z „Armii Berlinga”. Przeszli oni tragiczną drogę zesłańców, dotarli do Sielc, gdzie organizowano pierwsze „berlingowskie” oddziały. Wyszukoleni na spadochroniarzy, zostali zrzućeni na tyły niemieckie w okolicy Stalowej Woli. Bezustannie głowili się, na czym mogło polegać ich przewinienie; powierzone im zadania wojskowe wykonali zgodnie z rozkazem, nie mogli wygrzebać z pamięci żadnego wykroczenia, nie rozumieli, co się stało.

Oczywiście byli w obozie i szpicle — donosiciele, których

szybko rozszyfrowano i pozostali więźniowie mieli się przed nimi na baczności. Było kilku takich kapusiów — paru b. akowców z Lwowskiego, m.in. plutonowy z rudą brodą. Musieli oni uprzednio przejść przez ręce NKWD i ratować własną skórę zdradą.

Napływ akowców do Ludowego Wojska Polskiego był wówczas stosunkowo duży. Ci, którym udało się uniknąć wywózek do sowieckich łagrów, których ominęło więzienie, którzy zdążyli wyjść z lasu nie wpadając w sowieckie obławy — szli do wojska ochotniczo, lub z poboru, coraz rzadziej ujawniając swą partyzancką przeszłość. Dowódcy oddziałów leśnych AK często rozpuszczali podległe sobie oddziały, zwłaszcza z chwilą nasilenia się akcji osaczania i wyłapywania partyzantów, tym bardziej, że podejmowane jeszcze i w tych warunkach próby przyjscia z odsieczą powstańcom Warszawy zostały w większości wypadków skutecznie uniemożliwione przez sowieckie wojska i policję. W pierwszej połowie sierpnia 1944 oddziały akowskie grupowały się w okolicach Dębina, chcąc iść z pomocą Powstaniu w Warszawie. Jeszcze w lipcu rozpoczęła się koncentracja oddziałów AK pod Chodlem; wkrótce znalazło się tam podobno około 14 tysięcy żołnierzy, członków oddziałów dowodzonych przez „Turnusa”, „Zagończyka”, „Małego”, „Argila” i innych. O przejściu jednak nie było mowy. Wojska sowieckie nie przepuszczały, ostrzeliwały zmasowanym ogniem przy próbach przeprawy przez Wisłę, przy usiłowaniach zbliżenia się do niej. „Turnus”, utwierdziwszy się po nieudanych próbach w przekonaniu, że wysiłki przebicia się skazane są na niepowodzenie, polecił swoim chłopcom rozejść się dokąd kto może — do domów, do wojska — i zakończyć bez dodatkowych strat działalność partyzancką. Mówiono, że koło Otwocka znalazła się część 27-ej Dywizji Wołyńskiej AK i bezskutecznie usiłowała przedostać się do Warszawy. Kilku żołnierzy z tej dywizji znalazło się potem w obozie w Skrobowie.

Major Kałasznikow, enkawudzista w polskim mundurze, komendant obozu, uchodził wśród więźniów — na tle innych zarządców i nadzorców — za „nienajgorszego” człowieka. Zrozpaczeni chłopcy pytali go, za co tu siedzą. Odpowiadał: *Nu, towarzyszy, dla was wojna pokończyłaś*. I dodawał, że kto się okaże niewinny, ten wróci do armii. Byli tacy, którzy domagali się wypuszczenia, pisali raporty, podania o przeniesienie do karnej kompanii, byle tylko wyjść z za drutów na front. Ich petycje pozostawały oczywiście bez odpowiedzi. Zbyszek wraz z kilkoma przyjaciółmi nie łudził się, nie prosił, nie interweniował. Pocięszał się jednak, że wojna jeszcze trwa i sytuacja więźniów jest tymczasowa. Major Kałasznikow pozwalał sobie niekiedy, w na-

padach chandry, na poufałe zwierzenia; bywało, że mówił o dwunastu latach, które przebył jako więzień na Syberii przed swoją służbą w NKWD. Raz nawet wyznał: „Dziś jestem naczelnikiem, jutro mogę być jednym z was”. Uciążliwa dla więźniów była świadomość, że są całkowicie izolowani, że nikt „na wolności” nie wie o ich losie. Toteż pewne wydarzenie dodało im otuchy. Któregoś dnia koło obozu przejeżdżały dwa czy trzy wozy ciężarowe. Ci, którzy je widzieli twierdzili, że nie były to ciężarówki radzieckie, ale angielskie lub amerykańskie. Identyfikacja to dość fantastyczna, mało prawdopodobna, ale chłopcy widzieli, że samochody zatrzymały się w bezpośrednim sąsiedztwie drutów pod pozorem naprawy silnika, a wtedy spod plan-deki wychyliła się kamera i filmowała przez pewien czas obóz, dobrze z tej strony widoczny; było to bowiem w początkowym okresie, kiedy nie postawiono jeszcze wysokiego płotu.

W grudniu 1944 niespodziewanie wizytowali obóz generał Aleksander Zawadzki, generał Popławski i jakiś trzeci tej samej rangi. Przyjechali ZIS-em 110. Ku zdumieniu więźniów, pomrukujących pod nosem: *swotocz*, Aleksander Zawadzki odezwał się do nich, odwiedzając izbę sierżantów, ... po rosyjsku! Oto ówczesne słowa późniejszego Przewodniczącego Rady Państwa PRL: *Szto? Zdieś wam płocho? Wy żywiotie kak w kurortie!*. Ku swemu zdumieniu spotkał na sali majorów swego byłego adiutanta. „Co tu robisz?” — spytał, tym razem po polsku. „To ja was pytam, co tu robię” — odpowiedział adiutant. Po tym incydencie generalicja nie odwiedziła już sali podpułkowników; zabrali ze sobą majora i odjechali.

W ciągu pięciu miesięcy — od listopada do marca — trzykrotnie przyjeżdżał do obozu, by odprawić mszę, ksiądz z Lubartowa. Więźniowie zrobili coś w rodzaju kaplicy-ołtarza z puszek od konserw, ozdabiając malowidłami tę obozową świątynię. Msze odbywały się w asyście enkawudzystów, którzy byli wyraźnie zaniepokojeni łaciną, wężąc w niej zapewne jakiś szyfr. Szczególny niepokój budziła w nich ministrantura; w chwilach gdy ministranci pochylali się w stronę księdza, wypowiadając po cichu sakramentalne formuły — sowieccy ochroniarze przybliżali się, jakby się czaili do skoku. Toteż spowiedź była surowo wzbrowniona i mimo petycji księdza nigdy do niej w Skrobowie nie doszło.

Wyżywienie więźniów było nędzne i przez cały czas jednakowe — z wyjątkiem Nowego Roku, kiedy to jedyny raz poczęstowano ich rzadkim, rozwodnionym kapuśniaczkiem i przydzie-

lono po 50 gramów wódki na osobę. Normalnie żywność dawkowana była następująco: rano jedna „nabierka” pęcaku na rzadko, wieczorem — także „nabierka” na gęsto, poza tym 30 dkg chleba, czarna kawa zbożowa i łyżka cukru. Ważna i perfidnie przemyślana przez sowieckie władze była pozycja i rola kucharza obozowego, który wedle ich zamysłów miał ściągać na siebie całą nienawiść więźniów. Tak więc zastosowano wypróbowaną metodę i na tym ważnym obozowym stanowisku postawiono Żyda, plutonowego iz *Kawkaza*, znającego nieźle polski, aby przydzielał głodowe porcje „zdrajcom i faszystom”. Z zadania tego wywiązał się we właściwy sposób, zgodny z intencjami mocodawców, skupiając na sobie cały gniew krzywdzonych więźniów. Nie dziw więc, że w swych skąpych porcjach pęcaku znajdowali chłopcy „upominki” od kucharza w postaci bydłęcych zębów, oczu, a czasem nawet trafiały się powrzućcane do zupy przerzutywy. Głód sprawiał, że mimo rozlicznych innych utrapień rozdawca pożywienia stawał się w oczach wielu wrogiem numer jeden. Aby ten stan rzeczy spotęgować jeszcze i utrwalić, władze obozowe miały się i innych sposobów.

Chłopcy zajmowali się walką z insektami. tzw. wszobiciem, strugali kradzionymi z kuchni nożami cygarniczki. Na ogół nie załamywali się; najbardziej niecierpliwi próbowali uciekać, było kilka takich ucieczek. Nocą zaczynali kopać podkop, ale nic z tego nie wychodziło. Dwóch uciekinierów przyprowadzono pod eskortą z powrotem. Aby się zahartować i utrzymać siły fizyczne i psychiczne, więźniowie z własnej inicjatywy urządzali biegi i co dzień rano myli się do pasa pod studnią — a była to zima. Ta zaprawa miała się im później bardzo przydać. W styczniu - lutym 1945 władze obozowe zarządziły budowę drewnianego baraku, dostarczyły materiałów oraz piłę, kleszcze do drutu i siekiere. Nadzorcą budowy był sowiecki porucznik, potomek zesłańca z Powstania Styczniowego, czym się chlubił, całkiem dobrze mówiący po polsku. Był to sybirak i nazywał się chyba — Babajewski, albo podobnie. Zbyszek, Zygmunt i Robert weszli do grupy zatrudnionej przy budowie. Zwrócili się do Sybiraka z prośbą, aby ze względu na rozpoczęcie ciężkiej pracy uzyskał od majora Kałasznikowa wyżywienie dla pracujących z kuchni wojskowej, przygotowującej jedzenie dla komendy i straży obozowej, gdyż zabraknie im sił, jeśli pozostaną na więziarskim wikcie. I tu rozpoczęła się pokazowa intryga, praktyczna lekcja sowieckiego antysemityzmu, mająca znów na celu odwrócenie uwagi od rzeczywistych krzywdzicieli i upozorowanie winy — Żyda. Sybirak zwrócił się z ową prośbą do komendanta

obozu, Kałasznikowa, a Kałasznikow wyraził zgodę, o czym chłopców powiadomiono. Jednakże kucharz zgłosił sprzeciw i zażądał od komendanta polecenia na piśmie. I ta poufna wiadomość rozeszła się natychmiast. Nie trzeba dodawać, że taki sprzeciw — z uwagi na czas i miejsce wydarzeń oraz z uwagi na obozową hierarchię władzy — byłby nie do pomyślenia i skończyć by się musiał bardzo żałośnie dla buntownika. Byłby to akt niesłychanej niesubordynacji, gdyby nie to, że cała afera była zręcznie wyreżyserowana i przeznaczona na pokaz. Kałasznikow wydał polecenie na piśmie zgodnie z „wymaganiami” kucharza, ale ten — jak w bajce o rybaku i rybce — znów zwiększył swe żądania, stawiając nowy warunek: aby komendant wręczył mu ten rozkaz osobiście. Aby cały ten spektakl uwieńczyć i uprawdopodobnić, Kałasznikow wyruszył do kuchni, gdzie w obecności licznych widzów i słuchaczy urządził kucharzowi wielce hałaśliwą awanturę, wymyślając mu od „parszywych Żydów” itp. Teraz nie było już wątpliwości, kto jest dobry, a kto zły, kto okazuje więźniom życzliwość, a kto wrogość — czy zarząd obozu, czy nędzne skądinąd indywiduum — żydowski kucharz. Lepsze wyżywienie dla budowniczych baraku zostało przyznane. Barak stanął. Tymczasem zza drutów zaczęły przenikać coraz uporczywsze słuchy o przygotowaniach do wywózki więźniów na Kołymę czy do Wiaźmy. Wieści te budziły trwogę, a w prawdziwość ich nie wątpiono. Żołnierze zamknięci w Skrobowie zbyt wiele już przeżyli, zbyt dobrze zdołali poznać nowego okupanta, aby mogli przyjąć owe wieści jako niewiarygodne.

II

Zbyszek, Zygmunt i Robert rozpoczęli potajemne narady. Przez kilka tygodni snuli i dyskutowali plany zbiorowej ucieczki. Rozważali różne jej wersje, wykluczając próby indywidualnego ratowania się i metodę podkopów, biorąc pod uwagę jedynie różne warianty masowego zrywu, rozbrojenia straży i zbiorowej ucieczki do pobliskich lasów. Czas płynął, nie wolno było dopuścić do tego, aby wywózka więźniów uprzedziła ich i przekreśliła plany. Pamięć rewelacji katyńskich była jeszcze zbyt świeża, aby można było zlekceważyć wiszące nad głowami niebezpieczeństwo. Po ustaleniu zasadniczych zarysów planu chłopcy jeli wtajemniczać stopniowo innych współwięźniów, którym można było zaufać. Chętnych było dużo.

Od jakiegoś czasu zatrudniano dorywczo grupy chłopców przy rąbaniu drzewa i obieraniu ziemniaków dla straży obozowej. Ostatnio, już w marcu, z chwilą kiedy ziemia odtajała, kierowano grupy więźniów także do kopania i przenoszenia piachu z jednego krańca obozu na drugi, w pobliże bramy, gdzie w zagłębieniu było błoto i tworzyły się kałuże. Zaopatrzeni w łopaty i nosiłki, więźniowie zasypywali błotniste zagłębienie przy obozowej bramie. Postanowiono skorzystać z tych okoliczności, a wtajemniczonych i zorganizowanych do ucieczki było już około pięćdziesięciu. Do obierania ziemniaków brano 30 osób, dziesięć — do rąbania drzewa i pięćdziesięciu do pracy przy piachu. Wszystkie te grupy wychodziły poza wewnętrzne potrójne zasieki z drutu kolczastego, oddzielającego więźniów od pozostałego terenu obozu. Chodziło o to, aby wśród wyznaczonych do tych prac znaleźli się organizatorzy i potencjalni współuczestnicy buntu i ucieczki. Ostatecznie ustalili oni termin akcji na niedzielę 26 marca. Sytuacja skomplikowała się jednak w ostatniej chwili i omal nie doprowadziła do wyspy. Okazało się, że do obierania ziemniaków wyznaczono innych; konspiratorzy usiłowali się z nimi zamienić, co wywołało podejrzliwość Ochrony, ale na szczęście nie doprowadziło do ujawnienia zamiarów. Komendant obozu major Kałasznikow zjawił się nagle, wypytując, co ma znaczyć ten nagły rozgardiasz i próby zmian w wyznaczonym składzie osobowym grupy roboczej. Sprawę jako zaklepano, ale termin trzeba było przesunąć. Minęły dwa dni i 28 marca wszystkim spiskowcom udało się wejść w skład grup idących do pracy za wewnątrzobozowe druty. Był ranek. Zainicjować rozbijanie wartowników miał według planu Jurek Michlak, przydzielony do obierania ziemniaków. Robert został postawiony do pracy przy piachu z nosilkami daleko, zamienił się więc z kimś, aby być bliżej, przy zasypywaniu błotnistej doły koło bramy. Ledwo zdążył tam dojść — Zbyszek był już na miejscu — zaczęło się zgodnie z planem. Jurek złapał wartownika z tyłu, chwycił za automat i wyrwał mu go. Rozbijanie pozostałych wartowników — przeprowadzone przy pomocy łopat — przebiegło szybko i sprawnie: odebrano im osiem pepesz — po jednym magazynku amunicji każda. Teraz — po ich rozbrojeniu — mieli się ruszyć ci, którzy pozostali w budynku. Wielu oficerów, jak się zdaje, nie zamierzało brać udziału w ucieczce; jeden z podpułkowników usiłował drągiem wyważyć drzwi. Rozległy się strzały. W rezultacie z budynku nie wyszedł nikt. Z „bocianów” — wieźcynek strażniczych — zaczęli pruć seriami. Uciekinierzy ze Zbyszkciem na czele wtargnęli do koszar i zabrali stamtąd 11 karabinów

Mosina (niestety bez amunicji) i RKM Diagtierowa z trzema bębnami amunicji. W czasie rozbrajania i szamotaniny wpadł uciekinierom w ręce znienawidzony kucharz. Jeden z chłopców schwycił go za głowę i przygiął do ziemi, wołając do Roberta: Załatw go! Robert, uzbrojony jedynie w kuchenny nóż, nie podniósł ręki. „Mogłem strzelić — powiedział później — ale nie jestem zbójcą ani rzeźnikiem”. Kucharzowi udało się wymknąć i uciec. Zawołano: „Na bramę!” — i już za chwilę uciekinierzy znaleźli się poza obrębem obozu, a było ich siedemdziesięciu kilku, m.in. i tacy, którzy nie byli wtajemniczeni w plany ucieczki i — zaskoczeni strzelaniną i zamieszaniem — dołączyli w ostatniej chwili do grupy zbiegów.

Biegli przed siebie w stronę odległego o 3-4 kilometry lasu. Ścigały ich serie z obozowych RKM-ów. Wypadli z bramy, przeskoczyli szosę, gнали na przełaj grząskim polem. Podzielili się na trzy grupy, ostrzał był gęsty, biegli tyralierą. Jedną z grup prowadził Zbyszek. Skądś z boku, z dystansu niespełna kilometra strzelał do nich także jakiś milicjant, chcąc ich powstrzymać i zawrócić. Padł ciężko ranny dwudziestotrzyletni sierżant z 27 Dywizji Wołyńskiej AK. Dobił go osobiście major Kałasznikow, który wraz z Ochroniarzami ruszył w pogon. Z RKM-ów ranoiono jeszcze trzech, a milicjant trafił czwartego. Jeden był ranny w oba płuca i w kolano, dwóch — w rękę i jeden w nogę. Po krótkim, szybkim biegu, podtrzymując rannych chłopcy dotarli do lasu. Widzieli, jak z koszar podąża zorganizowana przez Kałasznikowa pogon. Nie było jeszcze dziewiętej, ucieczka zaczęła się o ósmej dwadzieścia rano. Pośpiesznie wybrano komendanta grupy. Został nim szeregowiec, który w istocie był podporucznikiem rezerwy, dowódcą oddziału partyzanckiego AK na Wileńszczyźnie o pseudonimie „Wilk”; wstępując do ludowego wojska zataił swój stopień. Teraz miał dowodzić dalszą ucieczką. Widać było tyralierę pogoni, oddaloną o niecały kilometr. Nowowyszany dowódca zbiegów zapytał podkomendnych, kto z nich zna te strony. Okazało się, że jeden był dawniej w tych okolicach w partyzantce, ale nie za dobrze orientuje się w terenie. Pozostali nie znali tamtejszych lasów, on więc został przewodnikiem grupy. Zarządzono milczenie; pogon była blisko, a inne zasadzki mogły czekać w drodze.

Rozpoczęło się kilkugodzinne kluczenie po nieznanym lesie, pełne napięcia i rosnącej dezorientacji. Było to bezradne błędzenie. Chłopcy kołowali, myląc kierunki, nie wiedząc, którądy mają iść i dokąd. Mimo głodu, zdenerwowania i wielkiego fizycznego zmęczenia nie ustawali w tej błędnej wędrówce, która prze-

cież mogła się w każdej chwili skończyć tragicznie: pogoń znała okolicę, chłopcy zdawali sobie sprawę, że ich szanse maleją, że zataczają wielkie koła i powracają do miejsc, przez które już przechodzili. Tylko dzięki obozowym treningom wytrzymywali ten wyczerpujący marsz. Planując bowiem ucieczkę, już od kilkunastu dni uprawiali co dzień biegi na placu wzdłuż baraku — tam i z powrotem. Zdziwionemu i zaniepokojonemu komendantowi obozu, Kałasznikowowi, wyjaśniali, że przygotowują się do zawodów sportowych. W istocie chodziło im o podreperowanie kondycji fizycznej, nadwątłonej obozowym bytowaniem. Oddalając się teraz od Skrobowa i nie mogąc się odeń oddalić tak jakby chcieli, skazani na błąkanie się, nie przypuszczali, że właśnie ten pech i ta bezradność ocali ich, zamiast zgubić. W pewnej chwili spostrzegli, że las rzednie, że wkrótce się skończy i że znaleźli się blisko jego skraju, niedaleko Lubartowa. Zawrócili w głąb lasu, szli bez ustanku dalej, aż wieczorem dotarli do jakiejś śródleśnej wsi. Pytali chłopów, czy nie widzieli tropiącej ich pogoni. Usłyszeli w odpowiedzi, że pogoń była, a właściwie jest jeszcze we wsi: szukano w niej uciekinierów, myszkowano po zagrodach i dopiero teraz właśnie, nikogo nie znalazłszy, tropiciele opuszczają wieś z jej drugiego końca. Opóźnienie chłopców, spowodowane nieznaną terenu, okazało się błogosławieństwem. Zapewne wpadliby prosto w ręce Ochroniarzy i zmobilizowanych posiłków, gdyby nie szli tak po omacku. Tymczasem przewodnik grupy, były partyzant z tych stron, rozpoznał w końcu drogę i zaprowadził grupę do zagrody swego wujka czy jakiegoś pociotka, który tu właśnie mieszkał. Po całodziennym nadludzkim wysiłku chłopcy byli ogromnie zmęczeni; dotarłszy do jakiejś — bądź co bądź — mety pierwszego etapu wędrówki, padali z nóg. Wszyscy więc postanowili przenocować w stodole „wujka”, przed którą „Wilk” postawił dwuosobową wartę. W pierwszej parze wartowników, którzy mieli się następnie wymieniać, był znajomy Zbyszka, Zygmunta i Roberta, Janek, chłopak w okularach, powstaniec z Warszawy. Komendant „Wilk” rozmawiał jeszcze w chałupie z gospodarzem, kiedy około północy zjawiło się dwóch milicjantów — jakoby podejrzewając gospodarza o pędzenie bimbru. Szarpanina z wartownikiem. Komendant puścił serię z automatu, rozległ się krzyk, prawdopodobnie jeden z milicjantów został ranny. Drugi uciekł. Zerwani z najgłębszego snu chłopcy w popłochu wywalili wrota stodoły i czmychnęli w pole. Kiedy wszystko ucichło, zaczęli się schodzić, komendant zebrał grupę — było już tylko 35-ciu, a więc niespełna połowa wszystkich uciekinierów. Co się stało

z resztą, gdzie ją poniosło — tego nie dowiedział się już nikt. Zaczęło się rozwidniać, brzask. W świetle wczesnego poranka chłopcy natknęli się na dwóch ni to cywilów, ni to żołnierzy, ubranych po cywilnemu, ale w wojskowych czapkach. Zatrzymano ich, nieco wystraszonych, aż w końcu powiadomili, że do wsi znów weszło wojsko. Trzeba było poszukać odleglejszej kryjówki. Rozdzielono amunicję z dwóch bębnow zdobycznego RKM-u między jedenaście karabinów, z których pozdejmowano bagnety, a dwóch półcywilów zatrzymano, polecając im przeprowadzić chłopców na kępę znajdującą się pośrodku niebezpiecznie grząskich okolicznych bagien. W bagnach tych, jak mówili we wsi, łatwo zatonać bez śladu. Nowi przewodnicy znali mniej podmokłe przejście, prowadzące przez bagniska na kępę. Wkrótce po dotarciu na nią grupa uciekinierów widziała dokładnie tyralierę pogoni, idącą tuż przy brzegu bagien i strzelającą na oślep przed siebie. Nie dostrzegła kryjówki, gdzie chłopcy przesiadzieli do wieczora, zatrzymując przy sobie dwójkę przewodników. Dopiero po zapadnięciu ciemności ruszyli wszyscy dalej. Przewodnicy przeprowadzili ich przez bagna w kierunku przeciwnym do tego, skąd tu przyszli — po czym wskazali im drogę do następnej wsi i zostali zwolnieni. Kończył się trzeci dzień Wielkiego Tygodnia, środa. Chłopcy zaszyli się na nocleg w lesie, a rano kilku wyruszyło na zwiady i natrafiło na leśnicówkę. Poprosili o coś do jedzenia i żona leśniczego dała im dwa wiadra: jedno pełne kartofli, drugie — mleka. Wygłodniały uciekinierzy rzucili się na jadło, co — przy ich wygłodzonych żołądkach — wkrótce wywołało łatwe do przewidzenia efekty.

Do wskazanej im przez przewodników wsi dotarli wieczorem, ale nie udawało im się zdobyć żadnej żywności. Nieufni i wystraszeni mieszkańcy wioski zamykali drzwi. W pewnej chwili pojawili się dwaj chłopcy w żołnierskich czapkach i spytali: „Czy wy może ze Skrobowa?”. „Tak”. „No to wam pomożemy”. Pochodzili po znajomych im chałupach, nabierali trochę chleba i różnej strawy, a potem jeszcze przeprowadzili zbiegów przez rozlewiska Wieprza i wskazali im wieś Skłodów — po drugiej stronie rzeki. Chłopcy zdali sobie sprawę, że gdyby nie wytrwała zaprawa obozowa, którą sami sobie narzucili, mycie się zimną wodą pod studnią, ciężko by się pochorowali w czasie tych noclegów w lesie, na kępie, wśród bagien. Był przecież zimny, mokry marzec — a nikt się nie zaziębił, mimo braku ognia i jedzenia.

Na drugą stronę Wieprza przewiózł ich miejscowy rybak. Był już Wielki Piątek. Skierowali się chyłkiem do Skłodowa i

z przerażeniem dowiedzieli się, do jakiej wsi trafili. Skłódów był znany z tego, że za Niemców pełno tu było kwater PPR-owskich. Pomyśleli więc, że trafili najgorzej jak można. Tymczasem nigdzie nie spotkali się z taką gościnnością jak tutaj. Zatrzymali się na Święta Wielkanocne — znaleźli dach nad głową, poczęstunek, jakiego chyba od dzieciństwa nie zaznali, i serdeczność. Do swych rodzin przyjechało na święta sześciu milicjantów — i nikt nie doniósł, nikt nie puścił pary z ust.

Rozproszyły się niebezpieczne przecież obawy. Być może wieś zdążyła już dobrze zdać sobie sprawę z tego, co się wylęgło z jej okupacyjnych pepeerowskich komórek, skoro tak natychmiastowo hitlerowskie zagrożenie życia ludności ustąpiło terrorowi sowieckiemu, wspieranemu przez wojennych podopiecznych wsi. Na stołach, niczego nie skąpiących przybyszom, było — mimo wojny — wszystko, co przewiduje tradycja polska Wielkanoc, a jadło suto zakrapiano bimbrem. Dziewczyny rozdawały tułaczom nie tylko uśmiechy i chłopcy przecierali oczy, aby się upewnić, że to wszystko dzieje się na jawie. Solidarność gospodarzy z gośćmi i milczenie chłopów wobec władz umocniły się jeszcze wskutek zajścia w oddalonym o 6 kilometrów Baranowie, w Wielką Sobotę. Jeden z plutonów skrobowskiej pogoni zatrzymał się, zgodnie z rozkazem, w Baranowie na święta. Ochroniarze spili się bimbrem i jeden z nich zaczął strzelać „na wiwat” pociskami zapalającymi. W rezultacie tej zabawy spłonęła stodoła. Rozeźleni chłopci tym bardziej nie pisnęli ani słówka Ochroniarzom o popasających w pobliżu zbiegach. Dopiero we wtorek „Wilk” zarządził odmarsz; chłopcy pożegnali się z żalem i wdzięcznością z gościnnymi skłodowianami, z którymi zdążyli się przez te kilka dni zaprzyjaźnić.

Po zapadnięciu zmroku mieli się przeprawić przez Wieprz. Przedsięwzięcie zostało jednak odłożone na następny dzień, bo właśnie pod wieczór, jeszcze przed wymarszem, zjawiono się dwóch cywilów; chcieli się widzieć z komendantem grupy. Okazało się, że są wysłannikami „Orlika”, dowódcy aktywnej grupy bojowej AK, która nie wyszła z lasu i działała nadal gdzieś w okolicy. Dwaj jego przedstawiciele wiedzieli oden o ucieczce ze Skrobowa i mieli wy badać, czy przebywający w Skłodowie chłopcy są właśnie tymi uciekinierami i czy można im zaufać. Zwiad trwał jeszcze przez kilka dni — ci dwaj od „Orlika” towarzyszyli chłopcom, nie kontaktując ich na razie ze swym oddziałem. Nadeszła środa, przygotowywano się do przeprawy przez rzekę, gdy chłopcy zobaczyli nagle jeźdźca, żołnierza na koniu, zbliżającego się brodem przez rozlewisko. Podjechał blisko i pyta, czy

tu jest wojsko; chce mówić z dowódcą. Chłopcy byli umundurowani, nic więc dziwnego, że potraktował ich jako swoich kolegów na służbie. Powiedzieli, że zaprowadzą go do komendanta. Kiedy zszedł z konia, rozbili go, oniemiałego z zaskoczenia. Wyznał, skąd się tu wziął i dlaczego. Otóż w pobliskim Baranowie zakwaterował się na święta pluton starszego sierżanta ze skrobowskiej Ochrony, jeden z oddziałów rzuconych w pogoń, sprawca pijackich awantur i podpalenia stodoły. Sierżant miał rozkaz iść z oddziałem do Baranowa; tam dowiedział się, że w Skłodowie kwateruje jakieś wojsko, wysłał więc łącznika. Rozbrojony łącznik był szczęśliwym trafem amunicyjnym arkaemisty, w plecaku miał 140 sztuk amunicji, która bardzo się chłopcom przydała. Był to Polak z Wileńszczyzny. Wyraził chęć pozostania wśród chłopców, zdecydowano, że go przyjmą; na razie jednak, dopóki go nie „sprawdzą”, nie obdarzyli go pełnym zaufaniem, ani nie dali broni; później stał się pełnoprawnym członkiem grupy, a następnie — partyzanckiego oddziału pod dowództwem „Orlika”.

Chłopcy nie mieli dokąd pójść. Do rodzin mieli za daleko, wielu nie miało żadnych wiadomości o swych najbliższych i nie wiedziało gdzie są po upadku powstania i wysiedleniu resztek mieszkańców spalonej Warszawy. Zbyszek jeszcze przed wstąpieniem do wojska, wkrótce po rozwiązaniu się oddziału AK, w którym służył, jeszcze we wrześniu 1944 roku przywędrował na Pragę w nadziei, że znajdzie jakieś oparcie i dowie się czegoś o losie rodziny i przyjaciół, a może nawet — przedostanie się do walczącej lewobrzeżnej części stolicy. Wszystkie te nadzieje zawiodły. Dotarł tylko do dziadków naszej wspólnej przyjaciółki, zamieszkałych na Pradze, i do swej niezyczelnej ciotki, ale nie mógł i nie chciał korzystać dłużej z ich gościny. Oczywiście i oni nic nie mogli wiedzieć o losie swoich i jego bliskich, przebywających wtedy wśród płomieni za Wisłą. Później, już w partyzantce „Orlika”, kilkakrotnie wysyłał przez znajomą mieszkankę jednej z dostępnych mu wsi na Lubelszczyźnie listy-kartki, zapisane gęsto ołówkiem, właśnie pod ten adres, mieszkanie dziadków koleżanki na Pradze, jedyny znany adres, z którego mógł skorzystać.

Nie tylko gotowość do dalszej walki prowadziła zbiegów skrobowskich prosto w szeregi partyzantki. Przejścia ostatnich miesięcy skłaniałyby ich raczej do szukania jakiejś spokojniejszej przystani, w której mogliby odpocząć. Rzecz w tym jednak, że nigdzie nie było wówczas dla nich takiego miejsca; byli tropioną zwierzyną, nie stać ich było na bierny odpoczynek —

musieli być groźni, aby zapewnić sobie jakie takie bezpieczeństwo. Widzieli i wiedzieli, że ciężko ranny po latach walki o wolność kraj jest teraz niewolony i dobijany. Więc nie tylko żądza odwetu, ale — paradoksalnie — obawa przed bezbronią zadecydowały o tym, że grupa zbiegów ze Skrobowa wstąpiła do nielicznego, ale po zęby uzbrojonego oddziału „Orlika”. Jego dwaj wysłannicy złożyli swemu dowódcy sprawozdanie z wywiadu przeprowadzonego wśród chłopców i obserwacji, które poczynili w ciągu kilku dni przebywania z nimi. Wnioski były pozytywne: chłopcy zasługują na zaufanie. Zaproponowano im więc wstąpienie do oddziału. Propozycję przyjęli jak akt wyzwolenia.

O samym „Orliku” nie wiedzieli wiele. Wiadomo było tylko, że dowodzi małym, ale bardzo aktywnym oddziałkiem, że w czasie okupacji hitlerowskiej walczył w partyzantce AK w okolicach Puław, że legitymuje się stopniem porucznika, że przed wojną był podporucznikiem rezerwy i w cywilu — nauczycielem. Z czasem przekonano się także, że z charakteru i obyczajów był typowym kondotierem, a z przekonań — chyba bliski kręgom skrajnie nacjonalistycznym.

III

W chwili przystąpienia „Skrobowiaków” do oddziału „Orlika” liczył on dwudziestu kilku ludzi. Przybyło 35-ciu, oddział więc wzrósł liczbowo znacznie, a poza tym nowoprzybyli, jak się okazało, stanowili jego najdzielniejszy, najbardziej bitny element. „Orlik”, jak sam zapewniał i o czym świadczyły liczne fakty, miał w bliższych i dalszych okolicach swoje rezerwy i swój „wywiad”. Dokładne informacje z terenu o aresztowaniach, o znęcaniu się nad ludnością, o wywózkach, o zadawaniu tortur, o donosicielach „Resortu” (tak wówczas nazywano sumarycznie wszystko, co miało związek z bezpieczeństwem, Informacją i NKWD) docierały do niego zewsząd i szybko, i obfitowały w szczegóły, nazwiska i miejsca pobytu sprawców zbrodni, zdrad i innych wykroczeń. Oczywiście w ówczesnych warunkach nikt nie mógł tych wiadomości sprawdzać i uwierzytelniać; nie wiadomo, ile z nich było rezultatem porachunków osobistych, a ile prawdziwych. O ich wiarygodności decydował wyłącznie „Orlik”, on sam zarządzał akcje odwetowo-karne i sam skazywał pojmanych na rozstrzelanie, nazywając to sądem polowym. Udział podkomendnych w takich sądzie polegał jedynie na wysłuchiwanie

jego oskarżeń, opartych na dostarczanych mu raportach, na przyjmowaniu do wiadomości jego decyzji co do kary oraz na wykonywaniu wyroku. Słowem, władza komendanta oddziału była absolutna, i choć po rozwiązaniu Armii Krajowej nie podlegał już nikomu, nadal uważał się za dowódcę partyzantki akowskiej. Choć wielu jego podkomendnych trafiło doń na zasadzie ucieczki przed prześladowaniami czy nawet śmiercią z rąk Re-sortu, oddział „Orlika” nie miał na celu ukrywania się czy „prze-trwania”, ale nastawiony był na nieustanne akcje bojowe, na aktywne przeciwdziałanie zbrojne sowieckiemu i prosowieckiemu terrorowi oraz objawom czynnej kolaboracji z nowym okupantem.

Przystąpienie „Skrobowiaków” do oddziału „Orlika” rozpoczęło się właściwie od nocnej przeprawy przez Wieprz — w po-święteczną środę — i wejścia do pobliskiej wsi Łysobyki. Na-deszła wiadomość, że komendantem milicji w tamtejszym poste-runku MO był okrutnik, który, jak mówiono, traktował ludzi dokładnie według metod Gestapo. Chłopcy rozbroili komenda-nta, po czym odprowadzono go do kwatery „Orlika”. Stamtąd ruszyli dalej. Rozpoczęły się wspólne akcje, jedna za drugą, niemal bez przerwy, bez odpoczynku. Niektóre zostały sprowoko-wane przez przeciwnika, inne były zamierzone, wynikały z inicja-tywy oddziału „Orlika”. Oto krótkie relacje o niektórych z nich.

Jedna z ważniejszych akcji odbyła się w kwietniu ok. 10 km od Żelechowa. Oddział udał się na kwaterę, chłopcy poukładali się do snu, na dworze szarżało. Minęło może pół godziny, kiedy wpadł wartownik: alarm. Zbliża się nieprzyjaciel. Ledwo zdążyli zerwać się ze snu i złapać za karabiny, otwierają się drzwi i wcho-dzi do izby oficer z pepeszą. Na kwaterze był m.in. adiutant „Orlika”, ubrany po cywilnemu, „Spokojny”. Kiedy nagle otwo-rzono drzwi, znalazł się — niewidoczny dla przybysza — między drzwiami a ścianą. „Kto wy?” — pyta oficer. „Wojsko. A wy?”. „Też wojsko” — i nagle odciąga zamek pepeszy: „Ręce do góry!”. Nie zdążył. „Spokojny” wychylił się i strzelił, ranny oficer zdołał uciec. Chłopcy rzucają się do okien — widać: biegiem zbliża się wojsko. Zaczęła się strzelanina. Nagle słysząc za oknami: „Strzelaj zapalającymi!”. Chałupa składała się głów-nie ze słomy i drewna. Wybiegają chłopcy od tyłu na podwórze, Zbyszek, obok Robert, stoją za ścianą chaty. I znów słysząc z pobliza: „Kolega, dawaj rakiety, idzie od wsi nasza tyraliera”. Jak się okazało, napastnicy umówili się, że rakietami dadzą znać pozostałym w oddaleniu, że „dobrze poszło” i że mogą już do-łączyć. Erkaemista nacierającego z bliska oddziału głośno poro-zumiewał się z towarzyszami broni. „Dawaj amunicję!”... —

zawołał leżąc osłonięty stertą kamieni. Zbyszek wycelował i przyłożył mu celnie w pięty. Chłopcy ruszyli, waląc z automatów i karabinów, i wkrótce już 65-ciu oblegających chałupę wzięli do niewoli... po czym wystrzelili rakiety. Zaczajeni z dala bezpieczniacy z Puław na widok umówionych rakiet ruszyli i wkrótce wszyscy w liczbie dziesięciu byli na miejscu. Spytał któryś z nich: „No i jak? Ciężko było? Ale poszło...”. W odpowiedzi i oni zostali ujęci i rozbrojeni. Po nich wzięto do niewoli następną partię — dziesięciu milicjantów. Około dziesiątej rano zjawiła się jeszcze jedna liczna grupa. I oni zostali „zwinięci”. Razem do niewoli dostało się 135-ciu. Był to połów rekordowo obfity. Okazało się, że przyczyną najścia był donos, który wpłynął do Resortu, informujący — zresztą zgodnie z prawdą — że w owej chałupie mieszkała dziewczyna „Orlika” i że on u niej bywał. Idąc tam, nie mieli pojęcia, że zastaną na miejscu partyzantów. Rannych napastników odstawiono do szpitala w Zelechowie; milicjanci zostali zwolnieni bez broni po tęgim laniu, czyli „postawieniu baniek”; funkcjonariusze bezpieczeństwa zostali rozstrzelani — taka była zasada postępowania „Orlika”. Ruskich puszczał zawsze wolno, nawet z bronią — tyle że bez amunicji. „Orlik” wyjaśniał, że „sowieców” jest za dużo i są za mocni — i dlatego traktował ich ulgowo, nawet enkawudystów. Miał też, niestety, inne zasady dotyczące traktowania szczególnej kategorii jeńców. Ale o tym nieco później.

Również w kwietniu doszły do partyzantki słuchy o torturach zadawanych ludziom na posterunku milicji w Adamowie. Dopuszczali się stale tych okrucieństw dwaj Ruscy — komendant *wojennego goroda*, lejtnant, i jego zastępca, starszyna. Oddział więc wyruszył do nich na akcję karną. Obu katów zastał na miejscu. Na biurku komendanta, natychmiast rozbrojonego, leżała długa, sztywna gumowa pałka, mniej więcej półmetrowej długości, na której końcu nabita była duża stalowa mutra-nakrętka, służąca do zadawania głębokich ran przy biciu aresztantów. „Co tym robisz?” — zapytano. Milczał. Ponowiono pytanie — nie chciał odpowiedzieć. W Adamowie był akurat dzień targowy, na rynku było sporo ludzi; chłopcy otoczyli targowisko, aby nie dopuścić do popłochu. Jeden z partyzantów, „Skrobowiak”, stanął na ganku posterunku, wychodzącym na plac targowy, trzymając narzędzie tortur w rękę. „Co *komandir* robi tą gumą? Do czego mu ona potrzebna?” — zapytał głośno, zwracając się do tłumu. „Bije nią ludzi! Tłucze bez litości!” — wołano z rynku. „No to teraz sam nią dostanie”.

Komendantowi wyznaczono 50 uderzeń, a jego zastępcy 25.

Nakazano zastępcy, by własnoręcznie wymierzył karę komendantowi. Starszyna ociągał się, nie chciał. Wobec tego jeden z partyzantów odmierzył mu 25 uderzeń, po czym starszyna, już skwapliwie, bez oporów, zadał komendantowi 50 uderzeń tą uzbrojoną żelazem gumą. Żona komendanta przybiegła z krzykiem; uciszono ją: „Ty nie wrzeszcz, ale ciesz się, że mąż ma tylko tyłek do wygojenia, bo za to co robił z ludźmi zasłużył na 'czapę'”. Byli na posterunku jeszcze inni funkcjonariusze, Rusczy. Zapytano ludzi: „A ci — jacy? Jak się zachowują?”. Odpowiedzieli mieszkańcy Adamowa: „To ludzie porządni, nie krzywdzili, wódkę z nami pili”. Ta opinia zdecydowała o ich losie: nic im się nie stało, zostawiono im broń bez amunicji. Jeszcze była przemowa dowódcy do ludności, która wiwatowała na cześć partyzantów. Po wykonaniu zadania oddział opuścił Adamów, ale po drodze wpadł im jeszcze w ręce major z Bezpieczeństwa w Łukowie. Miał swoje „konto”, jak twierdził „Orlik”, tzn. istniały świadectwa o jego groźnej działalności. Na rozkaz „Orlika” został rozstrzelany.

„Orlik” powiadomił swych partyzantów, że w piwnicach Urzędu Bezpieczeństwa w Puławach siedzą uwięzieni akowcy. Postanowiono uderzyć na bezpiekę 15 kwietnia i uwolnić aresztantów. W akcji wzięło udział aż około 120 osób. Część tej liczby ściągnięto w tym celu specjalnie z innych placówek. Przedsięwzięcie było szczególnie ryzykowne i trudne, wymagało też starannej reżyserii, a nawet — maskarady. Podejście do budynku UB odbyło się w następujący sposób: szła w cywilu kilkusobowa grupa udająca aresztantów — z bronią ukrytą pod kurtkami. Prowadziła ich umundurowana eskorta „Skrobówiaków” z karabinami w pozycji na „gotuj broń”. W ten sposób mogli dojść bezpiecznie aż do celu; musieli jednak mieć się bardzo na baczności ze względu na szczególnie złe, zagrażające powodzeniu akcji sąsiedztwo. Naprzeciw siedziby UB, w odległości ok. 100 m. znajdowała się tzw. „powiatówka” — komenda milicji, a w pobliskich koszarach, mieszczących się wówczas chyba w gmachu poszpitalnym — przebywało ok. 2 tysięcy „sowietów”. Zamiarem oddziału było takie przeprowadzenie akcji, by spowodować jak najmniej hałasu, który mógłby zaalarmować sąsiadów bezpieki.

Grupa uderzeniowa tej ekspedycji składała się z 14 ludzi, byli wśród nich Zbyszek i Zygmunt. Zbyszek z kilkoma kolegami zaszedł budynek od tyłu, gdzie znajdowało się wejście do piwnicznego więzienia. Zygmunt z pozostałymi otworzyli drzwi frontowe. Na czele szedł jeden z kolegów, przystrojony na tę

okazję w dystynkcje porucznika; miał on za zadanie udawać dowódcę grupy eskortującej „aresztowanych”. Zagroził drogę we drzwiach bezpiecziak — Rosjanin — w fufajce, z naganem u pasa. „Dowódca” zameldował mu doprowadzenie aresztowanych. „*Dokumenty!*” — zażądał ruski bezpiecziak. Fikcyjny dowódca grupy odwrócił się ze słowami: „*Porucznik, dawajcie dokumenty*” — i w tej samej chwili chłopcy wepchnęli Ruska do przedsionka; ten natychmiast sięgnął po nagana; po schodach z piętra zbiegł drugi w fufajce. Padły strzały, chyba wymierzone przez „placówkarzy”, tych ściągniętych z innych placówek, którzy mieli krótką broń; „Skrobowiacy” mieli ze sobą kabeki. Obaj bezpiecziacy zostali trafieni śmiertelnie. W powstałym tłoku i zamieszaniu zginął — według wszelkiego prawdopodobieństwa przypadkiem trafiony przez swoich — „Skrobowiak” Albin Sikorzak, syn przedwojennego komisarza policji z Siedlec, ciężko ranny w żołądek; zmarł w nocy. Zygmunt, noszący ciemnozieloną czapkę, odmienną od pozostałych, o mało nie został zabity przez jednego z placówkarzy. „Skrobowiacy” byli w mundurach ludowego wojska, o omyłkę było nietrudno. Kilku pobiegło na górę, granatami rozwalali pozamykane drzwi, na dworze rozgorzała strzelanina, było coraz głośniej. Ktoś krzyknął: „wycofać się!”. Całą akcją dowodził „Orlik” w mundurze, bardzo spokojny i rzeczowy. Komuś zaciął się karabin, cisnął nim o ziemię. „Orlik” podniósł broń, usunął zacięcie, oddał: „Weź, będzie ci jeszcze potrzebny”.

Z przeciwka, z balkonu na pierwszym piętrze zaczęli pruć z pepesz dwaj sowieccy oficerowie. Jeden ze „Skrobowiaków” wycelował, strzelił; jeden z oficerów padł, drugi wciągnął go z balkonu do środka. Wszystko razem, od chwili nadejścia do bezpieki, trwało od 15 do 20 minut. W tym czasie Zbyszek z kolegami uwalniał więźniów z piwnic. Było ich trzydziestu pięciu — wszyscy mieli ręce związane drutem kolczastym wbijającym się w ciało; tylko czterej byli z AK, pozostali byli cywilami, m.in. handlarzami wyciągniętymi z pociągu. Było też kilka kobiet. Paru z nich było w strachu, chcieli wracać do piwnicy, bali się represji.

Na akcję partyzanci przyjechali dwoma Studebakerami, które „zdjęli” z szosy koło Żyrzyna. Teraz „Orlik” nakazał odwrót w kierunku lasu. Byli już tuż pod lasem, wchodzili między jego pierwsze drzewa, kiedy od koszar zaczęło strzelać działo. Co najmniej jeden sowiecki pluton z RKM-ami ruszył w pościg. Dobiegł jakiś młodszy lejtnant, któremu Robert zabrał nagan i kazał biec razem, ale on ociągał się i nie usłuchał. Nie było czasu; Robert

uderzył go, nakazując bieg. „Kogo ty bijasz, ruskiego oficera?”. Dopiero po drugim pchnięciu usłuchał: „Pan nie bij”. Strzały rozległy się jeszcze gęsto, potem działa umilkły. Przez las przedostali się wszyscy do wsi Bobrowniki na kwatery. Sowiecki lejtnant został wypuszczony — zgodnie z zasadami „Orlika”.

Po sukcesie akcji koło Żelechowa, w której wzięto 135 jeńców, zdarzyła się symptomatyczna i wstrząsająca historia. Wśród ludzi którzy dostali się w ręce „Orlika” był Żyd z UB. Naza jutrz przybiegł do kwatery chłopiec, 14-letni brat owego jeńca, aby go wykupić. Przyniósł ze sobą 10 tysięcy złotych. „Orlik”, który bezpieczeniaków z reguły rozstrzeliwał, tym razem zabił nie tylko jeńca, ale i jego młodzieńczego brata. Ten fakt wstrząsnął Zbyszkim, Robertem — i nie tylko nimi. Chłopiec został zabity jako Żyd. Jeszcze niejednokrotnie miało się okazać, że prócz ubeków była dla „Orlika” jeszcze jedna kategoria potencjalnych skazańców: Żydzi. Stawiał on znak równania między bezpieczeniakiem a Żydem. Jaka była przyczyna tego stanowiska? Czy tylko post-oenerowskie skłonności „Orlika”, jego osobisty antysemityzm? Z pewnością, bowiem żadne inne motywy — choć może istniały — nie mogą w pełni wyjaśnić tej ponurej zagadki. Faktem jest, że w tym okresie, pod koniec wojny, na terenach, z których wyparto Niemców, właśnie Żydzi, niedobitki wymordowanego narodu, stanowili tę nieliczną grupę, która najszczerzej witała Armię Czerwoną jako wyzwolicielkę, gwarantkę ich ocalenia i powrotu do życia. Toteż w dniach i miesiącach powojennego bezrządu, rozpanoszonej przestępczości, osamotnienia wśród często obcego otoczenia, walk „nowej władzy” z resztkami patriotycznego oporu, ciągłego zagrożenia — słowem wśród całego tego dramatycznego rozprzężenia — ocaleni Żydzi szukali wsparcia i ochrony właśnie w sowieckiej władzy, po niej spodziewali się zapewnienia im życia, tak zagrożonego przez dopiero co zakończone lata masowego ludobójstwa. Nie musiało to wcale wynikać — i w większości wypadków nie wynikało — z prokomunistycznych sympatii. Wystarczającym motywem była potrzeba wyjścia z bunkra, z kryjówki, w której przesiedzieli lata — i powierzenia swego osobistego bezpieczeństwa jedynej wówczas realnie istniejącej władzy. Chodziło o cudem ocalone życie. Czy ta zrozumiała potrzeba rodziła jeszcze jakieś inne zależności? Czy NKWD żądało zapłaty, wymagając specyficznych usług od „podopiecznych”? Zapewne i tak się mogło zdarzać, jak się zdarzało bynajmniej nie wśród Żydów właśnie, ale wśród chłopów czy robotników. Przecież większość agentów i bezpieczeniaków którzy wpadli w ręce „Orlika” nic wspólnego z Żydami nie

miała. Ale hasło, że „Żydzi są wszystkiemu winni”, odświeżane przy różnych okazjach, miało chyba w „Orliku” swego wyznawcę i głosiciela.

Zbyszek, amator-fotograf, dokumentalista nędzy getta warszawskiego, ten, który w 1943 roku przemyślał — bezskutecznie zresztą — wraz z przyjacielem, jak by przyjść z pomocą powstańcom żydowskim, nie mógł patrzeć spokojnie na tę stronę działalności dowódcy. Na dzień 1 maja „Orlik” urządził w biały dzień mityng w Kocku. Rosjanie ukryli się i zastrzelili jednego kolegę. „Orlik” wygłosił przemowę do ludności. Potem zabrał jednego Żyda, twierdząc, że z pewnością jest on z Bezpieczeństwa. Żyd zaprzeczał, zaklinał się, że nic podobnego. Został zastrzelony. Był to Kock, miasteczko polskiego patrioty, bohaterskiego Żyda, Berka Joselewicza. Zbyszek nie mógł nie skojarzyć sobie tamtej historii z tym, co się stało w Kocku na jego oczach. Robert, jego kumpel z tej samej przyczyny w Skrobowie, także nie mógł pozostać obojętny. Opowiadał, jak w 1942 roku udało mu się uratować z obozu przejściowego w Lublinie przy ul. Krochmalnej dwie schwymane przez Niemców dziewczyny żydowskie, dwie siostry, lwowianki.

Wyczerpany nerwowo do ostateczności Zbyszek czuł się coraz gorzej i coraz wyraźniej dostrzegał, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Wprawdzie „Orlik” pilnie strzegł, by do oddziałów nie przedostały się żadne wiadomości ze świata, żadna gazeta ani wiadomość radiowa, ale nie na wiele się to zdało. Któregoś wieczoru chłopcy zobaczyli na nocnym niebie całe pęki rakiet, barwnych fajerwerków. Nie mieli pojęcia, co ta zabawa może oznaczać. Później dopiero któryś z nich dowiedział się we wsi, że wojna się skończyła i stąd właśnie to świątecznie upstrzone światłami niebo. Wojna się skończyła, ale trwała nadal. Pewna kobieta z pobliskiej wsi, którą Zbyszek odwiedzał w wolnych chwilach, kupowała na jego prośbę w miasteczku środki uspokajające i „Pervitin” czy „Psychedrynę” — leki sztucznie pobudzające, likwidujące senność i znużenie. Łykał te leki coraz częściej, były dla niego doraźnym ratunkiem i wsparciem. Znajoma kobieta, jeżdżąc z rzadka do Warszawy, zawoziła na Pragę listy od niego — podał jej jedyny adres, który znał i wiedział, że jest aktualny. Wracając stamtąd z odpowiedzią od dziadków naszej koleżanki, przywoziła wiadomości o tym, że Warszawa nie istnieje, ale już się tam coś w ruinach zaczyna krzątać. Tutaj wojna trwała nadal.

Trzy plutony „Orlika” napotkały pod Kockiem samochód UB z Łukowa, a w nim — 22 bezpieczeniaków. Chłopcy byli na

samym skraju lasu. Wszyscy pozostali byli już niewidoczni z drogi, w gęstwinie, tylko czterej szli jeszcze brzegiem. Samochód zatrzymał się, bezpieczniacy otworzyli ogień. Jeden pluton zawrócił lasem ku drodze i puścił serię za serią. Wszyscy napastnicy poddali się w przydrożnym rowie, leżąc z uniesionymi karabinami i czapkami na lufach. Czterech zabitych ubeków zostało przy drodze, pozostałych osiemnastu pluton zaprowadził do lasu. W jego głębi odbył się na poczekaniu sąd polowy. „Orlik” miał zapiski o wszystkich, a w nich dość szczegółowe, obciążające ich dane, które odczytywał z kartek. Pięciu z nich uniewinnił, uzasadniając to mniejszymi rozmiarami ich przewinień. Pozostałych trzynastu rozstrzelano.

Były jeszcze inne liczne akcje. Na przełomie kwietnia i maja przeprowadzono w Żyrzynie pomyślnie zakończoną akcję na bezpiekę, która szalała na tamtym terenie i bardzo dała się we znaki ludności. W czasie akcji w Rykach zabrano z gorzelni ok. 10 tysięcy litrów spirytusu. Zapas ten później zamieniany był na gotówkę i żywność. W czasie wycofywania się z miasteczka na oddział uderzyła milicja, ale ostrzelano napastników z pobrzeża lasu i wszystkich kilkunastu schwytano. W Końskowoli przeprowadzono napad na mieszkanie funkcjonariuszy UB w celu ich ujęcia, ale skończyło się na zdemolowaniu i przeszukaniu mieszkania, które było w tym dniu puste.

Na początku czerwca 1945 Robert, wykończony nerwowo i przekonany, że dalsze działanie w partyzantce staje się bezcelowe, że jest masową masakrą i zbiorowym samobójstwem, postanowił wycofać się i poprosić „Orlika” o zwolnienie z obowiązków. Zbyszek, nadrabiający miną, ale znajdujący się w nielepším stanie ducha, liczył na urlop, o czym zawiadomił w liście przekazanym znajomym na Pradze. Pisał: „Nocami maszerujemy, w dzień tłuczemy wszy. Jakoś tam be”. Mówił Robertowi, że też by odszedł, ale nie ma dokąd. „Orlik” rozpowszechniał wiadomości, jakoby powtórny wybuch wojny był nieunikniony, że stanie się to wkrótce, lada dzień, że trzeba będzie dopomóc aliantom w walce, która przyniesie wreszcie krajowi wolność. Takie prognozy szerzyły się wówczas nie tylko w lesie i chyba chłopcy, mimo wyczerpania i depresji, dowierzali im trochę. W liście przekazanym na Pragę w pierwszych dniach czerwca Zbyszek radził i ostrzegał: „Uważajcie Państwo, może przeniesiecie się w jakieś zacisze, bo wkrótce tam u Was będzie gorąco”.

Pod presją zacieśniających się obław, w toku beznadziejnie przedłużających się walk „Orlik” usiłował zwalczać objawy roz-

przeżenia w swoich oddziałach: starał się przy pomocy optymistycznych wróżb podnosić podupadającego ducha, karać występki, strzec resztek praworządności w stosunkach z ludnością. Był wśród chłopców w lesie — i jeszcze w Skrobowie — młody człowiek, który od 14-go roku życia więziony był w Majdanku; w czasie ostatecznej likwidacji obozu ukrył się w tzw. przepuście — rurze pod drogą; nigdy przedtem nie miał nic wspólnego z partyzantką. Przeżycia sprawiły, że był niezrównoważony psychicznie; jedyne, co umiał naprawdę, to kraść; uchodził za mistrza w tej dziedzinie. Inny partyzant, zwany „Kozłutka”, pochodzący z 27 Dywizji Wołyńskiej AK, również nosił trwałe ślady straszliwych przeżyć. Na Wołyniu ukraińscy nacjonaliści zabili mu całą rodzinę; w odwet „Kozłutka” wymordował przy pomocy bagnetu całą rodzinę Ukraińców. Nigdy już nie odzyskał równowagi psychicznej; będąc u „Orlika” puszczał się na „bandziorkę”, za co „Orlik” skazał go na śmierć i „Kozłutka” został rozstrzelany.

Żywność partyzantka otrzymywała ze wsi. Wieś była zobowiązana jej dostarczać, ale wyłącznie odpłatnie. Nie wolno było zabrać ani jednego jajka, nie zapłaciwszy ceny rynkowej. Zdarzali się gospodarze, którzy nie chcieli zapłaty, ale i ci musieli przyjąć dokładnie wyliczoną należność. Narastający terror безпеکی wobec ludności cywilnej podejrzewanej o współdziałanie z partyzantką, czyli, według nomenklatury oficjalnej, z „reakcyjnymi bandami”, sprawiał, że po wsiach narastał strach, a obawa przed mnożącymi się represjami skłaniała niektórych do unikania kontaktów z partyzantką. Na razie nie było to jeszcze zjawisko powszechne, ale z czasem, przez następne dwa lata, miało się nasilić.

W dniu 1 czerwca 1945 dostarczono do oddziałów butelki zapalające i gamony do zwalczania czołgów i wozów pancernych. Broni tej dotychczas nie było. Robert, jako znający się na rzeczy, uzbroił „Orlikowi” 50 gamonów. Była to jego ostatnia czynność w partyzantce, niejako — czyn pożegnalny. W rozmowie z „Orlikiem” przedstawił swój zamiar opuszczenia oddziału. Mówił o swoim stanie, uniemożliwiającym dalszą walkę, wspominał o tym, że nie może zapomnieć wypadków zastrzelenia Żydów, którym nie dowiedziono żadnej winy, za to tylko, że byli Żydami. Oświadczył, że chce odejść do Nałęczowa, gdzie mieszka z rodzicami jego narzeczoną. „Orlik” wyraził zgodę i przystał na to, że Zbyszek odprowadzi Roberta do Nałęczowa, gdzie odbierze od niego broń, aby wrócić z nią do oddziału. Tak się też stało i Zbyszek zatrzymał się na dwa dni wraz z Robertem w Nałęczowie.

Właśnie w tym czasie, po ich odejściu, rozpoczęła się w lesie stockim wielka bitwa. Przeciwno „Orlikowi” wyruszyło ponad 500 żołnierzy, KBW i UB — oraz 5 czołgów. Partyzanci byli już wówczas świetnie uzbrojeni; oprócz innej broni mieli zrzucone RKM-y M.G.42, zdobyte w Afryce na Rommlu, po jednym na trzech. Gamony i butelki poszły w ruch. Skończyło się pośpiesznym odwrotem wojsk. Trzy czołgi zostały spalone. Zbyszek i Robert widzieli przez okno domu w Nałęczowie jeden z etapów tego odwrotu i dwa ocalałe czołgi, które wycofały się po przegranej bitwie. Po dwóch dniach odpoczynku Zbyszek, pożegnawszy się — jak się okazało: na zawsze — z przyjacielem, powrócił z jego bronią do oddziału. Był dzień 7 czerwca 1945 roku. Po dziewięciu dniach napisał ostatni list do znajomych, prosząc m.in., aby, jeśli zginie, zatajono jego śmierć przed matką. Po dziesięciu dniach od tamtej daty — dnia 17 czerwca — zginął w czasie nieudanej akcji, trafiony w brzuch serią z nieprzyjacielskiej pepeszy. Chciał jeszcze odbezpieczyć granat, aby się dobić, ale zabrakło mu sił, ręka odmówiła posłuszeństwa. Przewieziony przez jakiegoś chłopca na wozie z sianem do stodoły, zmarł przed udzieleniem mu jakiegokolwiek pomocy. Koledzy pochowali go w lesie, a później przeniesiono zwłoki na cmentarz w Rykach, gdzie spoczął pod fałszywym nazwiskiem.

Grupa „Orlika” działała nadal, chyba do 1947 roku. Krążyły wieści o schwytaniu „Orlika”, inne — o zabiciu go, jeszcze inne — o postrzeleniu tylko. Nie znam prawdy o jego losie. Chodziły słuchy, że żyje i mieszka w Lublinie. Grupa przestała istnieć. Chłopcy od dawna wiedzieli, że ich obawy przed wywiezieniem ze Skrobowa dawno już się ziściły: wszyscy pojechali do łagrów na Syberii. Podobno po latach ktoś ze Skrobowiaków wrócił stamtąd do kraju. Większość została w tamtejszych śniegach. Ci, którym udało się ocaleć po wyjściu z grupy „Orlika”, czy po jej likwidacji — częściowo usłuchali namów do „ujawnienia się”, co miało im gwarantować bezpieczne życie. Niektórym — prowokacyjnie — zezwolono na pozostawienie sobie krótkiej broni. Rychło zaczął się następny akt zagłady: ujawnionych wyłapywano, stawiano przed sądami wojskowymi, skazywano, często na śmierć. Część wykończono wyrokami, większość zlikwidowano za pomocą odgórnie nakazanych skrytobójczych zamachów. Nielicznym udało się ominąć ten ostatni etap eksterminacji. Jeszcze mniejsza liczba zdołała przeżyć więzienie i odzyskać wolność w 1956 roku, w okresie postalinowskiej „odwilży”. Wyszli z za krat ze zrujnowanym zdrowiem. Zygmunt, ów przy-

jaciela Zbyszka i Roberta, był osądzony (mimo statusu „ujawnionego”, gwarantującego mu rzekomą nietykalność) i skazany na śmierć. Przeżył i już w 70-tych latach zmarł na serce, mając niespełna 50 lat. Niszczono całe osady związane ze środowiskami akowskimi. Tak np. w 1947 roku bezpieka spaliła doszczętnie miasteczko Wąwolnica pod Nałęczowem — podpalono je nocą, jednocześnie ze wszystkich stron. Stamtąd właśnie rekrutowało się wielu żołnierzy AK.

Matka Zbyszka — i poległego w Powstaniu starszego syna, Staszka — przeżyła go o kilkanaście lat. Jeszcze przez parę lat po wojnie była wzywana do UB i wypytywana o losy syna, o jego miejsce pobytu. Ubecy nie odnotowali sobie faktu jego śmierci w boju. Sądziła, że nadal im zagraża jego utajona obecność. Niechaj im zagraża jego tragiczna nieobecność, pamięć o nim i jemu podobnych, którą starałam się utrwalić w tych notatkach — dziś, kiedy urodzeni w roku jego śmierci są już prawie dwa razy starsi od niego. We wspomnieniach tych oprócz blasków bohaterstwa nie brak i cieni podłości. Był to przecież finał i agonia zbrojnego ruchu niepodległościowego, miażdżonego — wraz z całym społeczeństwem — przemocą obcej władzy i narzuconego systemu. Warto o tamtym dramacie pamiętać — dziś, kiedy nowe pokolenia Polaków pielęgnują ocaloną mimo wszystko nadzieję.

Stanisław JERZMANOWSKI

Zofia ŻOŁTOWSKA

POŁONIA KUJBYSZEWSKA

O mieście Kujbyszewie na pewno nikt z Polaków przed rokiem 1942 nie słyszał. O Samarze natomiast już się coś słyszało, a niejeden Polak odnajdzie ją w swoich wspomnieniach, jeśli zechce mu się pogrzebać we własnych przeżyciach sprzed lat 30-40. Zmiana nazwy nastąpiła w 1936 roku ku czci jednego z wybitnych członków rządu sowieckiego.

M. Gorkij, który mieszkał w Samarze w 1895 roku, w felie-

tonach swoich z tego okresu z obrzydzeniem pisze o tym mieście jako o najbardziej zabłoconym i zakurzonym, a o mieszkańcach jako o ludziach ordynarnych, bez żadnego polotu:

„Obywatele razem ze swymi samorządcami żyją po uszy w błocie i oddychają powietrzem przepojonym zgnilizną i rozkładem”.

„Śmiertelniku, wchodzący do Samary z nadzieją spotkania tu kultury, Zawróć z drogi, gdyż miasto to jest ordynarne i ubogie, Cenią tu tylko bydło, znają wartość słoniny i skór, Ale nie umieją ocenić dróg, wiodących do celów wzniosłych”.

Do tego to miasta, o dużych tradycjach rewolucyjnych z 1905 i 1917 roku, przeniosła się w połowie października 1941 — po krótkim pobycie w Moskwie — ambasada polska, i tu osiadła na dłużej, tak samo jak i cały korpus dyplomatyczny, prezydent Kalinin, sowieckie MSZ i wiele innych urzędów.

Gdy po 5 dniach uciążliwej podróży pociągiem personel ambasady dotarł wreszcie do Kujbyszewa, przywożąc z sobą wielki bagaż rzeczy osobistych i urzędowych, gdy zobaczył zabłocony, brudny dworzec kolejowy, następnie miasto, złożone w przeważnej części z niewielkich zaniedbanych drewnianych domów, strach obliczać wszystkich, że lokal będzie podły, o spróchniałych podłogach, brudnych ścianach pełnych robactwa itd. itd.

Jakież było miłe zdziwienie, gdy ukazał się murowany spory domek jednopiętrowy, z garażami i ogródkiem, z zewnątrz i wewnątrz odświeżony, biały i czysty. Ale za to... nieumeblowany. Stało w nim kilkanaście żelaznych łóżek, stosy cienkich materaców i kilkadziesiąt krzesełek.

Podzielono się tym dobytkiem i rozmieszczono po kątach, jak kto mógł. Większość przez kilka tygodni spała na podłodze na 2-3 materacach.

Stopniowo i z trudem nabywano łóżka, szafy, biurka i stoliki do pracy. Ukazały się nawet „ozdobne” kredensy seryjnej roboty, bardzo pożyteczne do wszelkiego użytku.

Gdy wkrótce zaczęli zjeżdżać ludzie z różnych stron, zniknęły podwójne materace, zabrakło kątów do spania, zrobiło się ciasno.

W największej sali stało 20 łóżek. Niektóre z nich miały po trzech właścicieli, którzy spali na zmianę. Gorzej było, gdy któryś z akcjonariuszy zachorował.

Pokój ambasadora (3,5×4 m) służył jednocześnie za sypialnię, gabinet do pracy, salon i prywatną jadalnię. Ażeby mógł sprostać tym różnorodnym celom, wyposażony został w zwykłe

żelazne łóżko, jeden z kredensów opisanych wyżej, biurko, a raczej złożone części kilku biurek, źle dopasowane, o wędrującym blacie i rozjeżdżających się kolumnach; kilka krzesełek dopełniało umeblowania. W odległości trzech metrów od okna — wysoki mur sąsiedniego domu, chroniący dostojnego lokatora od słonecznych promieni i dopływu świeżego powietrza.

W sąsiednim pokoju ustawiony był odbiornik radiowy, z którego specjalny urzędnik czerpał do 1-ej w nocy natchnienie do codziennych komunikatów, wywieszanych do ogólnej wiadomości personelu ambasady. W tymże pokoju sypiał woźny ambasadora, a nieraz i przygodni goście, na materacu na podłodze.

W innych pokojach mieszkało po kilka osób, wypełniając sobą i swoimi rzeczami przeciętnie po 4 metry kwadratowe powierzchni. Rzeczy rozmieszczone częściowo we wspólnych szafach na korytarzu, częściowo wiszą na gwoździach przy łóżku, reszta — w walizkach, stanowiących umeblowanie i upiększenie pokoju. Panie, za pomocą małych półeczek i różnych drobiazgów, zatały nieco surowość koszarowego stylu swych sypialni.

Łazienka, tak jak i W.C., jedna na kilkadziesiąt osób, dawały obfity temat do rozmów, uzaleń się i dowcipów. Wszystko prawie codziennie się psuło, a że wodociąg tu w ogóle działał najchętniej tylko w nocy, ta dziedzina życia stała się problemem tragi-komicznym.

Praca odbywała się w natłoczonych pokojach biurowych, w korytarzach, w jednej z niefunkcjonujących łazienek i w stołowym pokoju (przejściowym).

W tych warunkach życie a szczególnie urzędowanie stały się niemożliwe.

Wówczas skorzystano z zapowiedzianej wizyty generała Sikorskiego i zażądano kategorycznie od władz sowieckich przydzielenia drugiego domu, dla odciążenia gmachu, w którym miał zamieszkać premier.

Drugi dom został przydzielony, ale tym razem żadnych miłych niespodzianek nie było.

W ten sposób — po odmalowaniu i reperacjach — powstał tzw. „folwark”, w którym rozlokowały się biura *attaché* wojskowego i zamieszkała część urzędników i większość „rezydentów” ambasady. W jednym z pokoi powstał od razu szpitalik: okupowało go przez dłuższy czas trzech ciężko chorych. W sionce, z której szły drzwi na schody, do kuchni i do wszystkich pokoi na pierwszym piętrze, zamieszkały w kącie na podłodze dwie małe dziewczynki, zgubione przez rodziców na dworcu.

Nocowały tam również i inne osoby, których nie można było od razu ulokować inaczej.

Nie na tym się jednak kończyła kujbyszewska Polonia.

Przez miasto to ciągnęły, koleją i rzeką, liczne transporty obywateli polskich, którzy z północy gнали na południe, uciekając przed mrozami. Niektóre z tych transportów pozostawały w Kujbyszewie.

Ludzi tych władze sowieckie umieściły w budynku szkolnym, gdzie pokotem spali na podłodze.

Wyekspediowanie ich ze „SZKOŁY” dalej było niełatwe. Rzeka zamarznięta, koleje przeciążone z powodu ruchów wojsk i dostaw dla armii. Na „szkołę” nakładano bezustanne kwarantanny, bo choroby i zgony nie ustawały. Na podwórku stały przygotowane trumny, a wśród nich bawiły się beztrósko dzieci...

Pewien procent tej grupy stanowili Polacy mojżeszowego wyznania. Żydzi jak to Żydzi, szukają zawsze sposobu *comment s'asseoir le plus confortablement possible dans une situation peu confortable*. Pewna rodzina wynalazła oryginalny system podwójnej asekuracji w obliczu niepewnej przyszłości. Nie jest praktycznie być w ZSSR polskim Żydem, toteż dobrze jest ochrzcić dziecko na katolika. Ale co zrobić, jeżeli będzie okazja wyjechać do Palestyny? W tym wypadku praktyczniej jest być Żydem. Jest na to sposób. Ochrczone dziecko poddaje się rytualnemu obrządkowi obrzezania. Takie proste, a takie genialne!

W pierwszym okresie poamnestyjnym generałowie, politycy, działacze i inni obywatele polscy, przy opuszczaniu więzienia otrzymywali od władz sowieckich nowe porządne ubrania, sporą kwotę gotówki i umieszczani byli w luksusowych hotelach w Moskwie. (Niestety, po jakimś czasie rachunki hotelowe przywędrowały do ambasady).

Natomiast przybysze z obozów karnych i posiołków, oraz wypuszczeni z więzień w czasie późniejszym — zjawiali się do ambasady w strojach przepojonych atmosferą, w której spędzili ostatnie kilkanaście miesięcy.

Zachowali oni przez długi czas zwyczaj skrzętnego zbierania i przechowywania przedmiotów, na pierwszy rzut oka zupełnie bezużytecznych, jak kawałki drutu, resztki tytoniu z papierosów, stare pudełka metalowe itp., w miarę możliwości robili prywatne zapasy żywności.

Pierwsi ludzie „z terenu” uzupełnili braki swej garderoby z zapasów „londyńczyków”. Następne jednak partie, te najliczniejsze, chodziły w dość dziwacznych strojach, nieznanym w kra-

jach zachodnioeuropejskich: *fufajkach, tietogriekach, łapciach, walenkach*.

Rewolucję w tych strojach zrobić transport darów angielskich i amerykańskich. A że i czupryny zaczęły odrastać na ostrzyżonych krótko czerepach i fryzjer niedaleko, urzędnicy i goście zyskali na elegancji i wytworności.

Po przybyciu do ambasady dla ludzi tych jednym z ważnych problemów stawało się odżywianie. Skromne posiłki spożywane w „kasynie” drażniły tylko ich podniebienia. Możliwości kupienia jedzenia na mieście nie istnieją. Do jedynej restauracji w jedynym hotelu wstęp dozwolony tylko urzędnikom „zarejestrowanym”. Toteż tylko nieliczni mogą korzystać z tej instytucji, by zaspokajać wybujałe apetyty czarnym kawiozem, rosołem z pierożkami, siomgą, pożarskim kotлетem, kompotem z pigwy, czasem ciastkiem, no i... wódką. Niezarejestrowani pracownicy czasowi i przygodni goście radzą sobie, pożyczając przepustki od urzędników, wbrew zakazom, i też chodzą na podwieczorki lub na drugą kolację do restauracji. Każda taka wyprawa trwa parę godzin, bo na wszystko trzeba bardzo długo czekać.

W warunkach tutejszych prowadzenie „kasyna” ambasady jest skomplikowaną łamigłówką. Na 50 osób, otrzymujących przydziały żywnościowe, żywi się 130 lub więcej. Na targu trudno coś dostać, a jeżeli i ukazuje się jakiś produkt, to sprzedawany jest po cenach „twardych”, czyli dwudziestokrotnie wyższych od cen tzw. handlowych. Kupienie większej ilości jakiegoś produktu natrafia na duże trudności. Niezłym talizmanem w wyprawie na targ lub na wieś do kołchozów jest butelka wódki i paczka tytoniu. Taki system nosi tutaj nazwę *po błatu*.

Toteż nie można się dziwić, że *menu* posiłków w kasynie jest z reguły skromne, a czasem dosyć oryginalne.

Na tym tle występuje jaskrawo teoria względności. Osoby, które tu przybyły z Anglii, z warunków lepszych, mizernieją, często chorują, stają się nerwowe. Natomiast urzędniczy i urzędnicy rekrutowani spośród obywateli polskich wypuszczonych ostatnio z więzień, obozów pracy i posiołków, po przyjeździe do ambasady, jakkolwiek z początku jeszcze często chorują, jednak w ciągu kilku tygodni wracają do sił i zdrowia, a w krótkim czasie mogą być uważani za okazy zdrowia. Zwłaszcza młode kobiety stają się tęgie, rumiane, nie mieszczą się w żadne suknie, kwitną po prostu urodą, zdrowiem i radością życia.

W dużym sklepie „uniwersalnym” zaraz po przyjeździe można było nabyć prześcieradła, obrusy, chusteczki, bieliznę, drewniane półeczki i ramiączka do ubrań, torebki, kolorowe ołówki,

tacki malowane, dywany i wyroby jubilerskie. Co jakiś czas ukazywały się partie materiałów, ale dopchać się do nich było bardzo trudno.

Wkrótce sklep opustoszał, a dla korpusu dyplomatycznego otwarto elegancką filię, gdzie w ograniczonych ilościach, na książeczkę, służącą jednocześnie jako prawo wstępu, można było coś niecoś kupić. Lecz i ten sklep został w niedługim czasie zamknięty „dla zrobienia inwentarza”; robiono ten inwentarz około dwóch miesięcy.

Istniał tu również sklep jubilerski, gdzie z początku było sporo ładnych rzeczy. W innym znów sklepie — okazjnym — można było przypadkowo kupić coś ładnego lub pożytecznego: futro, porcelanę, stary frak lub mosiężny kran. W sklepie muzycznym są do sprzedania stoły bilardowe, membrany do patefonów i płyty, oraz naturalnej wielkości posągi wybitnych osobistości sowieckich. W kilku księgarniach można znaleźć obfitą literaturę komunistyczną i wiele dzieł naukowych i popularnych oraz praktycznych podręczników z dziedziny mechaniki, budownictwa, inżynierii, wszelkiego przemysłu i gospodarstwa hodowlano-rolniczego. Spotyka się i książki polskie: trochę klasyków, trochę beletrystyki pokrytej pleśnią wieków, stare albumy, Kłaczki „Wieczory Florenckie”, Matuszewskiego „Słowacki a nowa sztuka”, „Rzym” Chłędowskiego, literaturę komunistyczną i broszury antyreligijne w języku polskim. Źródłem literatury polskiej w tutejszej bibliotece centralnej była biblioteka „Polskiego Klubu Robotniczego im. F. Dzierżyńskiego w Samarze”.

W sklepach z meblami najczęściej jest kanap i kredensów seryjnej roboty.

Po pewnym czasie nastąpiło ponowne otwarcie sklepu dyplomatycznego, który został podzielony na dwa działy. W jednym kupuje się na kartki (za cały półroczny kontyngent kartek można nabyć np. dwie koszule); w drugim — na książeczkę, po cenach czterokrotnych. Wszystkie najdrobniejsze nawet zakupy wymagają licznych formalności kontrolnych.

Mówiąc o handlowej dzielnicy Kujbyszewa nie należy zapominać o zakładach fryzjerskich, których jest dużo. Przez szyby widać tłumy kobiet i mężczyzn, doprowadzających do porządku swoje ręce, głowy i twarze.

Najbardziej ożywiony handel odbywa się na tzw. rynku cygańskim. Rynek położony jest za miastem. Przed bramą stoją wozy z sianem, a obok jakieś smutne cielę. Co ono tu robi? Przecież nie wolno sprzedawać bydła. Zaraz za bramą zwiedza-

jący włazi w błoto, z którego już nie wychodzi przez cały czas zwiedzania.

Tłum ludzi ogląda przechodzące z rąk do rąk jakieś pojedyncze przedmioty. Półgłosem pyta każdy o cenę, a otrzymawszy odpowiedź kręci smutnie głową i brnie dalej. Przykuwa oczy lśniący nikłowy samowar (2.500 rubli), dalej zainteresowanie ogólne wzbudzają męskie buty z cholewami, zdaje się nowe (4.000 rubli), obok spodnie używane dla chłopca (400 rubli), ronderek stary aluminiowy (250 rubli), ktoś w rękę trzyma kawałek zwykłego mydła (120 rubli), jakaś dziewczynka sprzedaje kilka metalowych łyżek, po 15 rubli każda, tłum kobiet obstał kobietę sprzedającą 5-metrowy kupon płótna półjedwabnego różowego (1.300 rubli), trzeba uważać pod nogi, bo na ziemi, na starej gazecie, rozłożone są kramiki z guzickami i igłami. Można tam nabyć złote balowe pantofelki, mocno zniszczone, i sporo poszczególnych części składowych używanego ubrania.

W drugiej połowie rynku stoją podłużne zabudowania drewniane, w których co jakiś czas zabarykadowują się kołchoźnicy, sprzedają coś z nabiału i coś z jarzyn. Długie kręte ogonki stoją przed budynkami, a dla utrzymania porządku i uniknięcia nadużyć każdy czekający ma wypisany ołówkiem na poślinionej dłoni swój numer. Nie należy zniechęcać się długim czekaniem. Czasem po 8 godzinach braknie towaru i część zrezygnowanych odchodzi, a w pół godziny później okazuje się, że jeszcze są jaja lub kartofle do kupienia.

Cały ten rynek jest tolerowany przez władze.

W lutym, na przekór krążącym pogłoskom o powrocie na wiosnę do Moskwy, ambasada sprowadziła ze swojego gmachu w Moskwie do Kujbyszewa meble, dywany, łóżka, pianino, lodówki i wiele innych rzeczy.

Każdy pokój sypialny otrzymał kilka miękkich krzesełek, fotel, porządny stół, a nawet dywan. Biura otrzymały szafy i biurka. Pokój ambasadora nabrał reprezentacyjnego wyglądu, a sąsiedni zamieniono na wytworny salonik w stylu Louis XVI.

Mimo takiego wzbogacenia się placówki w meble, zawsze jest kilka osób śpiących na podłodze.

Najzdrowszym i najprzyjemniejszym sezonem okazała się tutaj zima, mimo całej swojej srogości.

Wszystko pokryte grubą śnieżną warstwą. Dachy drewnianych — niegdyś ozdobnych — domków giną pod nawisającymi zwalami śniegu. Na ulicach, wzdłuż chodników ciągną się białe kordyliery. Wyboiste jezdnie — wyrównane. Powietrze mroź-

ne, czyste. Temperatura spada poniżej — 40° C. W mieszkaniach jest dosyć ciepło.

Na ulicę wychodzą naturalnie tylko ci, którzy mają się w co ciepło opatulić.

Można tu było uprawiać narciarstwo na Wołdze i za rzeką, a nawet w samym mieście, położonym na wzgórzu. Robili to Szwedzi, którzy byli przewidujący i przywieźli ze sobą narty, oraz mali chłopcy miejscowi na małych lichych nartach, więcej do zabawy służących niż do sportu.

Wiosny tu w ogóle prawie nie ma.

W końcu maja zaczynają powoli zielenić się drzewa i od razu następują upały. Kwiatów nigdzie nie widać. Tumany kurzu unoszą się nad ulicami. Brak kanalizacji w większości domów zdaje się nie ulegać wątpliwości.

Czerwiec w tym roku zrobił niespodziankę, przyniósł bowiem deszcze, burze, wiatry i spadek temperatury.

Mieszkańcy Kujbyszewa chodzą tłumnie — po pracy — do jedynego niewielkiego parku na skłonie wzgórza, schodzącym ku Wołdze. Wstęp płatny. Droższe bilety dają prawo wstępu na dancing na świeżym powietrzu. Obficie zaopatrzony w głośniki park rozbrzmiewa muzyką. Z górnej jego części widać daleko Wołgę z jej wyspami, drugi brzeg i w oddali góry, podnóże Żiguli, słynnych z pięknego położenia i dających nazwę piwu z okolicznych browarów. W tymże parku mieści się cyrk, dający częste występy. Nie ma mowy o jakiejś kawiarni. Bardzo spragnieni mogą po godzinnej lekcji cierpliwości w ogonku napić się piwa.

Wzdłuż parku schodzi ku Wołdze szeroka stroma ulica Czerwonej Armii. Na wprost niej stoi na rzece, przymocowany do brzegu, olbrzymi pływający dom mieszkalny, tzw. *obszczežitje**. Wieczorem, gdy rozbłyśka on swymi niezliczonymi okienkami, daje piękny efekt na rzece. Dookoła pływają deski, belki, stoją jakieś barki, a wśród tego wszystkiego, w upalne dni, kąpią się amatorzy mętnej wody i błotnistej plaży.

W dni wolne (tj. w niedziele) można robić wycieczki tramwajem wodnym w górę Wołgi, lub przejechać promem na drugi brzeg rzeki. Obydwie te przyjemności połączone są z długim czekaniem w ogonku po bilet. Sama przeprawa na drugi brzeg

* *Obszczežitje* — trudne do ścisłego przetłumaczenia słowo (dom wspólnego pożycia). Jest to dom, w którym na ogólnych salach mieszkają wszyscy wspólnie. Są stali mieszkańcy, ale mogą być i czasowi, przejezdni, których się lokuje w ogólnej sypialni, a jeżeli brak łóżek, to do zajętego już przez inną osobę łóżka. To nie prowizorium. Życie idzie tam swoim torem.

trwa 45 minut i odbywa się w towarzystwie samochodów, koni i wozów, wiejskich bab z tobołami i całego różnorodnego tłumu, żądającego przewietrzenia swoich płuc i znoszonych ubrań.

Toteż są amatorzy spędzania wolnych chwil w ogródku ambasady. Mały to ogródek, 11 na 13 metrów, położony za domem. Przez całą zimę stał zapuszczony i ukryty pod górą śmieci i śniegu. Na wiosnę pod czarodziejską różdżką pana Ostrowicza stał się najmiłszym zakątkiem świata. Dwa wielkie stare japońskie jesiony wypełniają swymi konarami przestrzeń. Jedno drzewo wrosło się korzeniami w kąt prosty, utworzony dwiema ścianami domu, i pochyliło się nad fontanną stojącą pośrodku; drugie — wyciągnęło się poziomo wzdłuż ściany sąsiedniej drewnianej budowli. Oczyszczona i naprawiona fontanna zaludniła się rybami i orzeźwiła powietrze strumieniami, sięgającymi gałęzi drzewa. Wokoło równa szeroka ścieżka posypana złotym piaskiem, młode trawniki i grządki kwiatów, starannie utrzymane. Na honorowym miejscu zabłysnął Orzeł Biały, kunsztownie i mozolnie wypracowany techniką mozaikową z kawałków potłuczonych talerzy. W epoce powstawania tego dzieła dziewczyny usługujące do stołu nie dostawały bury za zbite naczynie. W zacisznym kącie bieli się namiot, pochodzący jeszcze z Polski, w którym jeden z urzędników — harcerz — spędza noce, woląc ten prymitywny system od wygodnego leża na zsuwanych stolikach w dusznej kancelarii. Zielona ławka i sklecony stoliczek, ustawione pod drzewem, oddają duże usługi. Wobec ciasnoty w biurach co raz to ktoś przychodzi z teczkami, papierami, a nawet z maszyną i maszynistką, by pracować w ogródku. W wolnych chwilach południowych lub wieczornych w małym ogródku nastroj stają się bardziej ożywiony. Na cementowym obramowaniu fontanny siadają grupki osób i rozmawiają. Młode kobiety stanowią barwne plamy na tym obrazku.

Teatry i koncerty odgrywają dużą rolę w życiu społeczeństwa sowieckiego. Widownie zawsze są przepełnione. Widać że jest to sztuka kultywowana z miłością, jak jakiś egzotyczny kwiat w domku robotnika. Zagraniczni goście też chodzą tu chętnie do teatru, na opery, balety i koncerty, i to nie tylko dlatego, że brak jest innych rozrywek i towarzystwa, że nudzą się śmiertelnie, lecz że muzyka i sztuka teatralna stoją tu na wysokim poziomie. Dekoracje realistyczne, jak trzeba to i burżuazyjne i luksusowe, odpowiednie kostiumy; artyści utalentowani, dużo pięknych głosów, doskonały balet. Z repertuaru tego roku można wymienić: „Don Kiszota”, „Jezioro Łabędzie”, „Aidę”, „Traviatę”, „Carmen”, „Dagę Pikową”, „Eugeniusza Oniegina”,

„Cyrulika Sewilskiego”, „Iwana Susanina”, „Cara Fiodora Ioannowicza”.

Z kupieniem biletów zawsze są trudności, trzeba zamawiać zawczasu listem urzędowym. Na zamówionych np. 30 otrzymuje się tylko 7-10 i idzie walka o to, kto pójdzie.

W niedziele o godzinie 12-ej odbywają się w ambasadzie nabożeństwa. Pokój stołowy zamienia się w kaplicę. Drzwi prowadzące do ogródka, zawieszone dywanem, stanowią tło dla ołtarza. Celebryje ks. Kucharski, do mszy służy któryś z urzędników lub woźnych. W braku organów wnoszą pianino, na którym grywał w czasie pobytu swego w Kujbyszewie profesor Skąpski.

Na takie nabożeństwa przychodzi zwykle kilka osób z obcych poselstw i ambasad. Byli: Francuzi, Czeši, Chinka, Anglicy, Amerykanie. Jedna Amerykanka ochrzciła w ambasadzie polskiej swoje dziecko.

Majowe nabożeństwa odbywały się na „folwarku”.

Większe święta jak Boże Narodzenie, Nowy Rok, Wielkanoc obchodzone tu były wspólnie z udziałem ambasadora.

Na Sylwestra zebrano się późnym wieczorem. Podano kanapki, torty, słodczyce i wino. Były przemówienia i toasty. W przemówieniach poruszano przeżycia lat ostatnich, a były one wszystkie nacechowane patriotyzmem i wiarą w lepszą, sprawiedliwszą przyszłą Polskę. Wreszcie uproszono i Ksawerego Pruszyńskiego, by też coś powiedział. Trochę już zmęczony słuchaniem przydługich nieco mów wstał i tak oto mniej więcej powiedział:

— Pięknie i dużo tu mówiono, ale po mnie nikt już nie będzie mógł zabrać głosu, bo wzniosę staropolski toast: Kochajmy się!

Wrzawa i brzęk kieliszków wypełniły na chwilę salę. Gdy ucichło, zakończył:

— Że się kochamy, i kto z kim, to wszyscy tu wiemy, zbędne jest o tym mówić, ale powstaje palące pytanie: gdzie?!

Salwa śmiechu powitała ten aktualny temat, a uroczysty nastrój ustąpił miejsca wesołej rozmowie, przerywanej piosenkami, i tymi dawnymi, i tymi co powstały ostatnio we Francji i Szkocji.

Nie ma prawie dnia, żeby do Kujbyszewa nie przyjechało kilku obywateli polskich. Z dworca lub przystani udają się wprost do ambasady, bo i co mają z sobą zrobić, gdzie zamieszkać. W hotelu uzyskują pokoje tylko nieliczni, jak generał Anders, ksiądz biskup Gawlina, minister Drohojowski.

Za to ambasada mało przypomina placówkę dyplomatyczną, raczej duży zajazd popularny, ku wielkiemu zgorszeniu i niezadowoleniu władz sowieckich, zwalczających różnymi sposobami ten charakter naszej instytucji.

Gdy jednak w samej ambasadzie zdarzyło się kilka wypadków poważniejszych chorób zakaźnych, postanowiono nikogo nie wpuszczać do gmachu bez uprzedniego „zabiegu sanitarnego” (*san-obrabotka*). Biedny gość po kilkunastodniowej nieraz podróży dociera — spragniony wytchnienia — do Kujbyszewa i zastaje drzwi zamknięte, zanim nie uda się do łaźni i nie podda swego ubrania dezynfekcji. Operacja taka wymaga kilku (3-6) godzin i niezależnie od pory dnia i nocy musi być dokonana, aby uchronić ambasadę od przemianowania na szpital epidemiczny. Reguła ta nie przewiduje wyjątków i obowiązuje zarówno gości, jak i wracających z terenu urzędników, a nawet dygnitarzy. Jedynie przybyli samolotem z zagranicy zwolnieni są od tej procedury.

Kujbyszew należy do kategorii miast, do których nie wolno wjeżdżać bez specjalnej przepustki; to samo z wyjazdem. Jednak wielu dociera nielegalnie, na „parę dni”, a już na wyjazd muszą czekać tygodniami, zanim wszystkim wymogom administracyjnym nie stanie się zadość.

Najwięcej zamieszania robią delegaci wyjeżdżający na placówki terenowe. Długo trwają formalności z zatwierdzeniem ich przez władze sowieckie. Wreszcie decyzja zapada. Delegat zamawia bilet kolejowy w biurze „Inturist” i czeka na telefoniczne zawiadomienie o pociągu. Tymczasem gorączkowo pakuje się, przygotowuje skrzynie z lekarstwami, przyborami kancelaryjnymi, książkami, różnymi materiałami niezbędnymi w pracy terenowej. Tak upływa parę tygodni, w ciągu których co jakiś czas wzywa go telefonicznie „Inturist”, by był w pogotowiu, bo pociąg może nadejść za kilka godzin. Biedny delegat, zmęczony i zdenerwowany, nie śpi, nie je, biega do pralki, by mu uprała na poczekaniu kilka chusteczek do nosa, zmianę bielizny lub pościeli, biega do kuchni, żeby mu szykowano chleb i produkty na drogę, nie może wyjść na dłuższy spacer lub na miasto, bo musi czekać na telefon.

Było raz tak, że delegat, wyjątkowo spokojny i flegmatyczny człowiek, od 10 dni już spakowany i przygotowany, obłożony bochenkami chleba, grał sobie w brydża przez noc całą i tylko dzięki temu wyjechał, bo o 5-tej rano „Inturist” wezwał go na 20 minut przed odejściem pociągu.

Zdarzyło się natomiast innemu delegatowi, że po dwutygodniowym oczekiwaniu... spóźnił się na pociąg.

Razem z delikwentem męczy się pół ambasady. Trzeba mu pomóc w pakowaniu, a podczas fałszywych i prawdziwych alarmów „Inturista” rozlega się w nocy bieganie po korytarzu, dzwiganie bagaży, tupanie, wbijanie ostatnich gwoździ do skrzyń, szukanie czegoś, lakowanie poczty, wyjazd... po czym nastaje cisza i błogi spokój na czas jakiś.

Jeden z delegatów przesiedział w pociągu w samym Kujbyszewie 24 godziny, przez delikatność nie dając znać nikomu, że nie wyjechał w przewidzianym terminie.

Innym, mniej subtelnym, trzeba w takich wypadkach wozić posiłki na dworzec.

W zimie zawieje śnieżne, na wiosnę rzeki wezbrane powodują, że pociągi tygodniami tkwią na tej lub na innej stacji.

Stąd też depesze, zawiadamiające o czymś przyjeździe lub o wysłaniu transportu, muszą zawierać przede wszystkim numer pociągu. Żadne daty nie odgrywają tu roli, rozkłady nie istnieją.

Jak w takich warunkach dotrzeć do wszystkich Polaków, potrzebujących pomocy?

W marcu sieć opieki liczyła już około 20 delegatów (na *obłasti*) i około 350 mężów zaufania (na rejony). Działalność ich polega na rejestracji obywateli polskich, niesieniu im pomocy materialnej, sanitarnej i w naturze — z darów i towarów nadchodzących z zagranicy, oraz na wydawaniu paszportów, utrzymywaniu stosunków z władzami miejscowymi, zajmowaniu się transportami, wyszukiwaniu pracy dla bezrobotnych, zakładaniu sierocińców i domów dla starców i inwalidów, oraz walczeniu o przydziały żywnościowe dla tych zakładów. Jedna z delegatur zajmuje się również wysyłaniem partiami dzieci polskich do Indii w towarzystwie matek i opiekunek. Pierwsza partia dzieci (około 150) już wyruszyła w drogę. Straszono, że droga jest niebezpieczna, że na drogach w Persji oddziały powstańcze napadają i rabują. Mimo to dzieci wyjechały samochodami ciężarowymi i szczęśliwie przebyły niebezpieczny odcinek drogi, bez żadnych przygód. Druga partia (200) dzieci ma wyjechać w czerwcu lub lipcu.

Problem korespondencji przedstawia się tu trochę inaczej, aniżeli w innych krajach. Prawie we wszystkich sprawach ambasada porozumiewa się telegraficznie, gdyż na pocztę nie można liczyć z podanych już uprzednio powodów. Listy wędrują tygodniami lub miesiącami. Korespondencję urzędową okazało się praktyczniejsze przesyłać specjalnym kurierem. Poczta kurierska

przychodzi i odchodzi prawie codziennie. Był taki jeden dzień, w którym ambasada otrzymała naraz siedem kurierów: jeden z Waszyngtonu, jeden z Londynu przez Teheran, drugi z Londynu przez Murmańsk (szedł 4 miesiące), jeden z Londynu przez Moskwę (po odbiór którego specjalnie jeździł do Moskwy urzędnik ambasady), kilka z placówek terenowych i jeden ze Sztabu P.S.Z. w Jangi-Jul. Dużo było w tym dniu roboty, jeszcze więcej zamieszania, ale była i wielka radość tych, którzy otrzymali listy i paczki. Było też trochę śmiechu. Kilka osób otrzymało w maju paczki z długo oczekiwanymi ciepłymi rzeczami: wełnianą bielizną, kamizelkami na futrze, takimiż rękawiczkami... Przydadzą się na przyszłą zimę.

Przydługi nieco powyższy opis stanowi tło, na którym przeświadcza się kalejdoskop pracy i życia prywatnego polskiej gromadki, mającej przed sobą doniosłe zadanie, a mało możliwości w warunkach bytowania niezwykle trudnych, komplikowanych niezwykle wojną.

O pracy ambasady i jej rezultatach wysyłane są szczegółowe raporty urzędowe.

O życiu prywatnym można by napisać szereg powieści: romantycznych, dramatycznych, humorystycznych, historycznych, sensacyjnych, podróżniczych, a nawet naukowych.

Cała ekipa literatów i uczonych miałaby tu dużo roboty.

Tutaj można podać tylko kilka próbek humoru, który kwitnie na przekór tragizmowi sytuacji, oraz garść plotek, unikając w miarę możliwości złośliwych komentarzy.

I

Ambasadorowi przydzielono osobistego woźnego p. Iskrzyńskiego, ex-marynarza. P. Iskrzyński stał się ważną figurą oraz gorącym obrońcą interesów swego przełożonego.

Kiedy ambasador choruje, p. Iskrzyński z namaszczeniem odmierza kropelki i pilnuje godzin przyjmowania lekarstw oraz przestrzegania diety przepisanej przez lekarza.

Powstała na tym tle kuchenna awantura:

— Jak to? To wszyscy wszystko tu mają, tylko dla ambasadora nie ma!? Wiadomo, co najlepsze idzie do żołądka Pokory!

— Ależ, panie Romciu! itd.

II

Ktoś zapóźniony, przechodząc o 2-ej w nocy przez hall (było to jeszcze w Moskwie) zobaczył na małej kanapce leżący stary płaszcz i zwieszające

się z poręczy długie nogi w przekrótkich wąskich spodniach. Spod płaszcza wystawał czubek ogolonej głowy. Był to książę Lubomirski, który — jak się okazało — zastał swoje łóżko zajęte, więc spokojnie położył się i zasnął w niezbyt wygodnej pozycji.

III

Na przyjazd z Waszyngtonu panny Natalii Aszkenazy, *attaché* ambasady, oczekiwano przez szereg miesięcy. Nadano jej zawczasu tytuł: Aszkenazy Natasza, *attaché au Chat* (ówczesnym ambasadorem polskim był prof. St. Kot).

Wytworna Amerykanka, pełna entuzjazmu i zapału do twórczej pracy, zaraz po przyjeździe przeszła chrzest *obszczeżitja*.

— Gdzie jest mój pokój?

Zaprowadzono ją do pokoju, gdzie już mieszkało pięć pań. Miejsca na walizki nie ma, szafy nie ma.

— Łazienka?

— Obok, ale proszę włożyć kalosze, bo woda stoi po kostki.

Ciepłej wody nie ma. Krany z zimną — popsute. Wynajdywane są zupełnie nowe systemy mycia. Jedni zdobyli sobie okazynnie miednicę (miedzianą) i z nią przychodzą do łazienki, inni polewają się wodą, stojąc wprost na podłodze. Myją się z reguły 3-4 osoby na raz.

Amerykanie są zacofani i tępi, więc niełatwo im przyswoić nowe wyznalazki.

Wieczorem ruch w domu trwa do późnej godziny. W pokoju zaś odbywa się taka scena o północy:

Jedna z pań ciężko chora dostaje ataku wątroby, druga wybiega nieprzytomna na korytarz, wołając zdławionym głosem, że tamta umiera. Przychodzi doktor. Trzecia leży chora na serce i bredzi, że ją aresztują, zabierają, wywożą, błaga żeby ratować. Czwarta wraca z jakiejś niewinnej lumpki w stanie zawianym, rozbiera się do naga i wyciera zimną wodą, nie zważając na obecność lekarza.

Biedna Natasza, która — trzeba przyznać — wszystko to znosiła bez słowa skargi, w pewnym momencie nerwowo nie wytrzymała i o 2-iej w nocy przyszła do „jaskini lwów”, gdzie o spaniu jeszcze nikt nie myślał, i przesiedziała owinięta w koc, skulona w kącie kanapy parę godzin.

IV

W niewielkim pokoiku mieszkali przez pewien czas: minister Sokolnicki, generał Szyszko-Bohusz i generał Wolikowski. Minister cierpiał na reumatyzm w kolanie i musiał stosować masaże. Masażystka przychodziła codziennie o 6-iej rano i po cichu, nie budząc nikogo, masowała chorą nogę.

Zdarzyło się, że generałowie wyjechali, minister przeniósł się na inne łóżko, a na jego miejsce położył się radca finansowy. Masażystka jak zwykle weszła cichutko, nie zapalając światła, podeszła do łóżka, na którym spał radca, uchyliła z lekka kołdrę i już miała rozpocząć masaż nogi, kiedy przerażony radca obudził się. Trudno stwierdzić obiektywnie co nastąpiło dalej, gdyż istnieje zbyt wiele wersji na ten temat. Faktem jest, że śmiano się jeszcze przez czas dłuższy w ambasadzie, opowiadając sobie tę historię, której dano tytuł „pomyłki masażytki”.

V

Następnie minister Sokolnicki zamieszkał w większym pokoju z I sekretarzem Mniszkiem, II sekretarzem Freydem i *attaché* Pruszyńskim. Wszyscy czterej o dużym poczuciu humoru. Pokój ich przezwano jaskiną lwów, a mieszkańców jego — lwami. Królem lwów został jednomyślnie obrany minister, czarny lew — Freyd, lew mnich-pustelnik — Mniszek, młody lew — Pruszyński. Mieszkał z nimi również dzielny płowy lew Powietrza, który tak tragicznie zginął w drodze powrotnej do Anglii.

Często wesoły śmiech dochodzi z tego pokoju, jakkolwiek kłęski spadają raz po raz na lwi ród. Jeden — zginął w falach Oceanu Lodowatego, drugi — przeszedł najcięższy wypadek plamistego tyfusu, dwa lwy — stale chorują na zapalenie migdałków i anginę, a czarny lew — w ogóle pechowy.



NAGROBK I

*Umarł Pruszyński Ksawery,
Placzą Goebbelsy, Hitlerzy,
Placze także patrząc na grób
niejedno dziewczę z buzią w ciup.*

(Broniewski)

*Wiktor Weintraub, bądźmy szczerzy,
w cichym grobie cicho leży,
ale z grobu tak jak przedtem
o nas wszystkich mówi szeptem.*

(Broniewski)

*Umarł Parnicki Teodor,
pozostał po nim bizantyjski odor.*

(Broniewski)

*Singera także wzięli na kirkut,
nie będzie w łagrze rąbał siekirką.*

(Broniewski)

*Nunquam satis aquae vitae
Wazeliny nunquam satis,
Zmarł na d.... ale przytem
In odore sanctitatis.*

(Broniewski)

*Broniewskiego żywot
ująć można pokrótce:
radikalizował w poezji,
konserwował się w wódce.*

(Weintraub)

*
**

*Ambasada ma zasady,
Więc pracuję bez posady.
Tysiąc rubli fundusz płaci,
Ani grosza — dyplomaci.
Ledwień tylko wyszedł z celi
zaraz mnie na fundusz wzięli,
a Ksawery mówi „potem”
i nie chce pomówić z Kotem.*

*Ambasada ma zasady,
ale ja tak nie dam rady.
Cisnę wszystko od A do Zet
Z MSZ-etu w MSKłozet.*

(Broniewski)

O BRONIEWSKIM — SEIDENMAN

*To była taka tragiczna omyłka,
Dzisiaj to widzę niestety,
że zamiast wstąpić do dyplomacji
zostałem wielkim poetą.*

*Mści się ten krok na mnie przez całe me życie
i nic już mnie przed tym nie schroni,
Że zamiast wina od pani Probulskiej
muszę brać wódkę od Toni.*

*To jednak zostało we mnie z dyplomaty
że mądrze nadrabiam miną
i chytrze udaję, żeby każdy myślał
że wolę wódkę od wina.*

*Mądrości życiowej biednemu poecie
Parnicki dał lekcję malutką:
Pije wino jak gdyby siedział w MSZ-cie
A jak poeta chla wódkę.*



*Singerowi w złobie dano
Moskwę i południe,
zagranicę obiecano,
Wiza pachnie cudnie.*

*„Niech no ja się stąd wychylę,
ja im zadam bobu!...”
Lecz na razie tylko tyle,
że siedzi u złobu.*

(Seidenman)



*Jednemu tylko Anglia,
drugi marzy o Kraju,
a ja chciałbym raz jeszcze
przejsć się po Kustanaju.*

*Mam do Boga protekcję,
Bilet wstępu do raju,
Ale wołałbym czyścić,
byle był w Kustanaju.*

(O Parnickim — Seidenman)



*Pijałem niekiedy u George'a,
zdarzało się i na Zakręcie,
ale nigdzie nie było tak dobrze,
jak w prasowym gabinecie.*

*Nieźle się piło u Sztrala,
nad Wilią czy na Górze Trzykrzyskiej,
nie przeszkadzał co prawda Ksawery,
lecz nie pomagał Kocimski.*

*Pomyśl, Kodziu: Zwierzyniec, Antokół,
Karolinki i Góra Zamkowa...
Czyś próbował po kilku wzmocnionych
Wleźć z Ofiarnej na szczyt Buffałowej?*

*Tam na Niemieckiej od rana
Kodź się rybką żydowską zażerał,
A tu co? Możesz zgryźć Seidenmana
i codziennie trzy porcje Singera.*

*Więc otrząśnij uroki znad Wołgi
Nie daj zwieść się pokusom, bądź silny,
poprzez wódkę, okopy i czołgi,
Bierz nas z sobą i wracaj do Wilna.*

(O Kodziu — Seidenman)

Czerwiec 1942

Zofia ŻÓŁTOWSKA

Józef ŁOBODOWSKI

„TU MÓWI MADRYT”

Gdyby audycja polska rozgłośni radiowej w Madrycie (*Radio Nacional de España*) nie została zlikwidowana, obchodziłaby w styczniu przyszłego roku swoje trzydziestodwulecie. Ale przestała istnieć 20 grudnia 1975 roku, toteż wkrótce garść niedo-

bitków będzie obchodzić pięciolecie jej zgonu. Także jubileusz, ale o nieco innym wydźwięku. Zresztą, politycznie rzecz ujmując, umieranie było powolne i dość bolesne. Jak to często ujmuje się w lapidarnych klepsydрах, denat zmarł „po długiej i ciężkiej chorobie”. O przyczynach przedłużającej się choroby opowiem szczegółowo nieco dalej.

Swego czasu zamieściłem w *Kulturze* dwa artykuły, przedstawiające pierwsze kilkanaście miesięcy istnienia audycji i reakcję, spowodowaną przez nią w kraju. Powstała na początku roku 1949, w okresie dość osobliwym, gdy nadzieje na rychłą odmianę losów narodowych jeszcze w kraju nie wygasły, gdy jeszcze łącznie nadzieje z rosnącym napięciem stosunków międzynarodowych. *Free Europe* miała powstać później, inne audycje zagraniczne w języku polskim były na ogół politycznie letnie, a raczej mdłe, więc nijakie, zatem nadając od pierwszego dnia ostry ton, weszliśmy niejako w pustkę. Już po kilku tygodniach zaczęły napływać z kraju listy, ich ilość ciągle rosła — wymowne potwierdzenie, że przyjęliśmy właściwą orientację i ton, odpowiadający olbrzymiej większości słuchaczy.

Opisałem to wszystko we wspomnianych artykułach, które ukazały się w *Kulturze* w numerach 11/37 (1950) i 5/43 (1951). Miałem tę satysfakcję, że obszernie ich streszczenie ukazało się w *Manchester Guardian*, z przyjemnym dla mnie i dla całego zespołu komentarzem. Był to, mimo wszystko, sukces na skalę dość ważną, bo jednak międzynarodową. O wiele większą satysfakcję dawały listy z kraju. Kto ciekaw, może przeczytać wyimki z owych listów, które zamieściłem w tamtych sprawozdawczych artykułach.

Zdarzyły się i inne świadectwa, także dające satysfakcję. W komunikatach *Free Europe*, po jej powstaniu, a więc jeszcze w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych, nieustannie potwierdzano wielką popularność audycji madryckiej. W „Cmentarzach” Marka Hłaski mamy scenę, gdy milicja sprowadza aresztowanego, który, będąc pod gazem, powiedział na ulicy coś niewłaściwego. Sam nie orientuje się, za co go wsadzili. Towarzysze nieszczęścia go indagują. „Pewnie pan słuchał radia Madryt?”. Do tego soczysta anegdota, za której autentyczność zresztą nie ręczę. Na jednej z centralnych ulic Warszawy zaczyna przechodnia inny przechodzień. „Przepraszam pana, która godzina?”. Ten zadziera głowę, patrzy do góry. „Dochodzi dziewiąta...”. „Skąd pan wie, w ogóle nie spojrzął pan na zegarek...!”. „To nie było potrzebne. Patrz pan — wszyscy zamykają okna, to znaczy, że zaraz usłyszą: 'Tu mówi Madryt!', a więc dochodzi dziewiąta”. Anegdota

prawdziwa czy zmyślona — nie wiem, ale nie mogła się nie podobać. Godzinę zmieniano parokrotnie, okna zamykano punktualnie.

Audycja wybuchła nagle 11 stycznia 1949 roku. Dla szczupłej kolonii polskiej w Madrycie stała się niespodzianką, mało kto się tego spodziewał. Chodziły mętne wieści, że emigracyjny rząd w Londynie zabiega o powstanie takiej audycji, ale nie brano tych nowinek na serio. Przyznaję się szczerze, należałem do niedowiarków, bo już miałem za sobą nieprzyjemne doświadczenie. Zanim skończyła się wojna (brakowało niewiele miesięcy), za pośrednictwem przyjaciół przedstawiłem rządowi w Londynie projekt utworzenia w Madrycie polskiego ośrodka politycznego i propagandowo-kulturalnego. Odpowiedź była niedwuznaczna: „Sam pomysł jest dobry, ale jego realizacja w tej chwili nieaktualna, ponieważ reżym generała Franco zawali się natychmiast po zakończeniu wojny i odrodzi się republika, więc trzeba zaczekać jakiś czas”. Czekałem cierpliwie, ale rychło pozbyłem się wszelkiej nadziei.

Polski rząd emigracyjny w Londynie stracił uznanie tzw. sojuszników w lipcu 1945 roku; rządy generała Franco trwały od tej daty ponad trzydzieści lat. Rozmaicie można to zestawienie interpretować, ale faktem jest, że różnica była bardzo poważna. A pod adresem polskich polityków owych lat zgłosiłbym drobną uwagę, gdyby jeszcze żyli. W roku 1945 mogli byli, zważywszy specjalne okoliczności, stawiać warunki, wymagać, a nawet żądać; później znaleźli się już tylko w sytuacji petentów. I jeszcze jedno, o czym, jak się zdaje, nikt dotąd nie napisał.

Na wiosnę roku 1942 hiszpański minister Spraw Zagranicznych Serrano Suñer zerwał stosunki z polskim rządem w Londynie. Stało się to rzecz prosta pod naciskiem niemieckim, a Madryt wciąż obawiał się bezpośredniej interwencji hitlerowskiej. Po kilku miesiącach sytuacja uległa zasadniczej zmianie: klęski pod Stalingradem i El Alamein, lądowanie Anglosasów w Afryce Północnej — Hiszpanie przestali obawiać się Trzeciej Rzeszy. A mniej więcej po roku zaproponowali rządowi londyńskiemu (naturalnie drogą pół oficjalną) wznowienie normalnych stosunków dyplomatycznych. Polski Londyn tę propozycję odrzucił. Był przekonany, że losy generała Franco są przesądzone i nie tylko nie należy się z nim wiązać, ale nawet rozmawiać. Nie krytykuję racji ideologicznych tej decyzji, stwierdzam polityczną krótkowzroczność.

Nie wiem, kiedy w Londynie zaczęto myśleć o możliwości utworzenia niezależnej audycji polskiej w Madrycie. Do BBC,

Głosu Ameryki, rozgłosi w Paryżu, Watykanie i Ankarze rząd londyński nie miał łatwego dostępu; skierowano nadzieję pod adresem Madrytu. Także nie wiem, kto i kiedy wpadł na ten pomysł i z czyjej inspiracji. Wiem tylko tyle, że w okresie premierostwa generała Odzierżyńskiego myślano już poważnie o powstaniu tej audycji i nawet został wyznaczony na jej kierownika Karol Wagner, doświadczony radiowiec z lat wojennych.

Jak już podałem, zawiadomienie o powstaniu audycji całkowicie zaskoczyło polskie władze w Madrycie. Co najmniej zaskoczyło je w czasie. Hiszpańskie kierownictwo radia otrzymało odpowiednie dyspozycje i zwróciło się do pól oficjalnego poselstwa polskiego w Madrycie z prośbą o współpracę. Nie znam wszystkich szczegółów, ale z grubsza mogę sytuację odtworzyć. Obcojęzyczne antysowieckie i antykomunistyczne audycje radia hiszpańskiego były nieliczne i słabo obsadzone. Najdawniejszą z nich była audycja rosyjska, prowadzona przez byłych oficerów Białej Armii, którzy po klęsce w wojnie domowej z bolszewikami osiedlili się w Hiszpanii. Nietrudno odgadnąć, że wszyscy mieli orientację monarchistyczną.

Jeżeli się nie mylę, a chyba nie, plan rozszerzenia radiowej propagandy antykomunistycznej i antysowieckiej na inne kraje wyszedł bezpośrednio z najbliższego otoczenia generała Franco. Audycja polska przyszła w pierwszej kolejce, po jakimś czasie posypały się następne: węgierska, rumuńska, chorwacka, ukraińska, białoruska, słowacka, bułgarska, trzech krajów bałtyckich, albańska — nawet chińska. Nam powiedziano: — Prowadźcie audycję, jak chcecie, byle wasza propaganda chwyciła i robiła swoje w kraju. Gdy zaczęły przychodzić listy z Polski, tłumaczone skrupulatnie na hiszpański, władze radiowe uznały, że zdał się egzamin na celująco. Stwierdzam z naciskiem: mieliśmy całkowitą swobodę, zaś próby ingerencji z różnych stron, o czym nieco dalej, likwidowaliśmy stosunkowo łatwo.

Już po kilku dniach zostałem faktycznym redaktorem audycji. Zacząłem jako jeden z współpracowników: miałem dostarczać jeden artykuł tygodniowo. Ale natychmiast okazało się, że ponieważ wyznaczony przez Londyn na redaktora Karol Wagner opóźniał swoje przybycie, audycja szła samopas. Wagnera miał zastępować znany przed wojną warszawski dziennikarz, Henryk Łubieński, ówczesnie radca poselstwa w Madrycie, ale ten nie miał ani czasu, ani możliwości, bo dla zdobycia pieniędzy na utrzymanie rodziny musiał pracować w innej branży (pensje radiowe były mikroskopijne). Zresztą nie wierzył w powodzenie audycji:

„Nie chwyci!”. Wagner przyjechał dopiero przy końcu lata, a więc mniej więcej po sześciu miesiącach.

I tak oto w tym początkowym, wstępnym okresie ja byłem tym, który nadawał audycji charakter, kontynuowany z niewielkimi zmianami także w późniejszym okresie. W zestawieniu z innymi audycjami polskimi przy zachodnich rozgłośniach prowadziliśmy pracę chałupniczą i mieliśmy do dyspozycji zaledwie pół godziny dziennie. Trzeba było w tych trzydziestu minutach upchać wszystko, co należało powiedzieć — zadanie dość skomplikowane. A za kulisami toczyła się głucha, dostrzegana przez nielicznych walka o opanowanie audycji przez jednego z luźnych współpracowników. To osobny rozdział, który powinien zainteresować przyszłych historyków emigracji. Zaraz do tego powrócę. Przedtem nieco chronologii i danych osobistych.

Wstępny okres, kiedy praktycznie sam prowadziłem audycję, trwał trochę ponad pół roku, a więc bardzo krótko. Ale był to okres niezwykle ważny, ponieważ właśnie wtedy decydowała się przyszłość audycji. Poszło dobrze. Szybko zdobyło się popularność w Polsce, prawdziwa lawina listów, napływających z całego kraju, nie pozostawiała pod tym względem najmniejszych wątpliwości. Zaczęto słuchać nas także w licznych ośrodkach emigracyjnych. Staliśmy się ważną placówką propagandową. Wywoływaliśmy bezsilną wściekłość reżymu, który mógł zdobyć się tylko na coraz pilniejsze zagłuszanie. Gwałtowne ataki prasowe, prowadzone na samym początku, wkrótce ustały, gdyż połapano się, że tylko zwiększają popularność „Madrytu”. Od końca lata 1949 roku, to jest od przyjazdu Wagnera, zaczął się drugi okres, trwający do 1954. Jeszcze przed przeniesieniem się Wagnera do Nowego Jorku (później do Monachium) doszła współpraca Wojciecha Zaleskiego, który zamieszkał na stałe w Madrycie.

Objął on redakcję po Wagnerze i prowadził ją aż do zgonu, który nastąpił w październiku 1960. Trzecim oficjalnym redaktorem (faktycznie — czwartym) był — także do śmierci w roku 1968 Ludwik Krajewski, pisujący pod pseudonimem Leona Kownackiego. Przybył z Londynu do Madrytu w roku 1956, wprowadzony staraniem Zaleskiego, który ciągle podupadał na zdrowiu (gruźlica, nękająca go od szkolnych lat) i potrzebował większej pomocy niż mogli mu dać madryccy współpracownicy.

Każdy z wymienionych miał własną indywidualność, zamiłowania i taką czy inną specjalność. Wagner był może najbardziej wszechstronny, Zaleski znacznie podniósł poziom działu gospodarczego, Krajewski pilnie wertował poważne czasopisma angielskie, amerykańskie i francuskie, a jego tygodniowe przeglądy

polityczne odznaczały się prawie zawsze wielką starannością i obiektywizmem.

Wspomniałem na samym wstępie, że w ostatnich latach istnienia audycji zaczęła się jej powolna i bolesna agonia. Jak do tego doszło, chętnie opowiem. Wszystkie tzw. „audycje wschodnie” były bezkompromisowo antysowieckie i antykomunistyczne. Nastawienie to pozostawało w pełnej harmonii z polityką międzynarodową rządu hiszpańskiego, który nie utrzymywał kontaktów, nawet gospodarczych, ani ze Związkiem Sowieckim, ani z żadnym rządem satelickim. Nie wymagano od nas solidaryzowania się z postawą polityczną czy ideologiczną generała Franco, powtarzam, mieliśmy pod tym względem całkowitą swobodę, wystarczało, że zwalczamy komunizm.

Postawa oficjalna zaczęła się stopniowo zmieniać mniej więcej w połowie lat sześćdziesiątych. „Nie bądźmy błędnymi rycerzami w stylu don Kichota!” — rozlegało się coraz częściej na łamach prasy i w opiniach poszczególnych polityków, a najbardziej ekonomistów, którym nagle przysniły się bajeczne zyski jakie można by ciągnąć z wymiany handlowej z „blokiem socjalistycznym”. Generał Franco starzał się i niedołężniał, więc z jego strony nie było większego sprzeciwu. Zaczęło się od kontaktów handlowych; do rozmów politycznych było jeszcze daleko. Sądzę, że czytelników zainteresuje mała anegdotka z minionych czasów, charakteryzująca nastawienie władz. Gdy któryś z obywateli Polski Ludowej, zamieszkały czy chwilowo przebywający na Zachodzie starał się o wizę turystyczną do Hiszpanii, odpowiednie placówki konsularne czy dyplomatyczne zwracały się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a to z kolei prosiło o opinię urzędującego jeszcze w Madrycie posła emigracyjnego, śp. Józefa Potockiego. Jeżeli ten nie orientował się co do osoby petenta, telefonował do mnie. Przeważnie chodziło o dziennikarzy, rzadziej pisarzy i artystów. Utraciłem niejednego z nich.

Mijały lata. Któregoś dnia, gdy już żadnych trudności tego typu nie było, zjawił się w Madrycie osławiony korespondent prasowy w Rzymie, Ignacy Krasicki. Szukał towarzystwa tutejszych Polaków i przy tej okazji trafił na mnie. Mówi, że już dawno chciał zwiedzić Hiszpanię, swego czasu obiecano mu wizę, ale ją w ostatniej chwili cofnięto. „Po dziś dzień nie wiem, co tę decyzję sprawiło...”. Uprzejmie pospieszyłem z wyjaśnieniem. „Ministerstwo zwróciło się do posła Potockiego, a on — do mnie, bo o panu nigdy nie słyszał; chętnie wystawiłem opinię i w wyniku wizy pan nie otrzymał”. Kuty na cztery nogi

facet zawałał się tylko przez krótką chwilę i zaczął mi wylewnie dziękować.

„To pan sobie nawet nie wyobraża, jaką przysługę mi pan wyświadczył! Gdybym był wtedy pojechał do Madrytu i nie został w Rzymie, to bym nie poznał mojej żony, z którą jestem niezmiernie szczęśliwy. Dzięki, raz jeszcze dzięki!”. Oczywiście łągał, ale należało podziwiać przytomność umysłu i szybkość reakcji, wykazane w dość trudnych okolicznościach.

Coraz żywsze kontakty Madrytu z Warszawą odbiły się natychmiastowym rykoszetem na polskiej audycji. Najpierw zwrócono nam uwagę, byśmy przestali atakować warszawski reżym i ograniczyli się do spraw kulturalnych. To był początek. W zamian za to reżym zlikwidował audycję hiszpańską radia warszawskiego. Na próżno usiłowaliśmy wytłumaczyć Hiszpanom (w rozmowach prywatnych), że zrobili kiepski interes. Warszawskiej audycji nikt tu nie słuchał, bo była do luftu. Komuniści i komunistoidzi nadal słuchają audycji z Pragi Czeskiej, mającej o wiele wyższy poziom i prowadzącej skuteczną propagandę. *Ergo*, jak zwykł mawiać stary Fredro, zamienił stryjek hiszpańską siekierkę na reżymowy kijek. Wyobrażam sobie, że don Kichot przewrócił się w swojej mogile, zaś zadufany we własnym sprycie Sanczo Pansa nie zarobił tym razem ani jednego tyńfa.

W tym ostatnim okresie przed całkowitą likwidacją dawano nam teksty hiszpańskie do przekładania na polski, a były one tak specjalnie dobierane, by nie grzeszyły zdecydowanym charakterem. Określając sytuację dobitnie — wybito nam zęby, ofiarowując na ich miejsce źle dopasowane protezy z kiepskiej gumy. To samo stało się z innymi antykomunistycznymi audycjami. Ten i ów jeszcze się łudził, że sytuacja zmieni się na lepsze, ale były to dziecinne iluzje. Przy końcu grudnia 1975 roku nastąpił kres przewlekłej agonii. Do dwudziestu siedmiu lat istnienia zabrakło nam dokładnie trzech tygodni.

Poczynając od chwili, gdy audycja politycznie stała się bezpłciowa, udzielałem się w niej coraz rzadziej, pisząc prawie wyłącznie na tematy historyczne i kulturalne. Niekiedy można było to i owo przemycić, ale było to dość ryzykowne, bo wiedzieliśmy, że poselstwo „peerelowskie” pilnie śledzi audycję, by w odpowiedniej chwili złożyć denuncjację o nieprzestrzeganiu umowy. W powstałej sytuacji likwidacja audycji stała się prawdziwym wyzwoleniem, przede wszystkim pod względem moralnym. Właściwie nasze wysiłki w tych ostatnich paru latach były beznaściejnym galwanizowaniem istoty całkowicie sparaliżowanej. Kilka końcowych tygodni przyniosło swoiste wytchnienie: podczas

śmiertelnej choroby generała Franco i następnych wydarzeń (uroczystości pogrzebowe, ogłoszenie królem Juana Carlosa) mieliśmy znacznie większą swobodę; skazanej na śmierć audycji pozwolono na żywsze oddychanie.

Nie będę wymieniać wszystkich, którzy krócej czy dłużej pracowali w audycji, byłaby to lista zbyt długa, a zresztą najważniejsze chodziło o sporadyczny udział osób, których nazwiska są czytelnikom najzupełniej nieznane. Muszę jednak wspomnieć o Stanisławie Rylskim, który już od lata 1949 roku był sekretarzem audycji i pozostał nim przez przeszło ćwierćwiecze. W ostatnich miesiącach, gdy przez długie okresy świeciłem nieobecnością (wyjazdy poza Hiszpanię), prawie cała praca spadała na jego barki. Ale jak napisałem, był to okres powolnego dogorywania.

W latach świetności audycji — nazwijmy to tak nieskromnie — miewaliśmy niezłe osiągnięcia. Wojciech Zaleski wprowadził szczęśliwą innowację, mianowicie przed samym zamknięciem audycji jechał do siebie i słuchał BBC, rozgłosił najsolidniejszej gdy chodziło o świeże wiadomości; jeżeli zaszło coś ważnego, natychmiast zawiadamiał mnie telefonicznie. Dzięki temu mogliśmy dość często uzupełniać w ostatniej chwili nasz dziennik radiowy. Tak np. byliśmy pierwsi w podaniu wiadomości, że czołgi sowieckie wdarły się do Budapesztu i że pułkownik Maleter wraz z całym rządem wpadł w ręce bolszewików; jedynie premier Nagy zdołał schronić się na terenie ambasady jugosłowiańskiej.

Lata później podaliśmy wcześniej niż ktokolwiek inną wiadomość o zamordowaniu w Dallas prezydenta Kennedy'ego. Mieliliśmy przyjaciela w lotniczej bazie amerykańskiej (Torrejon pod Madrytem), który do nas zadzwonił, gdy tylko przyszła wiadomość. Radio hiszpańskie podało ją dopiero następnego dnia rano. Były to sukcesy, które zwiększały nasz autorytet.

Wspominałem o walce, toczącej się w Madrycie przeważnie za kulisami, ale odbijającej się ściszym echem także w londyńskich kulisach. Gdy wybuchła druga wojna światowa, posłem w stolicy Hiszpanii był Marian Szumlakowski. Jako się rzekło, wczesną wiosną 1942 roku rząd hiszpański przestał uznawać polski rząd londyński, ale w stosunku do poselstwa zachowano się przyzwoicie. Szumlakowski zatrzymał wszystkie przywileje dyplomatyczne, ale przestał być *oficial*, stał się *oficioso*: tolerowany, nie uznawany. Nie cieszył się zbytnim mirem. Cat-Mackiewicz nazwał go w jednej ze swoich książek „dobrym technikiem”, zapewne nie bez racji. Ale gubiła go chorobliwa ambicja w połą-

czeniu z brakiem skrupułów. Jak ów starożytny Pyrrus wygrał poszczególne batalie, przegrywał kampanie wojenne.

W konsekwencji ostrego konfliktu z wojskowymi, prowadzącymi tzw. „ewakuację” (przerzucanie Polaków z Francji do Portugalii albo Gibraltaru), został gdzieś przy końcu roku 1943 odwołany ze stanowiska pośła. Funkcje p.o. prowadził przez kilka miesięcy radca Eugeniusz Kobyłecki, a w lecie następnego roku przybył do Madrytu z Lizbony Józef Potocki. Znający dobrze obce języki, skoligacony z prawie całą arystokracją europejską, żonaty z Krystyną Radziwiłówną, wykształcony, amator historii, cieszył się na swoim stanowisku ułatwieniami, o jakich Szumlakowski mógł tylko marzyć.

Ale ten miał jedną przewagę, którą wykorzystywał na każdym kroku. Potocki był *oficioso*; Szumlakowski miał za sobą argument, że był ostatnim polskim ministrem, który w roku 1939, gdy jeszcze istniała suwerenna Rzeczpospolita, składał w jej imieniu listy uwierzytelniające szefowi państwa hiszpańskiego. Na tej podstawie uważał i wszędzie podkreślał, że jego odwołanie na schyłku roku 1943 było bezprawne, nominacja Józefa Potockiego nieważna, więc to on, Szumlakowski, jest ostatnim polskim pośłem w Madrycie. Od pierwszego dnia wypowiedział głąchą walkę Potockiemu i kopał pod nim dołki na każdym kroku, wykorzystując wszelkie możliwości, jakie miał pod ręką.

Gdy od grudnia 1946 roku zaczęli z różnych stron przybywać młodzi Polacy na studia w Madrycie, usiłował ich skaptować przeciw Potockiemu, ale wyniki tego, mimo hojnych poczęstunków, były dość nikłe. Dopiero gdy zrodziła się audycja radiowa, Szumlakowski uznał, że wybiła jego godzina. Godzina rewanzu i zwycięskiego załatwienia wszystkich porachunków.

Pisząc te słowa, zdaję sobie sprawę, że znaczna większość osób, które wymieniam, od dawna należy do świata umarłych. Ale pozostała jeszcze garstka świadków — niektórzy z nich bezpośrednio zaangażowani. Ci mogą potwierdzić albo zaprzeczyć; od ewentualnej konfrontacji na pewno się nie uchylę.

Władze radiowe utrafiły w sedno, dając pracownikom audycji największą swobodę (w naszym wypadku — absolutną), ale jeśli chodziło o organizację tych audycji w obcych językach, poszły drogą dość absurdalną, a jak praktyka wykazała, najzupełniej chybioną. Wszystkie one miały jednego kierownika, któremu podlegał kierownik audycji wschodnich, więc między innymi polskiej. Była to postać niezmiernie malownicza, na pewno o najlepszych chęciach, ale o minimalnej orientacji i znajomości rzeczy, a więc *summa summarum* szkodliwa. Mówię o niezjąym

już dziś jezuitę, ojcu Santiago Morillo, który otrzymał kierownicze stanowisko dzięki rzekomo znakomitej znajomości języków słowiańskich. Przed wojną pracował w Dubnie, na znanej placówce jezuickiej *Pro Russia*, i to mu dało sławę znakomitego orientalisty.

Z Polski wydostał się podczas kampanii wrześniowej, wyniósł bardzo złe wspomnienia z zetknięcia z Niemcami, a jak sam mi opowiadał, od przykrych następstw uratowała go właściwie tylko jego kondycja Hiszpana. Przez kilka lat wykładał na uniwersytecie w Granadzie, a z początkiem roku 1949 sprowadzono go do Madrytu na stanowisko, które już określiłem. Po polsku mówił dość swobodnie, choć z wielkimi błędami gramatycznymi; znajomość innych języków słowiańskich okazała się dętą legendą. Dochodziło do zabawnych scen: gdy mówił do Rosjan, ci sądzili, że przemawia do nich po ukraińsku; a znowu Ukraińcy nie bardzo go rozumieli, wyjąwszy tych, którzy dobrze znali język polski.

Szumlakowski znał go od lat i z miejsca postarał się, żeby znajomość przeszła w przyjaźń. Pod tym względem, gdy chodziło o kaptowanie potrzebnych mu ludzi, działał zawsze nieomylnie. Niemniej w tym samym czasie popełnił zasadniczy błąd: wydało mu się, że ja także będę posłusznym narzędziem w jego rękę. Bywałem jego częstym gościem: grywaliśmy w szachy przy nieodstępnej butelce koniaku. Szachy szachami, koniak koniakiem, ale w sprawach audycji byłem nieustępliwie twardy. Gdy po kilku starciach doszło do zerwania prywatnej znajomości, zaczął mnie zwalczać *per fas et nefas*. I to był drugi błąd — nie wyszło. Kierownictwo radia, stojące powyżej ojca Morillo, przywiązywało wielką wagę do treści listów, napływających z kraju. Otóż prawie we wszystkich chwalono moje teksty, które przeważnie czytałem sam — choć nie byłem spikerem (ale miałem prawo czytać). Mikrofon pogłębia mój głos, więc słuchacze uznali, że mówi do nich jakiś „starszy pan” i tak mnie w swoich listach nazywali. A tekstów, pisanych przez Szumlakowskiego, nikt w ogóle nie wymieniał.

Stale dochodziło do gwałtownych scysji, głównie z tego powodu, że owe teksty Szumlakowskiego poprawiałem i zmieniałem (także pogadanki jego małżonki, która w pierwszych latach była jak i on współpracowniczką), a gdy mi się to znudziło, wolałem nadawać własne artykuły pod jego nazwiskiem. Następnie to samo robił Karol Wagner. Skutek był taki, że my dwaj pisaliśmy artykuły, które administracja rejestrowała pod nazwiskiem Szumlakowskiego i jego żony, więc otrzymywali za nie honora-

ria. Dopiero przyjazd generała Andersa umożliwił nam pozbycie się tego ciężaru i zapoczątkował ostateczny zmierzch Szumlakowskiego.

Zanim zdam relację z tego ewenementu, pozwolę sobie przytoczyć parę przykładów, jak wyglądała współpraca radiowa byłego posła. Opis konfliktu brytyjsko-perskiego zaczynał się następująco: „Do golfu Abadanu zawinęły torpedowce angielskie z tankami i awionami na pokładzie i wystosowały ultimatum do premiera Mossadeqa”. Chyba nikt się nie zdziwi, że „golf”, „tanki” i „awiony” powędrowały do kosza, a tekst na powyższy temat został przeze mnie całkowicie przeredagowany. Inny przykład, jeszcze bardziej reprezentacyjny. O końcowych, beznadziejnych walkach AK w lasach białostockich Szumlakowski napisał, że NKWD i współpracująca z nią Bezpieka nie śmia zapuszczać się w lasy, bo jeżeli nie zginą od akowskich kul, to „rozszarpią ich dzikie zwierzęta i drapieżne ptactwo”. Miałem takie bzdury puszczać na radiowe fale?

W roku 1950 przyjechał do Hiszpanii generał Anders. Był zaproszony na Kongres Eucharystyczny do Barcelony, ale po drodze zawadził o Madryt. Generał Franco przyjął zwycięzcę spod Monte Cassino, jakby chodziło o szefa sprzymierzonej armii. Przydzielił mu w charakterze asysty podczas pobytu w Hiszpanii generała, sprawującego ówczesnie funkcje ministra lotnictwa. Na specjalną prośbę władz Anders występował wszędzie i zawsze w mundurze, ze wszystkimi odznaczeniami, a gdzie się ukazał, był przyjmowany entuzjastycznie.

Szumlakowski nie wiedział, że generał jest do niego uprzedzony i bez jego wiedzy rozesłał zaproszenia na kolację. Otrzymali ją ministrowie, wyżsi wojskowi, dyplomaci. Anders odmówił. Trzeba było wystawny bankiet odwoływać i przeproszać zaproszonych. Zmyślonych *ad hoc* powodów odwołania nikt nie wziął na serio. Kompromitacja! Teraz nawet protekcja ojca Morillo nie mogła pomóc i po krótkim czasie małżeńska para Szumlakowskich zniknęła z programów radiowych. A nieco później spełniło się moje proroctwo, gdy na samym początku mówiłem ojcu jezuitcie, że kto stawia na niewłaściwego konia, prędzej czy później przegrywa. Jeszcze parę lat i Morillo przestał być kierownikiem audycji wschodnich.

Zanim się to stało, nastąpiło swoiste *curiosum* w postaci wymiany listów między tymże Morillo i ówczesnym prezydentem Rzeczypospolitej na wygnaniu, Augustem Zaleskim. Zdarzyło się to jesienią roku 1949, wkrótce po przybyciu Karola Wagnera

do Madrytu. Szumlakowski poczuł się poważnie zagrożony. Przedtem miał do czynienia tylko ze mną, teraz doszedł Wagner, a za nim, bądź co bądź, stało poselstwo, więc również rząd w Londynie. Niemniej Szumlakowski postanowił go utracić i nie zawahał się przed utkaniem intrygi, równie brudnej jak głupiej.

Na marginesie popełnił małą niedyskrecję. Wpływ Szumlakowskiego na hiszpańskiego jezuitę miał swoje mocno prozaiczne uzasadnienie. Ojciec Morillo był namiętym palaczem: zapalał jednego papierosa od drugiego. Szumlakowski miał dobre chody w ambasadzie Stanów Zjednoczonych i bez większego trudu wycyganiał kartony amerykańskich papierosów, bardzo wówczas w Hiszpanii drogich (sam nie palił). Został stałym dostawcą tych papierosów dla ojca Morillo. Za takie wspaniałomyślne dary trzeba się było odplacać.

A więc namówiony przez Szumlakowskiego Morillo wystosował list do prezydenta Augusta Zaleskiego, zapytując go, co wie o Wagnerze. Niewątpliwie wszystko zostało wcześniej odpowiednio przygotowane. W odpowiedzi pan prezydent napisał *expressis verbis*, że Wagnera osobiście nie zna, pamięta jedynie, że poprzedni rząd gen. Odzierżyńskiego wyznaczył go na stanowisko kierownika audycji madryckiej, gdyby ta miała powstać. To wszystko, co o Wagnerze może powiedzieć. Natomiast pana Mariana Szumlakowskiego zna od dawna, wysoko go ceni i żywi do niego absolutne zaufanie. Czytelnicy mogą zapytać, skąd to wiem. Ojciec Morillo miewał przy całym swoim sprycie chwile dość naiwnej szczerości i dał mi ten list do przeczytania. Widocznie sądził, że po zapoznaniu się z takim *dictum* natychmiast pogodzę się z Szumlakowskim i sprzymierzę się z nim przeciw Wagnerowi i Potockiemu. Znowu pudło!

By skończyć z Szumlakowskim, jeszcze jedna miła anegdotka, tym razem niesłuchanie łatwa do sprawdzenia, ponieważ pozostały po niej ślady w dziennikach madryckich. Wystarczy sięgnąć do nie tak znowu starych roczników. Rada Trzech (dokładnej daty nie pamiętam) przyznała Krzyże Zasługi trzem osobom: dwóm panom z Radia Hiszpańskiego, którzy ułatwiali życie naszej audycji, oraz pewnej starszej pani, która w pierwszych latach powojennych bezinteresownie opiekowała się polskimi dziećmi, przywiezionymi z Niemiec do Barcelony. W lokalu poselstwa polskiego w Madrycie odbyło się dekorowanie zasłużonych; kilka przemówień, skromne przyjęcie. Nazajutrz krótkie notatki informacyjne w prasie.

Szumlakowski natychmiast zadziałał. Wysłał do zainteresowanych i do redakcji dzienników listy, w których oświadczył, że

wszyscy udekorowani zasłużyli na wyróżnienie, ale zostali oszukani, bo Rada Trzech to uzurpatorzy, nie mający prawa do odznaczania nikogo, zaś Józef Potocki, który Krzyże Zasługi wręczał, nie jest żadnym posłem i występuje przeciw władzy prawowitego prezydenta. W ten sposób setki tysięcy hiszpańskich czytelników zostało umiejętnie wprowadzonych w polskie konflikty emigracyjne. Nie potrzebuję dodawać, że prestiż polskiego imienia w Hiszpanii niesłuchanie poszedł w górę.

A na samym początku, zanim jeszcze powstała Rada Trzech, mieliśmy niemałe kłopoty z Londynem. Prezes Stronnictwa Narodowego, Tadeusz Bielecki, wygłosił przy jakiejś okazji całkiem dobre przemówienie, nadaliśmy z niego fragmenty. Kiedy indziej to samo uczyniliśmy z przemówieniem Adama Ciołkosza. Bogu ducha winny poseł Potocki, który ani o tym wiedział, ani na to wpływał, otrzymuje od ministra Sokołowskiego admonicję, bo przecie Bielecki i Ciołkosz to opozycjoniści, więc z jakiej racji podaje się ich przemówienia?! Także i ja kilka razy dostałem po uszach. Zostawiono mnie w spokoju dopiero wtedy, gdy niezbyt grzecznie zawiadomiłem, iż ostatecznie nie jestem urzędnikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Skromne honoraria wypłacają mi Hiszpanie, którzy żadnych pretensji do wymienionych przemówień nie zgłosili.

Osobna karta to próba opanowania audycji przez Stronnictwo Narodowe. Zdarzyło się to na krótko przed tzw. „sprawą Bergu”, którą pierwszy, jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, wyciągnął i rozgłosił Stanisław Cat-Mackiewicz. Stronnictwo rozporządzało ówczesznie poważnymi sumami i sądziło, że mamona przeważy szanse na jego stronę. Wiedzano, że finansowe warunki audycji są więcej niż skromne, co w wyobraźni zainteresowanych miało okazać się decydujące. Wyekspediowano nawet z Londynu do Madrytu zaufaną osobę, która z zapałem zabrała się do akcji, z góry skazanej na przegraną. Był to zresztą bardzo przyzwoity i miły pan (nazwiska nie wymienię, bo chociaż nie uznaję zasady *nomina sunt odiosa*, niekiedy robię wyjątki). Usiłowania spaliły na panewce, a wkrótce w związku z „Bergiem” urwały się dolarowe zastrzyki, więc nie było czym się chwalić.

Skoro się już o tym zgadało, czas pomówić o stronie właśnie finansowej. O utrzymaniu się Wagnera z tego, co mu zaofiarowało radia, nie mogło być mowy. To był tylko dodatek, a nie podstawa utrzymania. Otrzymywał stały zasiłek od rządu emigracyjnego w Londynie, o czym wiedzieliśmy, ale z dobrze zrozumiałych względów nie wołaliśmy o jawność. Każdy z nas, zasiedziały w Madrycie od lat, miał swoje takie czy inne do-

chody, Wagner żył wyłącznie z audycji. Gdy redaktorem został Wojciech Zaleski, układ ten uległ zasadniczej zmianie, otrzymywane sumy dzielone były według potrzeb i wykonywanej pracy.

Z biegiem lat przeszliśmy całkowicie na sumy wypłacane dość nieregularnie przez SPK. Najpierw tylko przez centralę, następnie także przez koła terytorialne. Pieniądze napływały więc z wielu krajów, ale — nie wolno mi tego przemilczeć — najszczodrzej z Kanady. Byliśmy naturalnie bardzo wdzięczni, ale ta nieregularność dawała się we znaki; nigdy nie było pewności, kiedy i jaką sumę otrzymamy. Budżet więc był przeważnie pisany patykiem na wodzie.

Zanim skończę tę Szeherazadę, jeszcze jedna anegdotka. Pierwszymi spikerami byli Karolina Borrell, *de domo* Babecka, pół Polka, pół Hiszpanka i zamężna za Hiszpanem, zresztą urodzona w Warszawie, oraz Mirosław Sokołowski, ówczesnie student medycyny w Madrycie, obecnie wzięty lekarz, kardiolog. Nie wiem skąd i jak rozeszła się w kraju pogłoska, że lektorką jest Wanda Piłsudska, która w ogóle nigdy o Madryt nie zaważała. A po kilku latach prasa reżymowa puściła pogłoskę, że lektorką została Elżbieta Szemplińska-Sobolewska. Ta niezbyt szanowna osoba, która po kampanii wrześniowej, w okupowanym przez Sowiety Lwowie, wślawiła się nikczemnym artykułem „Dlaczego mi nie żal burżuazyjnej Warszawy”, po wojnie trafiła w nieznanym mi sposób do Algerii, czy też do Marokka, straciła męża w podejrzanym wypadku, następnie starała się o wizę do Hiszpanii, ale jej nie otrzymała.

A gdyby nawet dostała się wtedy do Madrytu, to o dopuszczeniu jej do mikrofonu nie byłoby, rzecz prosta, mowy. Odzywały się w późniejszych latach, po odejściu Babeckiej-Borell, inne głosy kobiece, a także męskie, w większości wypadków dorywczo; ostatnio występowali już wyłącznie mężczyźni. Omówione uprzednio okoliczności polityczne sprawiły, że czytało się z coraz mniejszym przejęciem i satysfakcją, a często-gęsto z coraz większą niechęcią. Bo audycje były coraz gorsze, bezbarwne, mdłe; to była ta stopniowa agonia.

Reżym warszawski, który na wstępie zrobił nam nieogłędnie niemąłą reklamę swoimi atakami, potem zreflektował się i prawie zupełnie przestał zaczepiać. Jednak od czasu do czasu ktoś w niezbyt przytomnej złości nie wytrzymywał i puszczał farbę. Tak np. jeden z warszawskich tygodników w odpowiedzi na rocznicową audycję (piąta rocznica — styczeń 1954) zamieścił fraszkę Włodzimierza Słobodnika, zilustrowaną kiepską karykaturą (za-

dne podobieństwo), na której wystąpiłem w mundurze SS-manna, ze swastyką na gardzieli.

To był ulubiony konik, zwłaszcza w pierwszych miesiącach: audycja madrycka jest robiona przez niemieckich rewizjonistów i zaprzędanych im polskich zdrajców. Propaganda była kretyńska, bo przecież od pierwszego dnia staliśmy na stanowisku nie-naruszalności granicy na Odrze i Nysie. Więc bzdurne zarzuty szybko ustały. Ale od czasu do czasu powracały, niczym pijacka czkawka.

Ba, czkawka ta odzywała się od czasu do czasu w najmniej spodziewanych sytuacjach. Któregoś dnia, będąc w Londynie, wziąłem do ręki nieistniejącą już od dawna *Kronikę*, by dowiedzieć się z niesłychaną uciechą, że pracownicy audycji madryckiej to w swej większości rodowici Niemcy. W redakcji *Kroniki* zasiadał ówczesnie Marian Czuchnowski, co także należy zanotować dla historii. Obiecano mu zbiorowe wydanie w kraju wszystkich jego książek. Uwierzył, a gdy to kłamstwo rychło wyszło na jaw, zapragnął wrócić do skromnej posadki w Howe. Do Juliusza Sakowskiego udać się z tym osobiście nie śmiał, więc próbował drogą okrężną, ale bezskutecznie.

Okres masowego przychodzenia listów z kraju skończył się dość szybko. Reżym nakazał osobiste wręczanie korespondencji, wysyłanej za granicę, w urzędach pocztowych. To ludzi przestraszało i odstręczało od ryzyka. Mało kto potrafił drakoński nakaz obchodzić (zapewne przy współudziale znajomych pocztowców); w wyniku korespondencja gwałtownie spadła do zaledwie kilku procent. Mieliśmy jednak dowody, że audycja jest nadal słuchana, a nawet przez jakiś czas wytrzymywała konkurencję potężnej rozgłośni *Wolna Europa*. Pierwszy większy kryzys nastąpił przy końcu roku 1956, mianowicie „po Październiku”. Nie dzieliliśmy euforii, jaka nastąpiła w kraju i w dość znacznym stopniu na emigracji; nie dołączyliśmy do chóru tych zdezorientowanych, którzy po dojściu Gomułki do władzy śpiewali tryumfalne „Sto lat!”. Okoliczność ta zredukowała ilość naszych słuchaczy i zwolenników. A już po kilku miesiącach przekonano się, że nasz sceptycyzm był uzasadniony.

Znaczny spadek popularności w latach następnych, a głównie poczynając od połowy lat sześćdziesiątych, był spowodowany przede wszystkim względami technicznymi. Zamiast zareagować na systematyczne zagłuszanie wzmocnieniem siły nadawczej, zmniejszono ilość kilowatów. Powód? Podejrzewano różne rzeczy, niektóre dość brzydkie, ale nie sądzę, by miano rację. Nie było żadnego celowego sabotażu, po prostu zadecydowała nie-

chęć do reform technicznych, które by pociągnęły za sobą wzrost kosztów. A także abulia i obojętność. Odbiór z biegiem czasu stawał się coraz trudniejszy, a często wręcz niemożliwy, zwłaszcza na słabych aparatach.

Mój wkład wyglądał dość pokąźnie, ale tylko mniej więcej do roku 1970, bo później audycja, poddana politycznym ograniczeniom, przestała mnie w gruncie rzeczy interesować. Jeśli nie liczyć tekstów drugorzędnych, pisałem *plus minus* jakieś piętnaście stronic tygodniowo, czyli około ośmiuset stron rocznie, a więc przez cały czas (znowu w przybliżeniu) dwadzieścia tysięcy stron maszynowego pisma (*in folio*), co odpowiadałoby w druku trzydziestu solidnym tomom, po pięćset stron każdy. Archiwum audycji złożone zostało w bibliotece wschodoznawczej w gmachu Ojców Jezuitów w Madrycie. Jakie losy czekają te sterty papieru i bibułek, którymi nikt się już nie interesuje, można jedynie wróżyć. Z pasjansa, z fusów czarnej kawy? A jednak ośmielałem się twierdzić, bez fałszywej skromności, że te lata kiepsko wynagradzanej pracy stanowiły nie najuboższą część dorobku polskiej emigracji politycznej.

Napisałem kilkaset pogadanek, poświęconych sprawom hiszpańskim. Mięwały one charakter polityczny, ale rzadko; przeważnie dotyczyły historii, kultury, literatury i sztuki.

Gdyby niektóre z tych pogadanek zebrać i wydać w jednym tomie, byłoby z tego, jak sądzę — tu się powtórzę z całą świadomością — nie najgorsze *vade mecum* po geografii i historii kultury hiszpańskiej. Czytelnicy by się znaleźli, ale gdzie szukać wydawców?!

Józef ŁOBODOWSKI

A. A. SWIDERSKI, P. Eng.

GDAŃSKI „BRATNIAK”

Druga Rzeczpospolita Polska miała politechnikę Warszawską i Lwowską oraz Akademię Górniczą w Krakowie, jedyne uczelnie poświęcone wyłącznie wyższemu studium technicznemu. Były to raczej małe uczelnie, biorąc pod uwagę fakt, że Polska z 30-ma

milionami ludności, przemysłem śląskim, dąbrowskim, łódzkim, z planami budowy portu morskiego i floty handlowej i wojennej potrzebowała więcej inżynierów niż te uczelnie mogły wykształcić. Skutkiem tego dużo młodzieży o zainteresowaniach technicznych, nie mogąc się dostać na wyższe studia w Polsce, wyjeżdżało na studia za granicę. Ustawodawstwo polskie wymagało nostryfikacji po ukończeniu studiów za granicą, co było trudne, biorąc pod uwagę problemy języka, programów, zakresu studiów itd.

Niby to w Polsce, niby to za granicą istniała Politechnika Gdańska, prowadzona przez Senat Wolnego Miasta Gdańska. Wolne Miasto Gdańsk, niezdrowy twór Traktatu Wersalskiego, było związane z Polską gospodarczo, finansowo i politycznie, będąc równocześnie uczuciowo i językowo związane z Republiką Weimarską. Z tych to powodów w Gdańsku przez całe dwudziestolecie ścierały się wpływy i interesy Polski i Niemiec, które w bardzo wyraźny sposób odbijały się na Politechnice Gdańskiej.

Z tych to właśnie powodów przy Politechnice Gdańskiej powstała dziwna organizacja, jakby „państwo w państwie”, ale uzależniona od Politechniki, z prawem eksterytorialności, pod nazwą „Związek Studentów Polaków Politechniki Gdańskiej, Bratnia Pomoc”, popularnie zwana „Bratniakiem”.

Będąc w Polsce i przeglądając publikacje na temat obecnej Politechniki Gdańskiej nie mogłem znaleźć niczego o „Bratniaku”.

Dawną politechnikę traktuje się jako jeden z tworów „hakaty”, który w 1945 roku przerodził się w obecną Politechnikę Gdańską. Szczególnie nieprzyjemnie uderzyło mnie zdanie w pracy zbiorowej „Politechnika Gdańska, 1945-1970, Księga Pamiątkowa”, wydanej w 1970 roku. W przedmowie przeczytałem: „Rozpoczynając w roku 1945 działalność polskiej Politechniki Gdańskiej na gruzach dawnej *Technische Hochschule*, organizatorzy Uczelni zdawali sobie sprawę, że dziedzictwo pomieszczeń nie jest dziedzictwem myśli — i że nowa Politechnika, uczelnia czysto polska, nie może być, nie jest i nie będzie kontynuacją dawnej uczelni niemieckiej”. To właśnie zdanie skłoniło mnie do napisania krótkiego szkicu historycznego, czy może lepiej powiedziawszy tej garstki wspomnień osobistych. Uważam bowiem, że Politechnika Gdańska okresu dwudziestolecia była raczej organizacją kosmopolityczną, prowadzoną przez niemieckie siły naukowe, i że w życiu tej uczelni studenci-Polacy, zorganizowani w Bratniaku, odgrywali dość poważną rolę. Poza tym okres dwudziestolecia był bardzo specyficzny tak dla Polaków jak i dla Niemców. Przecież właśnie na tej Politechnice, odro-

dzanej w 1945 roku, cały szereg profesorów, docentów i asystentów rekrutowało się z dawnych członków Bratniaka, absolwentów tej Politechniki. Nazwiska, które tutaj cytuję mogłem sprawdzić w oficjalnych dokumentach i publikacjach. Wedle moich kolegów w Kanadzie i mojej pamięci było ich znacznie więcej. Jednak ich nie podaję, bo nie mam stuprocentowej pewności.

B. Bukowski, organizator i kierownik Katedry Budownictwa Żelbetowego;

B. Gebhard, Katedra Budowy Dróg i Robót Ziemnych;

A. Hoffman, inż. elektryk, wykładowca;

J. Kazimierzczak, organizator i Kierownik Katedry Teorii Okrętów;

A. Potyrała, organizator Wydziału Budowy Okrętów;

W. Urbanowicz, jeden z organizatorów Katedry Projektowania Architektury Pomorza, Katedry Architektury Okrętów;

K. Zabłocki, kierownik Katedry Kotłów Parowych.

Poza „związkami” personalnymi były też związki i wpływy „myśli” między tymi dwiema politechnikami. Zacytuję wyżej wspomnianą „Księgę Pamiątkową”, strona 86: „... Programy nauczania, w zasadzie 4-letnie, oparte były głównie o przedwojenne programy Wydziału Okrętowego Politechniki Wolnego Miasta Gdańska”.

Uczelnia

Politechnika Gdańska powstała w 1904 roku. W terminologii niemieckiej *Technische Hochschule*, tłumaczona na polski jako „Wyższa Szkoła Techniczna”, choć winno być raczej, tłumaczyć w duchu języka, „Politechnika”. System studiów i język wykładowy były niemieckie.

Kiedy władze Wolnego Miasta Gdańska przejęły po Traktacie Wersalskim Uczelnię, pozostawiły tak język wykładowy jak i program studiów ten sam. Wszelkie wymiany profesorów, studentów-Niemców, sposób, program i system nauczania były w zupełności związane z systemem niemieckim. Mimo tego Politechnika Gdańska miała specyficzny charakter i w zasadzie była uczelnią międzynarodową. Studenci Niemcy, czy Gdańszczanie niemieccy stanowili może 50 % całości, a reszta to Polacy, Łotysze, Japończycy, Estończycy, Szwedzi itd. Należy zaznaczyć, że na politechnikę uczęszczało dużo synów obywateli polskich pochodzenia niemieckiego. Ci w większości nie należeli do Brat-

niaka, lecz wstępowali do *Deutsche Studentenschaft*. O kosmopolitycznym charakterze Politechniki najlepiej chyba świadczy ilość związków studenckich, opartych na przynależności narodowej, czy państwowej, które się tworzyły, działały i były „uznawane” przez Politechnikę.

Były więc następujące związki studenckie, które przytaczam tutaj z pamięci. Staram się je podać w porządku ilościowym, ale niestety nie jestem pewien tej kolejności:

- *Deutsche Studentenschaft*, który podobnie jak BRATNIAK miał swój dom akademicki;
- Stowarzyszenie Studentów Polaków Politechniki Gdańskiej, Bratnia Pomoc;
- Stowarzyszenie Studentów Łotyszów;
- Stowarzyszenie Studentów Estończyków;
- Stowarzyszenie Studentów z Azji, gdzie olbrzymią większość stanowili Japończycy;
- *Jüdischer Studentenverein*. Było to stowarzyszenie studentów-Żydów z różnych krajów, którzy się czuli bardziej związani z ideą żydostwa niż z przynależnością państwową. Znałem tam kolegów z Niemiec, Francji, Polski i Szwecji.
- Stowarzyszenie Żydów Polskich. Organizacja ta skupiała obywateli polskich pochodzenia żydowskiego, którzy uważali się za Polaków. Utrzymywali oni stosunki z Bratniakiem;
- Były też dwie, o ile dobrze pamiętam, organizacje studentów-Ukraińców, ale nie przypominam sobie ani ich nazw, ani ilości ich członków.

Przypuszczalnie były też organizacje, z którymi się nie zetknąłem, a na pewno było dużo innych „pojedynczych” narodowości, jak Francuzi, Amerykanie, Litwini, Hiszpanie i inni, z którymi się spotykało na Politechnice, a którzy nie byli zrzeszeni w żadnych organizacjach.

Zasadniczo różne narodowości nie „mieszały się” jako grupy. Istniały raczej prywatne znajomości i przyjaźnie. Korporacje Bratniaka utrzymywały dość ścisły kontakt z Łotyszami i Estończykami. Inne stowarzyszenia utrzymywały, lub nie, stosunki między sobą, od bardzo przyjaznych do zupełnie obojętnych lub nawet wręcz wrogich. Studenci gdańscy tworzyli dziwny konglomerat, w przesadzie obrazujący stosunki narodowościowe czy państwowe, panujące w tym czasie na świecie. Wydaje mi się, że bardzo charakterystycznym przykładem mogą być stosunki między *Deutsche Studentenschaft* a Bratniakiem. We wczesnych

dwudziestych latach te dwie organizacje „uznawały się”. Z czasem jednak stosunki zupełnie zerwano, a powodem tego był tak zwany „protokół jednostronny” w wyniku „sprawy honorowej” między członkiem Bratniaka a członkiem *Studentenschaft*. Gdy Niemiec nie chciał udzielić „zadośćuczynienia honorowego”, twierdząc, że Polacy, Żydzi i psy nie są godni satysfakcji honorowej, został spisany i złożony na Politechnice jednostronny protokół. A trzeba wiedzieć, że zgodnie z przepisami Politechniki student z piętnem „protokołu jednostronnego” winien być usunięty z uczelni. To jednak się w tym wypadku nie stało.

Dla dalszego zobrazowania stosunków, czy też braku stosunków między polskimi a niemieckimi studentami chcę podać bardzo charakterystyczny wypadek, jaki mnie się zdarzył. Otóż znałem z Górnego Śląska, gdzie przed wstąpieniem na politechnikę odbywałem 6-ciomiesięczną praktykę w Królewskiej Hucie, syna jednego z wysokich urzędników huty, Niemca. Podczas praktyki zaprzyjaźniliśmy się i wspólnie spędzaliśmy dużo czasu w Chorzowie i Katowicach. Obydwaj mieliśmy zamiar iść do Gdańska. Po zapisaniu się na Politechnikę on wstąpił do *Deutsche Studentenschaft*, a ja do Bratniaka. Spotykaliśmy się od czasu do czasu w kawiarniach czy knajpach. Jednego dnia kolega ten oświadczył mi z zażenowaniem, że niestety nie będzie się mógł więcej widywać publicznie ze mną, gdyż *Studentenschaft* mu tego zabroniło. Zapraszał mnie jednak bardzo gorąco do spotkań prywatnych. Ja, ma się rozumieć, po wypowiedzeniu paru gorzkich słów wstałem i wyszedłem. Od tego czasu nie rozmawialiśmy ze sobą więcej, a spotykając się na ulicy czy na Politechnice „nie widzieliśmy” jeden drugiego.

Z drugiej strony jeden z Polaków, absolwent Politechniki Gdańskiej, po upadku Francji w 1940 roku znalazł się na przystani rybackiej w Bordeaux. Został tam zatrzymany przez esesmana. Otóż ten Niemiec rozpoznał mojego kolegę jako byłego studenta Politechniki Gdańskiej i poradził mu wrócić natychmiast do domu i nie przychodzić do portu, gdyż groziło to śmiercią.

Warto tutaj zresztą odnotować jeszcze jeden fakt, świadczący o „dzikości” stosunków w Gdańsku. Znałem kilkunastu członków Bratniaka pochodzenia niemieckiego, obywateli polskich, w których domach język niemiecki był językiem dominującym. Mimo tego zapisali się do Bratniaka, ponieważ czuli się Polakami. W zupełności aprobowali nasz stosunek do *Deutsche Studentenschaft*. Znam kilka wypadków, gdy w czasie wojny ich rodzice wraz z całym rodzeństwem deklarowali się jako *Volks-*

deutsche, a oni, będąc jeńcami wojennymi po kampanii wrześniowej, przechodzili bardzo ciężkie czasy w obozach, deklarując się, mimo nacisków, jako Polacy.

Wypadki które opisałem mogą się wydawać dzisiaj bardzo dziwne i bardzo niezdrowe. Przypuszczalnie dzisiaj nasze zachowanie można by nazwać skrajnym nacjonalizmem, ale cóż, takie były czasy, tacy byli ludzie.

System nauczania

Uczelnia sama dzieliła się na cztery zasadnicze wydziały (*Abteilungen*), każdy z nich miał swego dziekana. Każdy wydział dzielił się dalej na prawie zupełnie niezależne podwydziały:

- Wydział Pierwszy obejmował chemię, fizykę i matematykę.
- Wydział Drugi obejmował architekturę, geodezję, budowę mostów, dróg, kolei, kanałów i regulację rzek.
- Wydział Trzeci obejmował mechanikę z jej wszystkimi działami i elektrotechnikę. Ta ostatnia dzieliła się dalej na prądy słabe i silne.
- Wydział Czwarty obejmował budowę okrętów i samolotów.

Na wszystkich Wydziałach obowiązywał system semestralny. Na każdym semestrze trzeba było wysłuchać pewnej minimalnej ilości przedmiotów, oraz zrobić odpowiednie projekty czy laboratoria.

Każdy z podwydziałów (można powiedzieć specjalności) obejmował pewną liczbę przedmiotów, które się dzieliły na przedmioty obowiązujące i dowolne. Minimalna ilość przedmiotów potrzebnych do pół-dyplomu czy dyplomu w danym dziale była ściśle określona, z zaznaczeniem, które z przedmiotów były obowiązujące, a które dowolne. Można było brać (jak się popularnie mówiło „obkładać”) dowolną liczbę przedmiotów. Wybór przedmiotów był dowolny, ma się rozumieć z powyżej podanymi ograniczeniami. Dla pewnych przedmiotów trzeba było mieć „rekwizyty”, to znaczy, że nie można było brać na przykład drugiej matematyki bez wysłuchania pierwszej itd. Pod tym względem system przypominał wyższe uczelnie na kontynencie amerykańskim. Nie było egzaminów semestralnych czy rocznych. Jeśli student nie wykonał poleconych wypracowań czy laboratoriów, musiał dany przedmiot powtarzać, opłacając go po raz wtóry.

Opisując system nauczania, na miejscu będzie wspomnieć o systemie opłat semestralnych.

Senat Wolnego Miasta utrzymywał Politechnikę, lecz nie mając zbyt dużo pieniędzy był zmuszony do wyznaczania wysokich opłat uczelnianych. Opłaty te dzieliły się na:

1. Stałe opłaty semestralne, które decydowały, czy dany student był członkiem Politechniki czy też nie;
2. Opłaty za każdy przedmiot słuchany, czyli „obłożony” przez studenta. Ceny przedmiotów różniły się dość znacznie w zależności od ilości godzin wykładów, laboratoriów czy projektów, związanych z danym przedmiotem.

Przeciętne całkowite opłaty, włączając przedmioty wykładane, wynosiły chyba około 550 guldentów gdańskich za jeden semestr, co przy kursie około 1,75 zł za guldena było sporą sumą na polską kieszeń. Jak widać z powyższego, studenci mniej zdolni lub leniwi musieli płacić za swe braki żywą gotówką.

Studia można było przerywać po ukończonym semestrze, mogąc kontynuować je dalej nawet po kilkuletniej przerwie. To było przewidziane w systemie Politechniki.

Należy tutaj wspomnieć, że poszczególne katedry były wspierane podobno wprost przez rząd niemiecki, przez stypendia z Rzeszy oraz przez przemysł niemiecki. Zwyczaj częściowego finansowania katedr czy poszczególnych profesorów był rozpowszechniony w Niemczech. Polegał on na tym, że dana fabryka czy koncern łożyły większe lub mniejsze sumy pieniędzy na daną katedrę czy profesora. Za te pieniądze dana katedra przeprowadzała studia teoretyczne lub nawet często doświadczalne na danym polu techniki. Wyniki studiów i doświadczeń były przekazywane do danej fabryki czy koncernu. System ten przypominał trochę *research grants* w obecnym przemyśle amerykańskim.

System Politechniki nie przewidywał egzaminów semestralnych czy rocznych. Były zasadniczo tylko dwa egzaminy: pół-dyplomowy i dyplomowy. Jednak na Wydziałach, które miały więcej jak 12 przedmiotów egzamin pół-dyplomowy mógł być rozbity na dwie tak zwane „ćwiartki”. Nie było ograniczeń czasowych na te egzaminy. Egzamin pół-dyplomowy można było składać po 2½ latach, a „ćwiartkę” po 2 latach, ale jeśli ktoś chciał, mógł studiować pięć czy sześć lat, byle tylko opłacał czesne. Terminy egzaminów pół-dyplomowych oraz „ćwiartek” były dwa razy do roku, zaś egzaminów dyplomowych — cztery razy do roku, w ściśle określonych terminach.

Oprócz studiów teoretycznych Politechnika wymagała pewnego praktycznego wykształcenia, na które kładła duży nacisk.

Wymagania praktyczne były opracowywane przez odpowiednie dziekanaty. W zależności od tych wymagań studenci musieli spędzić pewną minimalną ilość miesięcy na tak zwanych „praktykach letnich”. Wymagany czas praktyki różnił się od wydziału do wydziału, wynosząc od 3 do 18 miesięcy. Wydziały III i IV wymagały nawet 6-miesięcznej przedwstępnej praktyki. Wszystkie praktyki musiały być zatwierdzone przez Politechnikę. Podczas pracy letniej student musiał prowadzić dziennik prac wraz z uwagami i komentarzami. Dziennik taki musiał być najpierw zatwierdzony przez firmę, a następnie przedstawiony w dziekanacie, wraz ze świadectwem i opinią firmy. Odrzucenie praktyki przez dziekanat zmuszało studenta do spędzenia następnych wakacji w fabryce, lub nawet do przerwania studiów na jeden semestr. Pewne wydziały wymagały części praktyki przed i części po pół-dyplomie. Wymagana praktyka była traktowana tak samo jak projekt czy laboratorium.

Student, który decydował się na egzamin, kompletował wszystkie swoje prace, wykonane przez pół teoretycznego okresu studiów, i składał je do ostatecznego zatwierdzenia przez Senat Politechniki. Jeśli prace jego były odrzucone, co się prawie nigdy nie zdarzało, student taki tracił wszystkie kredyty i musiał zaczynać studia od początku. Jeśli natomiast prace zostały zatwierdzone, zostawał dopuszczony do egzaminu. Egzamin a raczej egzaminy obejmowały cały okres wymagany do wykonania powyższych prac. To znaczy w wypadku pół-dyplomu — dwa i pół roku, a w wypadku dyplomu — dwa lata. Okres trwania egzaminów był około dwóch tygodni, zaś poszczególny egzamin trwał od 2 do 4 godzin, w grupach od 2 do 6 studentów. Egzamin był ustno-piśmienny. „Ścięcie się” z więcej jak 50 % egzaminów powodowało usunięcie z uczelni bez prawa studiowania na tym samym wydziale i bez prawa „zaliczenia” prac, czy poprzednio zdanych egzaminów. Niezdany egzamin można było powtórzyć tylko dwa razy. Niezdanie egzaminu trzy razy powodowało usunięcie z danego wydziału, podobnie jak przy „ścięciu” 50 % egzaminów. Te same przepisy dotyczyły egzaminów dyplomowych. Należy przyznać, że takie wypadki były raczej rzadkie. Znałem jednak studenta-Polaka, który przepadł trzy razy na jednym przedmiocie dyplomowym na Wydziale Mechanicznym i musiał zaczynać studia od początku na Wydziale Lotniczym. Na egzaminach pół-dyplomowych wypadki takie były znacznie częstsze.

Po zatwierdzeniu prac i projektów drugiej połowy Politechniki student zgłaszał się do profesora, u którego postanowił robić

pracę dyplomową, punktualnie o godz. 12-tej rano, celem dostania tematu pracy dyplomowej. Na wydziałach architektury i inżynierii lądowej termin wykonania pracy był 6 do 9 tygodni, na wydziałach mechanicznym, okrętowym i lotniczym — 3 do 6 miesięcy. Ma się rozumieć, że przed ustaleniem „działu” czy też zakresu pracy dyplomowej student przeprowadzał długie dyskusje z danym profesorem na temat swoich zainteresowań i możliwości. Po upływie wyznaczonego okresu pracy dyplomowej student, znów o godz. 12-tej rano, musiał oddać pracę, bez względu na to, czy ją skończył czy nie. W wypadku nieukończenia pracy trzeba było załączyć wszystkie dodatkowe szkice, notatki itd. Po zatwierdzeniu pracy dyplomowej student zostawał dopuszczony do egzaminów, których termin nie mógł przekroczyć jednego roku od daty zatwierdzenia pracy. Po zdaniu egzaminów student otrzymywał dyplom na uroczystym zebraniu całego Senatu Politechniki.

Chciałbym tutaj zrobić małą dygresję w związku z egzaminami i dyplomami. Otóż w 1936 roku rektor Politechniki, dr Pohlhausen, wręczając dyplomy oświadczył, że zaistniał tylko jeden wypadek w historii Politechniki, kiedy to ojciec i syn ukończyli uczelnię *cum laudae*. Byli to inżynierowie Kręglewscy. Ojciec, który ukończył, o ile się nie mylę, w 1909 roku (w latach trzydziestych był dyrektorem Zakładów H. Cegielskiego w Poznaniu) i jego syn, który właśnie w 1936 roku otrzymał dyplom na Wydziale Mechanicznym.

Nie będę tutaj opisywał położenia ani architektury Politechniki, ponieważ obecna Politechnika Gdańska mieści się w tych samych budynkach, na tym samym terenie, z tym, że dobudowano kilka dodatkowych budynków, oraz dołączono budynek „Condratium”, dawne gimnazjum niemieckie.

Dawna Politechnika Gdańska mieściła się w następujących budynkach:

- Budynek Główny wraz z *auditorium maximum*,
- Budynek Wydziału Chemicznego,
- Budynek Wydziału Elektrycznego,
- Budynek Laboratoriów Mechanicznych i siłownia Politechniki,
- Budynek Wydziału Wodnego i Aerodynamicznego. (Laboratorium Aerodynamiczne z tunelem dyszowym było znane z bardzo równego rozkładu szybkości w całym przekroju. Tunel ten był jeszcze operatywny w latach pięćdziesiątych),

— Budynek Laboratorium Wytrzymałościowego.

Większość sal kreślarskich i wykładowych oraz biblioteka wraz z biurami administracyjnymi znajdowały się w Budynku Głównym; w pozostałych budynkach odbywały się przeważnie ćwiczenia i laboratoria.

Z powyższego opisu stosunków narodowościowych i systemu nauczania, który dawał znacznie większe możliwości „obłania” studenta niż to jest obecnie na uczelniach amerykańskich czy kanadyjskich można by odnieść wrażenie, że my Polacy mieliśmy na Politechnice bardzo ciężkie i nieprzyjemne życie. W rzeczywistości tak wcale nie było. Asystenci, docenci, a przede wszystkim profesorowie odnosili się do nas życzliwie, sprawiedliwie, a nawet nieraz z przyjaźnią. Nie przypominam sobie wypadku, żeby któremuś z nas jakiś asystent czy profesor odmówił pomocy w rozwiązaniu problemu, czy nawet, żeby kogoś „zbył”. Proszę wziąć pod uwagę, że dużo z nas zapisywało się na Politechnikę z bardzo słabym niemieckim, lub nawet nie znając zupełnie języka. Jednak profesorowie i asystenci cierpliwie wysłuchiwali naszych „dukań”, nie przywiązywali wagi do błędów ortograficznych czy gramatycznych w wypracowaniach. Prace i wysiłki studentów były oceniane według wartości technicznej, rzetelnie i sprawiedliwie. Wiem to tak z własnego doświadczenia, jak i z ogólnej „opinii publicznej” Bratniaka.

Sytuacja polityczna

Dla lepszego zrozumienia „specjalności” Bratniaka wydaje mi się konieczne opisać, choćby w ogólnych zarysach, sytuację i atmosferę polityczno-gospodarczo-narodowościową Wolnego Miasta Gdańska. Między wojnami Gdańsk był chyba w 90 % niemiecki. Cyfra ta odnosi się do ludności, zwyczajów, sympatii i właściwych władz Wolnego Miasta. Była jednak Polonia. Już przed pierwszą wojną światową istniały i działały na terenie dawnego zaboru niemieckiego, a więc i w Gdańsku, różne polskie związki, kasy i organizacje sportowe. Jedną z czynniejszych była Polska Macierz Szkolna, oraz, jeśli się nie mylę, Sokół. Część tych organizacji przetrwała i kontynuowała swą działalność na terenie Wolnego Miasta. Traktat Wersalski uzależnił ekonomicznie Wolne Miasto od Polski. Poza tym Polska była naturalnym zapleczem Gdańska, który dosłownie żył z Polski. Przedstawiciele Polski zasiadali w Radzie Portu, był garnizon polski na Westerplatte, był oddział Poczty Polskiej, Klub Sportowy „Ge-

dania", (nastawiony silnie na przysposobienie wojskowe) i Dyrekcja Polskich Kolei, która obejmowała część Pomorza i Gdańsk. Ale przede wszystkim był Komisariat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej, który był zasadniczym przedstawicielem, tak politycznym jak i gospodarczym, interesów Polski. Nie będę się tutaj wdawał w uprawnienia i działalność tej placówki. Wspomnę tylko, że jej uprawnienia i wpływy na terenie Wolnego Miasta były bardzo znaczne. Poza tym Komisariat wspierał tak finansowo jak i moralnie wszystkie bez wyjątku organizacje polskie na terenie Gdańska. W czasie moich studiów dwóch Komisarzy Generalnych piastowało ten urząd, a mianowicie pp. K. Papee i M. Chodacki. Pierwszy bardzo przychylny i wyrozumiały dla potrzeb Bratniaka i jego działalności, drugi zaś bardziej „wojskowy i urzędowy”, mocno wierzący w politykę „silnej ręki”. Łącznikami między Komisariatem a Bratniakiem byli za moich czasów kpt. F. Krukierk i p. Ziemkiewicz. Ten ostatni był specjalistą od spraw finansowych wszystkich polskich organizacji. Stosunki między Komisariatem a Bratniakiem były zawsze pełne zrozumienia i współpracy. O ile sobie przypominam, był tylko jeden poważniejszy „zgrzyt”. Otóż w czasie rokowań o pakt o nieagresji między Polską a Niemcami Komisarz Generalny, p. Chodacki, zażądał porozumienia i nawiązania stosunków między Bratniakiem a *Studentenschaft*. Bratniak, poparty jednogłośnie przez wszystkich studentów, oświadczył, że dopóki *Studentenschaft* nie załatwi sprawy „protokołu jednostronnego”, o którym wspominałem uprzednio, porozumienie nie może mieć miejsca. Podczas tych rokowań Bratniak został nawet zagrożony cofnięciem funduszków rządowych. Na szczęście do tego nie doszło. Ale niech to wspomnienie o nacisku na Bratniak nie zaćmi obrazu stosunków z Komisariatem Generalnym. W rzeczywistości spotykaliśmy się zawsze z chęcią współpracy i zrozumieniem. Pragnę zaznaczyć, że nigdy nie było tak zwanych tarć politycznych, jakie miały miejsce na uczelniach polskich. Komisariat rozumiał pozycję i postawę Bratniaka, myśmy z drugiej strony starali się zrozumieć stanowisko Komisariatu. W olbrzymiej większości, po długich nieraz dyskusjach i rokowaniach, dochodziło do porozumienia czy kompromisu.

Komisariat Generalny miał na terenie Gdańska kilka, czy nawet kilkanaście posiadłości, jak domy, boisko sportowe, składy itp. Właśnie w jednym z takich domów (dawne koszary wojska niemieckiego) mieścił się nasz Bratniak. Było to duże domisko, położone tuż na brzegu ówczesnego lotniska cywilnego, przy ulicy Heeresanger, na końcu linii tramwajowej Nr 5. Tym właś-

nie tramwajem jechało się do „Budy”, jak nazywaliśmy popularnie Politechnikę, lub do centrum Wrzeszcza, ówczesnie Langfuhru. Odległość do Politechniki była chyba ze 30 min. spacerem. (Dom ten istnieje dzisiaj, został przerobiony na mieszkania czynszowe). Na tyłach Domu Akademickiego, który przylegał do ulicy, było kilka budynków mieszkalnych, zajętych przez urzędników polskich, oraz kościół polski. Bezpośrednio za tymi domkami było duże boisko sportowe z trybunami, przeznaczone dla wszystkich organizacji polskich na terenie Wolnego Miasta. Policja gdańska nie miała prawa wstępu na te tereny, gdyż obowiązywało tam prawo eksterytorialności, takie samo jakie przysługiwało placówkom dyplomatycznym.

Jak mi opowiadano, pomysł tego ośrodka polskiego wyszedł od dr. Kubacza, wielkiego działacza polonijnego i kierownika Polskiej Macierzy Szkolnej jeszcze z czasów zaboru niemieckiego. Podobno właśnie dr Kubacz starał się usilnie o oddanie jednego z budynków na dom akademicki. Na tych to terenach odbywały się wszystkie uroczystości i wielkie zgromadzenia polskie. Tam trenowały K. S. Gedania i Sokół, tam się odbywały uroczystości narodowe i religijne.

Stowarzyszenie Studentów Polaków Politechniki Gdańskiej — Bratnia Pomoc

Stowarzyszenie Studentów Politechniki Gdańskiej — Bratnia Pomoc skupiało prawie wszystkich studentów-Polaków, w celach samopomocy naukowej, materialnej, towarzyskiej i narodowej.

Członkowie Bratniaka rekrutowali się ze wszystkich części Polski, od Lwowa i Wilna przez Warszawę, Kraków i Poznań. Było też kilku studentów-Polaków z Litwy, Niemiec i Stanów Zjednoczonych. Może można by tutaj zaryzykować twierdzenie, że procent studentów z dawnego zaboru niemieckiego był przeważający, z dużą reprezentacją Pomorzaków.

Z punktu widzenia środków materialnych można by studentów podzielić na trzy grupy:

- a) zamożni,
- b) średnio-zamożni,
- c) nie mający zasobów materialnych na studia.

Podział ten jest tutaj podkreślony, gdyż czesne na Politechnice i koszty utrzymania były wysokie w porównaniu z uczelniami w Polsce, aspekt więc materialny miał duży wpływ na

poszczególnych studentów oraz na działalność i politykę Bratniaka, co będzie widoczne z późniejszego opisu.

Pierwsza większa „fala” studentów-Polaków przyłączyła się do Politechniki Gdańskiej po zakończeniu wojny Polsko-Rosyjskiej w 1921 roku i oni to właśnie założyli podstawy Bratniaka. Duży wpływ odegrał tutaj Wydział Budowy Okrętów, którego nie miały ani Warszawska, ani Lwowska Politechnika. A przecież już w tym czasie naród polski zaczął się „zwracać do morza”. Zaślubiny z morzem, własny port, własna flota to były idee nurtujące już wtedy młodzież polską. Zaistniało poza tym faktyczne zapotrzebowanie na inżynierów okrętowych, ponieważ mieliśmy kilka małych stoczni, które potrzebowały specjalistów, nie mówiąc o planach budowy floty i własnego portu morskiego.

W tym to właśnie okresie (rok 1922, jeśli się nie mylę) Rząd Polski przekazał budynek starych koszar niemieckich na potrzeby studentów. Dom ten składał się z dużych sal żołnierskich i kilku biur oficerskich. Praktycznie budynek był przerabiany przez cały czas istnienia Bratniaka, celem dostosowania go do wymogów i potrzeb życia studenckiego.

Bratniak był organizacją zupełnie apolityczną, niezależną i demokratyczną. Członkowie Bratniaka w chwilach kryzysu czy trudności umieli zapomnieć o kwestiach dzielących ich i umieli połączyć się, czy też dojść do kompromisu w interesie swojej własnej organizacji. Nie chcę tutaj twierdzić, że wśród naszych członków nie było starć na tematy polityczne czy gospodarcze. Jednak w chwilach naprawdę ciężkich, gdy byt Bratniaka był zagrożony, po gorących dyskusjach zawsze dochodziliśmy do porozumienia.

Ilość członków Bratniaka wahała się w zależności od roku i sytuacji gospodarczej kraju. W czasie mojego pobytu, to znaczy w latach 1931-1936, ilość członków dochodziła do 300-400, z czego około 150-ciu mieszkało w Domu Akademickim, a reszta w tak zwanych „budach”, albo „blajbach”. Termin ten określał pokoje w prywatnych domach we Wrzeszczu, Oliwie i Gdańsku. Szczególnie Wrzeszcz był nastawiony na studentów, którzy wywierali wpływ na życie i charakter tego miasta.

Bratniak był prowadzony przez Zarząd Główny i odpowiednie Komisje, wybierane na dorocznym Ogólnym Zebraniu, tylko spośród studentów.

Zarząd Główny

Zarząd Główny był wybierany na okres jednego roku kalen-

darzowego. Minimalny skład Zarządu musiał obejmować 5 do 6 osób, normalnie jednak Zarząd składał się z 7 do 9 osób.

Zarząd Główny był odpowiedzialny za budżet Bratniaka, kontrolował, a raczej nadzorował prace poszczególnych komisji, pertraktował z Komisariatem Generalnym i władzami Politechniki oraz starał się koordynować prace i wysiłki poszczególnych „Związków”, o których będzie mowa poniżej. Członkowie poszczególnych komisji nie mogli być członkami Zarządu Głównego.

Komisja Stypendialna i Opłat Semestralnych

Komisja ta w składzie trzech osób przydzielała stypendia i opłaty (lub część opłat) semestralnych dla potrzebujących pomocy finansowej kolegów. Postanowienia tej komisji były ostateczne i nie było odwołania od jej decyzji. Nie pamiętam obecnie jakim budżetem operowała komisja, ale były to sumy duże.

Trzeba tu wziąć pod uwagę opłaty semestralne, koszt utrzymania oraz ilość studentów z których więcej jak połowa potrzebowała mniejszej lub większej pomocy materialnej.

Bratniak posiadał kilkanaście prywatnych (zapisy i testamenty) i rządowych stypendiów, fundusz pomocy koleżeńskiej i „fundusz semestralny”. Większość pieniędzy pochodziła z corocznych donacji rządowych oraz doraźnych lub stałych donacji osób prywatnych lub organizacji.

Nie potrzebuję chyba wyjaśniać znaczenia stypendiów, których statuty dokładnie określały warunki ich przyznawania, jak na przykład stypendium dla studenta z Torunia na Wydziale Okrętowym, czy tym podobne. Tego rodzaju stypendia komisja mogła przyznawać tylko tym studentom, którzy dokładnie odpowiadali warunkom.

W gospodarowaniu Funduszem Semestralnym i Funduszem Pomocy Koleżeńskiej Komisja Stypendialna miała zupełnie wolną rękę i przyznawała te pieniądze w zależności od potrzeb petenta i ilości pieniędzy w kasie. Donacje z Funduszu Semestralnego mogły być użyte tylko na opłaty semestralne, podczas gdy Fundusz Pomocy Koleżeńskiej był przeznaczony wyłącznie na pomoc w kosztach utrzymania.

Członkowie Komisji Stypendialnej cieszyli się ogólnym poważaniem kolegów i nie mogę sobie przypomnieć, aby kiedykolwiek, czy w rozmowach prywatnych, czy też na Walnym Zebra-

niu ktokolwiek wątpił w bezinteresowność Komisji. Pamiętam, jak kiedyś na Walnym Zebraniu jeden z kolegów wyraził się, że Komisja Stypendialna jest „sumieniem Bratniaka”. Nie mogę też sobie przypomnieć ani jednego wypadku, żeby petent, czy nawet przedstawiciel Komisariatu Generalnego zakwestionował rozdział funduszów, lub nawet jakąś pozycję indywidualną.

Gospodarz Domu i Komisja Mieszkaniowa

Komisja ta w składzie 3-ch osób przydzielała pokoje w Domu Akademickim i tak zwane „kwatery”, czyli lokale dla różnych organizacji studenckich. Teoretycznie nie było odwołania od postanowień tej komisji, były jednak bardzo rzadkie wypadki, że student odwoływał się do Zarządu Głównego.

W Domu Akademickim mieszkało około 150-ciu studentów, była duża sala jadalna, kuchnia, kantyna oraz kwatery organizacji.

Pokoje studenckie dzieliły się na trzy kategorie:

Sale ogólne. Było ich cztery, gdy ja wstąpiłem na Politechnikę, ale już w 1936 roku liczba ich zmniejszyła się do dwóch. Miały one, o ile sobie przypominam, po 16 łóżek. Mieszkał na nich tak zwani „wieczni studenci”, o których będzie mowa poniżej, i ci, którzy po powrocie z domu po świętach czy wakacjach szukali prywatnych pokoi na mieście.

Pokoje podwójne. Były to dwa pokoje, każdy z dwoma łózkami oraz wspólnym korytarzykiem, w którym były szafy na ubrania, wspólna umywalnia i elektryczna kuchenka. Do tych pokoi mieli prawo mniej zamożni studenci, aktywnie studiujący. Opłaty wynosiły mniej więcej połowę opłat prywatnych pokoi na mieście.

Pokoje prywatne, które przysługiwały tylko studentom przygotowującym się do dyplomu oraz członkom Zarządu Bratniaka. Czynsz tych pokoi był wyższy, ale nie podwójny. Dobrze sytuowani koledzy nie mieli prawa mieszkać w Domu Akademickim.

Dom Akademicki musiał niestety być subwencjonowany. Deficyt był pokrywany z donacji rządowych, prywatnych, oraz z rozmaitych imprez dochodowych, jak bale, koncerty itp.

Pisząc o koncertach przypominam sobie ciekawą historyjkę. Zdaje się, że w roku 1931 Jan Kiepura i Artur Rubinstein odwiedzili Polskę. Jeden z kolegów z Sosnowca wpadł na pomysł zaproszenia Jana Kiepurę do Gdańska. Ktoś inny zapropono-

nował Artura Rubinsteina. Kiepura w tym czasie był chyba u szczytu sławy, podczas gdy Rubinstein był już bardzo znanym, ale nie tak sławnym jak w późniejszych latach pianistą. Pojechały więc delegacje do Warszawy i Sosnowca. Kiepura zgodził się dać koncert, ale ze switą złożoną z 16-tu osób. Koszta podróży samolotem i pobyt w Gdańsku miały być pokryte przez Bratniak. Artur Rubinstein zgodził się przyjechać na własny koszt. Zarząd Bratniaka, bojąc się deficytu, zrezygnował z zaproszenia Kiepury, natomiast rozreklamował bardzo energicznie w Gdańsku i Gdyni koncert Rubinsteina. Koncert był wielkim sukcesem tak artystycznym jak i finansowym. Cały dochód był przeznaczony na Dom Akademicki. Przy wyjeździe z Gdańska A. Rubinstein, który przecież nie wziął grosza honorarium i zapłacił swoje koszty podróży, ofiarował jeszcze na Bratniak kilkadziesiąt złotych. Gdy po jednym z koncertów w Kanadzie przypominałem Mistrzowi ten fakt, wydaje mi się, że zrobiłem mu dużą przyjemność.

Dom Akademicki mieścił w sobie, jak już wspominałem powyżej, pokoje mieszkalne, biura Bratniaka, salę jadalną oraz siedziby różnych związków studenckich.

Sala jadalna, główny ośrodek zborny naszego życia socjalno-koleżeńkiego, mieściła się na pierwszym piętrze. Mogła ona pomieścić w jednym czasie chyba ze 160 osób przy stołach jadalnych. Powszechnym zwyczajem było „stołować się”, to znaczy jeść obiad w Bratniaku. Tam się spotykało kolegów, załatwiano wszystkie sprawy, zbierało informacje itp. Olbrzymia większość kolegów mieszkających na mieście czy studiujących na Politechnice przychodziła na obiad właśnie z tych powodów. Sala jadalna Bratniaka była naszą Mekką i Medyną, do której wszyscy członkowie ciągnęli i gdzie się spotykali. Rzeczą zupełnie normalną było usłyszeć zdanie: „Nie wiem co się dzieje z kolegą A czy B, nie widziałem go już przez parę dni na Politechnice, może mu się coś stało?”. Kolega wygłaszający to zdanie nie mieszkał w Bratniaku, a ten o kogo się pytał mógł też mieszkać na mieście.

Na Politechnice trudno się było spotkać. Kilka budynków, różne sale wykładowe, kreślarnie, laboratoria nie stwarzały łatwych okazji do spotkań. Ta więc sala jadalna była naszym wspólnym „klubem”, gdzie spotkali się wszyscy.

Dostać się z Bratniaka na Politechnikę nie było najwygodniejszą rzeczą. Normalnie wykłady kończyły się o godz. 12-tej i zaczynały się znowu o 14-tej. Wymagało więc dużo wysiłku, czy może raczej niewygody, aby w tych dwóch godzinach dojść do Bratniaka, zjeść obiad i wrócić na Politechnikę.

Śniadania i kolacje jedli prawie wyłącznie mieszkańcy samego Domu, o ile nie „pichcili” czegoś we własnym zakresie.

W sali jadalnej były cztery stoły korporacyjne, jeden stół „Korabia”, a resztę zajmowali wszyscy inni. Zwyczajem jednak było, że każdy student siadał zawsze, lub prawie zawsze, przy tym samym stole. Ta właśnie sala jadalna, nie mówiąc o innych organizacjach czy stowarzyszeniach, powodowała, że wszyscy się znaliśmy. Te spotkania, dyskusje i wymiany myśli wytworzyły więź na całe życie.

W piwnicach Domu były kwatery korporacji „Wisły” i „Rozewii” oraz garaż-warsztat motocyklowy, gdyż motocykli było stosunkowo dużo w Bratniaku. Na tym terenie odbywały się wieczne dyskusje motocyklowe, odnośnie indywidualnych zawodników, motocykli, trudności rajdów itp. Bardzo często można tam było zobaczyć paru kolegów, specjalistów motorowych, którzy bezinteresownie pracowali dosłownie dniami i nocami, aby „nasza” drużyna, czy nawet „nasz” indywidualny zawodnik zajęli dobre miejsce w nadchodzących zawodach.

Na trzecim piętrze była „kwatery” Korporacji „Gedanii”, i „lokal” Korabia. Akademicki Związek Sportowy (AZS) i Aeroklub Gdański mieściły się na pierwszym i drugim piętrze. Reszta związków nie miała swych lokali w Bratniaku. Koła Naukowe miały swe „biura” na salach kreślarskich, zaś inne organizacje albo wypożyczały lokal od czasu do czasu, lub wprost prywatny pokój prezesa był zarazem lokalem danej organizacji.

Komisja Gospodarcza

Komisja ta w składzie trzech osób nadzorowała budżet Domu, kantyny i kuchni studenckiej. Kantyna była wydierżawiana jednemu studentowi. Kuchnię prowadził też student, który pracował za wynagrodzeniem.

Komisja Sportowa

Komisja Sportowa w składzie trzech kolegów była zasadniczo pewną namiastką przysposobienia wojskowego. Teoretycznie należeli do niej wszyscy członkowie Bratniaka, ale w rzeczywistości działalność tej Komisji nie była zbyt aktywna. Większość rzeczy robiło się dla „pokazania”, że przecież coś się robi na

tym polu, ponieważ Komisariat Generalny był bardzo zainteresowany działalnością tej Komisji.

Związki i organizacje

Na terenie Bratniaka istniał szereg związków i stowarzyszeń, które można by podzielić na następujące kategorie:

1. Związki naukowe,
2. Związki towarzyskie,
3. Związki religijne,
4. Związki sportowe,
5. Związki polityczne.

Związki naukowe

Celem współpracy naukowej, wzajemnej pomocy i wymiany myśli technicznej studenci polscy, już w zaraniu Bratniaka, zaczęli się łączyć w tak zwane „Koła Naukowe”. Dużym bodźcem były same władze Politechniki w związku z przydzielaniem miejsc na salach kreślarskich. Poszczególne dziekanaty posiadały określoną ilość sal kreślarskich i wymagały, aby projekty i ważniejsze prace były wykonywane na tych salach. Administracja sal była oddana studentom.

Koła Naukowe, jak „Korab, Związek Studentów Polaków Techniki Okrętowej” (najstarszy), Koło Lotnicze (najmłodsze), Koło Mechaników, Koło Elektryków itd. skupiały studentów jednej specjalności. Zadaniem Kół Naukowych było:

1. Przydzielanie miejsc na salach kreślarskich,
2. Zakup droższych pomocy naukowych, które „należały” do sali,
3. Ogólna pomoc naukowa,
4. Przygotowywanie skryptów. Nie wiem z jakiego powodu, ale skrypty nie były na Politechnice popularne, w przeciwieństwie do polskich uczelni.

5. Załatwianie, czy pomoc w załatwianiu praktyk wakacyjnych. Istniały zasadniczo trzy rodzaje praktyk:

a) Praktyki w polskim przemyśle. Kołom przydzielano pewien kontyngent praktyk. Ten rodzaj praktyk stanowił olbrzymią

większość. Dyrekcja PKP w Gdańsku i stocznie gdańskie przyznawały nam sporą ilość praktyk.

b) Praktyki „morskie” na statkach floty polskiej i zagranicznej. Na tym polu dominował „Korab”, ale zdarzały się dość częste wypadki, że członkowie innych Kół też „pływali”.

c) Praktyki „zagraniczne”, które były organizowane na zasadzie wymiany między poszczególnymi krajami, lub które polegały wprost na prywatnych stosunkach zagranicznych studenta lub jego rodziny. Tego rodzaju praktyk było stosunkowo mało.

6. Przygotowywanie odpowiedzi na egzaminy. Była to bardzo interesująca instytucja i wydaje mi się, że charakterystyczna dla naszego Bratniaka. Działała ona w sposób następujący: zaraz po wyjściu z egzaminu student był indagowany „na gorąco”, jakie miał pytania i jakie dał odpowiedzi. Zagabywano go też, czy przypomina sobie pytania zadane pozostałym studentom z jego grupy. Następnie „komisja ekspertów” danego Koła notowała pytania, dyskutowała odpowiedzi i wciągała je do odpowiedniej kartoteki, ułożonej według wydziału, przedmiotu i profesora. Ponieważ profesorowie nie zmieniali się dość często, więc ilość powtarzalnych pytań rosła z każdym rokiem. Ma się rozumieć, że takie samo pytanie z lat poprzednich nie było wciągane do kartoteki. Najwyżej odpowiedź mogła być ulepszona, czy poprawiona.

Związki towarzyskie

Do tych zaliczę korporacje, których było cztery, i podaję je w kolejności starszeństwa: Wisła, Helania, Gedania i Rozewia.

Członkowie Korporacji pochodzili przeważnie ze środowisk zamożnych i średniozamożnych. Był jednak pewien procent, szczególnie w Rozewii i Gedanii, małozamożnych studentów.

Wzorem korporacji na terenie Polski, korporacje gdańskie przyjęły tradycje, zwyczaje i oznaki pierwszych polskich korporacji w Dorpacie i Rydze. Były u nas „dekle” (czapki), „bandy” (szarfy), sztandary, „fuksy” (początkujący), „rycerze” (pełnoprawni członkowie), i „filistrzy” (członkowie, którzy ukończyli studia), oraz „kodeks”, czyli statut danej korporacji.

Korporacje gdańskie utworzyły „Koło Międzykorporacyjne”. Było to ciało złożone z czterech prezesów, które dyskutowało i sugerowało (nie nakazywało) poszczególnym korporacjom politykę i linię postępowania w sprawach dotyczących Bratniaka.

Korporacje należały do Związku Polskich Korporacji Akademickich (Z.P.K.A.). Jednak w większości wypadków korporacje gdańskie nie aprobowały, często nawet oponowały pociągnięciom i polityce Z.P.K.A. Wynikało to ze specyficznych potrzeb terenu gdańskiego, gdzie sprawy walk i tarć polskich partii politycznych nie obchodziły nas tak mocno jak w Warszawie czy Lwowie, ponieważ musieliśmy się uważać za Polaków i nie wolno nam było doprowadzić w żadnym wypadku do rozbicia Bratniaka.

Szczerze mówiąc korporacje, mające około jednej trzeciej części członków Bratniaka, mogły, gdyby chciały, wybierać całe władze Bratniaka i dyktować jego politykę. Jednak tego nie robiły. Dyscyplina i spójność korporacji była znacznie większa niż innych stowarzyszeń akademickich. Najlepiej obrazowały ten fakt Zebrania Walne. Korporacje stawiały się na zebrania prawie w komplecie, gdy reszta kolegów przybywała w 50-60 %. Walne zebrania zaczynały się o godzinie 20-tej i nieraz przeciągały się do piątej czy szóstej rano. Otóż od godz. 12-tej w nocy procent korporantów rósł, gdyż zawsze pewna liczba „niezrzeszonych” kolegów zaczęła opuszczać zebranie, zaś członkowie korporacji mieli obowiązek zostać do końca zebrania. Pamiętam jeden wypadek wyboru członka do jakiejś komisji Bratniaka, któremu korporacje były zdecydowanie przeciwne, a wybór którego był mocno popierany przez Komisariat Generalny. Wynik głosowania, o ile sobie przypominam był 12 za, a reszta wstrzymujących się. Należy dodać, że z korporacjami wstrzymała się od głosowania też pewna ilość tak zwanych przez nas „dzikich” członków, a głosowanie odbyło się o 5-tej czy 6-tej rano.

Ilość „wiecznych studentów” w korporacjach, w przeciwieństwie do uniwersytetów polskich, była bardzo mała. Powodem tego były przepisy, że żaden „fuks” nie mógł dostać „barw”, czyli zostać „rycerzem” bez ukończenia jednego czy dwóch semestrów Politechniki. Jestem przekonany, że ten właśnie przepis oraz mniejsze trudności finansowe sprawiły, że gdańscy korporanci, w przeciwieństwie do polskich, mogli się poszczycić wysokim procentem otrzymanych dyplomów.

Związki religijne

O ile sobie przypominam, na terenie Bratniaka było tylko jedno stowarzyszenie religijne, „Sodalicja Marjańska”. Liczyła ona około 30-tu członków. Sodalicja nie rozwijała zbyt czynnej akcji na terenie Bratniaka. Należeli do niej w większości człon-

kowie „niezrzeszeni”. Sodalicja nie cieszyła się popularnością wśród członków korporacji.

Związki Sportowe

Poza poprzednio wspomnianym „przysposobieniem wojskowym” istniały trzy bardzo czynne i prężne organizacje, silnie popierane i finansowo wspierane przez Komisarjat Generalny. Były to: Akademicki Związek Sportowy (AZS), Akademicki Związek Morski (AZM) i Aeroklub Gdański. Ilość członków tych związków jest trudna do sprecyzowania, ale można powiedzieć, że chyba 90 % członków Bratniaka w którymś momencie należało do jednego z tych związków, albo do wszystkich razem.

Przez dwa czy trzy lata korporacja „Wisła” posiadała własny jacht dalekomorski, którym robiła rejsy po Bałtyku. Z powodu wielkich kosztów utrzymania jachtu musiała go jednak sprzedać.

Akademicki Związek Sportowy (AZS)

Boisko sportowe, położone na tyłach Bratniaka, ułatwiało uprawianie sportów, a przede wszystkim lekkoatletyki. AZS organizował i zajmował się wieloma gałęziami sportu.

Lekkoatletyka, w której brała udział największa liczba kolegów. Była drużyna reprezentacyjna, która jeździła na rozmaite zawody akademickie i regionalne. Jednak na tym polu nie odnieśliśmy specjalnych sukcesów, poza kol. Dzwonkowskim, który zdobył mistrzostwo Polski w biegu na 100 m i, o ile się nie mylę, w dziesięcioboju.

Wioślarstwo było następne co do popularności. AZS miał przystań wioślarską na „Martwej Wiśle”. Przystań była odległa od Domu Akademickiego chyba o jakieś 15-18 km. Mieściła się w wielkim składzie, należącym do Komisarjatu Generalnego. Łodzi było kilkanaście, tak zwanych „pół-rasowych”. Były to czwórki ze sternikiem (najwięcej), dwójki ze sternikiem, dwójki bez sternika i jedna czy dwie jedynki. Wyprawa do „przystani” zabierała normalnie cały dzień, licząc dojazd, przyjazd oraz trening. AZS organizował parę „spływów” z Krakowa i z Warszawy do Gdańska. W żadnych zawodach nie braliśmy udziału.

Sport motocyklowy był dość rozwinięty, gdyż stosunkowo, jak na owe czasy, wysoki procent studentów posiadał motocykle. Był to jednak sport raczej indywidualny, ruchliwy, ale mało zorganizowany.

Ping-pong był też popularny i na tym polu mogliśmy się poszczycić kol. W. Lewandowskim, który zdobył mistrzostwo Polski, zdaje mi się, że w 1930 roku.

Narciarstwo było, dzięki okolicznym górkom, bardzo popularnym sportem. Na tym polu AZS był chyba najsilniejszym, dzięki kilkunastu „góralom”, którzy studiowali na Politechnice. Staszek Woyna był akademickim mistrzem Polski w biegu na 18 kilometrów, a Józek Bachleda zdobył raz czy dwa razy akademickie mistrzostwa w skoku i w zjazdówce. Dzięki tym „góralom” i innym kolegom narciarska drużyna gdańskiego AZS-u należała do czołówki przez wiele lat. Była ona, ma się rozumieć, nie do pobicia na terenie Wolnego Miasta.

Boks i hokej na lodzie były mniej popularne. Studenci uprawiający te dwa sporty, robili to w Klubie Sportowym „Gedania” (nie mylić z korporacją Gedanią), a nie w AZS-ie. Dwóch z naszych kolegów, Tupalski i Adamowski, należeli do reprezentacji Polski w hokeju na lodzie. Drużyna ta zdobyła raz czy nawet dwa razy mistrzostwa Europy.

Poza tym AZS organizował parę razy rozmaite zawody wszechpolskie na terenie Gdańska i Gdyni w celach raczej propagandowych. Jednym z nich były zdaje mi się mistrzostwa Polski w strzelaniu.

Akademicki Związek Morski (AZM)

Związek ten był bezwzględnie domeną organizacyjną i instruktorską „Korabia”. Należała do niego duża ilość studentów Politechniki Gdańskiej z innych wydziałów oraz z różnych innych uczelni polskich. Była to bardzo prężna i witalna organizacja. AZM posiadał początkowo jeden, a następnie dwa jachty dalekomorskie. Jachty te były darem, czy może „pożyczką” Komisariatu Generalnego dla AZM-u. Organizowano „rejsy” nie tylko na Bałtyku, ale zapuszczano się i na Morze Północne, żeglowano do Szwecji, Norwegii i Anglii. Brano udział w międzynarodowych zawodach żeglarskich, jak słynne zawody w Kilonii itp. Poza tymi dwoma jachtami AZM posiadał kilka mniejszych żaglówek dla treningu „marynarzy dalekomorskich”.

Aeroklub Gdański

Aeroklub Gdański, którego tytularnym prezesem był przez

wiele lat płk dypl. A. Rozner z Komisariatu Gen. R.P., a następnie komandor S. Frankowski. Resztę członków stanowili prawie wyłącznie członkowie Bratniaka, i tylko dzięki nim Aeroklub istniał, funkcjonował i rozwijał się.

Biuro Aeroklubu znajdowało się w Domu Akademickim, zaś lotnisko w Rumii, położonej kilkanaście kilometrów na zachód od Gdyni. Aeroklub uprawiał szybownictwo i loty motorowe. Była to bardzo prężna i aktywna organizacja, której wielu pilotów Lotnictwa Polskiego w Drugiej Wojnie Światowej zawdzięcza swe początkowe wykształcenie, a przede wszystkim entuzjazm i zapal do latania.

Związki Polityczne

Polityczne prądy nurtujące społeczeństwo polskie nie mogły zostać bez wpływu na studentów-Polaków w Gdańsku. Społeczność Bratniaka odzwierciedlała to co się działo w kraju. Jedynie dzięki obcemu terenowi i wspólnemu frontowi antyniemieckiemu nie było tych ekscesów i nienawiści politycznych, jakie istniały na polskich uczelniach.

Na terenie Bratniaka istniały, jak sobie przypominam, trzy organizacje polityczne.

1. Związek Polskiej Młodzieży Demokratycznej. Związek ten cieszył się silnym poparciem „finansowym i moralnym”, jak to się mówiło w Bratniaku, Komisariatu Generalnego. Miał około 30 członków i stosunkowo mało sympatyków. Mimo dużego poparcia władz Związek ten nie wywierał dużego wpływu na życie Bratniaka.

2. Obóz Wielkiej Polski miał stosunkowo mało członków oficjalnych i czynnych. Ich liczba nie przekraczała czterdziestki, ale za to posiadał dużą liczbę sympatyków. Swoje idee czy raczej politykę starał się przeprowadzać przez swoich sympatyków, których większość miał w korporacjach. Nie wydaje mi się, aby w okresie moich studiów zbyt często to im się udawało. Głównym celem korporacji było dobro Bratniaka, a nie dobro własne, a nie walki polityczne. Na te tematy właśnie dochodziło do starć na Zjazdach Związku Polskich Korporacji Akademickich. Zdaje mi się, że w 1934 roku „Gedania” i „Rozewia”, a może i „Helania” zagroziły nawet wystąpieniem z Z.P.K.A. Sprawę jakoś się jednak załatwiło i nie przypominam sobie, żeby od tego czasu były jakiekolwiek naciski polityczne, tak ze strony Z.P.K.A., jak i OWP.

3. *Falanga*. W roku 1934, czy też może nawet w 1935 zostało zorganizowane na terenie Bratniaka tajne koło Falangi. W związku z tą sprawą doszło do bardzo poważnych starć na terenie korporacji Wisła, z której to dość liczna grupa członków wystąpiła.

Nie wydaje mi się, żeby liczba członków Falangi była większa jak 20-25 osób, a liczba sympatyków też była raczej niewielka. Działalności politycznej nie udało się Falandze na terenie Bratniaka rozwinąć.

Wieczni studenci

Na zakończenie chciałbym wspomnieć o wiecznych studentach. Typ wiecznego studenta Politechniki Gdańskiej był bardzo specyficzny i charakterystyczny.

System studiów, wysokie opłaty semestralne, a przede wszystkim bliskość morza sprzyjały wytworzeniu się (procentowo) dużej liczby wiecznych studentów.

Wysokie opłaty semestralne powodowały często, że studenci musieli szukać dodatkowych prac, żeby odłożyć pieniądze na następny rok akademicki. Ci koledzy albo nie kończyli nigdy, albo studia ich przeciągały się na długie lata. Znaczną pomocą w znajdowaniu czy dawaniu prac były: Dyrekcja Gdańska PKP, Komisarjat Generalny R.P., Stocznie gdańskie, Poczta Polska na terenie Gdańska oraz Rada Portowa, która była pod wspólnym zarządem Wolnego Miasta i Polski.

Bezwzględnie najpopularniejszym z takich pracujących i studiujących studentów był kol. Senczyszyn, o którym się mówiło „że najstarsi ludzie nie pamiętają, kiedy on wstąpił na Politechnikę, a najmłodsi nie doczekają się, kiedy on skończy”. Kol. Senczyszyn dostał dyplom niedługo przed wojną.

Morze i podróże morskie pasjonowały bardzo duży procent studentów. Trzeba nie zapominać tutaj, że były to czasy „przed-unijne” marynarki handlowej. Nic więc dziwnego, że dużo młodych po rejsach do portów zagranicznych, śladem Conrada-Korzeniowskiego zmieniali się w studentów-marynarzy, lub nieraz nawet w marynarzy. Mieszkali oni między rejsami w Domu Akademickim na salach ogólnych, studiując, lub nie robiąc nic. Pamiętam jednego z takich „studentów”, do którego wszyscy mówili „panie” Kolenda. Był to człowiek, który znał chyba wszystkie porty świata. Prawie każdy ze świeżych praktykantów „morskich”, jadący do portów Ameryki, Europy czy Afryki szedł

do „pana” Kolendy. Ten udzielał informacji, wyjaśnień i adresów odnośnie danego portu. Nie pamiętam, żeby ktokolwiek narzekał na błędne czy niedokładne informacje. Takich marynarzy było kilku i o każdym z nich można by napisać książkę.

Zakończenie

Działalność Bratniaka zakończyła się z zajęciem Gdańska przez Niemców w 1939 roku. Aresztowano wtedy olbrzymią większość studentów i absolwentów przebywających w Gdyni i Gdańsku. Na ten temat nie mogę niestety nic powiedzieć, gdyż ukończyłem studia w 1936 roku i wypadki te nie są mi znane. Słyszałem tylko urywki wspomnień śp. kol. Z. Międzybrodzkiego, że „Gdańszczaków” zgromadzili Niemcy w specjalnym obozie na Pomorzu, gdzie ich miano badać, przesłuchiwać i torturować w specjalny sposób. Może znajdzie się ktoś z „Gdańszczaków”, który zna ten okres i mógłby o nim napisać.

Z takim samym apelem chciałbym się zwrócić do kolegów rozsianych po świecie, którzy znają początki historii Bratniaka.

Jestem przekonany, że członkowie Bratniaka, dzięki szczególnemu „klimatowi” Wolnego Miasta i stosunkom narodowościowym na Politechnice wynieśli poczucie patriotyzmu, poczucie szczerego koleżeństwa i poszanowanie przekonań innych. Bratniak wytworzył w nas wszystkich więź na całe życie. Nie przypominam sobie żadnego „Gdańszczanina”, z którym spotkałem się w moim długim życiu, z którym bym nie miał jakiejś wspólnoty, czy przyjaźni.

Na zakończenie pragnę podziękować kolegom F. Kreftowi, S. Petruszewiczowi, J. Spychalskiemu i T. Świdierskiemu za pomoc i współpracę w opracowaniu tych wspomnień.

A. A. ŚWIDERSKI, P. Eng.

CI, CO ODESZLI

Zygmunt HŁADKI

PORUCZNIK ZAĆWILICHOWSKI

W październiku br. upływa 50 lat od śmierci młodego człowieka, którego krótka działalność na publicznej arenie naszego dwudziestolecia przebiegła linią niezwyklej kariery, nie na drodze awansów i zaszczytów, a w formie podboju szerokich kręgów ludzkiej sympatii, podboju serc, które poprzez atrakcyjny dynamizm jego umysłu i charakteru wyczuwały magiczną siłę tego co w naturze człowieka i obywatela jest najwartościowsze.

Stanisław Zaćwilichowski urodził się w roku 1902 na Białej Rusi, w majątku swoich rodziców, położonym nad Berezyną. Podczas pierwszej wojny światowej, jeszcze jako uczeń, wstąpił do Polskiej Organizacji Wojskowej (POW) w Mińsku. W roku 1920 był na froncie jako żołnierz dywizji ochotniczej. Po wojnie uczęszczał jakiś czas na uniwersytet w Wilnie, gdzie studiował historię.

Między rokiem 1922 a 1925 służył w stopniu podporucznika a potem porucznika w dyspozycji II Oddziału sztabu w Wilnie. W tym okresie pełnił różne odpowiedzialne funkcje, m.in. organizował wypad na Kojdanów (odwet za sowiecki najazd na Stołpcę). W latach 1925-26 był przydzielony do Oddziału II Sztabu Głównego w Warszawie i w tym czasie jeździł parokrotnie jako kurier z raportami do Sulejówka, gdzie przebywał wówczas Marszałek Piłsudski.

13 maja 1926 roku, tuż przed historycznym spotkaniem Marszałka z Prezydentem Wojciechowskim na moście Poniatowskiego, wyszedł w cywilnym ubraniu na miasto, zbadał dyspozycje wojsk rządowych i zameldował swoje rozpoznanie jednemu z wyższych oficerów, a ten z kolei zameldował to Marszałkowi. Rozpoznanie okazało się trafne. Piłsudski zapamiętał sobie widocznie rolę tego młodego porucznika, bo kiedy po trzydniowych potyczkach rząd w swej kwaterze w Wilanowie kapitulował,

Zaćwilichowski został wysłany do Wilanowa, żeby odebrać akt kapitulacji.

Ten młody kresowy zawadiaka, swoją przeszłością związany z Wilnem, musiał Piłsudskiemu specjalnie przypaść do serca, bowiem wkrótce po przewrocie majowym, kiedy Marszałek powierzył sformowanie rządu profesorowi Bartłowi, Zaćwilichowski został oddany do dyspozycji premiera dla pełnienia funkcji sekretarskich. W obszernym pokoju sekretariatu prezesa rady ministrów porucznik Zaćwilichowski zasiadł przy małym biurku, na którym stały trzy aparaty telefoniczne (jeden bezpośredni z miastem, drugi „przez centralę”, a trzeci przełączany do gabinetu premiera) i rozpoczął „urzędowanie”.

Jego ujmujące obejście, niewyczerpana usłużność i dyskretnie jowialny dobry humor, ale przede wszystkim jego niezwykle dynamiczna żywotność, fantastyczne tempo wielokierunkowej niezmordowanej aktywności, jego talent zjednywania sobie wszystkich ludzi, z którymi miał kontakt, talent pośredniczenia, przekonywania, organizowania sobie przyjaznych stosunków i źródeł informacji — wszystko to sprawiało, że w krótkim czasie wyrobił sobie pozycję zupełnie wyjątkową, nieproporcjonalną ani do jego wieku, ani do rangi, ani do skromnego stanowiska, jakie zajmował, i stał się jedną z najbardziej popularnych postaci, nie tylko wewnątrz aparatu rządowego, ale i na szerszej arenie ówczesnego politycznego życia. Wszyscy wiedzieli, że za jego pośrednictwem najszybciej załatwia się sprawę czy uzyskuje potrzebną informację. W rezultacie coraz więcej „wysoko postawionych” osób, dyrektorów, ministrów, posłów sejmowych korzystało z jego zawsze chętnych usług. Przez jego małe biurko przepływało coraz więcej międzyresortowej i politycznej komunikacji, a lawirowanie między trzema niemal bez ustanku dzwoniącymi telefonami wymagało z jego strony szczególnego daru rozdawania uwagi, szybkości wnikania w sedno sprawy, i istnej ekwilibrystyki pamięciowej. Premier polubił go bardzo, obdarzał pełnym zaufaniem i należycie doceniał jego niezastąpioną przydatność. Można powiedzieć, że Zaćwilichowski i ówczesny szef gabinetu premiera Stempowski (późniejszy Paweł Hostowiec) byli dwoma najbliższymi codziennymi współpracownikami Bartła. Dopełniali się oni zresztą doskonale. Jeden był kopalnią potrzebnych informacji, drugi źródłem spokojnych ocen i głębokich komentarzy czerpanych z fenomenalnego zasobu wiedzy historycznej.

Aktywność Zaćwilichowskiego nie ograniczała się do biurka i godzin biurowych. Dla zapewnienia sobie zakulisowych kontaktów z poszczególnymi resortami zorganizował tzw. Związek Sekretarzy, który polegał na częstych pozabiurowych spotkaniach z sekretarzami osobistymi poszczególnych ministrów. To dało mu nie tylko mnóstwo informacji, ale i możliwość znacznie

szybszego załatwiania różnych spraw „w krótkiej drodze”. Drugą instytucją, którą sobie zorganizował dla podtrzymywania późno-wieczorowych kontaktów, była tzw. „Łoża pod jaworem” w restauracji Oaza, gdzie regularnie spotykał szereg dobrze poinformowanych przyjaciół z kół politycznych, sądowych, wojskowych, i gdzie podgrzana kieliszkiem *chaleur communicative* często dostarczała mu cennych informacyjnych przyczynków i orientacji. Był wreszcie współtwórcą jeszcze jednej organizacji, „Zakonu Nieznanego Żołnierza”. Pisał o niej Tomir Drymmer we swych wspomnieniach, drukowanych w *Zeszytach Historycznych*. Nawiązał pewne kontakty z masonerią i, choć sam do niej nie należał, dobrze zdaje się być zorientowany w sieci jej wpływów tak w państwowym aparacie, jak i w niektórych kołach politycznych. Był w stałym kontakcie i ściśle współpracował z tzw. „Ruchem Prometejskim”, który był wówczas polityczną reprezentacją narodów ujarzmionych przez Rosję.

Sercem i duszą był oddany Marszałkowi, a w zarysowujących się w obozie Piłsudskiego różnicach między bardziej umiarkowaną linią, reprezentowaną przez prof. Bartła, a bardziej radykalną taktyką tzw. Grupy Pułkowników był zawsze po stronie Bartła.

Po zmianie rządu i objęciu premierostwa przez Kazimierza Świtalskiego wrócił na krótko do swego dawnego przydziału w Sztabie Głównym. Ale jego wyjątkowe zdolności były już wtedy tak powszechnie znane i cenione, że wkrótce zaczął znów być powoływany do pełnienia szeregu odpowiedzialnych funkcji w cywilnych resortach aparatu państwowego, m.in. w Ministerstwie Skarbu za urzędowania Matuszewskiego. Przeniesiony w końcu do rezerwy i przydzielony formalnie do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, wysyłany był parokrotnie w specjalnych misjach do Genewy i Paryża.

24 października 1930 roku jechali do Grudziądza, na rozprawę sądową związaną z polsko-niemiecką umową o ruchu granicznym, szef wydziału w Oddziale II Sztabu Głównego ppłk Jan Tatara i Zaćwilichowski jako przedstawiciel MSZ. W pobliżu wsi Drobín, w powiecie płockim, samochód, wskutek mgły i być może zbytnej szybkości zarzucił, ześliznął się z szosy i uległ zdruzgotaniu. Ppłk Tatara zabity na miejscu, Zaćwilichowski ciężko ranny, przywieziony ambulansem do szpitala Ujazdowskiego w Warszawie, tegoż dnia po południu zmarł.



Gazeta Polska nr 297 z 28 października 1930 przynosi relację z eksportacji zwłok ppłk. dypl. Jana Tatary do Lwowa, i z pogrzebu śp. Stanisława Zaćwilichowskiego.

POGRZEB ŚP. STANISŁAWA ZACWILICHOWSKIEGO

Niemal o tej samej godzinie odbył się pogrzeb drugiej ofiary tragicznej katastrofy pod Drobinem, śp. Stanisława Zaćwilichowskiego.

Dowodem jak wielką popularnością cieszył się zmarły wśród szerokich sfer społeczeństwa był udział niezliczonych tłumów publiczności w uroczystościach pogrzebowych...

Już o godz. 11 i pół, gdy trumna ze zwłokami została przewieziona z kaplicy szpitala Ujazdowskiego do kościoła św. Aleksandra, świątynia zapełniona była po brzegi publicznością. Ci, którzy nie mogli dostać się do wnętrza zapełnili cały plac przed kościołem.

Po nabożeństwie żałobnym i pieniach religijnych, które wykonał chór i artyści opery warszawskiej z Dygasem na czele, koledzy śp. Zaćwilichowskiego wynieśli trumnę i złożyli na oczekujący przed kościołem karawan.

Kondukt pogrzebowy ruszył około godz. 12-tej. Otworzyła go kompania honorowa 36 pułku piechoty z orkiestrą. Następnie jeden z kolegów zmarłego na pasku poduszce niósł kilkanaście orderów i odznaczeń śp. Z., a dalej niesiono niezliczoną ilość wieńców. Pierwszy, z chryzantem z czarną szarfą, miał napis: „Stanisławowi Zaćwilichowskiemu — Prezes Rady Ministrów”. Dalsze były od MSZ, skarbu, straży granicznej, kilkanaście wieńców od przyjaciół, kolegów i znajomych, wśród nich nie zabrakło nawet wieńca od woźnych prezydium rady ministrów.

Za trumną szła żona z córeczką, matka i rodzina zmarłego. Następnie p. marszałkowa Piłsudska, ministrowie Matuszewski, Zaleski, Janta Połczyński, Prystor, Staniewicz, Konarzewski, Starzyński. Dalej marszałek Senatu Symański, prezes BBWR Walery Sławek, b. premier prof. Bartel, b. premier Świtalski, szef kancelarii cywilnej Prezydenta Lisiewicz, szef Gabinetu Prezydium Rady Ministrów Schoetzel, wiceministrowie Wysocki, Grodyński, dyr. departamentu Staniszewski, wojewoda Jaroszewicz i inni.

Około godz. 2-ej popoł. kondukt zatrzymał się przed bramą cmentarza powązkowskiego. Trumnę zdjęto z katafalku i zanieśiono do grobu.

Nad otwartą mogiłą, po modłach żałobnych, pierwszy zabrał głos min. Zaleski.

„Z głębokim wzruszeniem — mówił min. Zaleski — staję przed tą mogiłą, by w imieniu Ministerstwa Spraw Zagranicznych pożegnać śp. Stanisława Zaćwilichowskiego.

Z zaparciem się siebie, nie dbając o honory i własne korzyści służył on sprawie ojczyzny. Niepospolite jego zalety umysłu, wielka pracowitość i nieprzeciętne zdolności uczyniły to, iż pomimo młodego wieku był on jednym z najbardziej dla państwa

zasłużonych pracowników i najszlachetniejszym człowiekiem. Niechaj ta ziemia, którą tak ukochał, lekką mu będzie”.

W imieniu kolegów z wojska i przyjaciół żegnał następnie zmarłego ppłk dypl. Pełczyński.

„Śp. Stanisław Zaćwilichowski od dziecka niemal — mówił ppłk Pełczyński — wyrastał w atmosferze żelaznej, którą wniósł w życie polskie, zwłaszcza w życie młodzieży, pierwszy Marszałek Polski.

W świetle i ogniu tych idei śp. Zaćwilichowski utwierdził w sobie wiarę, że praw obywatelskich w Polsce nabywa się za cenę osobistego wysiłku dla sprawy, za cenę krwi przelanej i poświęcenia życia dla ojczyzny.

Wojna zastała go na ławie szkolnej. Toteż jeszcze na tej ławie rozpoczął swą służbę żołnierską w POW. Bierze udział w walkach o Wilno. Ma przepiękną kartę w ryzykownych i trudnych pracach Oddziału drugiego w czasie wojny.

Obdarzony niezwykłą inteligencją i przenikliwością umysłu, charakterem prawym i mocnym, niespożytą energią, dłuższy czas pracuje wybitnie na różnych odcinkach wojskowej służby informacyjnej. Pośród kolegów i przełożonych zyskuje sobie wyjątkowe uznanie, całkowite zaufanie i najprzyjaźniejsze uczucia. Gdy w roku 1926 opuszcza służbę w Oddziale II Sztabu Głównego, powołany do Prezydium Rady Ministrów, a następnie, gdy później przechodzi kolejno przez bardzo odpowiedzialne stanowiska w służbie cywilnej, ani na chwilę nie zrywa przyjacielskich związków z towarzyszami swej pracy wojskowej, związków opartych na prawym i zdrowym pojmowaniu wspólnej służby dla kraju, służby pod jedynymi rozkazami.

Niestety, tragiczny los zamknął przedwcześnie kartę Twego twórczego życia. Z bólem Cię żegnamy. Wiedz jednak, że pamięć o Tobie, o Twych czynach i o Twym jasnym i radosnym impetie życia będzie wśród nas trwała”.

Żegnali jeszcze swego kolegę, w imieniu urzędników Prezydium Rady Ministrów, szef biura prasowego p. Piętek, oraz w imieniu urzędników ministerstwa spraw zagranicznych p. Raczynski.

Na starych warszawskich Powązkach przybyła jeszcze jedna młoda mogiła.

Wśród wienców malutka czarna tabliczka z napisem: śp. Stanisław Zaćwilichowski, porucznik rezerwy, radca min. spraw zagranicznych, zmarł w wieku lat 28, 24 października 1930 roku.

Zygmunt HŁADKI

Wiktor SUKIENNICKI

„ORIENTACJA ROSYJSKA” A NIEPODLEGŁOŚĆ (Głos w dyskusji)

Hołdując — w tym wypadku — zasadzie Franca Fiszera, że w dyskusji najciekawsze i najcenniejsze są głosy osób, które — nie znając omawianych prac — są wolne od wpływu ich autorów, chcę wtrącić się do polemiki zainaugurowanej przez profesora Piotra Wandycza w nrze 41 *Zeszytów Historycznych*. Nie będzie to opracowany wywód jakiejś tezy, lecz luźne uwagi po przeczytaniu artykułu o pracy, której nie znam.

W zasadzie podzielam zdanie prof. Wandycza o celowości, czy nawet konieczności „przepracowania raz jeszcze, *sine ira et studio*, stosunków polsko-rosyjskich w przeszłości”, jak również ostrzeżenie przed „niebezpieczeństwem rozumowania przez analogię i przenoszenia pojęć i nastawień z jednej epoki do innej, nawet z jednej generacji do drugiej”. Dlatego też nie mogę podzielać nadziei, że dla takiego przepracowania może mieć jakieś większe znaczenie „oczekiwana w Stanach” praca oparta na raportach przedstawicieli dyplomatycznych Moskwy w Warszawie w ostatnich dekadach XVII wieku.

Dziś, mówiąc o stosunkach polsko-rosyjskich, mamy na myśli stosunki pomiędzy narodem polskim i rosyjskim, pomiędzy którymi znajdują się (nie wszyscy i nie zawsze ten bardzo istotny fakt uznawali i uznają) inne narody — litewski, białoruski i ukraiński, stosunki z którymi i pomiędzy którymi też warto są przestudiowania.

Sąsiadujące przez kilka wieków Rzplita i Moskwa nie były państwami narodów polskiego i rosyjskiego; co więcej, samo dzisiejsze pojęcie „narodu” było wówczas nieznane. Zrozumie-

nie na czym polegały i do czego się sprowadzały różnice pomiędzy dawną Rzplitą a Moskwą i jakie wobec tego były ich stosunki, oraz co na nie wpływało, nie jest łatwe, zaś próba zastosowania jakiegoś jednego tylko kryterium — wyznaniowego, narodowego, językowego, stanowego czy jakiegoś innego — musi prowadzić do anachronizmów. Może najbezpieczniej byłoby powiedzieć, że były to różnice kulturalne czy „kulturowe”, różnice stylu życia w całości lub w jakichś jego istotnych przejawach.

Osmoza i migracje

Wiemy — lecz czy rozumiemy przyczyny i powody? — że w XVI wieku poszczególni wielmoże przenosili się z jednej strony granicy na drugą. „Wybranie wolności” przez kniazia Andrieja Kurbskiego w 1564 narobiło wiele hałasu w całej bodaj Europie, nie wpłynęło jednak na bieg historii. Inaczej było z wcześniejszą „defekcją” kniaziów Glinńskich; kniaziówna Helena została żoną Wasyla III i matką Iwana IV Groźnego. Przytoczone przykłady nie są jedynymi. Nie powodowały migracji ani względy wyznaniowe, ani „narodowe”, ani językowe, ani stanowe, lecz jakieś inne, które obecnie trudno zrozumieć. Może względy osobiste: urażone ambicje? nadzieje na lepszą karierę?

Trudna do zrozumienia, czy wręcz niezrozumiała jest również popularność Groźnego jako kandydata na tron Rzplitej; wiemy natomiast, że jedynie względy wyznaniowe uniemożliwiły królewiczowi Władysławowi objęcie tronu moskiewskiego.

Migracje nie ograniczały się do sfer wyższych. W „katolicyj”, lecz względnie tolerancyjnej Rzplitej znajdowali schronienie moskiewscy „raskolnicy” (od 1658), „starowierzy”, „kacapi”; do stanowej szlacheckiej Rzplitej masowo uciekały moskiewskie przywiązane do ziemi raby.

W datowanej 9 marca 1773 nocie uzasadniającej rosyjskie pretensje, które miały zaspokoić obszary zagarnięte w I rozbiórce, ilość rosyjskich poddanych przywiązanych do ziemi i stanowiących własność ich panów a przyjętych i ukrytych „przez Polaków” obliczana była na trzysta tysięcy, „nie licząc ich potomstwa w okresie przez który trwały te emigracje”. W odpowiedzi na to z Warszawy 18 kwietnia 1773 donoszono, że specjalne oddziały wojsk rosyjskich, od 1686 wysyłane w tym celu na tereny Rzplitej, nie tylko skrzętnie wyłapywały owych zbiegów, lecz nadto zgarniały tysiące „chłopów polskich”, wyludniając całe wsie, oraz obliczano ilość chłopów zagarniętych z terenów Rzplitej przez Rosjan na co najmniej czterysta tysięcy (K. Lutostański, *Les partages de la Pologne et la lutte pour l'indépendance*, Lausanne - Paris, 1918, nry 47 i 50).

W drugą stronę, wówczas jeszcze co prawda nie do Moskwy

lecz na ukraińskie „Dzikie pola” masowo uciekali co energiczniejsi chłopci od co sroższych panów z Korony, starali się tam ukryć swoje pochodzenie i chętnie przystawali do zaporoskich Kozaków. Jeśli dziś ukraińscy „narodowcy” zgłaszają pretensje o swe „spolonizowane” warstwy wyższe, „narodowcy” polscy nie mniej zasadnie mogliby wystawiać — liczebnie niewątpliwie wyższy — rachunek za „zukrainizowanych polskich chłopów”.

Napisany po rusku Statut Litewski (1529) a po polsku podręczniki prawosławnej Akademii Mohylańskiej w zagarniętym już przez Moskwę Kijowie, język polski używany na dworze regentki Zofii w Moskwie (1682-89) oraz dość niezwykle peregrynacje pierwszych składających cyrylicą drukarzy pomiędzy Krakowem, Wilnem i Moskwą świadczą, że oryginalna osmoza istniała również w dziedzinie kulturalnej.

W tych warunkach opracowanie obiektywnej i wolnej od anachronizmów historii stosunków pomiędzy *narodami* polskim i rosyjskim jest zadaniem niezwykle trudnym, niemal niewykonalnym.

Stosunek sił — „potencjał” i armia

Nie znam pracy Łukasza Jodki i o jego oryginalnej i śmiałej tezie przeciwstawiania sile armii sił całości społeczeństwa wiem tylko z artykułu profesora Wandycza. Teza taka nie wydaje mi się jednak ani zupełnie fantastyczna (Wietnam, może Afganistan) ani całkowicie nieuzasadniona. Z reguły bowiem Rzplita podczas wojen istotnie szukała oparcia w pospolitym ruszeniu, a Moskwa w regularnej armii; jedynie w „smutnym” — dla Moskwy — okresie sytuacja uległa pozornemu raczej odwróceniu — *narodowe opołączenie* przeciwstawiało się wówczas regularnej armii hetmana Żółkiewskiego — bo Lisowszczyków za armię regularną uważać nie sposób.

Pomimo tego profesor Wandycz ma niewątpliwie rację w surowej krytyce koncepcji Jodki, który przeciwstawia w okresie porozbiorowym sile regularnych armii państw zaborczych „potencjał” dawnej Rzplitej. Niech mi jednak wolno będzie wysunąć w obronę Jodki argument, że tak jak on dzisiaj pisze myśleli ludzie z okresu Wielkiego Sejmu i Majowej Konstytucji.

Od kilku lat z niezbyt wielkim skutkiem usiłuję zwrócić uwagę historyków polskich na całkowicie zapoznane przez nich źródło z owego okresu — londyński *The Annual Register*, założony i przez długie lata redagowany przez Edmunda Burkego. W napisanym — moim zdaniem — przez niego (lub przynajmniej zredagowanym lub inspirowanym) rozdziale pierwszym tomu za rok 1795 znajdujemy zupełnie inne niż to zostało przyjęte w klasycznej historii Polski informacje o nastrojach społeczeństwa Rzplitej i planach jej rządu.

Oto kilka wyjątków w tłumaczeniu z oryginalnego angielskiego tekstu (str. 5-8):

Po uchwaleniu Konstytucji Majowej,
„widocznym się stało, że Polacy byli zdecydowani zrobić wszystko dla ugruntowania ich niepodległości na najbardziej solidnych podstawach. Wszystkie klasy zgodnie podzielały tę determinację... by w ciągu niewielu lat osiągnąć pozycję wielkiego mocarstwa... Tego, zaiste, zdecydowanie pragnęła cała ludność Polski. Nie było powiatu a nawet znaczniejszego miasteczka, gdzie by nie powstawały organizacje w celu wypełniania patriotycznych zadań... nie pomijano niczego by zaopatrzyć codziennie zgłaszające się tłumy, ofiarowujące swoje usługi z zapalem i gotowością...

Z każdym dniem stawało się coraz bardziej oczywiste, że zbliża się chwila rozpaczliwej walki z Rosją, w której utrzymanie niepodległości Polski wymagać będzie bardzo dużych ofiar krwi i mienia. Król przygotował wówczas plan przeciwstawienia się groźnemu wrogowi i przedłożył go swej Radzie, gdzie został jednomyślnie poparty. Plan obejmował wszystkich komu można było zaufać wręczając im broń, z uwzględnieniem mieszczan ze wszystkich miast i miasteczek... Przy opracowywaniu szczegółów wysuniętego planu przewidywano, że broń znajdzie się kolejno w rękach każdego zdolnego do jej użycia obywatela; w kolejnych rotacjach wszyscy bez wyjątku zostaną wyćwiczeni w użyciu broni i musztrze wojskowej i w taki sposób każdy zdrowy fizycznie mężczyzna zamieni się w żołnierza...

Żadnych zarzutów w stosunku do samego planu nie można było wysunąć, jednakże duch samolubnej pychy, od dawna charakterystyczny dla polskiej szlachty, udaremnił tę rozsądną i patriotyczną inicjatywę. Zaufanie do armii obywateli było sprzeczne z zasadami, w których owa warstwa była wychowana. Przerażeni tym co się działo we Francji, zaprotestowali oni przeciwko uzbrojeniu ludu, sądząc, że otrzymawszy broń w swoje ręce, lud zażąda więcej niż mu się należy i, świadomy swej siły, odmówi posłuszeństwa oraz domagać się będzie równości praw i władzy.

Fatalnie dla Polski, rozważa i patriotyzm króla nie zdołały przezwyciężyć przesądów polskiej szlachty. Nie pomogły jego wymówki i upomnienia co do nierozważności ich postępowania; trwali w swym uporze narazenia kraju na straszne ryzyko raczej niż wyrzeczenia się swych przywilejów, umożliwiających tyranizowanie współziomków...”.

Tak o Rzplitej pisano w Londynie bezpośrednio po 1795 roku. Nie inaczej przedstawiały się sprawy w ciągu całego XIX wieku i Łukasz Jodko w swej rozprawie bodaj powtórzył, mniej lub więcej świadomie, koncepcje zrodzone przed półtora wiekiem. Czy gdyby zostały wówczas zrealizowane, odniosłyby pozytywny skutek? Na to pytanie nie można dziś odpowiedzieć. Współcześnie *Roczny Rejestr* twierdził, że po nocy Bułhakowa z 18 maja 1792 oficjalnie zawiadamiającej o zbrojnej interwencji Rosji:

„...przekonawszy się o bezpośrednio grożącym niebezpieczeństwie, szlachta polska zaniechała opozycji tak nierozumnie podjętej przeciwko uzbrojeniu narodu. Powołując się na zgodność, że istniejącą armię należy powiększyć o sto tysięcy, oraz że należy rozdzielić broń pomiędzy ludem. Przy tej okazji magnaci polscy wykazali duży patriotyzm... nie szczędzono żadnego wysiłku by postawić naród na stopie wojennej. Wszelkie rodowe waśnie i osobiste

sprzeczeki zostały poniecane i powstała serdeczna unia wszystkich jednostek i stronnictw.

Gdyby taki nastrój wytworzył się o rok wcześniej i wówczas przedsięwzięto owe kroki, Polska prawdopodobnie mogłaby spotkać najjeźdźcę na stopie pewnej równości. We wszystkich częściach kraju były w nadmiarze masy zdecydowanych na wszystko ludzi; obliczano, że gdyby plany ujęcia ich w karby regularnej milicji zostały zrealizowane, wystawiono by z łatwością ponad 400.000 ludzi. Przygotowywani do walki przez stałe ćwiczenia w ciągu całych 12 miesięcy, ożywieni miłością swego kraju i od dawna w Polakach zakorzenioną nienawiścią do Rosjan, walczyliby oni w taki sposób, że walka nie byłaby łatwa do rozstrzygnięcia i trwałaby dostatecznie długo by wywołać na ich rzecz jakieś kroki ze strony tych, którzy nie mogliby dłużej pozostawać w charakterze obojętnych na ich los widzów”.

Jak z tego wynika, współczesny londyński polityki i publicysta w pewnym stopniu podzielał dzisiejszą opinię Łukasza Jodki i nie ustosunkowywałby się do niej tak surowo jak profesor Wandycz.

Pomniejszanie „narodu polskiego”

Gdy przed drugim rozbiorem granice Rzplitej leżały na Dźwinie i Dnieprze, rządzący nią „naród szlachecki” wykazywał brak zaufania do mieszczan i chłopów i to w jednakowym stopniu w Wielkim Xięstwie jak w Koronie. Było to być może w pewnym stopniu uzasadnione, gdyż w pół wieku później małopolscy chłopci w zachodniej Galicji występowali czynnie przeciwko szlacheckim powstańcom i oddawali ich w ręce austriackich żandarmów. Jeszcze kilkanaście lat później władze carskie podjęły próbę odcięcia od narodu polskiego i pozyskania na rzecz Rosji chłopów w Królestwie (Komitet Milutina).

O ile idące po linii społecznej poczynania zmierzające do „kurtyzacji” narodu polskiego spaliły na panewce, akcja politycznego „odcinania” od niego innych narodów Rzplitej dała większe efekty.

Jak skarżył się Murawjew w swych „Zapiskach o zarządzaniu Północno-zachodnim Krajem i poskromieniu w nim polskiego buntu” (*Russkaja Starina*, t. 36, str. 412), „wielu ówczesnych dygnitarzy, jak minister Wałujew, książę Dołgorukow i inni”, wciąż uważali wówczas ten kraj „za nie-rosyjski, lecz rzekomo ‘odwiecznie polski’”. O Kraju „południowo-zachodnim” carski minister spraw wewnętrznych Piotr Wałujew tego nie myślał, uważając go za „odwiecznie rosyjską” „Małą Rosję”, którą „chytrzy Polacy” zaczęli ostatnio nazywać sztucznym mianem Ukrai-ny, pragnąc w ten sposób oddzielić go od rosyjskiej macierzy. By zniszczyć w zarodku takie tendencje, w 1863 roku Wałujew wydał rozporządzenie, stanowczo zakazujące publicznego używania lokalnego dialektu, twierdząc, że opinia większości Małorusinów stwierdza niezbicie, że „nigdy nie było odrębnego mało-

ruskiego języka, nie ma go dzisiaj i nigdy być nie może, a odmiennie zdanie służy polskiemu celom politycznym" (M. Hrushevsky, *A History of Ukraine*, Londyn, 1941, str. 496).

Murawiew w 1864 po raz pierwszy ośmielił się oficjalnie nazwać Wilno „miastem rosyjskim”, gdzie odąd mówienie publicznie po polsku było surowo zakazane. Nie spowodowało to jednak by miejscowi mieszkańcy od razu nauczyli się mówić po rosyjsku i zesłany administracyjnie w 1893 z Petersburga do Wilna ówczesny towarzysz i przyjaciel Lenina Julij Cederbaum-Martow nie mógł porozumiewać się po rosyjsku z wileńskimi robotnikami, nawet żydowskimi. W swoich *Zapiskach Socjał-Demokrata* (Moskwa, 1924, str. 172) o samym Wilnie Martow pisał:

„Co zdumiewało przybysza do litewskiej stolicy, to wszędzie rozmieszczone bezczelne (*nagłoje*) ogłoszenie generał-gubernatora żandarma Orzewskiego, zakazujące mówienie po polsku w teatrach, sklepach, restauracjach, na ulicy, w ogrodach i w ogóle miejscach publicznych. Nad przestrzeganiem tego zarządzenia pilnie czuwali szpiecy, policjanci oraz dobrowolni donosiciele. Wystarczało zobaczyć polskie oblicze całej prawie nie-żydowskiej ludności, by zrozumieć jak bezwstydnym był ten zakaz. Wystarczało usłyszeć w sklepie jak, gwałcąc sam siebie, Polak kupujący zwracał się do Polaka sprzedającego po rosyjsku i zobaczyć jaki wyraz nienawiści i wstrętu zjawiał się w ich oczach, by uświadomić sobie bezsensowność tej rusyfikacyjnej nadgorliwości”.

W niemniej brutalny sposób stosowano analogiczną politykę pod zaborem pruskim; tam również całkowicie usunięto język polski z życia publicznego i szykanowano „Prusaków mówiących po polsku”; zmuszanie dzieci w szkołach do modlenia się po niemiecku stało się głośne w całym świecie, o tym jednak, że na kilka lat przed Wrześnią (1902) analogiczny „strejk szkolny” miał miejsce w rosyjskim gimnazjum w Mitawie (1898) było mniej wiadomo.

Jednym z przywódców tego „strejku” był Antanas Smetona, przyszły prezydent litewskiej republiki. Z jego biografii, wydanej w Nowym Jorku w 1964 roku, dowiadujemy się, że, urodzony w 1874 na Żmudzi, w 1889 poszedł do szkoły w Wiłkomierzu, gdzie „wszyscy uczniowie pomiędzy sobą i z gospodynią mówili tylko po polsku”; tam nauczył się go i później w gimnazjum w Mitawie, obok przymusowej literatury rosyjskiej, studiował polską, szczególnie Adama Mickiewicza (str. 19, 24, 35 i in.). W 1903 ożenił się z Zofią Chodakowską, w której rodzinie dopiero w owym czasie zaczynało przechodzić z potocznego języka polskiego na litewski. Jego zięć, przyszły Naczelnny Wódz armii litewskiej, generał Stanisław Rasztkis, syn organisty w Dukaszach (na linii kolejowej Wilno - Dźwińsk), od dzieciństwa był dwujęzyczny, gdyż z matką mówił tylko po polsku, a z pochodzącym ze Żmudzi ojcem po litewsku.

Głośny carski minister i premier Piotr Stołypin dzieciństwo i młodość spędził na Litwie, na Kowieńszczyźnie, w Kownie i w Wilnie. Jako uczeń gimnazjum w Wilnie w końcu lat 1870-ych wspólnie z ojcem napisał „patriotyczny” wodewil wyszydający Rosjan ulegających polonizacji, sam jednak w ukochanym Kałnoberżu (Wzgórze Brzozowe) nad Niewiażą musiał z miejscową ludnością mówić po polsku. Gdy już jako premier po 1905 zamierzał w „krajach zachodnich” Rosji wprowadzić *ziemstwa* (samorząd gminny i powiatowy), uważał za konieczne uprzednie skolonizowanie „kraju zachodnio-północnego” (Białorusi i Litwy) przez sprowadzonych z Rosji chłopów, gdyż — jak w 1911 zwierzał się przed córką — bez powiększenia w ten sposób ilości mówiących po rosyjsku wyborców wprowadzenie *ziemstw* „dałoby w rezultacie wprowadzenie języka polskiego na ich zebraniach” (*Zeszyty Historyczne* nr 29, str. 204-207).

Jak z tego wynika, do końca XIX wieku przez przeszło sto lat po rozbiorach zasadnicza jedność polityczna wielokulturowego społeczeństwa dawnej Rzplitej nie uległa rozbiciu. Pomimo poćwiartkowania całości i wysiłków oprawców, aby strawić zdobyte części przez stosowanie odwiecznej metody *divide et impera*, polityczny „naród Rzplitej”, często lecz niewłaściwie nazywany „narodem polskim” (błąd semantyczno-logiczny: *pars pro toto*) wciąż jeszcze istniał, aczkolwiek w miarę powszechnego rozwoju kultury jego zasadnicza wielokulturowość występowała coraz wyraźniej. Przejawiało się to m.in. w częstszym i szerszym postępowaniu się innymi niż polski językami przy „uprawianiu kulturowej niwy”.

Charakterystyczne pod tym względem było studium „Za co mamy być Polakom wdzięczni lub niewdzięczni” ogłoszone na początku 1892 roku w czasopiśmie *Varpas* (Dzwon) oraz osobnej odtbitce. Anonimowy autor stawiał w nim retoryczne pytanie:

„Dlaczegoż więc wy, Litwini, zaczynacie się dziś od nas oddalać i dlaczego nie chcecie używać nadal naszego języka, na którego wyrobienie samiście tyle wysiłkówłożyli? Toć i mówiąc po polsku można być dobrym Litwinem”.

i na nie odpowiadał:

„My się od Polaków bynajmniej nie oddzielamy i pamiętamy dobrze dzieło Zygmunta Augusta, ostatniego Jagiellona, ostatniego Litwina na zespolonym tronie Litwy i Polski. Zygmunt August przykazał nam żyć w spójce i zgodzie — i my też tego pragniemy. Ale nie powiedział, że mamy się wyrzec swego języka, że mamy się stać Polakami. Tego nie mówił i my też tego nie chcemy, natomiast chcemy pozostać takimi, jakimi Bóg nas stworzył, chcemy zostać Litwinami. Wszakże i po litewsku mówiąc możemy pozostać dobrymi przyjaciółmi i mieć wspólne dążenia.

Dalej, dlaczego chcemy od uprawy roli polskiej zwrócić się do uprawy roli własnej — oto mianowicie dlatego, że widzimy, iż nasza własna rola szalenie zaniedbana, iż pracując dla polskości doszliśmy do tego, że w

naszym narodzie klasy światlejsze i wyższe nie rozumieją się i nie mogą się rozmówić z mniej rozwiniętymi, i tegośmy się wreszcie doczekali, że mowa Giedymina została uznana za język chłopski — oto więc dlatego chcemy wrócić i wracamy do uprawy własnej roli piśmienniczej” (cytowane przez M. Romera, *Litwa*, str. 176).

Rozumowanie było słuszne i nic nie było można zarzucić jego treści czy formie. Toteż, odpowiadając Litwinom w parę lat później, Roman Dmowski godził się z nim całkowicie.

Ogłoszony w 1895 roku w *Przeglądzie Wszechpolskim* Nr 19 (*Pisma*, t. 3, 1938), artykuł Dmowskiego formalnie dotyczył „kwestii litewskiej”, odzwierciedlał jednak jego ówczesne poglądy w szerszej skali i ujawniał jego ówczesny stosunek do dawnej Rzplitej i drogi jej historycznego rozwoju. Punktem wyjścia były stosunki na emigracji, gdzie, jak pisał:

„...jest sporo Litwinów, którzy za oceanem grupują się w miarę możliwości, mają swoje kościoły i swoje gazety. Wyodrębniając się od Polaków, nie trzymają się od nich całkiem oddzielnie, łączy ich bowiem nic pochodzenia ze wspólnej ojczyzny i wspólna tradycja”.

Przeciwko takiej polityce Dmowski zastrzeżeń nie wysuwał, natomiast żalił się, że w starym kraju część co najmniej Litwinów poszła na lep caratu, który — zmieniwszy wobec Litwinów politykę murawiewowską na metternichowską — zaczął ich łądzić nadzieją:

„...że narodowość litewska może swobodnie rozwijać się w państwie rosyjskim, które chroni ją od zamachów ze strony polskości. Z czasem jednak przyszło rozczarowanie. Litwini zrozumieli, że są potrzebni tylko do rozbicia jedności dawnej Rzplitej, ażeby częściami łatwiej było strawić to, co się w całości nie da. Mieli też jasne dowody, że litewszczyzna na równi z polskością poczyną być coraz zajadlej prześladowana. Trzeba więc było porzucić dawne nadzieje i dawne plany polityczne, ale nie było co na ich miejsce postawić. Nastąpił więc u postępowców litewskich okres bezprogramowości politycznej, który po dziś dzień trwa jeszcze. Jedni łądzą się nadziejami na reformy w Rosji, czekają na konstytucję; inni chętnie widzieliby Prusaków, zagarniających Litwę i dopuszczających mieszkańców jej do używania tych skąpych praw, jakimi się cieszą mieszkańcy zaboru pruskiego; inni wreszcie, pomimo gotowości do walki o słowo litewskie przeciw polonizmowi, widzieliby chętnie niepodległą Polskę w dawnych granicach. Trzeba przyznać, że liczba ostatnich powoli się zwiększa”.

W tej sytuacji rozbicia i bezprogramowości wśród Litwinów, dalszy ciąg artykułu Dmowskiego był podsuwaniem im sugestii, które w wypadku praktycznego szerszego (nie tylko do Litwinów) zastosowania prowadziłyby do odbudowania dawnej Rzplitej i kontynuowania jej politycznego i kulturalnego rozwoju. Dmowski pisał:

„Przedewszystkim twierdzimy, że, gdyby była Rzplita nie upadła, nie

mielibyśmy na pewno kwestii litewskiej w tej postaci, w jakiej ją dziś widzimy. Nikomu nie przyszłoby do głowy zająć się wytwarzaniem narodu litewskiego odrębnego całkiem, nie mającego nic wspólnego z polskim. Taka myśl mogła się zrodzić tylko w głowach wrogów Polski i Litwy. Inna rzecz z ruchem kulturalnym, mającym na celu zachowanie języka i rozwój literatury litewskiej. Ruch ten musiał powstać jako nieunikniony skutek postępu cywilizacji i rozwoju potrzeb duchowych u ludu litewskiego. W niepodległej Polsce byłby on powstał prawdopodobnie wcześniej i rozwinął się bujniej, mając więcej swobody. Ale nie byłoby mowy o żadnym separatyzmie politycznym; powoli, według wszelkiego prawdopodobieństwa, wytworzyłby się ten stosunek, jaki istnieje pomiędzy ludnością różnojęzyczną w Szwajcarii. Szwajcaria ma trzy języki narodowe, i każdy inteligentny Szwajcar włada dobrze wszystkimi, a przynajmniej dwoma bardziej rozpowszechnionymi (francuskim i niemieckim). U nas, na gruncie litewskim, musiałby się podobny stosunek wytworzyć. Jeżeli zaś stało się inaczej, jeżeli z tej normalnej drogi rozwojowej nastąpiło zбочenie, to winne temu położenie polityczne, wklajające każdą, najprostszą nawet kwestię.

Chcąc jednak żyć i dojść do lepszej przyszłości, musimy używać wszelkich wysiłków, ażeby utrzymać się jak najbliżej tej drogi rozwoju politycznego i kulturalnego, która wynika z naszych dziejów przedrozbiorowych, jako ich naturalna konsekwencja. Dlatego w rozwoju kwestii litewskiej konieczny jest zwrot, leżący w interesie zarówno Polaków jak Litwinów, i dziś zaznaczający się coraz wyraźniej. Polega on na uznaniu z jednej strony jednoci politycznej, wynikającej z wspólnej tradycji dziejowej, z drugiej zaś — potrzeb kulturalnych narodowości litewskiej, pomiędzy którymi pierwsze miejsce zajmuje ochrona języka i rozwój literatury”.

W zakończeniu artykułu Dmowski formułował „parę zasadniczych punktów”, na których miałyby się opierać „uregulowanie stosunków polsko-litewskich”. Brzmiały one:

„1. Nie ma dwóch patriotyzmów, polskiego i litewskiego, ale jest jeden wspólny, jak jest jedna wspólna wszystkim ojczyzna.

2. Postęp cywilizacyjny ludu litewskiego leży w interesie całej Polski, a zatem obrona języka i popieranie rozwoju literatury litewskiej jest jednym z artykułów patriotyzmu polskiego. Język litewski, jako jeden z naszych języków narodowych (tzn. że ma ich być więcej niż dwa — W.S.) zasługuje na pielegnowanie na równi z polskim.

3. Na gruncie litewskim należy pracować nad wytworzeniem zgodnego pojęcia żywiołów litewskiego i polskiego. Polacy powinni gruntownie zapoznawać się z językiem litewskim, ażeby móc go używać w stosunkach życiowych i pomagać rozwojowi kulturalnemu litewskiemu. Inteligencja litewska powinna wychowywać młode pokolenie w duchu patriotycznym, zapoznawać je nie tylko z dziejami Litwy, lecz całej Polski, oraz uczyć je gruntownie nie tylko języka litewskiego, ale i polskiego. Człowiekowi wykształconemu język litewski, jako nie dość jeszcze wyrobiony i bardzo ubogą posiadający literaturę, wystarczyć nie może, i dlatego cała inteligencja litewska zna z konieczności, choć często słabo, język polski. Usiłowania w kierunku zastąpienia go rosyjskim, z którymi często nam się zdarza spotykać, są działaniem na szkodę nie tylko sprawy polskiej w ogóle, ale i w szczególności litewskiej, i muszą być uważane za odstępstwo.

Na takich tylko zasadach można regulować stosunki polsko-litewskie z nieocenioną dziś korzyścią dla obu stron i dla wspólnej sprawy.

Trzeba łączyć to, co wrogowie usiłują rozdzielić”.

Może po wprowadzeniu pewnych istotnych poprawek semantycznych (usunięcie *pars pro toto* — „Rzplita” zamiast „Polska”) i innych (m.in. stonowaniu przyznawanego Polakom charakteru i praw „starszego brata”) praktyczna realizacja naszkicowanych przez Dmowskiego w 1895 roku „zasad” mogłaby jeszcze w jakimś stopniu zapobiec postępującemu coraz dalej „zboczeniu”, wynikającemu z ówczesnego położenia politycznego „wikłającego każdą kwestię”? Niestety, wkrótce potem sam Dmowski nie tylko zaniechał zalecanych uprzednio „wszelkich wysiłków, ażeby utrzymać się jak najbliżej drogi rozwoju politycznego i kulturalnego przedrozbiorowej Rzplitej”, lecz drogę tę opuścił i zdecydowanie wszedł na ścieżkę prowadzącą wówczas jeszcze nie wiadomo dokąd, ale na pewno nie „do lepszej przyszłości” Polaków. W ogłaszanych od 1902 roku „Myślach nowoczesnego Polaka” dawną Rzplitę kategorycznie potępił, zwolenników jej odbudowy, „demokratów i patriotów starej daty” uznał za skazanych na wymarcie mastodontów, zagradzających drogę do niepodległości „nowoczesnemu patriotyzmowi czyli nacjonalizmowi”, którego zdaniem państwo mógł stworzyć „tylko naród zdrowy, silny, liczny... naród polski z rdzennie polskiej ludności złożony”. Było to stanowcze odcięcie się od wszystkich „nie-rdzennych Polaków”, czyli, jak to oblicza Łukasz Jodko, „odcięcie od narodu polskiego dwóch trzecich społeczeństwa dawnej Rzplitej”. Profesor Wandycz uważa to twierdzenie za „tylko do pewnego stopnia słuszne” i podkreśla, że, uwzględniając proces odrodzenia narodowego Ukraińców czy Litwinów, „odcinanie nie było zabiegiem jednostronnym”. Ma niewątpliwie rację. Jednakże zasadniczą złą przyczyną były doktryny sformułowane w „Myślach”. One zadały cios śmiertelny (*coup de grâce?*) wciąż tlejącemu jeszcze w narodach dawnej Rzplitej poczuciu solidarności i wspólności losu, zalecając nie współpracę, nie „łączenie tego co wrogowie usiłowali rozdzielić”, lecz wzajemnie bezwzględna walkę na śmierć i życie; walkę zarówno „organizmów narodowych” jak i wchodzących w ich skład „komórek ludzkich”; walkę każdego „rdzennego” Polaka z każdym „rdzennym” Litwinem, Ukraińcem czy Białorusinem. No i oczywiście odwrotnie, doktryny bowiem „nowoczesnego patriotyzmu czyli nacjonalizmu” i na te narody wywarły wpływ przemożny.

Gdyby Pan Roman posiadał iskrę poczucia poetyckiego, mógłby uprzedzić Kisiela w zacytowaniu wyjątku z *Dziadów* jako ilustracji do swoich teorii. Pasowałby wyśmienicie.

Wiktor SUKIENNICKI

Londyn, w lipcu 1980 r.

FINEZYJNY RAPORT

Czytelnik krajowy zabiera zwykle z opóźnieniem głos w dyskusji. Przyczyny są ogólnie zrozumiałe. W tym wypadku niech aktualność tematu usprawiedliwi spóźnioną wypowiedź.

Przytaczam na początku trzy stwierdzenia z dziewięćdziesięciostronicowego memoriału dr. Mieczysława Szerera, ogłoszonego w Nr. 49 *Zeszytów Historycznych* (str. 71-160), a dotyczącego prac komisji do badania odpowiedzialności za łamanie praworządności (podkr. M.B.) w sądownictwie wojskowym w okresie między VIII Plenum PZPR w październiku 1956 a dniem 13 maja 1957 roku.

„... Najwyższy Sąd Wojskowy w okresie spraw tatarskich nie był sądem we właściwym znaczeniu tego słowa (str. 152)... Czy nie należałoby pytać: w jakiej mierze można oficerów sądowników, gdy występowali w sprawach tatarskich, traktować w ogóle jako sędziów i żądać od nich, by zdawali sprawę jako sędziowie (str. 154)... Na tym miejscu była mowa o jednym tylko rodzaju odpowiedzialności: o odpowiedzialności karnej podwładnych sędziów Najwyższego Sądu Wojskowego. Takiej odpowiedzialności nie stwierdzam (str. 115)”.

Wiadomo dość powszechnie, zarówno z ówczesnych jak i z późniejszych wydarzeń, że dochodzenia reżymowych komisji w Warszawie ani nie wyjaśniają społeczeństwu, choćby teoretycznie, zaszłych wydarzeń, ani też nie powodują zmian w systemie rządzenia krajem. Natomiast ogłoszenie raportu dr. Szerera pozwoli zwiększyć świadomość społeczeństwa o sprawach związanych z „kultem Stalina”, a ponadto zaznajomi z charakterem i zbrodniczą działalnością polskich stalinowców. Jest jednak i druga strona medalu, jeśli dobrze się wczytać w przytoczone powyżej trzy twierdzenia czy też wnioski dr. Szerera. W bardzo dziwnym ujęciu, w szeregu twierdzeń, scen i opisów wydarzeń memoriał zawiera mylące informacje i sugeruje błędne oceny historycznych już dziś wydarzeń, a ponadto wnioskuje bezkarność sędziów — przestępców krajowych — i zwolnienie ich od odpowiedzialności nie tylko karnej, ale nawet urzędniczej i moralnej. Należy jednak uznać, że podane przez dr. Szerera fakty są prawdziwe, ale zawiodła autora chronologia przy interpretowaniu ich znaczenia.

I. Mylące informacje

Opisując „niewolenie” sędziów Sądu Najwyższego w wojsku,

autor memoriału z dn. 10. VI. 1957 roku przytoczył treść dwóch aktów rządowych, które „rzekomo” obowiązywały w czasie procesu centralnego — Tataru i innych — i miały fatalny wpływ na postawę sędziów orzekających w tych sprawach. Przede wszystkim należy przypomnieć datę procesu centralnego, który rozpoczął się w dniu 31. VII. 1951 roku, a również co najmniej dzieśięciu procesów odpryskowych, przeprowadzonych w 1951 roku. Natomiast dokument, który zdaniem autora memoriału miał decydująco wpłynąć na te procesy, a mianowicie dyrektywa nr 01/Polit z podpisem Szefa Głównego Zarządu Politycznego MON, wydany został w styczniu 1952 roku. Drugie zarządzenie, które autor memoriału powiązał z obstrzeniami w procesach tatarowskich, to „Statut organów informacji MON”, wprowadzony rozkazem Rokossowskiego w dniu 11 listopada 1953 roku. Należy również przypomnieć, że aresztowania głównych oskarżonych — Tataru, Utnika, Nowickiego — miały miejsce już w listopadzie 1949 roku. (Jeden z oskarżonych, gen. Herman, przebywał w areszcie śledczym już od stycznia 1949 roku). Nie dla podkreślenia niewinności funkcjonariuszy sowieckich razem z ich marszałkiem Rokossowskim zwracam uwagę na tę nieścisłość, ale dla uwypuklenia faktu, że do „zniewolenia” sędziów Najw. Sądu Wojsk. włączyli się również czynni wówczas Polacy — Bierut, Żymierski, Spychalski, Cyrankiewicz oraz Jaroszewicz i Witaszewski (Zarząd Pol. Wych. MON). To charakterystyczne pominięcie przez dr. Szerera polskich komunistów — wyjątek stanowi Bolesław Bierut, nieżyjący już w czasie badań Komisji — nie najlepiej świadczy o intencjach komisji dochodzeniowej, starającej się zrzucić całą odpowiedzialność na „wielkiego brata”. Wydaje mi się, że wyjaśnienie takiego ujęcia memoriału nie jest trudne i ogranicza się do odpowiedzi na dwa pytania: Kiedy memoriał został opracowany i jakie zaszyły zmiany „dyrektywne” w PZPR między VIII a IX Plenum partii.

Można się zgodzić z oceną, że otrzymując misję zbadania sprawy „łamania praworządności” w sądownictwie wojskowym dr Szerer mógł przypuszczać, iż dotyczyło to zarówno centralnego procesu jak i procesów pochodnych, w których oskarżano oficerów o prowadzenie konspiracji i wywiadu w wojsku PRL. Jest to nawet bardzo prawdopodobne w świetle reklamy, jaką zorganizowano w prasie i radio po VIII Plenum partii w sprawie rehabilitacji skazanych w tych procesach i zbadania nadużyć w czasie śledztwa prowadzonego przez Główny Zarząd Informacji MON.

Sposób wycofania się autora memoriału w czerwcu 1957 roku z prac w „Komisji do badania łamania praworządności” wskazuje, że dr Szerer najprawdopodobniej uznał, iż jego praca na małym odcinku opartym tylko na treści akt Najwyższego Sądu Wojskowego (zapewne niekompletnych) oraz na wypowiedziach łamiących prawo sędziów nie wyjaśniła problemu. Zatem i osta-

teczne wnioski o odpowiedzialności sędziów i prokuratorów wojskowych, które musiałyby żyrować swym podpisem, uważał za nieuzasadnione.

II. Błędne oceny wydarzeń

Przyczynę tego zjawiska należy upatrywać przede wszystkim w wąskiej bazie źródłowej materiałów dowodowych oraz w metodzie, ograniczającej badania tylko do spraw tatarskich. Doświadczony prawnik, jakim jest autor memoriału, popełnia ten sam czyn, jakim obciąża sędziów orzekających w procesach niejawnych (w nomenklaturze więziennej kiblowych). Bada mianowicie tylko te dokumenty, które zawierają część prawdy — akty oskarżenia, wyselekcjonowane protokoły śledztwa i wyroki wraz z ich nędznym uzasadnieniem. Przytoczone wyjaśnienia prawników — uczestników i sprawców niepraworządności — są właściwie podobne do zeznań świadków, współoskarżonych w procesach tatarskich. A przecież dr Szerer sam je uznał za niegodne wiary: „...obracanie się wciąż w zakłętym kole wyjaśnień samych oskarżonych i zeznań świadków, którzy w gruncie rzeczy nie byli świadkami ale współoskarżonymi” (str. 120). Autor memoriału nie wyjaśnił, czy uzyskał pozwolenie, aby zbadać zrehabilitowanych skazanych, czy też nie wolno mu było się z nimi kontaktować. W treści raportu nie ma śladu takich badań.

We wstępie do memoriału (str. 72) dr Mieczysław Szerer scharakteryzował cel swego udziału w komisji: „...ocenić rolę sędziów Najwyższego Sądu Wojskowego w okresie procesów tzw. tatarskich... poznać w krótkości drogę jaką te sprawy odbywały, zanim dotarły do N.S.W.... uprzytomnić sobie klimat polityczny tych czasów... koniecznie przypomnieć pewne fakty”. Gdyby autor raportu zastosował się był do tego ograniczenia, czy może samoograniczenia, zostawiłby dla historii jeden z najcenniejszych dokumentów z czasów „błędów i wypadków”. Niestety dr M. Szerer przekroczył ten zakres i to w niewłaściwym kierunku. Wnioskując z wielu prywatnych wypowiedzi skazanych, a później rehabilitowanych ofiar procesów tatarskich, opisana przez dr. Szerera droga tych spraw od Głównego Zarządu Informacji MON do Sądu Najwyższego odpowiada w ogólnym zarysie stanowi faktycznemu. Kierownicza rola oficerów sowieckich oraz zachowanie wyznaczonych do prowadzenia śledztwa polskich oficerów dostatecznie podkreślają ich przestępczą działalność w rozumieniu obowiązujących wówczas kodeksów karnych. Autor memoriału potraktował pobieżnie nieomal codzienną ingerencję czynników politycznych w osobach dygnitarzy Ministerstwa Bezpieczeństwa (Romkowski, Fejgin, Różański), powołujących się zarówno wobec oficerów śledczych jak i wobec przesłuchiwanym na jeszcze wyższe czynniki (Bie-

ruta, Radkiewicza, Bermana, Cyrankiewicza). A przecież miało to znacznie większy wpływ na aparat śledczy, prokuraturę i sądy niż raczej sporadyczna styczność „aparatu ścigania” z funkcjonariuszami sowieckimi. Mistyfikacja w tym zakresie była dość zabawna: sowiecki oficer Skulbaszewski mówił wyłącznie po polsku, z dużą starannością o poprawność języka, natomiast Fejgin rozmawiał po rosyjsku, gdy sądził, że przesłuchiwany go nie zna. Bardzo poważnym niedomówieniem ze strony dr. Szerera jest niedostateczne wyjaśnienie roli obrony w procesach tatarowskich. Należy z całą powagą podkreślić, że ani na procesie centralnym ani na procesach odpryskowych w Najw. Sądzie Wojskowym nie było obrońców z wyboru. Formalnie oskarżony mógł sobie wybrać obrońcę, ale tylko z listy przedstawionej mu przez prokuraturę. Nawet jednak ci „koncesjonowani obrońcy” w procesie publicznym nie mieli dostępu do akt śledczych przed rozprawą sądową, a otrzymywali tylko — tak jak i sądzeni — prokuratorski akt oskarżenia. Wyjątek w procesie centralnym stanowił adw. Maślanko, który jako przewodniczący ławy obrończej miał przed rozprawą wgląd do 22 tomów akt śledczych. Był to szczególnie znany zarówno sędziom jak i obrońcom, a ich wykształcenie prawnicze musiało im podpowiadać, że uczestniczą nie w praworządnym procesie karnym ale w „trybunale nie pochodzącym od Boga”, jak pouczał jeden z sędziów Najwyższego Sądu Wojskowego. I jeszcze jeden problem. Dr Szerer napisał w memoriale: „Ilu słuchaczom (radio- wych nagrań z procesów pokazowych — przyp. M. B.) wówczas zabrzmiało coś zdradliwie w wyjaśnieniach czy zeznaniach świadków? Wszyscy śpiewali jak z nut” (str. 114). W tych retorycznych formułach nie znajdziemy historycznej prawdy o procesach z okresu stalinowskiego. A ponadto są one nieprawdziwe i obrażają skazanych w tych procesach. Nie wolno również uczciwemu prawnikowi rozciągać niektórych wątpliwości z procesu publicznego na procesy tajne, przeprowadzane systemem konspiracyjnym — w pełnym tego słowa znaczeniu sądy kapturowe — potępiane przez prawodawstwo całego cywilizowanego świata. Ale o tym mógł nie wiedzieć tylko sędzia Sądu Najwyższego mjr Karczmarz, ten „sędzia nie od Boga”. Pozostali na pewno byli o tym pouczeni na studiach.

Nieprawdowość takiego postawienia sprawy polega nie tylko na tym, że trudno byłoby obliczyć odpowiedzi na tak i nie, ale również dlatego, że w wielu „nie zniewolonych umysłowo” środowiskach krajowych wymieniano już w owym czasie poglądy kwestionujące wiarygodność tych procesów. A już błędność oceny „śpiewali jak z nut” była do sprawdzenia już wtedy, a również i dziś, na podstawie nagranych czy zapisanych zeznań. Każdy łatwo mógł ocenić, że Tatar, Herman, Nowicki i Utnik zeznawali o swojej działalności z okresu przed 22 lipca 1944 roku, jak i późniejszej, ale nie mającej nic wspólnego z działalnością

w latach 1948 i 1949, tzn. z okresu rozpoczynającej się zimnej wojny. Już ta sztuczna data — 22 lipca 1944 — podana jako początek wrogiej działalności, powinna się była wydać sędziom bezsensowna. Oskarżony Mossor, który w dniu 22 lipca 1944 roku przebywał jeszcze w obozie jenieckim w Niemczech, przez cały czas procesu tłumaczył sędziom, że nie przyznaje się do winy i że nie przedstawiono sądowi ani jednego dowodu rzeczowego jego wrogiej działalności przeciw PRL. Ale takie „śpiewanie” nie dochodziło do świadomości sędziów. Po 18 miesiącach śledztwa większość oskarżonych w procesie centralnym miała świadomość, o co toczy się gra. Przykłady można przytaczać bez ograniczeń. Oskarżony Utnik, zapytany po odczytaniu aktu oskarżenia, czy przyznaje się do winy, odpowiedział: „Przyznaję się do działalności, którą można uznać za szkodliwą dla Polski Ludowej”. W dalszym toku procesu, gdy poirytowany jego wyjaśnieniami sędzia Bojko przerwał mu pytaniem: „A do jakiej to Polski oskarżony chciał wrócić?”, usłyszał w odpowiedzi: „Do Polski burżuazyjnej, gdyż nie spotkałem w czasie wojny w Londynie Polaka, który by się wybierał do Polski komunistycznej”. Martwą ciszę na sali przerwał przewodniczący rozprawie sędzia Waląg: „Wyjaśniajcie dalej waszą działalność”. Ale dr Szerer nie zauważył, że był to spór z zespołem sędziowskim nie o uniewinnienie, jak w wypadku Mossora, ale o wyrok za walkę z nowym ustrojem, a nie z Polską na korzyść obcych, jak zarzucano pod sądnym w akcie oskarżenia.

W czasie wyjaśnień oskarżony Kirchmayer w barwnym opisie przedstawił, jak na skrzyżowaniu ulic wysiadł szybko z samochodu i sprawnie podał teczkę z materiałem szpiegowskim do innego stojącego w pobliżu wozu. Żadnemu z sędziów nie wydało się wątpliwe, że ten inwalida z kampanii jesiennej 1939 roku — w czasie składania zeznań na procesie musi siedzieć — był tak niedawno takim sprawnym i szybkim szpiegiem.

Wydaje się, że byłoby słuszniejsze, gdyby dr Szerer doszedł do bardziej, moim zdaniem, prawidłowego określenia, np. takiego: „Sędziowie Najwyższego Sądu Wojskowego w okresie 'błądów i wypaczeń' byli tak dobierani, aby nie tylko bali się sądzić sprawiedliwie i zgodnie ze swym sumieniem, jak nakazywało prawo, ale by bali się nawet złożyć rezygnację ze swej funkcji sędziowskiej”.

III. Odpowiedzialność za „łamanie praworządności”

Formalnie udział w komisji poruczyli dr. Mieczysławowi Szererowi, jak napisał, trzej mocodawcy, faktycznie kierownictwo partii, prawdopodobnie bezpośrednio po zakończeniu VIII Plenum Komitetu Centralnego PZPR (październik 1956 r.). Poza nazwą

komitetu nic nie wskazuje na cel prowadzonych dochodzeń. Nie można przecież zakładać, że łamanie prawa ograniczyło się tylko do procesów tatarskich i tylko do sędziów Najwyższego Sądu Wojskowego. Trzeba widzieć również olbrzymi aparat represji w postaci Ministerstwa Bezpieczeństwa, wojewódzkich i powiatowych Urzędów Bezpieczeństwa oraz sądów karnych w okręgach wojskowych, a także karnych sądów wojewódzkich i powiatowych. Należy również podliczyć nie dziesiątki, jak w procesach tatarskich, ale setki pozbawionych życia przez wykonane wyroki na prowincji oraz tysiące pozbawionych zdrowia akowców, palowców, ludowców, woldenberczyków, a nawet przedwojennych kapecowców i pepesowców. Gdyby to sumiennie podliczyć, może by ich liczba przekroczyła ilość ofiar katyńskich. Nie znamy jednak dotychczas tych danych. Czytelnikowi pozostaje zatem jedynie możliwość ustosunkowania się do badań, których się podjął autor, z ograniczeniami zakreślonymi przez zakres jego raportu.

Główny cel dochodzeń komisji dr Szerer określił krótko: „...ocenić rolę sędziów Najwyższego Sądu Wojskowego w okresie procesów tzw. tatarskich...”. A wyniki badań można określić — zgodnie z treścią memoriału — również w kilku punktach:

1. Najwyższy Sąd Wojskowy nie był sądem.
2. Oficerów sędowników nie można uważać za sędziów.
3. Nie ma dowodów(czy też ściślej dr Szerer nie stwierdził, by takowe istniały), które by pozwalały twierdzić, że świadomie łamali oni „praworządność”.
4. Procesy odpryskowe (a było tych odprysków aż 47, z 83 sądzonymi, a wykonanych wyroków śmierci aż 19) były bez wyjątku prowadzone w „nieprzebitym mroku tajności”.
5. Z zasobu różnorodnych odpowiedzialności memoriał rozpatruje tylko odpowiedzialność karną sędziów tylko Najwyższego Sądu Wojskowego; taką odpowiedzialność autor wyklucza.

Dr Mieczysław Szerer, badacz PRL na tym wąskim odcinku, stosuje do opisanego wydarzenia finezyjny styl (choć nasuwają się tu ostrzejsze określenia); operując myląco pojęciami praworządności i prawa oraz przepisu prawnego, doszedł do wniosków, których nie może przyjąć ani uczciwy badacz historii, ani przeciętny obywatel PRL, który przeżył ten okres w kraju, ani tym bardziej ofiary terroru i zakłamania, a już najmniej rodziny skazanych na śmierć i pozbawionych życia, a nawet ludzkiego pogrzebu. Ofiary były nie tylko w procesach tatarskich, ale i w ogromnej fali prześladowań, jakie przeżył naród, gdy dzielono Europę według teherańskiej recepty, ustalonej przez Roosevelta i Stalina.

Nie spodziewam się, by autor raportu wyjaśnił dodatkowo,

w jakim zakresie odpowiedzialność obciąża system, a kiedy stosuje się odpowiedzialność indywidualną. Tak duża dyspensa i rozgrzeszenie, jakie proponuje dr Szerer dla wszystkich komunistycznych sędziów tego okresu, zostały przez cywilizowany świat odrzucone w odniesieniu do sędziów hitlerowskich, analogicznie tłumaczących się przymusem. Krótką analizą własną chciałbym odpowiedzieć na pytanie, czy autor memoriału ulegał też takiemu „zniewoleniu umysłu”, jakie przypisuje w swoim opracowaniu sędziom Najwyższego Sądu Wojskowego, zarówno w okresie tzw. błędów i wypaczeń jak też w czasie, kiedy opracowywał memoriał i wycofywał się z komisji do badania odpowiedzialności za łamanie praworządności w sądownictwie wojskowym. Charakterystyczną cechą tych pięciu ustaleń jest negacja. Po szczegółowym opisie czynów przestępczych i ich sprawców autor raportu nie znajduje podstaw prawnych do ich osądzenia. Znając wysoki poziom wiedzy i doświadczenia dr. Mieczysława Szerera, znawcy prawa „przedrewolucyjnego” i sędziego Sądu Najwyższego, nie można posądzać autora o nieświadomość czy też błędną ocenę. Odczytałem ten raport jako „fineznyjne” potępienie zbrodni przy równoczesnym domyślnym usprawiedliwieniu sprawców zbrodni. Zgodnie bowiem z rozumowaniem zastosowanym w memoriale autor, potępiając sędziów Najwyższego Sądu Wojskowego, musiałby rozszerzyć oskarżenie na ich mocodawców, wśród których byli tacy jak Bierut, oczekujący w grobie na pomnik, jak również Berman, Fejgin, Różański, Romkowski, Radkiewicz i inni. A przecież i nie wymienieni w raporcie „prowincjonalni” wrócili w niedługim czasie po październiku 1956 roku, by jak przedtem spełniać tę samą rolę w deprawowaniu społeczeństwa, jak np. Witaszewski, Szlachcic, Moczar i wielu innych w aparacie partyjnym i urzędach bezpieczeństwa. Stosuje się to również do wymienionych 20 sędziów N. S. Wojsk., z których trzech sądziło dalej w Izbie Karnej Sądu Najwyższego, a pozostałych wynagrodzono synekurami w administracji państwowej i w sądownictwie. Warto by omówić ich dalsze losy. Niezależnie jednak od intencji i możliwości autora memoriału czytelnik polski musi mieć świadomość, że taki memoriał nie mógł niczego poprawić, a jedynie wskazać przestępcom, jakie jeszcze dowody należy utajnić, a jakie zniszczyć. System tworzą i obsługują ludzie, a zapewnienie im bezkarności powoduje utrwalenie systemu i umożliwia osłoniętym od kary dalsze szkodnictwo.

W czasie czytania raportu dr. Szerera wydawało mi się, że jest on bliski prawdziwego opisu wydarzeń oraz rzetelnej oceny ludzi po obu stronach stołu sędziowskiego. Spróbuję więc zmienić negatywną formę wniosków dr. Szerera na pozytywną, nadając im równocześnie narzucający się i jednoznaczny sens:

1. Najwyższy Sąd Wojskowy w PRL, który do października 1956 roku nie był sądem we właściwym znaczeniu tego słowa,

należałoby może określić jako „trybunał ludowy” (forma stosowana w okresach rewolucyjnych)? Ale tym też nie był, gdyż w tamtych „trybunałach” sądzili publicznie przedstawiciele ludu według własnego sumienia, nie krępując się paragrafami kodeksu. Pozostaje zatem trzecia forma, zwana sądami kapturowymi — tajnymi, ukrytymi przed społeczeństwem i nie kontrolowanymi ani przepisami, ani nadzorem społecznym. Pasuje to do ogólnie wówczas stosowanego systemu, a nieliczne procesy publiczne miały jedynie pozorować system nowoczesnego sądownictwa uznawanego przez cywilizowaną ludzkość. Takie stwierdzenie przez prawnika z autorytetem, jak dr Szerer, zniechęciłoby na pewno wielu prawników polskich do prezentowania się z tabliczką reklamową: „Sędzia sądu kapturowego”.

2. Nie uważam za słuszne oddzielanie oficerów sędziów od sędziów cywilnych, wykształconych na kursach „duraczowskich”, gdyż niewiele się różnili swoją wiedzą prawniczą. Można by raczej podzielić sędziów sądów karnych na kształconych przed wojną i kreowanych po wojnie. Należałoby zatem traktować jednakowo wszystkich sędziów z procesów karnych tego okresu, obciążając większą odpowiedzialnością przedwojennych prawników jako bardziej świadomych wydarzeń prawnych, w których brali udział. Byłoby to ze wszech miar wskazane, gdyż objęłoby również „kapturowców” z kompletów sędziowskich szczebla powiatowego i wojewódzkiego, a nie tylko ich część z procesów tatarskich.

3. Autor memoriału uznał, że nie ma dowodów, by sędziowie łamali świadomie „praworządność”, a zatem nie ma odpowiedzialności karnej. Gdyby bowiem stwierdził, niezgodnie z ustalonymi w memoriale faktami, że sędziowie ci nie przekraczali przepisów kodeksu karnego i wytycznych z kodeksu postępowania karnego, to mógłbym napisać, że jest to twierdzenie fałszywe i że dr Szerer świadomie mija się z prawdą. Sam bowiem ustalił, że w licznych rozprawach tajnych sędziowie pozbawiali oskarżonych należytej im obrony zawodowego prawnika, nie doręczali im przed rozprawą aktów oskarżenia, nie przedstawiali im na rozprawach ani jednego dowodu rzeczowego, nie dopuszczali na rozprawy tajne, a nawet na publiczny proces centralny, ani jednego świadka z wolnej stopy. Nie były to występki z dziedziny etyki sędziowskiej, jak je zakwalifikował autor memoriału, ale przestępstwa i świadome łamanie ustaw prawa karnego albo co najmniej łamanie przepisów postępowania sądowego. W pierwszym wypadku o winie i ukaraniu sędziego orzeka sąd, a w drugim wypadku przełożony winien wdrożyć postępowanie dyscyplinarne.

4. Procesy tatarskie odpryskowe: sąd kapturowy — rozprawa tajna — wyrok — egzekucje z udziałem sędziego — wszystko w tych samych rękach aparatu bezpieczeństwa. Na 48 pro-

cesów tylko jeden wyrok uniewinniający: pułkownik, jeńiec z kampanii 1939 roku z obozu w Woldenbergu, oficer w czynnej służbie w wojsku PRL, nie obciążony przedwojenną służbą zawodową. Nie stanowi to dowodu na praworządność, raczej jako wyjątek potwierdza regułę „złych sądów PRL”.

Na 82 skazanych 19 wyroków śmierci, zatwierdzonych przez pełne gremia sędziów N.S. Wojsk. na parominutowych posiedzeniach i wykonanych, gdyż naczelne władze PRL nie skorzystały z prawa łaski nawet w stosunku do wysoko odznaczonych na polu walki z hitlerowskim najeźdźcą. Czyż w tym świetle można się zgodzić z oceną dr. Mieczysława Szerera, że „odpowiedzialności karnej podwładnych sędziów Najwyższego Sądu Wojskowego nie stwierdziłem”?

5. Finezyjne sformułowania raportu o łamaniu bliżej nie sprecyzowanej praworządności pozwoliły dr. Szererowi na wykonanie dwóch uników:

— Wycofał się w dniu 13.V.1957 r. z dalszego udziału w pracach komisji do badania odpowiedzialności, gdyż zapewne uznał je za bezcelowe, bo przecież partia po wyborach do sejmu w styczniu 1957 roku i w czasie IX majowego Plenum zakończyła odwilż i przeszła na pozycje „zwalczania rewizjonizmu”.

— Uchylił się od podpisania całości prowadzonych dochodzeń, gdy partyjne i rządowe komisje dochodzeniowe w PRL stawiają jedynie wnioski zgodne z opinią Biura Politycznego PZPR, ale jakże często niezgodne z rzeczywistością i sumienną oceną. Dr Mieczysław Szerer zrobił jak się wydaje maksimum tego co można było zrobić bez narażania się na kłopoty, a może nawet ostrzejsze szykany. Nie zdecydował się jednak zrobić nic więcej niż opisać szczegóły działania ówczesnego sądownictwa. Od wyciągania słusznych wniosków się powstrzymał. Pozostawił jednak — co jest w tym memoriale najcenniejsze — listę — niepełną, ale listę — przestępców zasługujących na miano sędziów kapturowych.

Historyk znajdzie w tym raporcie cenne wyjaśnienia z okresu „nieprzebitego mroku ciemności”, ale dopiero ich uzupełnienie przez opisanie pozostałych gałęzi sądownictwa karnego w PRL dostarczy nowym pokoleniom materiału do zastanowienia się nad łatwością moralnego upadku jednostek i grup ludzkich we współczesnym cywilizowanym świecie.

Marek BRZOST

RECENZJE

Stefan KORBOŃSKI

„POLSKIE PAŃSTWO PODZIEMNE 1939-1945”

„Kłamstwo historyczne w tegorocznych naszych nieustających obchodach osiągnęło swoistą doskonałość. Ktoś widząc orzekł, że po 35 latach sprawa 17 września 1939 i jego konsekwencji we wschodniej Polsce dojrzała do zapomnienia. I oto we wszelkich mowach, artykułach, audycjach, rozważaniach historyczno-politycznych od Machejka i Szewczyka do Kowalskiego i Stefanowicza znikło wszystko. Nie było paktu Ribbentrop-Mołotow, wkroczenia Armii Czerwonej, walk i internowania polskiej armii, współpracy Rosji z Niemcami na linii Bugu, wywózki 1,5 miliona Polaków do Związku, wymordowania oficerów w Katyniu, problemów armii Andersa i Berlinga. Nie było też nigdy żadnego Wilna i Lwowa, nie było niczego takiego. Nie było też zgoła żadnych problemów ze Wschodem i Stalinem (nawet czczony po śmierci Tito ich nie miał!). Była tylko historyczna Polska po Odrę i Nysę i jej restytucja przez bratni zawsze Związek Radziecki”.

Tak pisze Stefan Kisielewski o niszczeniu przez „dyktaturę ciemniaków” narodowej pamięci w artykule „Warszawskie komedio-dramaty” ogłoszonym w *Kulturze* za lipiec-sierpień 1980. Tej zgrai fałszerzy polskiej historii, rozporządzającej całym potężnym rządowym aparatem wydawniczym, przeciwstawił się odważnie Władysław Bartoszewski, podejmując w ramach tzw. „łatającego uniwersytetu” (Towarzystwa Kursów Naukowych) serię wykładów o Polskim Państwie Podziemnym z lat 1939-1945, wydanych następnie drukiem w roku 1980 przez działającą w kraju poza zasięgiem cenzury Niezależną Oficynę Wydawniczą w postaci 35-stronicowej broszury zatytułowanej „Polskie Państwo Podziemne 1939-1945”.

Kto zna przeszłość i twórczość Bartoszewskiego, ten się nie dziwi, że właśnie on a nie kto inny podjął się powiedzenia

prawdy o polskim wojennym podziemiu. Sam życiorys Bartoszewskiego to dramatyczny fragment historii polskiego państwa podziemnego. Uwięziony w latach 1940-41 w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, od 1942 do 1944 jest organizatorem Rady Pomocy Żydom („Żegota”), zastępcą kierownika referatu żydowskiego w Delegaturze Rządu oraz pracownikiem w randze porucznika Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK, wreszcie bierze udział w Powstaniu Warszawskim i zostaje odznaczony Krzyżem Walecznych.

W czasie od 1946 do 1954 spędza Bartoszewski osiem lat w komunistycznym więzieniu, skazany za rzekome szpiegostwo, po czym w marcu 1955 zostaje zrehabilitowany i oskarżenie uznane za bezpodstawne.

Po wyjściu z więzienia Bartoszewski oddaje się z zapałem pracy pisarskiej i w ten sposób powstaje szereg niezmiernie wartościowych książek. Jeśli chodzi o ich wagę poza granicami Polski, to na pierwsze miejsce wysuwa się książka napisana wspólnie z Zofią Lewinówną pt. „Ten jest z ojczyzny mojej”. Jest to historia pomocy świadczonej przez Polaków mordowanym w latach 1939-1945 przez hitlerowców Żydom. Przetłumaczona na język angielski i rozprowadzona w świecie zachodnim staje się pierwszą książką, która samą wymową podanych w niej faktów prostuje wszelkie niesłuszne zarzuty i oskarżenia, że Polacy nie ratowali Żydów tak jak powinni. Zaufanie do faktów w książce tej podanych zwiększyło przyznanie autorowi przez Izrael medalu za ratowanie Żydów w okupowanej Polsce i zaliczenie go do „sprawiedliwych między narodami”.

Za dzieło najcenniejsze dla Polaków należy uznać „1859 dni Warszawy” pod okupacją, którego tytuł mówi sam za siebie. Obok tego ogłosił Bartoszewski szereg książek, broszur i prac poświęconych okupacji hitlerowskiej, w tym „Warszawski pierścionek śmierci”, i stał się może najlepszym znawcą spraw okupacyjnych.

Te wszystkie prace wręcz predestynowały Bartoszewskiego do podjęcia ciężkiego i odpowiedzialnego zadania, jakim było sprostowanie fałszów i powiedzenie prawdy o Polskim Państwie Podziemnym. Zważywszy warunki krajowe, krótki czas wykładu i względnie skromny rozmiar broszury, zadanie to wykonał bardzo dobrze.

Zapłacił jednak Bartoszewski za swą odwagę. Najpierw za jego działalność w ramach krajowej opozycji odmówiono mu paszportu do Stanów Zjednoczonych, gdzie miał wygłosić szereg odczytów na temat stosunków polsko-żydowskich. Odczyty te miały posłużyć prostowaniu fałszywych oskarżeń i łagodzeniu różnic między polskim i żydowskim odłamem społeczeństwa amerykańskiego, co niewątpliwie leży w interesie polskim. Nie powstrzymało to partyjnych „ciemniaków” od odmowy paszportu, byle tylko ukarać Bartoszewskiego za działalność opozycyjną.

Z kolei za wygłoszenie odczytu streszczonego w broszurze komunistyczne „Kolegium dla spraw wykroczeń” ukarało go grzywną w wysokości 5.000 złotych. Na procesie Bartoszewski oświadczył, że prowadzenie wykładów z historii Polski uważa za swój społeczny obowiązek. Żadna kara go od tego nie powstrzyma i nie zastraszy i nadal będzie prowadził takie wykłady.

Jak z powyższego wynika, praca Bartoszewskiego o Polskim Państwie Podziemnym ma już swoje miejsce w historii prześladowań wolnego słowa, co jej dodaje koloru i podwaja zainteresowanie czytelnika.

Jeśli chodzi o treść broszury, to na wstępie stwierdza ona, że wśród młodzieży wzrasta zainteresowanie problematyką Polskiego Państwa Podziemnego, którego nie można jednak zaspokoić, gdyż brakuje opracowań będących naukową syntezą tego okresu dziejów. Po wyjaśnieniu jak konstytucja z 1935 r., mimo że bardzo zwalczana, umożliwiła kontynuację polskich władz państwowych po opuszczeniu przez nie terenu Polski, przechodzi Bartoszewski do odparcia poglądu pewnych komunistycznych historyków kwestionujących istnienie Polskiego Państwa Podziemnego. Jeśli to państwo nie istniało, to po co — pyta Bartoszewski — Polska Partia Robotnicza nawiązała w lutym 1943 rozmowy z Delegaturą Rządu będącą organem tego państwa?

Z kolei przechodzi Bartoszewski do szczegółowego omówienia wydarzeń. W ten sposób czytelnik krajowy broszury dowiaduje się prawdy o komunikacie sowieckiego Tassa, że w nocy z 8 na 9 września premier ZSSR, Władysław Mołotow, przekazał telefonicznie ambasadorowi Niemiec Schulenburgowi gratulacje z powodu wejścia wojsk niemieckich do Warszawy, co zresztą nie było prawdą, gdyż dotarły one wówczas tylko do Rakowca. Dalej broszura informuje, że 10 września ambasador Schulenburg doniósł do Berlina, że rząd sowiecki ma zamiar oświadczyć, iż Polska się rozpadła i że pragnie „przyjść z pomocą” Ukraińcom i Białorusinom, zaś 14 września Schulenburg raportuje, że Mołotow oświadczył mu, iż armia sowiecka jest gotowa do wkroczenia na teren Polski, co też nastąpiło 17 września. Dzień ten jednakże zniknął z kalendarza historyków komunistycznych.

Broszura omawia także sowiecko-hitlerowski pakt o nieagresji z 23 sierpnia 1939 i tajny protokół dodatkowy do tego paktu, dalej traktat o przyjaźni i granicach między ZSSR i Rzeszą, który przeprowadza podział terytorium Polski, czyli dokonuje czwartego jej rozbioru. Kończy ten dział broszury przemówienie ministra Mołotowa z 31 października 1939, poświęcone Polsce jako „pokracznemu tworowi Traktatu Wersalskiego” i przerzucające odpowiedzialność za dalsze prowadzenie wojny na Anglię i Francję.

Po sprostowaniu w ten sposób kłamstw i przemilczeń, broszura przechodzi do właściwych dziejów Polskiego Państwa Pod-

ziemnego, rozpoczętych historyczną rozmową z 26 września między dowódcą armii Warszawa, generałem Juliuszem Rómmlem a generałem Michałem Karaszewicz-Tokarzewskim, który występuje z propozycją utworzenia tajnej organizacji wojskowej. Równolegle do tego broszura przedstawia bieżące losy rządu polskiego na emigracji pod kierownictwem generała Władysława Sikorskiego i nową krajową rzeczywistość stworzoną przez drańskie zarządzenia obu okupantów, masowe egzekucje i deportacje milionów ludzi przez hitlerowców z Ziemi Zachodnich na teren tzw. Generalnej Guberni, zaś przez Sowiety za Ural, do Azji.

Przechodząc przez różne fazy organizowania się podziemia, broszura podkreśla, że zarówno w Służbie Zwycięstwu Polski (SZP) jak w Związku Walki Zbrojnej (ZWZ) i Armii Krajowej (AK) przewodzili ludzie, którzy walczyli o niepodległość w latach 1914-1918, a nawet w roku 1905, i mieli doświadczenie konspiracyjne. Poza tym Polskie Państwo Podziemne jako przedłużenie dwudziestoletniego, suwerennego istnienia Rzeczypospolitej odziedziczyło po nim wszystkie zalety i wady, czyli spory, antagonizmy i alianse polityczne w tym dwudziestolecu powstałe, co jednak nadało podziemiu charakter pluralistyczny i demokratyczny.

Przy opisywaniu struktury cywilnych władz podziemnych, to jest Delegatury Rządu, Politycznego Komitetu Porozumiewawczego i przygotowania administracji „na po wojnie” Bartoszewski stwierdza, że ta nie raz krytykowana w podziemiu administracja zdała po wojnie egzamin celująco, gdyż najlepiej przygotowanymi urzędnikami Ministerstwa Ziemi Odzyskanych, Ministerstwa Rolnictwa i Oświaty byli fachowcy zorganizowani w odpowiednich departamentach Delegatury Rządu. Od siebie dodam, że Władysław Czajkowski, dyrektor podziemnego Biura Ziemi Nowych, wprowadził do Ministerstwa Ziemi Odzyskanych na czele z min. Władysławem Gomułą około 2000 urzędników, a sam został wiceministrem. Niestety, zostali oni z czasem odsunięci, jak stwierdza Bartoszewski, przez „cele więzienne”.

Broszura, omawiając tak ważne wydarzenia jak wybuch wojny niemiecko-sowieckiej 22 czerwca 1941 i wpływ jej na stosunki polsko-sowieckie, przedstawia szczegółowo akcje polityczne sowieckie na terenie Polski, poczynając od komunistycznej Grupy Inicjatywy zrzuconej na spadochronach, a skończywszy na Polskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego i Rządzie Tymczasowym powstałym w Lublinie 31 grudnia 1944.

Mówiąc o Powstaniu Warszawskim Bartoszewski stwierdza, że jest to za obszerny temat na skromną broszurę i ogranicza się do zasadniczego stwierdzenia, że decyzja o Powstaniu była wspólną: rządu w Londynie, Delegata Rządu w Kraju i Komentanta AK i że był to jeden z ostatnich suwerennych aktów Rzeczypospolitej Polskiej.

Wreszcie broszura przedstawia dość szczegółowo aresztowanie i proces szesnastu oraz odbywające się równolegle w Moskwie rozmowy zakończone utworzeniem 28 czerwca 1945 Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Konsekwencją tego była likwidacja Polskiego Państwa Podziemnego.

Bartoszewski kończy swą broszurę następującym wywodem:

„Bilans społeczno-moralny Polskiego Państwa Podziemnego, zjawiska unikalnego w historii Polski a chyba i w historii świata, jest zdecydowanie dodatni, mimo przegranej w wyniku drugiej wojny światowej koncepcji politycznej odbudowy Polski jako suwerennego, demokratycznego państwa o strukturze pluralistyczno-parlamentarnej modelu zachodniego. Do rządu problemów badawczych natomiast należy niewątpliwie zjawisko skutków psychologicznych i politycznych funkcjonowania Polskiego Państwa Podziemnego dla dziejów myślenia i postępowania społeczeństwa polskiego po 1945 roku. Pozostaje sprawą otwartą, w jakim stopniu doświadczenie tych lat, a szczególnie końcowego okresu Polskiego Państwa Podziemnego, Powstania Warszawskiego i zmiany władzy w 1945 roku, wywarło wpływ na postawy ludzi, wybór dróg i metod działania zarówno w pierwszych latach po drugiej wojnie światowej jak w roku 1956 i w późniejszym jeszcze okresie”.

Jeśli chodzi o ocenę broszury, to mógł ją napisać tylko człowiek o głębokiej wiedzy historycznej i doskonale opanowanej technice pisarskiej. Te zalety sprawiły, że Bartoszewski zdołał bezbłędnie zmieścić na 35 stronicach nie tylko wszystkie ważne wydarzenia z dziejów Polskiego Państwa Podziemnego w latach 1939-1945, ale także ich krótkie i trafne oceny polityczne i znaczenia dla przyszłości. Jeśli dojdzie do skutku złagodzenie cenzury przyrządzone w umowie zawartej w końcu sierpnia 1980 ze strajkującymi robotnikami Wybrzeża Bałtyckiego, wówczas pionierska praca jaką jest broszura Bartoszewskiego może zapoczątkować w kraju lawinę dzieł historycznych omawiających już bez ograniczenia a więc w pełni i wyczerpująco historię Polskiego Państwa Podziemnego. Oby tak się stało!

Stefan KORBOŃSKI

Piotr WANDYCZ

NOWE KSIĄŻKI

Dzieje najnowsze nie są, jak wiadomo, łatwą dziedziną pracy dla historyka w Kraju. Wiemy o książkach i artykułach, które nie mogły się ukazać lub takich, których wydanie trwa lata.

Tym bardziej więc pociesającym jest fakt, iż stale ukazuje się sporo prac interesujących, dobrze udokumentowanych, niekiedy bardzo cennych. Poniższe uwagi nie są recenzjami, a jedynie zasygnalizowaniem czytelnikom *Zeszytów Historycznych* rozmaitych pozycji. Większość z nich zasługuje na odrębne i szczegółowe omówienie.

Mussolini był pierwszy (Czytelnik, Warszawa, 1979) pióra Jerzego W. Borejszy to niezwykle żywo i interesująco napisany esej. Autor, który dał się uprzednio poznać jako badacz emigracji po powstaniu styczniowym, od szeregu lat zajmuje się zagadnieniem faszyzmu i polityki włoskiej. Książka jego jest, przy pozorach lekkości, dobrze udokumentowana, oparta na archiwach włoskich, które Borejsza dokładnie przebadał. Składa się ona z rozdziałów traktujących o marszu na Rzym i tematyce wewnętrznowłoskiej, z bardzo ciekawej części dotyczącej przewrotu majowego widzianego oczyma Włochów i Francuzów, z eseju na temat kontaktów Dmowskiego z Corradinim (łącznie z nieznanym listem Dmowskiego z 2 lipca 1926 roku) oraz rozdziałów których tytuły brzmią „Beck, Bastianini, faszyzm włoski i Polska”, „Włochy wobec wojny niemiecko-polskiej 1939 roku”, „Faszyzm włoski a Europa Wschodnia”, a wreszcie „Malaparte, intelektualisci i faszyzm” oraz „Pluton egzekucyjny i tradycja narodowa”. Książka niewątpliwie bardzo ciekawa i dająca dużo do myślenia.

Do innego typu publikacji należy *Ignacy Jan Paderewski: zarys biografii politycznej* (Wydawnictwo Interpress, Warszawa, 1979) — wersja angielska książki ma się ukazać, względnie już się ukazała. Jest to w zasadzie praca popularyzacyjna, oparta w dużej mierze na wydanym czterotomowym *Archiwum Politycznym Ignacego Paderewskiego*. Zainteresowania autora obejmują historię gospodarczą Polski międzywojennej, varsavianą, stosunki polsko-amerykańskie oraz prace takie jak popularna biografia Stefana Starzyńskiego. W pracy o Paderewskim narracja góruje nad analizą i chociaż książka jest niewątpliwie użyteczna i dobrze napisana, nie wnosi wiele nowego, zwłaszcza dla historyka. Sylwetka Paderewskiego nakreślona w konkluzji jest przekonująca i szkoda, że autor nie rozbudował swej analizy. Praca robi wrażenie pisanej w pośpiechu, gdyż zawiera dość dużą ilość poślizgnięć i pomyłek, które były łatwe do poprawienia.

Mariana Zgórniaka *Sytuacja militarna Europy w okresie kryzysu politycznego 1938 roku* (PWN, Warszawa, 1979) stanowi owoc długoletnich badań krakowskiego historyka dyplomacji i wojskowości. Solidnie udokumentowana, napisana dla specjalistów raczej niż dla szerszej publiczności, praca Zgórniaka wnosi wiele nowego materiału, w tym liczne tabele statystyczne, niezbędne dla zrozumienia całej tematyki polityczno-wojskowej. Teza krakowskiego historyka, iż w 1938 roku wojna byłaby toczona w warunkach o wiele mniej korzystnych dla Niemców niż rok później jest dla mnie najzupełniej przekonująca.

Książka Kazimierzy Mazurowej pt. *Skazani na wojnę* (Wydawnictwo M.O.N., Warszawa, 1979) to zbiór wywiadów przeprowadzonych przez autorkę z wybitnymi politykami i wojskowymi francuskimi z okresu dwudziestolecia międzywojennego. Mazurowa, urodzona we Francji, autorka *Europejskiej polityki Francji 1938-39*, która ukazała się przed czterema laty, porusza się z dużą swobodą w tematyce francuskiej. Wśród pytań, które stawia swym rozmówcom — wielu z nich *nota bene* już nie żyje — figuruje pytanie o wojnę przewencyjną, sprawę, która wciąż jeszcze fascynuje Polaków. Odpowiedzi wahają się od „nigdy o tym nie słyszałem” (Georges Bonnet, gen. d'Arbonneau, Pierre Cot, J. Duclos, Jules Moch, etc.) do uwag dopuszczających prawdopodobieństwo polskich propozycji, choć interlokutorzy nie mogą nic konkretnie na ten temat powiedzieć. Do tej drugiej kategorii należą André François-Poncet, René Massigli, Léon Noël i Geneviève Tabouis. Wypowiedzi zebrane przez Mazurową są w wielu wypadkach interesujące, zwłaszcza jeśli chodzi o lata bezpośrednio poprzedzające wybuch drugiej wojny światowej.

Pozostały cztery opracowania, na które chciałbym zwrócić uwagę, to: Andrzej Chojnowskiego *Koncepcje polityki narodowościowej rządów polskich w latach 1921-1939* (w ramach serii wydawniczej PAN: *Polska myśl polityczna XIX i XX wieku*, tom III, Ossolineum, 1979), Andrzeja Skrzypka *Strategia pokoju: radziecka polityka zbiorowego bezpieczeństwa w Europie 1932-1939* (Książka i Wiedza, Warszawa, 1979), i wreszcie dwie najnowsze prace: Jacka Ryszarda Wędrowskiego *Stany Zjednoczone a odrodzenie Polski: Polityka Stanów Zjednoczonych wobec sprawy polskiej i Polski w latach 1916-1919* (Ossolineum, 1980), oraz Henryka Jackiewicza *Brytyjskie gwarancje dla Polski w 1939 roku* (Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Olsztynie, Olsztyn, 1980).

Piotr WANDYCZ

Jan CIECHANOWSKI

BITWA O TAJEMNICE: WYWIAD BRYTYJSKI W CZASIE DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ

Zgodnie z powszechnie ustaloną opinią, wywiad brytyjski od dawna uchodzi już za jeden z najlepszych na świecie, a służba w nim uważana jest przez większość Anglików za duże wyróż-

nienie. W czasie ostatniej wojny prawie cała brytyjska elita intelektualna i uniwersytecka służyła w wywiadzie lub SOE, co miało zresztą i swoje słabe strony, jak na to wskazuje afera prof. A. Blunta, który między innymi opiekował się z ramienia kontrwywiadu polskim rządem w Londynie. Podczas wojny przyjmowano do wywiadu głównie ludzi wysoko wykształconych, znających obce języki i kraje, z poręki kogoś, kto już w nim służył, co miało zapobiec przenikaniu do niego niepowołanych osobników. Osiągnięcia wywiadu brytyjskiego w latach 1939-1945 były duże i istnieje już na ich temat niezmiernie bogata, chociaż nie zawsze w pełni wiarogodna i często zbeletryzowana, literatura.

Do tej pory nie posiadaliśmy jednak pełnej, oficjalnej, opartej na źródłowych materiałach historii wywiadu brytyjskiego w czasie ostatniej wojny, co pozwalało różnego rodzaju szarlatanom na wypisywanie wielu głupstw na ten temat. Stąd dla badaczy historii ostatniej wojny dużym wydarzeniem stało się ukazanie pierwszego tomu oficjalnej historii wywiadu brytyjskiego, opracowanej przez ekipę angielskich historyków pod kierownictwem prof. F. H. Hinsley'a, który służył w biurze szyfrów w Bletchley Park, a obecnie wykłada historię stosunków międzynarodowych w Cambridge*.

Prof. Hinsley i jego ekipa posiada nieskrępowany dostęp do wszystkich zachowanych dokumentów brytyjskich, nawet tych które są jeszcze stale niedostępne dla innych badaczy, a ich celem jest opracowanie historii całego wywiadu, a nie jego poszczególnych działów czy asów, zgodnie z zasadą że ma to być praca *pas de monstres et pas de Héros*.

Autorzy piszą o wywiadzie jako instytucji, o wpływie jego osiągnięć na brytyjską strategię i politykę. Pierwszy tom obejmuje okres od najazdu Niemców na Polskę aż do ich ataku na ZSSR. Omawia więc okres wielkich zwycięstw Hitlera, w ciągu którego Anglia walczyła o przetrwanie, szczególnie po upadku Francji w czerwcu 1940 roku, kiedy Niemcy niepodzielnie panowali nad prawie całą Europą i kiedy w każdej prawie chwili mogło dojść do niemieckiej inwazji na wyspy brytyjskie. Atak Hitlera na Rosję niebezpieczeństwo to zażegnał, a wejście do wojny USA w grudniu 1941 roku ostatecznie przesądziło o jej wyniku na korzyść Aliantów. Był to więc dla Anglii okres największego niemieckiego zagrożenia, podczas którego Londynowi głównie chodziło o wciągnięcie ZSSR i USA do wojny, jako jedynej pewnej rękoi zwycięstwa nad Niemcami. Zgodnie z legendą, po nпадzie Niemców na ZSSR Churchill miał powiedzieć: „jesteśmy uratowani”, a po wypowiedzeniu przez Hitlera wojny Ameryce: „wygraliśmy”.

Wprost nie sposób jest omówić wszystkich zagadnień poru-

* F. H. Hinsley, *British Intelligence in the Second World War*. (Her Majesty's Stationery Office, Londyn, 1979), tom I, 601 str.

szonych w tym tomie, gdyż wymagałoby to napisania przynajmniej sporej broszury. Ograniczę się więc do przedstawienia spraw polskich oraz stosunków brytyjsko-niemiecko-sowieckich w oświetleniu *Intelligence Service*, które dla czytelnika polskiego są najciekawsze.

W latach 1936-1939 wywiad brytyjski uzyskał dużo wiarogodnych i dokładnych wiadomości o planach i zamiarach Hitlera, głównie od wyższego oficera *Abwehr'y* Paula Thümme, działającego nie z pobudek materialnych lecz ideowych, z nienawiści do reżymu nazistowskiego. Thümme dostarczył Czechom (a pośrednio i Anglikom) masę pierwszorzędnych wiadomości dotyczących stanów i dyslokacji niemieckich sił zbrojnych, planów i możliwości mobilizacyjnych, częściowych danych dotyczących sprzętu *Luftwaffe*, oraz uprzedził o zamiarach Hitlera w stosunku do Sudetów, Czechosłowacji i Polski. Od wiosny 1939 roku uprzedzał o mającym nastąpić niemieckim ataku na Polskę. Wszystkie te wiadomości Anglicy otrzymywali od wywiadu czeskiego, z którym Thümme ściśle współpracował, aż do chwili aresztowania go przez Gestapo w 1944 roku. Czesi ze swej strony wiadomości dotyczące Polski podobno przekazywali Warszawie. Od 1936 roku Anglicy posiadali podobnych do Thümme'go agentów, którzy współpracowali z nimi bezpośrednio. Od jednego z nich Londyn uzyskał szczegółowy niemiecki plan mobilizacyjny oraz wszystkie wprowadzone do niego później poprawki.

Zdaniem autorów książki Niemcy na podobnych stanowiskach co Thümme pracowali dla wywiadu francuskiego i innych. Niemniej, aby uniknąć niepotrzebnych nieporozumień, stwierdzają, że Thümme był jedynym oficerem *Abwehr'y* który bezpośrednio współpracował z Aliantami. Generał Hans Oster, zastępca szefa *Abwehr'y* admirała Wilhelma Canarisa, ograniczał się jedynie do udzielania ostrzeżeń różnym państwom europejskim tuż przed niemieckimi atakami. Oster był nieprzejednanym wrogiem Hitlera i jednym z organizatorów niemieckiego ruchu oporu. Stąd pogłoski, że sam Canaris pracował dla Aliantów należy uznać za fałszywe. Autorzy podają, że w okresie poprzedzającym wybuch wojny główną troską władz brytyjskich było nie tyle rozpracowanie zamiarów i planów Hitlera, co znalezienie sposobów i środków do przeciwstawienia się im. Niemniej, początkowo praca różnych wydziałów wywiadu: wojskowego, lotniczego, morskiego i politycznego kulała, ze względu na brak koordynacji wysiłków, co utrudniało należyte wykorzystanie uzyskanych wiadomości i materiałów. Złe oceniono możliwości *Luftwaffe* — przeceniano siłę uderzeniową niemieckiego lotnictwa bombowego dalekiego zasięgu, chociaż niemiecka sekcja angielskiego wywiadu lotniczego dobrze wiedziała, że niemieckie lotnictwo bombowe było przede wszystkim lotnictwem bliskiego wsparcia i nie mogło odgrywać niezależnej roli strategicznej. A więc *Luftwaffe* nie

była w stanie w 1939 roku przeprowadzić masowych ataków bombowych na Londyn i Paryż, czego nasi zachodni alianci obawiali się przed wybuchem wojny. Dopiero w drugim roku wojny, to znaczy już po upadku Francji, pracę różnych działów wywiadu skoordynowano i usprawniono do tego stopnia, że można było mówić o powstaniu ogólnopaństwowej, ujednoliconej służby wywiadowczej. Pierwszym zasadniczym krokiem do tego było nadanie szerszych uprawnień połączonemu sztabowi wywiadowczemu, utworzonemu w 1936 roku. W ten sposób doszło do usprawnienia procesu zdobywania, analizowania i wykorzystywania uzyskanych wiadomości. Polskich czytelników szczególnie zainteresuje jak wywiad brytyjski oceniał sytuację w okresie Monachium, a następnie po zajęciu Pragi w marcu 1939 roku, kiedy zaczęła dojrzewać sprawa niemieckiego ataku na Polskę, oraz w jakim stopniu doniesienia *Intelligence Service* wpływały na decyzje rządu brytyjskiego.

21 marca 1938 roku brytyjscy szefowie sztabu złożyli rządowi brytyjskiemu memorandum, oparte na raportach wywiadowczych, w którym stwierdzili, że Wielka Brytania nie była gotowa do wojny, do której mogło dojść z powodu Czech, i zalecali jak najdalej posuniętą ostrożność. Lord Halifax, ówczesny minister spraw zagranicznych, uznał to memorandum za niezmiernie przygnębiający dokument w oparciu, o który rząd brytyjski zdecydował się nakłonić Czechów do oddania Sudetów Niemcom.

28 września 1938 roku, w najostrzejszym okresie czeskiego kryzysu, wywiad zameldował, że w wypadku wypowiedzenia przez Anglię wojny Niemcom dojdzie do natychmiastowego uderzenia niemieckiego lotnictwa na Londyn.

Do początku 1939 roku brytyjski wywiad polityczny — *Secret Intelligence Service* (SIS) podawał, że niemiecka ekspansja była skierowana wyłącznie na Europę Wschodnią. 14 listopada 1938 roku *Foreign Office*, na podstawie doniesień SIS, doszedł do przekonania, że Niemcy przygotowywali się do uderzenia na Zachodzie i równocześnie dążyli do polepszenia swego położenia w Europie południowo-wschodniej. Zdaniem *Foreign Office* Hitler był gotów wszcząć wojnę ze względu na „katastrofalną” sytuację finansową Niemiec oraz ponieważ uważał iż Francja i Anglia były państwami dekadentckimi, posiadającymi bardzo słabą obronę przeciwlotniczą.

W Londynie sądzono, iż po Monachium Hitler zaczął uważać Anglię za wroga numer jeden. Stąd, *Foreign Office* zalecało twardą, nieustępliwą postawę wobec Niemiec celem odstraszenia ich od wywołania wojny. W drugiej połowie listopada 1938 roku Anglicy uzyskali sporo informacji, że Hitler znowu szykuje się do podjęcia ofensywy lotniczej na Londyn.

23 stycznia 1939 roku Lord Halifax stwierdził, że ekspansja Hitlera pójdzie na zachód nie na wschód, oraz że Niemcy przy-

gotowują się do nowej rozgrywki, tj. do uderzenia lotniczego na Anglię i zajęcia Holandii. Równocześnie szefowie sztabu doszli do wniosku, że zajęcie Holandii może doprowadzić do bezpośredniego zagrożenia Anglii i że należy się temu przeciwstawić, pomimo tego że Wielka Brytania nadal nie była gotowa do wojny. W trzy dni później, 26 stycznia, *Foreign Office* i szefowie sztabu uznali, iż należy zacząć organizować brytyjski korpus ekspedycyjny i podjąć rozmowy sztabowe z Francuzami. W niespełna miesiąc później, 22 lutego, rząd zatwierdził te wnioski.

15 marca wojska niemieckie wkroczyły do Pragi. W trzy dni później *Foreign Office* uznało, że obecnie Niemcy zagrażają bezpośrednio Rumunii. 28 marca ambasador brytyjski w Berlinie doniósł do Londynu, że Niemcy natychmiast zaatakują Polskę, o ile Francja i Wielka Brytania nie oświadczą, że będą to uważały za *casus belli*. Szefowie sztabu wystąpili wtedy z wnioskiem, że należało natychmiast uzgodnić plany wojskowe z Polską i Rumunią. Rząd wniosek przyjął i postanowił podjąć rozmowy z tymi i innymi krajami, włącznie z Rosją. Tymczasem Lord Halifax zażądał zwołania nadzwyczajnego posiedzenia rządu, do czego doszło 30 marca, w czasie którego oświadczył, iż wszystko przemawia za tym aby Wielka Brytania jednoznacznie opowiedziała się po stronie Polski. Rząd przyjął wniosek Halifaxa. Następnego dnia, tj. 31 marca, Chamberlain udzielił Warszawie i Bukaresztowi brytyjskich gwarancji, stwierdzając jednocześnie że nie należy się spodziewać natychmiastowego ataku niemieckiego na Polskę.

Jak widzimy, wiadomości dostarczane przez wywiad brytyjski miały zasadniczy wpływ na historyczną decyzję Chamberlaina zagwarantowania niepodległości Polski i Rumunii. Niestety do brze dziś wiemy, iż te gwarancje dla Polski były bez pokrycia, gdyż Anglicy zdawali sobie sprawę że w razie wojny z Niemcami nie będą w stanie udzielić nam żadnej bezpośredniej pomocy. Wydaje się, iż głównie chodziło im o odstraszenie Hitlera od wszczęcia wojny — uprzedzając go, że o ile dojdzie do jej wybuchu, będzie zmuszony do walki na dwa fronty. W kwietniu 1939 roku sztaby brytyjski i francuski doszły do przekonania, że jeżeli wojna wybuchnie — Polska co prawda będzie pokonana, ale jej ostateczny los nie zostanie przez to przesądzony. Zależać on będzie od wyniku wojny, od zdolności zachodnich aliantów do pokonania Niemiec, nie zaś od tego czy potrafią udzielić Polsce bezpośredniej pomocy i zmniejszyć na nią nacisk na początku konfliktu. Państwa zachodnie nie poinformowały jednak Warszawy o opiniach anglo-francuskich sztabowców. W chwili wybuchu wojny wywiad angielski oceniał, iż Niemcy pobiją Polskę w ciągu trzech tygodni i że następnie wystąpią wobec Paryża i Londynu z propozycjami pokojowymi, a po ich odrzuceniu przez Aliantów podejmą ofensywę na Zachodzie w końcu

października lub listopada, a najpóźniej na początku grudnia 1939 roku. Wywiady francuski i angielski były bardzo dobrze poinformowane o przebiegu kampanii wrześniowej, w czasie której Niemcy po raz pierwszy zastosowali metodę wojny błyskawicznej.

Niestety do maja 1940 roku alianckie władze wojskowe nie wyciągnęły żadnych lekcji z polskich doświadczeń, gdyż uważały iż Niemcy najprawdopodobniej nie odważą się na przeprowadzenie *Blitzkrieg'u* na Zachodzie, gdzie armie alianckie były silniejsze niż Polska i walczyć miały w oparciu o linię Maginota. Tutaj też chyba leży jedna z głównych przyczyn załamania się Francji w 1940 roku. Alianci nie byli gotowi do wojny błyskawicznej.

Pakt Mołotow-Ribbentrop był całkowitym zaskoczeniem dla Londynu, który w ogóle posiadał bardzo skąpe wiadomości na temat zamiarów i możliwości ZSSR. Nie mniej od 14 czerwca 1940 roku Anglicy zaczęli ostrzegać Moskwę, że Hitler po pobiciu Francji będzie szukał nowych podbojów na Wschodzie. Początkowo ostrzeżenia te były po prostu supozycjami Churchilla, nie opartymi na danych, uzyskanych od wywiadu. Zresztą wywiad sądził, iż Niemcy szykowali się do inwazji Anglii i że ich głównym celem było jej pobicie przed ewentualną rozprawą z ZSSR.

Wywiad brytyjski prawie do wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej nie wierzył, że Hitler dąży do walnej rozgrywki z Rosją. Sztabowcy brytyjscy uważali, że koncentracja niemiecka na Wschodzie — o której posiadali dokładne wiadomości — była przede wszystkim próbą wymuszenia na Stalinie dalszych ustępstw gospodarczych i szachowania ZSSR w czasie wojny z Anglią. Dopiero w połowie maja 1941 roku wywiad brytyjski uznał, że Niemcy szykują się, od połowy kwietnia 1941 roku, do wielkiej operacji wojskowej, skierowanej przeciwko Rosji. Z drugiej strony kanałami dyplomatycznymi zaczęły dochodzić do Londynu wiadomości o możliwości nowego porozumienia niemiecko-sowieckiego. Co więcej, przypuszczano, iż pod naciskiem Berlina Moskwa ustąpi i zgodzi się na bliższą ekonomiczną współpracę z Trzecią Rzeszą.

10 czerwca wywiad brytyjski doszedł do przekonania, że do połowy czerwca albo dojdzie do sowiecko-niemieckiego porozumienia albo do wojny. W tym samym dniu Eden wszystkie posiadane przez Anglików wiadomości dotyczące niemieckich przygotowań przeciwko Rosji przekazał ambasadorowi sowieckiemu, który ze swej strony zapewnił że Moskwa nie prowadziła żadnych rozmów politycznych z Berlinem i że powstanie sojuszu niemiecko-sowieckiego nie wchodzi w grę. Po 4 czerwca Anglicy, pod wrażeniem wiadomości otrzymanych via „Enigma”, byli przeświadczeni, że Hitler zdecydował się uderzyć na Rosję celem jej zniszczenia. Sądzono, że do ataku dojdzie po 15 czerwca. 13 czerwca Anglicy poinformowali Moskwę, że w każdej chwili

mogło dojść do niemieckiego uderzenia na ZSSR i wyrazili gotowość wysłania brytyjskiej misji wojskowej do Rosji.

14 czerwca *Intelligence Service* doszedł do wniosku, że Niemcy dotrą do Moskwy w 3 do 4 tygodni po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej, a w 6 tygodni pobiją ZSSR. Obawiano się, iż natychmiast po pobiciu Rosji dojdzie do niemieckiej inwazji na Anglię. 25 czerwca, w 3 dni po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, brytyjscy szefowie sztabu zarządzili w Anglii od 1 września alarm antyinwazyjny. Zarządzenie to odwołano dopiero 23 lipca, kiedy Anglicy uznali, że najprawdopodobniej do 1942 roku nie dojdzie do inwazji.

Autorzy dużo piszą o polsko-brytyjskiej współpracy wywiadowczej i polskim wkładzie do rozgryzienia tajemnic Enigmy.

Omawiana praca jest prawdziwą kopalnią wiedzy na temat dwu pierwszych lat wojny i zasługuje na uważne przeczytanie. Zapoznanie się z nią pozwoli nam lepiej zrozumieć jak kształtowały się polityka i strategia w latach 1939-1941.

Jan CIECHANOWSKI

Tadeusz HEINRICH

DRUGA WOJNA ŚWIATOWA I BLISKI WSCHÓD

Historia, a w szczególności historia stosunków międzynarodowych i wojen, pełna jest błędów i zaprzepaszczonych możliwości. Stąd pokusa zastanawiania się, co by było gdyby... Gdyby Ney nie wypuścił Blüchera spod Quatre Bras a Napoleon wygrał bitwę pod Waterloo, gdyby Anglicy utrzymali kolonie amerykańskie itd. Tego rodzaju spekulacje nie mają większej wartości. Historycy mają dość trudności z ustaleniem, co naprawdę się stało. Tym niemniej na rynku ukazuje się coraz więcej książek tego rodzaju, wywołując dużo zamieszania. Do nich należy 1943: *Zwycięstwo, którego nie było*¹. Książka zasługuje na wzmiankę, gdyż autor jest poważnym pisarzem. Wyjątki z jego

1. John Grigg, 1943, *the Victory that Never Was*, Eyre and Methuen, London, 1980, str. 252.

pracy zostały opublikowane w londyńskim *Times*ie, a polemiki i szereg recenzji znanych naukowców nadały jej więcej rozgłosu niż na to zasługuje, zwłaszcza w środowisku polskim, gdzie konkluzje autora traktowane są jako nowy dowód „zdrady” sprzymierzonych.

Teza autora jest prosta. W lecie 1943 roku Anglosasi mogli byli wylądować we Francji i zakończyć wojnę o rok wcześniej, w znacznie korzystniejszych warunkach. W tym czasie Rosjanie byli jeszcze na wschód od Charkowa i spotkanie wojsk sprzymierzonych nastąpiłoby prawdopodobnie w okolicach przedwojennej polskiej granicy wschodniej (choć nie wiadomo, jak autor to obliczył). Milionów Żydów nie wymordowano by w obozach koncentracyjnych, Europa Wschodnia nie dostałaby się pod panowanie sowieckie itd. Autor uważa, że tak zwany Wał Atlantycki (umocnienia na wybrzeżu Francji) był wówczas słabszy niż w roku 1944 i dowodzi, że wbrew temu co zawsze twierdził sztab angielski, ilość łodzi desantowych była wystarczająca, gdyż pierwszy rzut lądujący na Sycylii był o dwie dywizje większy od tego, który wylądował w Normandii w 1944 roku. Inaczej mówiąc Rząd Polski w Londynie wróciłby do Warszawy, nie byłoby zimnej wojny, itd.

Można na to odpowiedzieć, że lądowanie na Sycylii — gdzie było ok. 60.000 Niemców — a lądowanie we Francji, gdzie było ich paręset tysięcy, w tym szereg dywizji pancernych i SS, to dwie zupełnie różne rzeczy. Zaopatrzenie ogromnej anglo-amerykańskiej armii wymagało kolosalnego wysiłku organizacyjnego, nie należy też zapominać, że pod koniec 1944 roku tempo ofensywy w Europie Zachodniej osłabło, częściowo wskutek trudności z zaopatrzeniem, spowodowanych głównie tym, że nie zajęto na czas portu w Antwerpii. Prawdą jest, że w roku 1943 wojska niemieckie były bardzo związane w Rosji i że przerzucenie jednostek na front zachodni byłoby trudne. W roku 1944 niemieckie linie komunikacyjne były znacznie krótsze, ale nie mieli oni już żadnych rezerw i niczego nie mogli przerzucać. Z dyskusji nad książką Grigga wynika, że w lecie 1943 roku istniały jeszcze w Niemczech rezerwy strategiczne, w tym m.in. 5 dywizji pancernych i 4 dywizje SS, których w 1944 roku już nie było. Umocnienia na wybrzeżu atlantyckim były prawie takie same jak w roku 1943, gdyż ostatni rok Niemcy poświęcili głównie na budowę wyrzutni dla rakiet V1. Walka na wybrzeżu trwała tylko około jednego dnia, tak że w rezultacie fortyfikacje nie odegrały większej roli.

Myśląc politycznie trudno sobie dziś wyobrazić, że Stalin dobrowolnie zatrzymałby swą armię na przedwojennej granicy Polski i że Anglosasi przeciwstawiliby się zbrojnie postępom wojsk sowieckich w kierunku zachodnim. Anna Cienciągła słusznie przypominała w ostatnim numerze *Zeszytów Historycznych*,

że w 1943 roku Roosevelt pogodził się już z myślą oddania Europy Środkowo-wschodniej pod wpływy sowieckie.

Poświęciliśmy tej książce więcej miejsca głównie dla ostrzeżenia czytelników przed rosnącą falą tego rodzaju literatury, która robi dużo złego i przyczynia się do powstawania szeregu legend, które później bardzo trudno wykorzenić.



Jedną z takich legend jest sprawa opozycji przeciwko Hitlerowi w Niemczech i udziału w niej szefa wywiadu niemieckiego (*Abwehr*), admirała Canarisa. Dopiero biografia Heinza Höhne² kładzie kres zarówno opowieściom o wyjątkowych zdolnościach Canarisa jako szefa wywiadu III Rzeszy jak i o jego udziale w spiskach przeciwko Hitlerowi.

Zacznijmy od wywiadu. Pracująca pod kierownictwem Canarisa *Abwehra* nie wiedziała prawie nic (z nielicznymi wyjątkami, do których należały Norwegia i Polska). W Anglii wszyscy agenci niemieccy byli pod kontrolą angielskiego kontrwywiadu. Większość informacji o Francji okazała się fałszywa. Z archiwów niemieckich wynika, że armia więcej dowiedziała się o ruchach jednostek francuskich od patroli niż z raportów *Abwehry*. O Rosji wiedzieli bardzo mało. Gdy w związku z planowaniem ataku na Związek Sowiecki Naczelne Dowództwo *Wehrmachtu* domagało się od Canarisa informacji, w *Abwehrze* wyciągnięto zdobyte w Warszawie raporty polskiego II Oddziału i podano je jako własne. Raporty te okazały się zresztą przesadnie optymistyczne i przyczyniły się do wyrobienia sobie przez Niemców fałszywego poglądu na siłę armii sowieckiej. W każdym normalnym państwie szef wywiadu, który by wykazał podobny brak kompetencji zostałby usunięty ze stanowiska. Canaris utrzymał się głównie z dwóch powodów. Kierownictwo niemieckie żyło w atmosferze zakłamania, a Canaris wiedział, jakie raporty mogły zrobić Hitlerowi przyjemność. Równocześnie *Abwehra* wykazała dużą sprawność w organizowaniu wśród niemieckich mniejszości narodowych poza granicami Rzeszy tzw. 5-tej kolumny, sabotażów itp. To ona np. dostarczyła polskich mundurów i zorganizowała napad w Gliwicach, od którego zaczęła się druga wojna światowa. W końcu zarówno marynarka wojenna jak i armia popierały *Abwehrę*, nie chcąc dopuścić, aby wszystkie tajne służby dostały się pod kontrolę SS. Canaris jako osobisty przyjaciel Heydricha mógł być w tym pomocny. Tyle o Canarisie jako o „super szpiegu”.

Czy odegrał on jednak rolę polityczną jako jeden z głównych członków opozycji przeciw Hitlerowi, za co w końcu został w

2. Heinz Höhne, *Canaris*, Secker and Warburg, London, 1980, cena: £ 15.00.

1944 roku zgładzony przez SS? Prof. H. Trevor-Roper (obecnie lord Dacre), profesor historii na uniwersytecie w Oxfordzie, zakończył swą pogadankę na temat książki Höhne'a, wygłoszoną na falach BBC, stwierdzeniem, że Canaris był typowym przedstawicielem niemieckiej kasty burżuazyjno-wojskowej i że jego stosunek do ideologii narodowo-socjalistycznej wpływał, jak i u wielu innych, z interesów tej kasty. Canaris i inni, zajmujący kierownicze stanowiska w wojsku i przemyśle, znajdowali w narodowym socjalizmie szereg elementów bliskiego im systemu pruskiej autokracji i ideologii imperialnej. Jedynie współpraca z Hitlerem mogła im zapewnić udział we władzy i zabezpieczyć przed powrotem do zdyskredytowanych, w ich pojęciu, rządów republikańskich. Reformy społeczne narodowego socjalizmu i likwidacja bezrobocia były dalszym dowodem, że system ten jest najlepszym z możliwych. Mało kto zdawał sobie sprawę z ceny, jaką trzeba było płacić za utrzymanie reżymu.

Spiski istniały. Jednym z ich motorów był Hans Oter, kierownik jednego z oddziałów Abwehry, o czym Canaris doskonale wiedział. Wiedział o nich również gen. Halder, szef sztabu głównego armii. Nigdy jednak, zdaniem Höhne'a, nie przybrały one większych rozmiarów i nie zdołały znaleźć wybitnej jednostki, która mogłaby stanąć na ich czele i porwać za sobą masy wojska. Spiski zaczynały się przed każdą ofensywą i kończyły po zwycięstwie. Chodziło w nich o to, by nie dopuścić do przegrania wojny i załamania się systemu totalitarnego w Niemczech. Zdumiewający jest pesymizm panujący w armii niemieckiej. Przed każdą kampanią miano poważne wątpliwości co do szans jej wygrania. Gdy coraz więcej osób zaczęło sobie zdawać sprawę, że wojny w Rosji wygrać się nie uda, celem spisków stały się próby ustalenia, czy dałoby się zawrzeć pokój z Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi, aby móc wygrać wojnę na Wschodzie. Praca Höhne'a zawiera pewną ilość szczegółów o próbach nawiązywania kontaktu z rządem brytyjskim za pośrednictwem Watykanu.

Canaris ma na swoim koncie kilka „dobrych uczynków”. Kilku osobom — m.in. żonie płk. Szymańskiego — pomógł w opuszczeniu terytoriów zajętych przez Niemcy. Uratował ok. 500 Żydów holenderskich, wysyłając ich do Ameryki Południowej jako agentów Abwehry. W tym samym jednak czasie nie zrobił niczego, aby przeszkodzić oddziałom policji działającym pod kontrolą Abwehry w masowych łapankach Żydów i bolszewików i przekazywaniu ich oddziałom SS. Wielu Niemców pomagało poszczególnym jednostkom. Pamiętam kilka takich wypadków z okupowanej Francji. W ciągu wojny masowe morderstwa i zbrodnie hitlerowców przybrały takie rozmiary, że nawet w Niemczech musiano sobie z nich zdawać sprawę. Pomoc udzielona pojedynczym ludziom nie może usprawiedliwić udziału w działalności tego rodzaju reżymu. Dotyczy to przede wszystkim takich ludzi

jak admirał Canaris. Tym bardziej, że miał on możliwość poruszania się po całej Europie, łącznie z Hiszpanią i Portugalią, i nigdy mu nawet na myśl nie przyszło, że mógłby nie wrócić do Niemiec. Książka Höhne'a nie pozostawia co do tego żadnych wątpliwości.



Napreżona sytuacja i stała groźba wybuchu na Bliskim Wschodzie zachęciły historyków do studiów nad konfliktem pomiędzy Izraelem i państwami arabskimi³. Wśród szeregu książek które ukazały się na ten temat na uwagę zasługuje praca Edgara O'Ballance⁴. Można z niej wyciągnąć szereg wniosków, pozwalających lepiej zrozumieć obecną sytuację na Bliskim Wschodzie.

Zacznijmy od polityki międzynarodowej. Po zakończeniu wojny w Wietnamie Stany Zjednoczone i Rosja doszły do porozumienia i zgodziły się, że chwilowo przynajmniej nie można dopuścić do nowej wojny na Bliskim Wschodzie, co zresztą nie przeszkodziło im w dostarczaniu nowoczesnego sprzętu obydwu stronom. Rosja Sowiecka wysłała do Egiptu ok. 40.000 „specjalistów” nie tylko celem szkolenia armii egipskiej, ale także dla upewnienia się, że Egipt nie rozpocznie wojny bez jej pozwolenia. Rosjanie zatrzymali pod swą kontrolą części niezbędne do użycia zarówno rakiet SAM jak i elektronicznego sprzętu potrzebnego dla obrony przeciwlotniczej i byli zdecydowani nie dopuścić do wybuchu konfliktu.

Tymczasem w Egipcie nastąpiły głębokie przeobrażenia. Typ dawnego fellaha znikł prawie zupełnie, zastąpiony głównie przez młodzież miejską (Kair miał wówczas już ponad sześć milionów mieszkańców), przyzwyczajoną do nowoczesnej motoryzacji, radia itp. Zreorganizowano dowództwo i kadrę oficerską, a armia pozbyła się kompleksu niższości wobec Izraela.

Sadat miał początkowo nadzieję, że Stany Zjednoczone wywrą nacisk na Izrael i że uda im się uzyskać ustępstwa w drodze rokowań. Gdy jednak próby amerykańskiego sekretarza Stanu Rogersa nie odniosły skutku, zdecydował się na wywołanie konfliktu, aby uzyskać silniejszą pozycję dla rozpoczęcia rokowań. Dla uzyskania swobody działania musiał pozbyć się kontroli rosyjskiej i dlatego też nagle wyrzucił wszystkich sowieckich doradców i przejął kontrolę nad całym sprzętem, jaki znajdował się na terytorium Egiptu. Okazało się przy tym, że Egipcjanie potrafili znakomicie dać sobie radę z najbardziej skomplikowanym nowoczesnym sprzętem.

Sadat był przekonany, że ani Rosja ani Stany Zjednoczone nie dopuszczą do dłuższego konfliktu i że w krótkim czasie dopro-

3. Patrz *Zeszyty Historyczne* nr 51.

4. Edgar O'Ballance, *No Victor No Vanquished*, Barrie and Jenkins, London, 1980, str. 370.

wadzą do zawieszenia broni. Również Izrael nie wierzył w długą wojnę. Zaznaczyć trzeba, że Breżniew do końca (w najlepiej pojętym własnym interesie) starał się dotrzymać układu zawartego ze Stanami Zjednoczonymi. Gdy okazało się, że Sadat zdecydował się na wojnę, Breżniew zawiesił dostawy sprzętu wojennego do Egiptu.

Tak więc w październiku 1973 roku wybuchła wojna między Egiptem i Syrią z jednej a Izraelem z drugiej strony. Jak to często bywa, przybrała ona zupełnie inny obrót niż się ogólnie spodziewano. Nie wchodząc w szczegóły operacji wojennych warto streścić konkluzje autora.

Ku ogólnemu zdumieniu okazało się, że nawet w epoce stałego rozpoznania terenu przeciwnika przez satelitów (powiększenia fotografii pozwalają na wyraźne zlokalizowanie poszczególnych czołgów i dział) można zupełnie zaskoczyć przeciwnika. Wystarczy znaleźć wytłumaczenie dla ruchów wojsk, których nie można ukryć.

Zarówno Rosja jak i Stany Zjednoczone były zaskoczone ogromnymi stratami w sprzęcie i zużyciem amunicji. Straty obydwu stron przekroczyły w ciągu zaledwie 23 dni 2.500 czołgów i 600 samolotów. W tym zaś czasie — po zakończeniu wojny w Wietnamie — amerykańska produkcja czołgów wynosiła według oficjalnych danych ok. 360 czołgów rocznie, a główna fabryka samolotów Phantom, Mc Donnell, wypuszczała przeciętnie trzy maszyny miesięcznie. System tzw. bariery powietrznej (*Air Barrier*) okazał się bardzo skuteczny. Autor podaje, że jedno działo przeciwlotnicze produkcji sowieckiej zużywało ok. 4.000 pocisków na minut. Jeżeli weźmie się pod uwagę, że kilkaset takich dział strzelało równocześnie przez dłuższy czas, łatwo sobie wyobrazić, jakie proporcje osiągnęło zużycie amunicji. Okazało się również, że używany przez samoloty izraelskie amerykański system obrony elektronicznej przeciwko rakietom przeciwlotniczym był nieskuteczny wobec ракет SAM 6.

Łatwo więc zrozumieć, że w tych warunkach obie strony w krótkim czasie znalazły się w bardzo trudnej sytuacji. Nie mogąc dopuścić do przegranej wojny przez swych klientów, zarówno Rosja jak i Stany Zjednoczone musiały zorganizować masowe dostawy sprzętu (Kissinger miał powiedzieć Nixonowi, że Izrael może samodzielnie prowadzić wojnę najwyżej przez 9 dni). Zorganizowanie dostaw okazało się znacznie łatwiejsze dla Rosji niż dla Stanów Zjednoczonych. Sprzymierzeńcy Ameryki odmówili amerykańskim samolotom transportowym prawa lądowania na ich terytorium celem uzupełniania paliwa. W tym czasie Amerykanie mieli tylko 19 pilotów przeszkolonych w uzupełnianiu paliwa w powietrzu! Amerykanie przetrzucili do Egiptu większość sprzętu z rezerw NATO, nie zawiadamiając o tym państw, na których terytorium sprzęt ten się znajdował. Stało się to później źródłem szeregu konfliktów i przyczyniło się do zwiększenia

i tak już istniejących trudności w NATO. Istnieje szereg danych pozwalających na stwierdzenie, że Rosja zrobiła to samo i że posłała do państw arabskich sprzęt zdeponowany w krajach Paktu Warszawskiego. Warto przy tej okazji przypomnieć, że zarówno Turcja jak i Jugosławia udzieliły samolotom rosyjskim prawa przelotu, podczas gdy Rumunia się na to nie zgodziła.

Pod względem politycznym Sadat wojnę wygrał. Przekonał świat, że Arabowie są w stanie walczyć z Izraelem jak równy z równym i stworzył sytuację, w której mógł w drodze rokowań odzyskać część terytoriów straconych w roku 1967.

Zużycie ropy naftowej przeszło również wszelkie oczekiwania. Rezerwy Izraela były na wyczerpaniu (choć trudno uzyskać na ten temat dokładne informacje). Stwierdzono jednak, że główny rezerwuar i zasoby rurociągu z Ejlatu do Aszchad były całkowicie wyczerpane. Na konferencji państw OPEC w Kuwejcie postanowiono ograniczyć produkcję ropy naftowej o 25 % plus dalsze 5 %. Okazało się, że rezerwy finansowe państw arabskich pozwolą im na utrzymanie stopy życiowej na tym samym poziomie przez 3 lata bez jakichkolwiek dochodów ze sprzedaży ropy naftowej. Natomiast państwa NATO zdały sobie sprawę, że nie będą w stanie prowadzić tzw. konwencjonalnej wojny z Rosją w razie zaprzestania dostaw ropy przez państwa arabskie.

Wszystko wskazuje na to, że doświadczenia z wojny między Izraelem i państwami arabskimi miały duży wpływ na późniejszy rozwój wypadków, i stąd zrozumiałe jest zainteresowanie, jakie wzbudza ona w całym świecie.

Tadeusz HEINRICH

Tadeusz HEINRICH

JESZCZE O ENIGMIE

Omówienie książek jakie ukazały się na temat Enigmy w krajach Zachodniej Europy¹ wywołało duże zainteresowanie

1. Ostatnio w Polsce wyszło kilka prac na temat Enigmy. Najlepszą z nich ma być książka Kozaczuka *Bitwa o Tajemnice*. Żadnej z nich nie można dostać w księgarniach zachodniej Europy, a w Polsce są wyczerpane. Zrobiono również film i serię programów telewizyjnych, podobno słabych i nudnych. Sprawa Enigmy nie może być traktowana jako czysto polskie zagadnienie lecz jedynie jako część tzw. operacji „Ultra”. Tylko w tych warunkach można należycie ocenić polski wkład do całości zagadnienia. Zdaniem naszym nie można tego zrobić bez dostępu do źródeł nie tylko angielskich ale również i polskich, znajdujących się w zachodniej Europie.

wśród Polaków i w związku z tym otrzymaliśmy szereg uwag, zapytań i sprostowań. Zważywszy że część z nich pochodzi od niestety nielicznych już osób, które były bezpośrednio z zagadnieniem związane, warto je zebrać, i podać do wiadomości zainteresowanych tą sprawą czytelników.

Zacznijmy od pracy nad złamaniem szyfru Enigmy w Polsce. Praca była żmudna i długa. Trwała od roku 1929 do wybuchu wojny we wrześniu 1939 roku. W ciągu tego czasu regularnie czytano szyfr Enigmy w ciągu tylko niecałego roku — w 1938. Rewelacji żadnych Polacy z tego źródła nie uzyskali. Nie trzeba zapominać, że w czasie pokoju Niemcy używali prawie wyłącznie telefonu i poczty. Obrót radiowy był przede wszystkim obrotem ćwiczebnym, a zadaniem specjalistów było stworzenie warunków w których, na wypadek wojny, depesze dotyczące operacji mogłyby być czytane. Wprowadzenie dodatkowych wałków z końcem 1938 roku pozbawiło Polskę możliwości czytania obrotu radiowego armii niemieckiej w 1939 roku. Jedyną praktyczną korzyść jaką Polacy odnieśli było odczytanie depeszy Gestapo do Abwehry w sprawie Gerona von Gersdofa (1938/39 r.) który był aresztowany w Bydgoszczy. Depesza była dowodem, że był on agentem Gestapo i Abwehry. Niestety niemożność ujawnienia źródła uratowała Niemca, który po zajęciu Polski został bohaterem narodowym. Omawiając pracę nad Enigmą w Polsce należy podkreślić dalekowzroczność i wydajność pracy II-go Oddziału Sztabu Naczelnego Wodza, który zrozumiał ważność zagadnienia, nigdy nie przestał udzielać poparcia specjalistom i inżynierom z firmy AVA. Pod nazwą „Wicher” stworzył on organizację, która była jedyną w tym rodzaju istniejącą na Zachodzie i przewyższała niewspółmiernie BRUNO, CADIX i wszystko co Francuzi zdołali w tej dziedzinie stworzyć przed i podczas wojny. Później, przez powzięcie słusznej decyzji w lipcu 1939 roku, i po przekazaniu sprzymierzonym zupełnie za darmo wyników szeregu lat pracy i jedynej w tej dziedzinie na świecie wiedzy, Sztab Polski umożliwił uzyskanie przez Bletchley Park niezbędnych informacji o nieprzyjacielu w czasie kiedy były one najbardziej potrzebne.

Następnym zagadnieniem jest współpraca z II-gim Oddziałem francuskim i jego pomoc w złamaniu szyfru Enigmy przez przekazanie materiałów dostarczonych przez agenta Asche. Głównym opublikowanym źródłem na ten temat jest książka gen. Bertranda, która — jak już poprzednio pisaliśmy — wywołała dużo zamieszania. Według informacji otrzymanych z najbardziej wiarogodnego źródła Bertrand miał 19 spotkań z Aschem i uzyskał od niego przeszło 300 dokumentów. Polakom przekazał tylko materiał uzyskany podczas pierwszego spotkania a informacje uzyskane w następnych 18-tu zachował dla siebie. Sprawa Asche nie jest jeszcze wyjaśniona i istnieją przypuszczenia że mógł on być podstawiony przez Niemców, którym nawet przez myśl

nie przeszło że polscy specjaliści mogli być aż tak daleko zaawansowani i przypuszczali że mogą bezpiecznie przekazać nieaktualny już materiał. W 1934 roku Asche został przeniesiony z biura szyfrów na inne stanowisko.

W sprawie pracy polskich specjalistów we Francji miarodajne są: raport płk. Langer'a i opracowanie płk. Mayer'a. Chciałbym zwrócić uwagę na kilka następujących punktów w raporcie płk. Langer'a. W grudniu 1939 roku płk Langer był w Londynie gdzie Anglicy zaproponowali polskim specjalistom współpracę i zaprosili ich jako równorzędnego partnera do współpracy w Bletchley Park. Płk Langer odmówił stojąc na stanowisku, że polscy specjaliści powinni być tam gdzie jest Polski Rząd i Armia. Później Anglicy zaproponowali Francuzom stworzenie wspólnego ośrodka Angielsko-Francusko-Polskiego czemu sprzeciwił się Bertrand, starając się najwidoczniej zachować polsko-francuską współpracę pod swoją osobistą kontrolą. Dalej Langer skarży się na brak warunków do pracy i szereg zaprzeczonych wskutek tego możliwości.

W Bruno Polacy rozszyfrowali ponad 5.000 depe sz, głównie obrotu radiowego Luftwaffe. Pozwoliły one na uzyskanie informacji na temat niemieckiego Ordre de Bataille w Norwegii a później kilka szczegółów dotyczących nalotów m.in. na Paryż. Informacje nie były wyzyskane gdyż lotnictwo francuskie twierdziło, że nie ma środków, żeby przeciwstawić się atakom niemieckim. Informacje udzielone przez Bruno podczas kampanii we Francji były bez większego znaczenia. Z raportu płk. Langer'a wynika, że większość depe sz niemieckich w okresie po 20 maja 1940 roku była rozszyfrowana w ciągu tego samego dnia, przy pomocy kluczy przekazanych Polakom przez Anglików.

Następnie raz jeszcze chciałbym zwrócić uwagę na uczciwość z jaką historiografia angielska uznaje zasługi i pomoc polskich specjalistów w pracy nad złamaniem niemieckich szyfrów. Ostatnim tego dowodem jest książka Peter Calvocoressi². Calvocoressi był szefem tzw. Hut 3, centrum służby informacyjnej R.A.F. I tak na str. 31 twierdzi on, że Polski Sztab był jedyną organizacją na świecie która czytała szyfr Enigmy w latach 1932-1939. Na str. 5 — że tzw. „Bomba” angielska, wprawdzie znacznie ulepszona, zawdzięcza swe powstanie polskim prekursorom i ofiarowaniu przez Polaków Anglikom jednego egzemplarza w lipcu 1939 roku. Prawdopodobnie z czasem Anglicy sami złamaliby szyfr Enigmy, tylko chodzi o to kiedy. Wiele lat polskich wysiłków umożliwiło uzyskanie informacji o nieprzyjacielu wtedy, kiedy były one niezbędne.

„Ultra” miała decydujący wpływ na wygranie bitwy o Atlantyk, co pozwoliło na przyspieszenie operacji Overlord (lądowa-

2. Peter Calvocoressi, *Top Secret Ultra*, Cassell. London, 1980, str. 132, cena £ 4.95.

nie we Francji w 1944 roku). Z kolei Overlord został przyspieszony dzięki „Ultra”. Można się zastanawiać jak daleko zaszczyłyby wojska sowieckie gdyby Anglicy nie złamali na czas Enigmy, i nie stworzyli organizacji, pozwalającej na wykorzystanie uzyskanych tą drogą informacji. Spotkanie wojsk anglosaskich i rosyjskich mogłoby nastąpić np. na Renie³. To że tak się nie stało jest również zasługą Sztabu Naczelnego Wodza i polskich specjalistów.

Na zakończenie raz jeszcze chcę podkreślić, że choć dużo, i słusznie mówi się o wyczynie zachowania tajemnicy przez ok. 10.000 Anglosasów, którzy współpracowali lub korzystali z „Ultry”, często zapomina się o 5 Polakach, członkach ekipy (która umożliwiła powstanie „Ultry”), którzy dostali się w ręce niemieckie, m.in. Langer, Ciężki i Palluth, i zginęli, niektórzy w tragicznych okolicznościach; żaden z nich nie wydał powierzonej im tajemnicy.

Tadeusz HEINRICH

P.S. Do mojego artykułu, zamieszczonego w nr. 53 *Zeszytów Historycznych* zakradł się lapsus. Depeszę Zimmermana nie Amerykanie rozszyfrowali. Zrobili to Anglicy w tzw. *Room 40* w Admiralty.

T. H.

3. *Op. cit.*, str. 95.

Kazimierz SMOGORZEWSKI

XV ZJAZD HISTORYKÓW W BUKARESZCIE

W dwa z górą millenia po Tukidydesie i Herodocie — ojcach dziejopisarstwa naszego kręgu kulturalnego — po Tacycie i Liwiuszu i innych rzymskich uczniach greckich mistrzów dwaj francuscy podopieczni Clio — Ernest Lavisse i Alfred Rambaud — doszli do wniosku, że choć państwa świata w ogóle, a Europy w szczególności dzielą interesy gospodarcze oraz ambicje nacjonalistyczne, to jednak historycy poszczególnych narodów — a przede wszystkim ci co pragną pisać dzieje tak jak naprawdę się toczyły — powinni się regularnie spotykać i dyskutować z pożytkiem dla nich samych i dla ich wiedzy. Taka była geneza pierwszego międzynarodowego zjazdu historyków jaki się zebrał w Paryżu w 1900 roku. Trzy dalsze zjazdy odbyły się w Rzymie (1903), w Berlinie (1908) i w Londynie (1913).

Między pierwszą a drugą wojną światową cztery dalsze zjazdy zebrały się w Brukseli (1923, ale bez Niemców, Austriaków i Bułgarów), w Oslo (1928), w Warszawie (1933) i w Zurychu (1938). Choć na tym ostatnim zjeździe po raz pierwszy był reprezentowany Watykan, atmosfera była lodowata. Austriacy należeli do nazistowskiej delegacji „wielkoniemieckiej”, a delegacja włoska składała się wyłącznie z faszystów i faszyzujących „realistów”. Poza tym nie było w Zurychu Japończyków, a Związek Sowiecki nadal bojkotował „burżuazyjną” naukę historyczną.

Dopiero po dwunastu latach zebrał się w roku 1950 w Paryżu IX zjazd z udziałem 1.400 delegatów z 32 państw, na który historycy zachodnioniemieccy byli dopuszczeni tylko w charakterze

obserwatorów. Nie było natomiast w Paryżu delegatów z wchłoniętych przez ZSSR państw bałtyckich, ani żadnego państwa z „obozu socjalistycznego”. Od tego czasu zjazdy historyków odbywają się co pięć lat, a mianowicie: w Rzymie (1955, po raz pierwszy z udziałem historyków Związku Sowieckiego oraz ludowych demokracji obdarowanych ustrojami leninowskimi), w Sztokholmie (1960), w Wiedniu (1965), w Moskwie (1970) i w San Francisco (1975). Stale wzrastała liczba uczestniczących historyków, a w Bukareszcie było ich 2.691 z 66 państw z pięciu kontynentów. Rumuński Komitet Organizacyjny, któremu przewodniczył profesor Mihnea Gheorghiu, prezes Rumuńskiej Akademii Nauk Społecznych i Politycznych, dobrze się wywiązał z trudnego zadania.

Ceremonia otwarcia zjazdu odbyła się 10 sierpnia w wielkiej sali Pałacu Republiki, dobudowanego do dawnego Pałacu Królewskiego, który obecnie mieści Radę Państwa oraz Biuro Polityczne Rumuńskiej Partii Komunistycznej. Do roku 1940 przed pałacem stał pomnik trzech rumuńskich królów z dynastii Hohenzollern-Sigmaringen (Karola I, Ferdynanda I i Karola II), ale oczywiście nie ma po nim ani śladu.

Po krótkim przemówieniu powitalnym profesora Gheorghiu, wypowiedzianym świetną francuszczyzną, jeden z członków rządu odczytał po rumuńsku orędzie prezydenta republiki i generalnego sekretarza RPK Nicolae Ceausescu do „światowego forum historyków”. Rumuński przywódca przyznał, że w pierwszej połowie br. „naprężenie w stosunkach międzynarodowych było szczególnie wysokie”, ale obecnie — jako skutek „mocnego stanowiska światowej opinii publicznej przeciwnej polityce przemocy” — napięcie zmalało „choć (dodał Ceausescu) problemy powodujące napięcie nadal istnieją”. Za tę aluzję do okupacji Afganistanu kilkutysięczna publiczność (delegaci na parterze a zaproszeni goście rumuńscy na balkonach) podziękowała prezydentowi rzęsyistymi oklaskami.

Dr Karl Dietrich Erdmann, profesor historii na Uniwersytecie w Kilonii, który od 1975 roku był przewodniczącym Międzynarodowego Komitetu Nauk Historycznych, wygłosił odczyt pt. „Ekumeniczna wspólnota historyków”. Stwierdził na wstępie, że „polityka i historia są z sobą ściśle związane”, ale przypomniał słuchaczom, jak często „państwa i narody ulegały pokusie nadużywania historii dla swych celów politycznych”. Choć w przeszłości „międzynarodowa współpraca historyków była narażana na ciężkie próby”, dr Erdmann dał wyraz nadziei, że „poza politycznymi oraz ideologicznymi przeciwieństwami, a nawet gorzkimi sporami w niektórych dziedzinach istnieje nadal podstawowa zgodność wiodąca do właściwej uczonym wymiany wiadomości”.



Przez sześć dni, rano i po południu, w czterech salach, w pięciu językach (z jednoczesnym tłumaczeniem) zjazd omawiał „wielkie tematy”, wybrane przez Międzynarodowy Komitet Nauk Historycznych. Każdą dyskusję otwierał główny referent, któremu towarzyszyło dwóch lub więcej koreferentów. W teorii wszystkie referaty powinny być wydrukowane i rozesłane uczestnikom zjazdu co najmniej na kilka tygodni przed jego otwarciem. Niestety cztery obszerne tomy z referatami były wręczone delegatom dopiero w dniu ich przyjazdu do Bukaresztu. Poza tym niektórzy koreferenci nadesłali swoje teksty tak późno, że nie zdążono ich na czas wydrukować*.

Pierwszym „wielkim tematem” była „Europa wschodnia: obszar zbieżnych cywilizacji”. Głównymi referentami byli dwaj profesorowie Uniwersytetu Bukareszteńskiego, Emil Condurachi i Razvan Theodorescu. Ich opracowanie (80 stron w pierwszym tomie *Rapports*), poświęcone obszarowi dolnego Dunaju i Półwyspu Bałkańskiego, tylko mimochodem wspomina o roli Kościoła rzymsko-katolickiego i całkowicie pomija okres Reformacji. Wasilka Tapkowa-Zaimowa i Simeon Damianow opracowali temat starej Bułgarii, a Fin Heikki Kirkinen napisał przyczynek na temat „Północna Rosja, kraje bałtyckie i Karelia”, uzupełniony z dużym nawróceniem przedmiotu przez Edwarda Thadena, niemieckiego Bałta a obecnie obywatela Stanów Zjednoczonych. Zinaida W. Udalcowa i jej trzech współpracownicy napisali rozprawkę na temat „Dawnej Rosji”, kładąc nacisk na dzieje Rusi Kijowskiej, nic nie mówiąc o roli skandynawskich „Wariagów”, a dużo o wpływach bizantyńskich, nie zapominając jednak o „nieudanych próbach nawrócenia Rosji na katolicyzm”. Koreferaty grecki (Leandros Vranoussis) i polski (Janusza Tazbira), nadesłane zbyt późno, do *Rapports* nie weszły. W dyskusji wzięli udział Włoch (Franco Venturi) i Węgier (Emil Niederhauser), ale świecili nieobecnością Niemcy, Jugosłowianie i Czesi.

Tytuł drugiego „wielkiego tematu” brzmiał „Formy i problemy pokoju w dziejach”. Dwaj Hiszpanie (Luis Diez del Corral i Antonio Truvelo Serra) mówili o przyczynach rozpadu imperium hiszpańskiego; Niemiec z RFN, Karl Otmar von Aretin, scharakteryzował przyczyny i skutki wojen religijnych w Europie, a Francuz Jean-Claude Allain streścił stosunki francusko-niemieckie w latach 1871-1914. Pragnąc izolować Francję — wy-

* Polscy uczestnicy zjazdu przywieźli do Bukaresztu dwa cenne wydawnictwa, które rozdawali obcym delegatom: 1. *La Pologne au XV^e Congrès International des Sciences Historiques*, Ossolineum, 1980, stron 313. Książka zawiera 15 esejów historycznych pióra polskich autorów. Zebrał Stanisław Bylina. 2. Specjalny zeszyt *Czasopisma Prawno-Historycznego*, t. XXXII, Zeszyt 1, Poznań, 1980, str. 391. Jest to zbiór 14 prac autorów różnych narodowości na temat „Państwo federalne i zasady federalizmu”. Bibliografię tematu (247 pozycji) opracowała Krystyna Sikorska-Dzięgielewska. Znak czasu: bibliografia wymienienia dziewięć prac Oskara Haleckiego.

wodził mówca — Bismarck sformował *Dreibund*, na co dyplomacja francuska odpowiedziała sojuszem z Rosją, a Delcassé nie tylko ten sojusz wzmocnił, ale doprowadził do *Entente cordiale*. Druga Rzesza uznała ten stan rzeczy za osaczenie i spowodowała wielką wojnę.

Niemiec z RFN Heinz Duchhardt omówił bezstronnie Traktat Wersalski, twierdząc, że był on pierwszą w dziejach próbą zastąpienia siły przez prawo. „Traktat Wersalski — mówił — zawiódł nie dlatego, że zawierał surowe postanowienia, ale dlatego, że nie było zgody między głównymi stronami w sprawie obrony tych postanowień”. Natomiast Niemiec z NRD Fritz Klein przemawiał na ten temat językiem Lenina. Jego zdaniem wersalski *Diktat* był „imperialistyczną” odpowiedzią na „zwycięską rewolucję w Rosji”, a traktaty pokojowe z lat 1919-20 były tylko „zawieszeniem broni wiodącym do nowej wojny”. Austriak Fritz Fellner zgodził się ze swym zachodnioniemieckim kolegą konkludując, że Traktat Wersalski był *ein erster Versuch, Machtpolitik statt mit brutaler Gewalt mit dem Instrumentarium des Rechts auszuführen*. Sowiecki historyk ormiańskiego pochodzenia, Aleksandr Czubarian, poczęstował zjazd taką próbką z serii *agit-propu*: „Odrzucając pacyfistyczne slogany, Lenin związał problem sprawiedliwego i demokratycznego pokoju z triumfem socjalizmu i komunizmu”. Nie wzięli udziału w tej ważnej debacie polscy historycy (a zjechało ich z kraju do Bukaresztu aż 77). Szkoda, bowiem Traktat Wersalski, scharakteryzowany przez Dmowskiego jako „drugi traktat toruński”, jest przecież metryką odrodzenia Polski jako państwa niepodległego.

Trzecim „wielkim tematem” zjazdu było zagadnienie „państw federalnych i pluralistycznych”. Dobrą i wyczerpującą rozprawę na ten temat napisali profesorowie Uniwersytetu Warszawskiego Juliusz Bardach i Hubert Izdebski. Na 43 stronach scharakteryzowali sens federacji, przypomnieli, jak powstawały państwa federalne i jak się rozpadały (od *Imperium Romanum* do *Heiliges Römisches Reich Deutscher Nation*), po czym opisali istniejące państwa związkowe — od Konfederacji Helweckiej poprzez Stany Zjednoczone Ameryki Północnej do Związku Socjalistycznych Sowieckich Republik. Autorzy nie zapomnieli rzecz jasna podkreślić, że Unia Polsko-Litewska powstała w końcu XIV stulecia i przetrwała aż do rozbiorów Rzeczypospolitej.

Opisując powstanie Związku Sowieckiego dwaj referenci trzymali się sowieckich tekstów prawnych, bez cisnących się pod pióro ironicznych uwag, ale ta poprawność nie uchroniła ich od krytyki ze strony koreferenta sowieckiego, profesora Uniwersytetu Moskiewskiego Jurija A. Poljakowa. Jego zdaniem Związek Sowiecki jest „dobrowolnym stowarzyszeniem suwerennych republik radzieckich z prawem secesji”. Profesor Poljakow poszedł dalej, oświadczając nieostroźnie, że „w wyniku zwycięskich narodowych rewolucji w lipcu 1940 roku władza sowiecka została

odbudowana nie tylko na Łotwie, Litwie i Estonii, ale także w Besarabii, gdzie powstała Mołdawska Socjalistyczna Sowiecka Republika". To sformułowanie, tak diametralnie sprzeczne z prawdą historyczną, zostało spotęgowane przez prymitywne oświadczenie Władimira Caranowa, członka Instytutu Historii Mołdawskiej Akademii Nauk, że „od czasu inkorporacji Mołdawii w ramy ZSRR jej ludność jest o wiele szczęśliwsza niż była przed rokiem 1940”.

Debata toczyła się w Ateneum Rumuńskim, siedzibie Akademii Rumuńskiej, w wielkim kolistym audytorium udekorowanym freskami ilustrującymi etapy dziejów Rumunii. Przysłuchująca się debacie publiczność, licząca około dwóch tysięcy delegatów i gości rumuńskich, przyjęła przemówienie Poljakowa głuchym milczeniem. Ale po „kropce nad i” Caranowa podniosły się sztycherne pomruki i syki protestu. Sowiecki reżyser wystął wówczas na trybunę Kirgiza Kurmana Karakiejewa, Ormianina Ge-worka Garibdzjaniana, Dagestańczyka Bodrutmana Kaskajewa i Azerbejdżanina Alisoibata Sumbat-Zadeh, którzy po kolei zapewniali nas, jak świetnie im się w związkowych republikach powodzi.

Kres temu samochwalstwu położył Dr Bohdan Osadczyk-Korab, Ukrainiec z Polski rodem, obecnie obywatel Republiki Federalnej Niemiec i profesor Wolnego Uniwersytetu w Zachodnim Berlinie. W krótkim przemówieniu utrzymanym w tonie ironicznym nie tylko wykpił peany sowieckich przedmówców ale przypomniał, że Stalin „wyzwalał” państwa bałtyckie i Besarabię w dziesięć miesięcy po tajnym układzie Ribbentropa z Mołotowem. Dodał także, że plebiscyty przeprowadzone w napadniętych krajach były cyniczną maskaradą. A o stopniu poszanowania przez Kreml praw tubylczej ludności autonomicznych republik — ciągnął mówca — najdobitniej świadczy brutalna likwidacja dwóch republik (Nadwołżańskich Niemców i Krymskich Tatarów) oraz trzech okręgów narodowych na Kaukazie. Autochtoniczna ludność tych krajów została wypędzona za Ural, przeważnie do pustynnego Kazachstanu.

Za te przypomnienia Osadczyk został nagrodzony burzą oklasków. Aby pomniejszyć skutki jego interwencji zjawił się na trybunie sam wyżej wspomniany reżyser Michaił I. Kuliczenko, szef jednego z departamentów Instytutu Marksizmu-Leninizmu przy Centralnym Komitecie Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego. Przemawiając z wielkim podnieceniem dziwił się, że audytorium mogło oklaskiwać insynuacje człowieka o „podejrzanej przeszłości”, którego nazwiska nie chciał wymienić. Oburzał się na aluzje do paktu Ribbentrop-Mołotow i zawołał, że tylko *obozlenije* mogło podyktować tak nienawistną interwencję w „kulturalnej naukowej debacie”. Oklaskiwała go tylko jego własna „komanda” (na zjazd bukareszteński Kreml wystął ponad

setkę delegatów). Gdy po zejściu z trybuny Kuliczenko mijał Osadczuka i autora tych notatek (siedzieliśmy razem w pierwszym rzędzie), Osadczuk rzucił pod adresem swego krytyka:

— *Obozlenije eto Wy!*

Na co Kuliczenko:

— *Uzasno czto Was tam ne dobili...*

Ani Osadczuk, ani ja nie mogliśmy zrozumieć sensu tych słów. Ale intencja była przejrzysta.

Należy tu dodać, że profesor Poljakow zareagował na interwencję Osadczuka kulturalnie. Powróciwszy na trybunę przyznał, że to co Osadczuk powiedział o likwidacji dwóch republik i trzech okręgów autonomicznych jest zgodne z prawdą. „Te likwidacje — dodał — były *oszibką* Stalina”.

„Propaganda podczas drugiej wojny światowej” to czwarty „wielki temat” zjazdu bukareszteńskiego. Inicjatorami tematu byli profesor Ion Popescu-Puturi, członek rumuńskiej Rady Państwa i dyrektor Instytutu Studiów Historycznych i Społeczno-Politycznych przy Komitecie Centralnym Rumuńskiej Partii Komunistycznej, oraz profesor Henri Michel, przewodniczący *Comité International d'Histoire de la Deuxième Guerre Mondiale*. Wydano pod tytułem *La propagande pendant la Deuxième Guerre Mondiale* tom (480 stron) zawierający 20 referatów różnych rozmiarów, ale niektóre z nich świadomie przemilczały zagraniczną propagandę ich krajów. Podczas gdy z referatów profesora L. G. Balfoura i Elisabeth Barker dużo dowiedzieliśmy się o propagandzie wojennej Wielkiej Brytanii, to dwie skąpe noty profesora Aleksieja Babina oraz docenta Nikołaja Kozłowa były poświęcone wyłącznie propagandzie wewnętrznej w duchu *patriotyzmu i proletarskiego internacjonalizmu w gody Wielkiej Ocieczestwiennoej Wojny*. Sowieccy referenci nie mieli nic do powiedzenia na temat działalności i zadań takich sowieckich radiostacji jak „Freies Deutschland”, „Tadeusz Kościuszko”, „Romania Libera”, „Hristo Botew”, „Lajos Kossuth” i „Slobodna Jugoslawija”.

Francja czasu wojny znalazła się tak szybko pod hitlerowską okupacją, że nie była w stanie uprawiać żadnej propagandy, a stała się jej celem z dwóch stron, choć nie jednocześnie. Jean-Louis Crémieux-Brilhac przygotował wyczerpujący referat pt. *La propagande radiophonique allemande vers la France 1939-40*, a Charles-Louis Foulon opracował temat *La propagande radiodiffusée de la France Libre (1940-44)*. Ta druga była w pewnym sensie dwutorowa: z jednej strony uprawiała ją sekcja francuska BBC pod kierownictwem Michela Saint-Denis, a z drugiej przemawiał na tych samych falach Charles de Gaulle, wódz „Francji walczącej”. Naturalnie oba „tory” były ściśle kontrolowane przez P.I.D. (Political Intelligence Department of the Foreign Office). Podobna była organizacja propagandy kierowanej z Londynu na okupowaną Polskę, ale tego tematu nikt nie opracował. Jedynym *polonicum* w tej dziedzinie był dobry referat pani Sta-

niślawy Lewandowskiej, poświęcony „Propagandzie przeciw narodowemu socjalizmowi w okupowanej Polsce 1939-45” — propagandzie organizowanej przez władze Polski Podziemnej. Debaty na temat propagandy toczyły się przez dwa dni w małej sali Pałacu Republiki. Zagaił je profesor Popescu-Puturi, podkreślając, że „propaganda jest jednym z dominującym fenomenów XX wieku”.



Drugim wielkim działem prac kongresowych była chronologia. Tom temu działowi poświęcony (*Rapports II, Chronologie*, str. 806) zawiera 69 referatów względnie ich skrótów. Wśród nich notują następujące polskie prace: Józef Wolski: *Caucase et Mer Noire entre Rome et les Parthes*; Marian Biskup: *Johannes Dugosz*; Stefan Kieniewicz: *1830, Révolution et réformes en Europe*; Władysław Lech Karwacki: *Le sport — phénomène social et culturel*. Ponieważ dwa razy dziennie chodziłem na dyskusje dotyczące „wielkich tematów”, było fizyczną niemożliwością brać udział w debatach metodologicznych, które toczyły się w mniejszych salach Uniwersytetu Bukareszteńskiego. Udało mi się jednak być obecnym na debacie o „Miejscu i roli nauczania historii w szkołach średnich”. Głównym referentem był Władimir Terentjewicz Paszuto, profesor Uniwersytetu Moskiewskiego, który bronił tezy, że obowiązkiem historyków jest gloryfikacja dziejów ich narodu i państwa. Z tym poglądem polemizowali profesorowie Léopold Génicot (Belgia), Christian Laville (Kanada), Luis Acosta Rodriguez (Wenezuela) i Giorgio Spini (Włochy).

Nie mogłem także być obecnym na zebraniach w małym gronie około dwudziestu komisji specjalistycznych: Tom tym komisjom poświęcony (*Rapports III, Organismes internationaux affiliés et Commissions internes*, stron 407) zawiera 16 referatów. W Międzynarodowej Komisji Historii Kościołów widnieje referat Jerzego Kłoczowskiego, profesora Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, pt. *L'Europe de l'Est — carrefour des civilisations religieuses*.



Dnia 17 sierpnia w wielkiej sali Pałacu Republiki odbyło się uroczyste zamknięcie kongresu. Ogłoszono skład nowego Międzynarodowego Komitetu Nauk Historycznych, na którego czele stanął Aleksander Gięysztor, profesor Uniwersytetu Warszawskiego; wiceprzewodniczącymi są profesorowie Gordon A. Craig (Stany Zjednoczone) i Domenico de Marco (Włochy); sekretarzem generalnym jest pani Hélène Ahrweiler (Francja). Szesnasty zjazd odbędzie się w Niemczech Zachodnich, prawdopodobnie w Hamburgu. Zamykając XV Kongres prof. Gięysztor odczytał posta-

nie do historyków świata**, w którym powiedział: „Mocno wierzymy, że czyniąc z nauki historii środek porozumienia między ludźmi w klimacie wzajemnego dowierzania i poważania, spełniamy nasz obowiązek zawodowy i moralny w tej godzinie wielkiej odpowiedzialności za los ludzkości”.

Kazimierz SMOGORZEWSKI

Na cmentarzu w Bukareszcie został pochowany minister Józef Beck. Jego grób jest zupełnie zaniedbany. Józef Beck — jakby nie oceniać jego działalności należy do historii Polski. Szkoda że historycy polscy nie znaleźli czasu by grób ten odwiedzić i że nie było z ich strony żadnych zabiegów — przez ileż lat — by uporządkować mogiłę i doprowadzić co najmniej do przyzwoitego stanu. Jest to brak szacunku do własnej historii. Miejmy nadzieję, że zajmie się tym TKN.

W czasie Zjazdu jedynie pp. Kazimierz Smogorzewski i Bohdan Osadczyk złożyli na grobie wiązanek kwiatów. *Redakcja.*

** Jedenastu historyków z krajów Zachodu biorących udział w zjeździe bukareszteńskim, z Norwegiem Thorolfem Rafto na czele, planowało zwołać konferencję prasową w celu rozdania książki Vilema Prečana pt. *Acta Creationis — Independent Historiography in Czechoslovakia 1969-1980*. Organizatorzy musieli jednak konferencję odwołać, ponieważ władze rumuńskie skonfiskowały paczki z książką, nadesłane z Wiednia do Bukaresztu. Inaczej było w 1975 w San Francisco, gdzie swobodnie rozdawano broszurę Prečana pt. *Acta Persecutionis — A Document from Czechoslovakia...* Prečan, historyk ruchów oporu czasu drugiej wojny światowej, mieszka obecnie w Hanowerze, w Niemczech Zachodnich. — K. S.

UCRAINICA

Benedykt HEYDENKORN

KILKA UWAG DO „ROZRACHUNKÓW POLSKO-UKRAIŃSKICH”

Władysław Żeleński zmierza do pełnego naświetlenia pewnych spraw związanych z zabójstwem min. Bronisława Pierackiego przez Grzegorza Maciejkę, bojowca OUN. Zadanie to ogromnie trudne, gdyż dokumentacja jest nie tylko ograniczona, ale i często wysoce wątpliwa. Żeleński sięgnął głębiej i rozszerzył znacznie właściwy temat. Wydaje się, że była to konieczność, bowiem tylko tą drogą mógł osiągnąć swój cel: przedstawienie tła i genezy zamachu. Wnikliwe opracowanie „Zabójstwo Ministra Pierackiego”, zamieszczone w *Zeszytach Historycznych* (nr 25 z 1973 r.), uzupełnił obszernym, liczącym 58 stron artykułem (*Zeszyty Historyczne* nr 46 z 1978 r.), w którym prostuje niektóre dane i polemizuje z krytykami. Żeleński kilkakrotnie wspomina o zamachu na Tadeusza Hołówkę w Truskawcu, w sierpniu 1931 roku, zaznaczając iż wszyscy uczestnicy zostali osądzeni z wyjątkiem jednego, który zdołał uciec za granicę. Podaje, że zgodnie z aktem oskarżenia, wykonawcami zamachu byli Wasyl Biłas i Dmytro Danyłyszyn, działający z ramienia OUN.

Obaj wyżej wymienieni zostali skazani na karę śmierci za udział w napadzie na Urząd Pocztowy w Gródku Jagiellońskim i powieszeni w grudniu 1932 roku. Rozprawa toczyła się we Lwowie przed Sądem doraźnym od 17 grudnia. Prokurator Henryk Mostowski dowodził, że Biłas i Danyłyszyn, przestuchiwani w śledztwie, przyznali się do zabójstwa Tadeusza Hołówki. Na rozprawie Biłas wyjaśnił, że powiedział to rozmyślnie, aby prze-

ciągnąć dochodzenie w nadziei, że w ten sposób uniknie sądenia w trybie doraźnym. Wysiłki prok. Mostowskiego, który zmierzał do ustalenia odpowiedzialności Biłasa za zabójstwo Hołówki, udaremnił jego obrońca, adw. Starosolski, podnosząc, że sprawa toczy się nie o zamordowanie Hołówki, a o napad na Urząd Pocztowy i że należy uchylić wszelkie pytanie w tej mierze, względnie odroczyć rozprawę do czasu uzyskania materiałów do oskarżenia Biłasa o to zabójstwo, co oczywiście oznaczałoby rozpatrywanie tej sprawy w trybie zwykłym.

Kim był zamachowiec, który znikł? Znamienne jest, że źródła ukraińskie, zarówno szczupła dokumentacja, jak i ustne relacje byłych członków OUN wyższego szczebla, są w tej mierze więcej niż powściągliwe. Najwyżej stojący w hierarchii tej grupy uchylił się od potwierdzenia odpowiedzialności OUN za zabójstwo Hołówki. Czy zatem zamach ten został dokonany przez członka innej organizacji? Spróbujmy to wyjaśnić.

Dowódcą czy komendantem „piątki” bojowej był Mychajło Hnatiw, robotnik z Drohobycza, członek OUN. Pod swoimi rozkazami miał nawet dwie „piątki”, co świadczy o pewnym stażu organizacyjnym. Nikt z licznych rozmówców nie przeczył, że należał on do organizacji i wszyscy zgodnie stwierdzili, że po zamachu nadal w niej pozostał i nie był sądzony dyscyplinarnie.

Na łamach *Hominu Ukrajiny*, ukazującego się w Toronto tygodnika najbardziej związanego z dawną organizacją bojową, ukazały się w 1977 roku wspomnienia O. Bunija „Taka była nasza młodość”. Bunij był jednym z oskarżonych w procesie o zabójstwo Hołówki i został skazany na 10 lat więzienia. On właśnie „nadał” i inspirował ten zamach. Należał do OUN, przyjaźnił się z Biłasem, Danytyszynem i innymi. W tym okresie był zatrudniony jako portier-pośtaniec w pensjonacie SS. Służebniczek w Truskawcu. Píše, że wkrótce po przybyciu Hołówki poszedł do Wasyla Biłasa i poinformował go, że w pensjonacie zamieszkał ten, który zapewne jest w jakiś sposób związany z pacyfikacją. Biłas był tego samego zdania i powiedział, że wiadomość przekaże dalej. Mijały tygodnie, zbliżał się wyjazd Hołówki, a Biłas się nie odzywał. Bunij znów do niego poszedł i naglił, że trzeba coś zadecydować, gdyż za dzień, dwa Hołówko wyjedzie. Następnego dnia Biłas zawiadomił go, że otrzymał rozkaz zabicia Hołówki. Bunij dał Biłasowi dokładny rozkład domu, wskazał pokój Hołówki i upewniwszy się, że jest on u siebie, sam udał się do jadalni, aby mieć alibi. W kilka minut później Hołówko został zabity.

Z relacji Bunija wynika, że aresztowani jednocześnie z nim Biłas, Danytyszyn i inni zostali zwolnieni po dwóch dniach, a on sam przesiedział dwa tygodnie. Do niczego się nie przyznał i nikogo nie zdradził. Śledztwo utknęło na martwym punkcie

i zostało podjęte na nowo dopiero po ujęciu sprawców napadu na Urząd Pocztowy w Gródku Jagiellońskim w listopadzie 1932 r.

Rozmówcy ukraińscy utrzymują, że zamach ten był dziełem lokalnej komórki, złożonej z prostaków, chłopców bez wykształcenia, nie orientujących się w sytuacji, słowem najzupełniej nieodpowiedzialnych.

Dowódca „piątki”, Hnatiw, natychmiast po zamachu odebrał broń i wyjechał do Lwowa, szukając kontaktu z Romanem Baranowskim, który był jego łącznikiem. Nie zastał go, czy też nie mógł znaleźć, wyjechał więc do Gdańska gdzie zgłosił się do rezydenta OUN, Andrija Fedyny; tam też poznał jeszcze wyższych dygnitarzy: Senyka i Ściborskiego (Konowalec nie chciał go podobno przyjąć). Dawni członkowie OUN twierdzą, że musiano się Żeleźniakiem (pseudonim organizacyjny Hnatiwa) zająć, tj. dać mu paszport na inne nazwisko, trzymać pod nadzorem, zabezpieczyć utrzymanie. Z Gdańska wyprawiono go do Berlina, następnie w bliżej nieokreślonej miejscowości i kraju przeszedł przeszkolenie bojowe. Potem z 8-osobową grupą został wysłany do Mandżurii z zadaniem przedostania się do ZSSR, ale nic z tego nie wyszło: jeden z uczestników tej wyprawy zginął, a reszta przez Japonię przedostała się do Argentyny. Tam też Hnatiw spędził lata wojny, a do Stanów Zjednoczonych ściągnął go zapewne Łebed w nadziei że będzie go mógł użyć. Jak Hnatiw nazywa się obecnie, co robi, gdzie mieszka? Nie sposób uzyskać informacji na ten temat. Znamienne jednak, że niemal wszyscy, którzy się z nim zetknęli, czy nawet nadal go spotykają, twierdzą że cierpi na manię wielkości i jest psychicznie nie zrównoważony. Podobno mieszka gdzieś w stanie New Jersey. Tyle odnośnie zamachu na Tadeusza Hołówkę.

Niemal wszyscy jako zabójcę Konowalca wymieniają niejakięgo Norberta Walucha. Jest to nieporozumienie, bo zabójca nazywał się Janenko i nigdy nawet nie występował pod nazwiskiem Waluch. Nadano mu je zupełnie na ślepo gdy znajdował się już na statku sowieckim, w powrotnej drodze do ZSSR po wykonaniu zadania. Stąd też pewien ksiądz grekokatolicki ogłosił w prasie ukraińskiej, że jego syn, student Politechniki Gdańskiej, nigdy nie był w Rotterdamie i nic nie ma wspólnego z zamachowcem. To Jarosław Baranowski, wezwany przez Konowalca na świadka jego rozmowy z osobnikiem który go zamordował, obdarzył go nazwiskiem Waluk w czasie przesłuchania przez policję w Rotterdamie, kiedy jeszcze nie wiedział, że Konowalec nie żyje.

Jak doszło do tego, że Konowalec, bardzo czujny i ostrożny konspirator, dopuścił do siebie zabójcę? Należy przyjąć, że żadna organizacja podziemna nie jest w stanie zabezpieczyć się przed wtyczkami, agentami czy zdrajcami. Byli więc i tacy w podziemiu ukraińskim.

Przybysz z zewnątrz, z ZSSR, występujący pod nazwiskiem

Kindrał Połuwed'ko, głęboko przeniknął do organizacji, zdobył zaufanie wszystkich i zajmował odpowiedzialne stanowisko. W 1934 roku zjawił się w Finlandii i ujęty na granicy zeznał, że uciekł z sowieckiego obozu na Północy. Policja fińska, po zasięgnięciu informacji, zwolniła go z aresztu, sugerując jak najszybsze opuszczenie Finlandii. Udał się do Czechosłowacji, gdzie udzielił mu gościny niejaki Waszczenko z Kijowa, dawny żołnierz Petlury, który pozostał na Zachodzie i dorobił się znacznego majątku. Połuwed'kę przywiózł do niego młodszy brat, który po ukończeniu studiów w Pradze wrócił w 1926 roku na Ukrainę. Młodszy Waszczenko zasmakowawszy w życiu kapitalistycznym pozostał w Czechosłowacji, a Połuwed'ko wyjechał do Paryża. Tam nawiązał kontakt z petlurowcami i stał się jednym ze stałych publicystów ich organu prasowego *Tryzub*, pisząc pod pseudonimem Tołobicznyj. Poczuwszy się mocniej nawiązał kontakt z rezydentem OUN inż. Ściborskim, który go dość szybko zwerbował do tej organizacji. Otrzymał pseudonim Dibrowa i poznał całą sieć organizacyjną. Następnie został skierowany jako rezydent do Helsinek. Stolica Finlandii była punktem przerzutu materiałów propagandowych do ZSSR. Latem 1937 roku zszedł ze statku w Helsinkach Janenko — ten do którego przylgnęło nazwisko Waluch. Zgłosił się do Połuwed'ki, który natychmiast powiadomił centralę, że zgłosił się do niego niezwykle ciekawy Ukraińiec, wysłannik podziemnej antykomunistycznej organizacji. Prowid postanowił go jak najszybciej przesłuchać i Konowalec zdecydował wysłanie po niego swojego sekretarza, inż. Seleszko. Organizacja nie miała dla przybysza paszportu, więc Seleszko dał mu swój, a sam — jako stały mieszkaniec Berlina — wrócił, legitymując się innym dokumentem — kartą ubezpieczeniową i wyjaśniając, że zgubił paszport. „Delegat” krajowy rozpoczął podróż po stolicach zachodnich, gdzie znajdowały się ośrodki ukraińskie i rezydenci OUN. Stale podkreślał, że nie zamierza pozostać na emigracji i wróci tak jak przybył — statkiem. Zabrał wór materiałów propagandowych i zniknął na sześć miesięcy. Wrócił wiosną 1938 roku i dobijał się o spotkanie z Konowalcem, który się do tego nie kwapił, nie chcąc go przyjąć bez świadków. Wysłannik moskiewski natomiast spieszył się z wykonaniem swego zadania i udało mu się to w maju 1938 roku w Rotterdamie. Potem natychmiast zniknął. Jak tylko wiadomość o zamordowaniu Konowalca dotarła do Berlina, ulotnił się stamtąd Połuwed'ko.

Zestawiwszy przebieg wypadków Prowid nie miał trudności w ustaleniu, że Połuwed'ko był agentem sowieckim, który zorganizował zamach na Konowalca. Dlaczego jednak kierownictwo OUN powstrzymało się od ujawnienia tej afery? W kilka lat później słono to kosztowało Ukraińców.

W 1941 roku, wkrótce po zajęciu Lwowa przez Niemców, dwaj czołowi działacze obozu nacjonalistycznego — rozbitego już wów-

czas na dwa człony-frakcje — Ściborski i Senyk spotkali na ulicy Połuwed'kę. Przywitali się, zamienili kilka zdań i na nalegania Połuwed'ki umówili się na następny dzień. Nim udali się na spotkanie powiadomili organizację, przypominając, że jest on na pewno agentem sowieckim. Połuwed'ko powiedział im, że przybył do Lwowa celem nawiązania łączności, gdyż na terenie dawnej sowieckiej Ukrainy działała rozgałęziona antykomunistyczna organizacja narodowa. Zaproponował im, aby z nim wyjechali i zabrali ze sobą innych działaczy dla prowadzenia odpowiedniej roboty terenowej. Ściborski i Senyk przedstawili tę propozycję na zebraniu, wypowiadając się przeciwko niej, gdyż podejrzewali tu jakąś pułapkę. Zrozumieli, że Połuwed'ko chce ich usunąć, bo go rozszyfrowali, będą mu przeszkodą i nie cofną się przed jego likwidacją. Organizacja jednak nakazała udanie się na Wschód. Zostali zastrzeleni 30 sierpnia 1941 roku na dworcu kolejowym w Żytomierzu. W kilka miesięcy później, bez związku z tą zbrodnią, Połuwed'ko powiesił się w celi więziennej w Charkowie. Jak później ustalono był tłumaczem w Gestapo w Charkowie, a jednocześnie oddawał w ręce Niemców różnych, niewygodnych dla siebie Ukraińców. W końcu trafił na takiego, który doniósł, że pracował on w KGB. Donosiciel nie wiedział, że Połuwed'ko był wtyczką KGB w Gestapo, że komunikował się z rezydentem w Kijowie Swanem Kudrejem, i że miał duży zakres działalności. Połuwed'ko, nie czekając na „zasadnicze” przesłuchanie, powiesił się w połowie lutego 1942 roku.

W 1978 roku ukazała się w Charkowie nakładem wydawnictwa „Prapor” książka pt. „U kubli zradnykiw”, poświęcona działalności Połuwed'ki, uważanego za jednego z trzech najwybitniejszych agentów sowieckich, obok Kuźniecowa i Sorge.

Niektóre źródła ukraińskie — melnykowskie — utrzymują, iż te zabójstwa w Żytomierzu, podobnie jak kilka następnych, zostały dokonane na tle porachunków osobistych przez banderowców, których przywódcą był wówczas Mikołaj Łebed. Druga strona natomiast utrzymuje, że Ściborski i Senyk zostali zamordowani przez agenta sowieckiego.

Zbyt wiele jest ciągle niewyjaśnionych nie tyle spraw, ile fragmentów i epizodów. Pozostali przy życiu uczestnicy tych wypadków są ostrożni i skąpi w wypowiedziach, a konfrontacje są utrudnione. Rozłam w OUN spowodował, że naświetlenia poszczególnych spraw, charakterystyka osób stały się wielce stronnicze, a kilka czołowych postaci OUN nie zdobyło się do tychczas na relację szczerą, ścisłą, obiektywną — *sine ira et studio*.

Benedykt HEYDENKORN

NA SZLAKACH WOJSKOWYCH i POLITYCZNYCH ZMAGAŃ UKRAIŃCÓW

W publicystyce ukraińskiej problematyka zbrojnego udziału w ostatniej wojnie światowej u boku i pod dowództwem Wehrmachtu zajmuje wiele miejsca. Sformowanie ukraińskiej dywizji SS *Galizien*, jej dzieje, przemianowanie i ostateczna likwidacja zostały upamiętnione w dziesiątkach opracowań książkowych, wspomnień i artykułów prasowych. Temat jednak, jak na to wskazują nowe publikacje, nie został wyczerpany.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że kiedy grupa Ukraińców pod przewodem prof. Włodzimierza Kubijowicza podpisywała z gubernatorem dystryktu Galicja Ottonem Wechterem układ o powołaniu ukraińskiej jednostki wojskowej (kwiecień 1943 r.), skrajna grupa nacjonalistów z Banderą i Stećko na czele była w opozycji wobec niemieckiego okupanta.

Roman Krochmaljuk, autor *Zahrawa na Schodi*¹, piastował wysokie i odpowiedzialne stanowiska we władzach formacji SS *Galizien*, był bowiem do kwietnia 1944 roku pełnomocnikiem dowództwa na okręg lwowski, a później uczestniczył we wszystkich komórkach, które decydowały o losach tej jednostki. Autor kreśli swoje wspomnienia, przedstawiając zarówno rokowania ze stroną niemiecką jak i nadzieje, trudności i zawody strony ukraińskiej. Jest i rodzynek polski. W czerwcu 1944 roku, a więc tuż przed wymarszem SS *Galizien* na front pod Brodami do Neuhammer, gdzie odbywało się szkolenie dywizji, żandarmeria niemiecka przyprowadziła trzech polskich żołnierzy, którzy dostali się do niewoli pod Monte Cassino. Byli to Ukraińcy, którzy w chwili wybuchu wojny odbywali służbę wojskową. Brali udział w walkach pod Warszawą, po czym zostali przesunięci do Wołynia, gdzie pułk ich, który poniósł wielkie straty, miał być zreorganizowany. Do niewoli sowieckiej dostali się w nocy z 19 na 20 września. „Podoficerów, wśród których było kilku Ukraińców, bolszewicy oddzielili i zabrali, a szeregowców zagnali do obozów, skąd oddzielnymi transportami wywozili ich na katorżnicze roboty na Sybir.

Kiedy pod naciskiem aliantów bolszewicy zgodzili się na utworzenie polskiej armii z Polaków znajdujących się na obszarze ZSSR, nasi trzej wojacy, ratując się przed głodową śmiercią, zgłosili się, jak wielu innych Ukraińców, do armii gen. Andersa.

1. Roman Krochmaljuk, *Zahrawa na Schodi*, Toronto - New York, 1978, str. 350, nakładem Bractwa koł. wojaków 1. Ukr. Dyw. UNA.

Tutaj przeszli wszystkie *pridirki*, jakie polscy podoficerowie stosowali wobec Ukraińców..." — pisze Krochmaljuk.

Autor dodaje — na podstawie relacji owych wojaków — że w Karpackiej Dywizji było mnóstwo Ukraińców: około jednej trzeciej stanu.

Nie kwestionujemy baśniowej opowieści trzech żołnierzy, ale pisząc o tym po trzydziestu kilku latach można było ją sprawdzić. Czyżby p. Krochmaljuk nie wiedział, że władze sowieckie zezwalały na pobór do wojska jedynie obywateli polskich narodowości polskiej oraz wyznania rzymsko-katolickiego? Sowieckiej selekcji uniknęli tylko ci, którzy znajdowali się w obozach jenieckich. Dowództwo polskiej armii starało się różnymi sposobami ratować Ukraińców oraz obywateli innych mniejszości narodowych. Jednak wbrew relacji na którą się powołuje p. Krochmaljuk ilość Ukraińców w Drugim Korpusie nie była tak duża. Nie byli oni też dyskryminowani. Podczas postoju wojsk w Iraku gen. Anders wezwał w rozkazie żołnierzy niepolskiej narodowości i innych aniżeli rzymsko-katolickie wyznań, aby się przerejestrowali, zapewniając, że nikt nie będzie ukarany za uprzednie podanie fałszywych danych. Wydano też modlitewnik grecko-katolicki w języku ukraińskim.

Krochmaljuk stara się dowieść, że stawianie na kartę niemiecką było koniecznością historyczną, jakkolwiek w kwietniu 1943 roku zwycięstwo niemieckie było już mało prawdopodobne. Wskazuje, że organizatorzy dywizji zastrzegli sobie wyraźnie, że jednostka nie będzie użyta na Zachodzie. Zdaniem autora powstanie jednostki bojowej miało wielkie znaczenie dla morale narodowego. Była to formacja ochotnicza, dowodzona przez Niemców, ale z udziałem ukraińskich oficerów i podoficerów. W następstwie dalszych działań wojennych jednostka ta stała się po przegrupowaniu I Ukraińską Dywizją Narodową. Historycy i publicyści ukraińscy zgodnie głoszą, że dzięki tej formacji tysiące Ukraińców otrzymało przeszkolenie bojowe, co zostało znakomicie spożytkowane, jako że znaczna ilość tych żołnierzy trafiła do podziemnej armii UPA.

Z różnymi politycznymi wywodami autora o sprawach polskich, w tym i terytorialnych, nie sposób polemizować. Nie warto ich nawet prostować. Szkoda zachodu.

Wasył Weryha² zajął się sprostowaniem legend powstałych wokół dywizji SS *Galizien*. Oparłszy się o bogate materiały źródłowe i pamiętnikarskie, zajmuje się trzema zagadnieniami: Powstaniem Warszawskim, obrazem dywizji SS *Galizien* w sowieckiej i polskiej literaturze i „dywizją SS *Galizien* jako zbrojnym ramieniem narodu ukraińskiego”. Zdaniem Weryhy twierdzenie o

2. Wasyl Weryha, *Dorohamy druhoji switowoji wojny*. Wydawnictwo „Nowyj Szljach”, Toronto, 1980, str. 259.

udziale Ukraińców w walkach podczas Powstania Warszawskiego są absolutnie fałszywe. Autor powołuje się przy tym na szczegółową dokumentację polską. Brygada płk. Kamińskiego składała się jego zdaniem z różnorakiego elementu bandyckiego, głównie rosyjskiego, ale żadnych oddziałów ukraińskich w Warszawie nie było. Kamiński sam był synem Polaka i Rosjanki, podawał się jednak za Rosjanina. Autor zaznacza, że Ukraińcy nie brali udziału w żadnych akcjach zbrojnych przeciwko Polakom na ziemiach polskich.

Oskarżenia o kolaborację i zdradę, jakie wysuwano pod adresem dywizji SS *Galizien*, Weryha podejmuje, aby je obalić i wykazać ich bezzasadność. Wywodzi, że z pewnymi zastrzeżeniami można mówić o współpracy z wrogiem. „Dywizja Galicja była tworem wzajemnego porozumienia między przedstawicielstwem narodu ukraińskiego — Ukraińskim Centralnym Komitetem — i przedstawicielstwem okupacyjnej władzy czyli wroga. Ale okupacja nie nastąpiła wskutek usunięcia własnego ukraińskiego rządu, lecz tylko z powodu usunięcia innej wrogiej władzy”.

Weryha twierdzi, że Ukraińcy nie mieli sentymentów ani do Polaków, ani do Niemców, uważając ich na równi za okupantów. „Dywizja Galicja nie była tworem osób ani organizacji gotowych do współpracy z Niemcami w celu budowy „Nowej Europy” pod niemiecką egidą, lecz miała jak najlepiej — z ukraińskiego punktu widzenia — reprezentować ukraińskie interesy narodowe”.

Stanowisko Weryhy wobec dywizji SS *Galizien* podziela większość Ukraińców. Formacja ta stała się bowiem później — a właściwie miała się stać — załącznikiem armii narodowej.

Praca Weryhy ma charakter historyczny, Krochmaljuka zaś pamiętnikarski, mimo że opatrzona jest szeregiem dokumentów. Obie zawierają wiele zdjęć historycznych.

Weryha zamieszcza jako załączniki kilka dokumentów, które — jak pisze — stanowią ilustrację wzajemnych stosunków polsko-ukraińskich. Są to następujące ulotki: pierwsza, wzywająca Polaków na Wołyniu do obrony zagrożonych przez Ukraińców terenów, podpisana P.W. (Korpus Odsieczy Wołynia) K.O.W. Ulotka bez daty, ale Weryha utrzymuje iż treść jej odnosi się do wypadków latem 1943 roku.

Następna „Do ludności ukraińskiej zamieszkanej na terenie pow. Hrubieszowskiego”, nosi datę 25 kwietnia 1943 roku. Ulotka wzywa Ukraińców do zaniechania współpracy z Niemcami, głosząc: „Nie szukajcie wrogów w Polakach, bo tam ich nie znajdziecie. Wspólnym naszym wrogiem są Niemcy, którzy dla swoich celów nastawiają w jednej okolicy Ukraińców przeciw Polakom, a w innej Polaków przeciw Ukraińcom, ciesząc się z walki wzajemnej”. Ulotka grozi Ukraińcom odwetem: „Za każdą wieś polską wysiedloną z udziałem milicji ukraińskiej zostaną natychmiast spalone dwie wsie ukraińskie, za każdego Polaka zabitego

przez Ukraińca zostanie natychmiast zabitych dwóch Ukraińców”.

Trzecim dokumentem jest apel „Do narodu ukraińskiego”, wystosowany przez Krajową Reprezentację Polityczną i wzywający do zerwania „z upokarzającą Was zależnością od okupanta; potępcie bestialstwa masowych mordów dokonywanych na ludności polskiej Wołynia przez ludność ukraińską podjudzoną przez Niemców i boszewików; powstrzymajcie natychmiast wszelkie wrogie akty ukraińskie przeciw Narodowi i Państwu Polskiemu; potępcie werbunek do dywizji ukraińskiej i przeciwdziałajcie mu; wytwórzcie razem z nami solidarną samoobronę przed niszczycielską akcją okupanta i czynem potwierdźcie wrogie względem niego stanowisko Narodu Ukraińskiego”.

W końcowych ustępach apel podkreśla z naciskiem, zapewniając o pełnym zrozumieniu dla dążeń stworzenia niepodległej Ukrainy, że „nie zrezygnujemy ze wschodnich ziem Rzeczypospolitej, w południowej części których od wieków mieszkają Polacy obok Ukraińców...”.

Wreszcie ostatni interesujący nas załącznik to ulotka pt. „Ukraińcy”, przypuszczalnie z sierpnia 1943 roku, z sygnaturą: Miejscowy Komendant Polskich Oddziałów Zbrojnych. Jest to ostrzeżenie pod adresem Ukraińców w związku z morderstwami dokonywanymi na Polakach. „Nie chcemy dopuszczać się bezmyślnych masakr. Radzi byśmy uchronić od odwetu każdą jednostkę niewinną, ale w obecnych warunkach zmuszeni jesteśmy przyjąć zasadę odpowiedzialności zbiorowej. Za zbrodnie popełnione odpowiadać będzie najbliższa okolica... Pamiętajcie o nadchodzących wielkich chwilach dziejowych. Nie kopcie u nóg swoich przepaści nie do przebycia”.

Odezwy i apele cytowane powyżej w wyjątkach są dramatyczną ilustracją tragicznych wzajemnych stosunków polsko-ukraińskich na wschodnich polaciach Rzeczypospolitej.

Benedykt HEYDENKORN

Dr M. BOYKO

UKRAIŃSKIE WOŁYNIANA NA EMIGRACJI (Informacje bibliograficzne)

Pamięci Jakuba Hoffmana

Tytuł „Ukraińskie wołyniana na emigracji” przejęty jest z biuletynów śp. Jakuba Hoffmana, ogłoszonych w *Tekach His-*

torycznych w numerach 1/2, 1953; 3/4, 1954; w t. VIII, 1955/57 i t. IX, 1958. On pierwszy poinformował czytelników *Tek Historycznych* o naukowych poczynaniach Wołynian (nie Wołyniaków, to ma odcień pejoratywny) na emigracji. On też pierwszy podjął w roku 1931 systematyczne prace nad bibliografią regionalną Wołynia, a wyniki swych poszukiwań ogłosił w *Roczniku Wołyńskim* w latach 1931-39, rejestrując 1.407 pozycji różnej wartości. Z pracy swojej nie był zadowolony, bo w t. IV oświadczył wręcz, iż bibliografia „nie udała mu się” z powodu błędnej organizacji materiału. Początek został jednak zrobiony.

W „Słowniku pracowników książki polskiej” (Warszawa, 1972, str. 334) Anna Krysińska podała pod hasłem „Hoffman, Jakub (1896-1964)” nieścisłą wiadomość, iż powstający przy Liceum Krzemienieckim Instytut Naukowy Wołyński planował w roku 1939 wydanie pięciotomowej bibliografii regionalnej Wołynia, obejmującej 24.000 pozycji. W czasie drugiej wojny światowej materiały te miały ulec rozproszeniu. Jest to wzmianka nieprawdopodobna, kłócąca się z dokładnymi informacjami na ten temat podanymi w „Nauce Polskiej”, t. XXIV, 1939, w sprawozdaniu ze Zjazdu Naukowego w Krzemieńcu w dn. 5-6. VI. 1938. Na wniosek prof. J. S. Bystronia i prof. Henryka Mościckiego omawiano problem opracowania i udostępnienia bibliografii naukowej Wołynia, podkreślając, że poważny zrąb tej pracy jest już wykonany przez J. Hoffmana (w *Roczniku Wołyńskim*). Podkreślano potrzebę objęcia bibliografią bogatej literatury w językach innych niż polski, np. licznych prac rosyjskich dotyczących Wołynia. „Doc. Adam Lewak związał z tym potrzebę utworzenia w Krzemieńcu centrum dokumentacji, gromadzącego poza materiałami bibliograficznymi w układach alfabetycznym i rzeczowym także fotografie, kopie i fotokopie rękopisów, opisy inwentaryzacyjne za- bytków, materiały ikonograficzne itp.” („Nauka Polska”, j.w., str. 266). Konkretnych cyfr czy dat publikacji nie wysuwano. Wspomniany już parokrotnie Jakub Hoffman podkreślał przy każdej okazji w *Roczniku Wołyńskim*, iż bogata literatura dotycząca historii Wołynia nie została dotąd ujęta w opracowaniu bibliograficznym. W okresie międzywojennym prace nad tymi materiałami nie były, niestety, podjęte, z różnych powodów.

Autor artykułu zwołał w Winnipegu w Kanadzie w dn. 26. II. 1949 około dwudziestu Wołynian, przedstawił im plan pracy i stworzenia „Inicjatywnego Koła Wołynian”. W wyniku tej akcji opublikowano kilka komunikatów i rozpoczęto gromadzenie materiałów do pracy zbiorowej pt. *Wołyń w borot'bi za wolii Ukrainy* (Wołyń w walce o wolność Ukrainy). Tytuł ten odzwierciedlał nastroje patriotyczne nowej emigracji do Ameryki Północnej. Plany zakrojone były szeroko; myślano o wydawnictwie seryjnym. Organizatorzy otrzymali wówczas dziesiątki listów i sporo różnej wartości materiałów. Zarząd Koła podjął pertraktacje z Ukraińską Akademią Nauk na Emigracji (w Winnipegu), w

okresie ożywionej aktywności D. Doroszenki, L. Bileckiego i szczególnie czynnego Jarosława B. Rudnyckiego. Starano się o utworzenie Sekcji Wołyńskiej. Na przeszkodzie stał jednak brak funduszy i pracowników naukowych orientujących się w problematyce badań regionalnych. Prof. J. Rudnyckij powiedział nam otwarcie: „Bierzcie, panowie, sprawę w swoje ręce”. W ciągu następnych dwu lat toczyły się ożywione dyskusje na temat rejestracji bibliograficznej prac naukowych nad Wołyniem.

W dn. 21 lipca 1951 zwołano walne zebranie z udziałem ponad dwudziestu osób z Winnipeg i zaproszono na nie przedstawiciela Ukraińskiej Akademii Nauk w osobie prof. Jarosława Rudnyckiego. Po omówieniu rezultatów dyskusji zapadł wniosek o założeniu *Instytutu Dosłidiw Wołyni* (Instytut Badań Wołynia). Autor niniejszego artykułu był powołany przez zebranie na sekretarza Instytutu i pełnił te funkcje do roku 1960, tj. do czasu rozpoczęcia studiów bibliotekarskich w University of Ottawa w Kanadzie.

W latach 1952-1968 *Instytut Dosłidiw Wołyni* wydał 19 prac różnej wartości. Ściśle odnoszą się do Wołynia:

1. *Wołyn w borot'bi za woliu Ukrajiny*, 1952, str. 55, il. (Publikacja obejmuje trzy artykuły: „Nazwa Wołyn”, „Dawna przeszłość Wołynia” i „Antropologiczna charakterystyka Wołynian”. Ponieważ przekonano się, że w warunkach kanadyjskich trudno o zdobycie materiałów do rozpraw naukowych, postanowiono zrezygnować z pierwotnej nazwy serii i publikować dalsze prace pod tytułami nadanymi im przez autorów).

2. Łewkowycz, I.: *Narys istoriji Wołynskoji zemli do 1914* (Zarys historii Wołynia), 1953, str. 153, il.

3-7. Kyłymnyk, S.: *Ukrajins'kyj rik u narodnich zwyczajach w istorycznomu oswiśtenni* (Folklor ukraiński ze szczególnym uwzględnieniem Wołynia. Cztery pory roku: zima, wiosna, lato i jesień). Wydano 5 tomów (1955, 1957, 1959, 1962-63). Skonstatowano, że zwyczaje i obyczaje tak zazębiają się ze sobą, że trudno je rozdzielić.

8. Hłarion, Metropolita: *Fortecia prawosławia: Swiata Poczajiwśka Ławra na Wołyniu* (Święta Poczajowska Ławra). 1961, str. 398, il. (Praca oparta na materiałach otrzymanych z Afonu w Grecji).

9. Hordijenko, H.: *Ahrarna reforma na Wołyniu w XVI w.*, 1962, str. 48.

10. Szumowski, P.: *Ostrih, istorycznyj narys* (Zarys historyczny dziejów Ostroga). 1964, str. 128, il.

11. Hłarion, Metropolita: *Metropołył muczenyk Arsenij Macjewycz* (Metropolita męczennik Arsenij Macjewicz). 1964, str. 279, il. (A.M., rodem z Wołynia, padł ofiarą prześladowań carcy Katarzyny II).

12. Borowski, M.: *Spohady pro Modesta Lewyckoho* (Wspomnienia o Modeście Lewyckim), 1967, str. 40, il.

13. Pasternak, E.: *Narys istorii Chołmszczyny i Pidlassia* (Zarys dziejów Chełmszczyzny i Podlasia), 1968, str. 466, il.

Sześć pozostałych wydawnictw nie odnosi się do Wołynia. „Złota epoka” działalności wydawniczej Instytutu trwała do roku 1968. Po wyjeździe autora i wyczerpaniu zebranych przez niego materiałów działalność Instytutu wyraźnie osłabła. Wprowadzono zmiany do statutu. Członkowie mieszkający poza Winnipegim i głosujący dotąd korespondencyjnie stracili prawo do udziału w wyborach władz Instytutu. Rozluźniło to kontakt z terenem. W roku 1968, po zmianie zarządu, postanowiono ogłosić drukiem pisma Metropolity Iłariona, który zmarł w roku 1972. Dopiero po 1975 roku wydano kilka pojedynczych tytułów bez zapowiedzi kontynuacji.

Nadsyłane do Instytutu materiały dzieliły się na monograficzne, popularne oraz dłuższe rozprawy i krótsze artykuły. Z myślą o tej ostatniej kategorii postanowiono wydać *Litopys Wołynia*. W latach 1953-1978 ukazało się 12 tomów, zawierających łącznie ok. 429 artykułów, w tym wiele przyczynków trwałej wartości.

Oddzielnie postanowiono wydawać dłuższe opracowania o charakterze popularnym w serii *Biblioteka Litopysa Wołyni*. W latach 1955-1963 wydano 7 tomików.

1. Hajuk, S.: *Wid cerkownoho prestoła do Berezy za droty* (Od cerkiewnego ołtarza do Berezy za druty), 1955, 46 str., il.

2. Odracz, F.: *Nasze Polissia* (Nasze Polesie), 1955, 68 str., il.

3. Łewkowycz, I. (pseudonim I. Marszczak): *Z muczenyctwa Chołmszczyny na Biłhorajszczyni* (Z męczeństwa Chełmszczyzny w Biłgorajskim), 56 str.

4. Fiłonenko, P.: *Zbrojna borot'ba na Wołyni* (Walka zbrojna na Wołyniu), 56 str., il. (Autor opisuje walkę z Sowietami w 1918-1921, także różne spory na Wołyniu podczas drugiej wojny światowej).

5. Łahodiuk, I.: *Homin Polissia* (Echo Polesia), poezje, 1960, 244 str.

6. Kołymnyk, S.: *Kołodka-Kołodij*, 1962, 16 str.

7. Siryj, I.: *Opowiadania*, 1963, 80 str.

Od ostatniej daty dotychczas w tej serii nic nie wydano.

Dla podtrzymania kontaktów między członkami Instytutu a także z czytelnikami wydano kilka okólników w formie jednodniówek. Ważniejsze z nich to: 1) *Wisnyk* Instytutu Badawczego Wołynia, 1952 i 1954, a za 1953 rok — *Wołyński Łystok* (List Wołyński). Każdy numer liczy 8-12 stron, przeważnie organizacyjnej treści.

Kiedy 21.7.1952 roku został ufundowany Instytut, Inicjatywne Koło Wołynian automatycznie przestało istnieć. Ale w Nowym Jorku Wołynianie zorganizowali jeszcze 17.4.1951 roku Towarzystwo „Wołyń”, które w statucie nakreśliło sobie podobne zadania jak w Winnipegu. Zaplanowaliśmy *Litopys Wołynia*, a w Nowym Jorku poczęli wydawać kwartalnik. *Wołyń* nr 1 pojawił się w lipcu, nr 2 w październiku 1951 roku; każdy numer po 16 stron. Ostatecznie jakieś głębsze przyczyny przeszkodziły tej szlachetnej pracy. Rok później zostały zorganizowane podobne towarzystwa w Winnipegu, w Toronto, Buffalo i Cleveland, USA. Dotychczas pracują towarzystwa w Winnipegu i Toronto, inne zanikły.

Towarzystwo „Wołyń” w Toronto wydało:

1. Cynkałowski, O.: *Starowynni pamiatky Wołyni* (Zabytki Wołynia), 1975, str. 124, il. (Jest to dłuższy artykuł omawiający zabytki architektury cerkiewnej z 80 ilustracjami dotyczącymi cerkwi, kościołów i innych zabytków architektonicznych).

2. Hirniak, K.: *Ukrajnśkyj Legion Samooborony*, 1976, str. 56, il. (dotyczy Legionu zorganizowanego w okolicach Łucka w jesieni 1943 r.).

3. Hirniak, K. i Chujko: *Front Ukrajinśkoji Rewoluciji*. Toronto, 1979, 45 str., il. (w druku). (FUR zorganizował Tymisz Basiuk z Borsuk dla walki z Niemcami i Sowietami).

Autor tego opracowania (tj. M. Boyko) był, jak wspominałem, inicjatorem i fundatorem działalności kulturalnej Wołynian na obczyźnie i sekretarzem Instytutu Badań Wołynia. Przez dziesięć lat pracował z trzema kolejnymi prezesami. W roku 1968 na skutek nieporozumień w łonie Instytutu ustąpił z prezesury prof. M. Borowski i działalność zamarła. Przestano wydawać „Wołyniana”. Nowi ludzie podjęli się publikowania spuścizny metropolity Iłariona, który jeszcze za życia zapisał Towarzystwu swoje archiwum.

Autor artykułu przeniósł się w roku 1966 z Kanady do USA; pamiętając o potrzebach nauki o Wołyniu, zorganizował w Bloomington, Indiana „Ośrodek Bibliografii Wołynia”, który dotychczas wydał w formie fotostatów 17 opracowań w nakładzie 50-100 egzemplarzy:

1. Boyko, M.: *The first Cooperative Library in Volhynia*, 1968, str. 100 (jest to monografia biblioteczki zorganizowanej w Łopusznie w pow. krzemienieckim przez Koło Młodzieży. Około 10 członków tej organizacji zgromadziło w jednym miejscu własne książki, ułokowało je w szafie i nazwało „kooperatywną biblioteką”. Poza katalogiem umieszczono książki zabronione na Wołyniu);

2. Tenże: *Bibliohrafija dżerel istoriji Wołyni*, 1969, str. 244;

3. Tenże: *Bibliohrafija periodyky* (czasopism) *Wołyni*, 1970, str. 137;

4. Tenże: *Ekonomiczni ta socijalni pyttannia w istoriji Wołyni*, 1971, str. 154, il. (rozszerzona praca dyplomowa);
5. Tenże: *Istoryczno-bibliohraficznyj narys drukarstwa Wołyni* (Historyczno-bibliograficzny zarys dziejów drukarstwa na Wołyniu w latach 1578-1830), 1972, str. 204, il.;
6. Tenże: *Ostrożskij litopysnyj pamiatnyk z 1638 roku*, 1972, str. 59;
7. Tenże: *Bibliohraficznyj dowidnyk poseteń Wołyni* (Przewodnik bibliograficzny dotyczący miejscowości Wołynia), 1973, str. 199, il. (Alfabetyczny wykaz nazw miejscowości z krótkimi danymi z końca XIX wieku);
8. Tenże: *Wołyniana — materjały do bibliohrafii*, 1973, str. 150;
9. Tenże: *Bibliohrafija cerkownoho żytt'ja Wołyni*, 1974, str. 237;
10. Radion, S.: *Bio-bibliohrafija*, 1975, str. 41. (Pisarz wylicza w niej 25 tytułów własnych utworów, 177 recenzji, 207 artykułów na różne tematy. Urodzony w roku 1912 na Wołyniu. Obecnie mieszka w Australii);
11. Boyko, M.: *Bibliohraficznyj ohlad zbrojnoji borot'by Wołyni*. (Kompilacja ogłoszonych wcześniej opracowań o walkach orężnych na Wołyniu od 1538 roku);
12. Tenże: *Bibliohrafija trydciatyryczczia moho* (Bibliografia prac własnych za okres 30-lecia), 1977, str. 263; Wylicza 8 opracowań bibliograficznych, 3 monografie, 2 prace dyplomowe, 10 innych oraz 133 artykuły różnej treści;
13. Tenże: *Kulturna pracia Wołynian w Piwnicznij Ameryci* (1949-1975), 1978, str. 214, il.;
14. Shayda, P.: *Narodna tvorczist' Wołynia* (Folklor Wołynia), 1978, str. 150. (Teksty pieśni, przypowieści itp.);
15. Boyko, M.: *Pateohrafia i papirni Wołyni* (Paleografia i papiernictwo Wołynia), 1979, str. 154;
16. Tenże: *Ostrożska i dermanśka drukarni* (Drukarnie w Ostrogu i Dermaniu), 1980, str. 151;
17. Tenże: *Knyhodrukowannia w Poczaiewi i Kremianci* (Drukarnie w Poczajowie i Krzemieńcu), 1980, str. 156;

Zaplanowane wydania których rękopisy są gotowe do druku:

18. Cynkałowski, Ołeksander: *Krajoznawczy słownik Wołynia i Wołyńskiego Polesia do 1914*, Winnipeg, 1981, koło 600 str. il.
19. Boyko, M.: *Żródła wołynoznavstwa*, Bloomington, Ind., 1981, 265 str. il.
20. Radion, Stepan: *Catalog of the Publications of the Volhynian Bibliographic Center*, Bloomington, Ind., 1981, 52 str., il.

Ten katalog zamyka serię VBC o Wołynianach w Ameryce.

Tu należy dodać, że działalność Volhynian Bibliographic Center w Bloomington, Ind., USA miała się ograniczać do gromadzenia danych bibliograficznych. W dalszym ciągu działalności postanowiono — podobnie jak czyni to „Biesiada Krzemieniecka” w Londynie — publikować wydawnictwa własne staraniem grona ludzi działających wspólnie bez skomplikowanych zarządów, lokali itp. Pracują oni bezinteresownie, oddając na rzecz sprawy swój czas i umiejętności. Prace Ośrodka przeznaczone są przede wszystkim dla bibliotek uniwersyteckich Ameryki Północnej i Kanady, w szczególności dla ich działów słowiańskich. Prywatnie wysyła się tylko egzemplarze recenzyjne lub mające służyć do celów naukowych.

Należy wspomnieć również o książce Maksa Skorupskiego (wychowanka szkoły w Białokrynicy i ucznia Manusturskiej) pt. *W nastupach i widstupach* (W natarciach i odwrotach), Chicago, 1961, str. 255. Jest to obiektywne opracowanie historii walk podziemnych na Wołyniu w czasie drugiej wojny światowej z wymownymi wzmiankami o „polsko-ukraińskim mordobiciu”.

Należy dodać, że w okresie komunistycznych rządów na Wołyniu nie ukazało się nic w zakresie źródeł kultury narodu ukraińskiego.

Dr M. BOYKO

OKRUCHY HISTORII

Stefan KORBOŃSKI

KORESPONDENCJA Z GEN. REINHARDEM GEHLENEM

W roku 1972, gdy zbierałem materiały do mojej książki o Polskim Państwie Podziemnym, natrafiłem przypadkiem na angielskie wydanie wspomnień generała Reinharda Gehlena pt. „The Service”, z których dowiedziałem się, że przygotowywał on do użytku Hitlera względnie Himmlera studium poświęcone polskiemu wojennemu podziemiu, którego doświadczenia należałoby ewentualnie wziąć pod uwagę przy tworzeniu niemieckiego, anty-alianckiego podziemia. Rzecz oczywista zaciekały mnie ogromnie poglądy niedawnego przeciwnika na nasze podziemie, poza tym studium gen. Gehlena uznałem za wartościowy materiał dla mojej książki. Narzucała się po prostu potrzeba zwrócenia się do gen. Gehlena o udostępnienie mi studium.

Z drugiej strony wyłoniła się wątpliwość, czy Polakowi wypada o to prosić niedawnego wroga. Wziąwszy jednak pod uwagę, że gen. Gehlen jako szef służby bardzo specjalnej, gdyż wywiadu wojskowego na froncie wschodnim, nie był bezpośrednio odpowiedzialny za zbrodnie hitlerowskie w Polsce, a poza tym że po wojnie przez szereg lat służył w wywiadzie amerykańskim w dziale antysowieckim, co go poniekąd wybielało, zdecydowałem się do niego napisać. W rezultacie wymieniliśmy parę listów, które rzucają ciekawe światło na poglądy gen. Gehlena na stosunki polsko-niemieckie.

A więc gen. Gehlen podkreślił najpierw, że urodził się na Śląsku i że żona jego pochodzi ze zniemczonej polskiej rodziny von Seydlitz. W ten sposób ujawnił on swe polskie powiązania

zarówno z terenem, na którym Polacy sąsiadowali od wieków z Niemcami, jak i rodzinne przez małżeństwo ze zniemczoną Polką. Istotnie istnieje polska gałąź rodziny Seydlitzów. Jej wybitnymi przedstawicielami byli dwaj malarze, Józef Narcyz Seydlitz, urodzony w Warszawie w roku 1789, malarz miniatur, i Jan Seydlitz, urodzony w roku 1832, również w Warszawie, który malował wyłącznie widoki tego miasta (patrz *Wielka Encyklopedia Powszechna*, Tom X, str. 472). W Polsce przed drugą wojną światową znana była w Poznaniu polska rodzina przemysłowców i prawników Seydlitzów.

Gen. Gehlen wyraził ubolewanie, że przed pierwszą wojną światową nie było polsko-niemieckiej współpracy, mówiąc w liście z 21 marca 1973:

„Pochodzę ze Śląska i bardzo nad tym ubolewam, że nie doszło — podobnie jak obecnie na Zachodzie — do prusko-polskiej współpracy przed pierwszą wojną światową”.

Ubolewa on także nad tym, że oba narody, polski i niemiecki: „nie mogły się odnaleźć, zanim rząd Hitlera doszedł do władzy”.

Do tego okresu odnosi się uwaga Gehlena, że: „Niemiecki sztab generalny, a szczególnie jego szefowie, generałowie Beck i Halder, wysoko cenili polski korpus oficerski sprzed roku 1939 i żywili dla niego wielki szacunek. Szczególnie wysoko cenili przedwojennego ministra spraw zagranicznych płk. Becka”.

Nie przeszkodziło to wybuchowi wojny 1 września 1939, o której gen. Gehlen pisze w liście z 29 maja 1973:

„Niemiecko-polska walka, do jakiej niestety doszło w roku 1939, była prowadzona zgodnie z zasadami rycerskości, jak długo dowodzili w niej prawdziwi żołnierze, ale czy była potrzebna?”.

Niewątpliwie gen. Gehlen odżegnuje się w tych słowach od tego, co nastąpiło po zakończeniu działań wojennych, tj. od rządów niemieckiej administracji okupacyjnej w Polsce, terroru gestapo i SS.

Retoryczne pytanie, czy wojna polsko-niemiecka była potrzebna, zostało chyba podyktowane przez obecną rzeczywistość, będącą bezpośrednim skutkiem wojny: Polska i Wschodnie Niemcy pod władzą Sowietów, jedynych zwycięzców na wschodzie Europy.

Najbardziej sensacyjnie brzmi list gen. Gehlena z 21 marca 1973, o pomysle uwolnienia Rosji od komunizmu sprzymierzonymi siłami polsko-niemieckimi i o roli, jaką miał w tym odegrać sowiecki marszałek Konstantin Rokossowski:

„Co się tyczy osoby marszałka Rokossowskiego, to dowiedzieliśmy się od gen. Własowa, że Rokossowski w głębi duszy był antystalinowcem. Jestem głęboko przekonany, że Rokossowski zmieniłby front, gdyby koncepcja uwolnienia Rosji Sowieckiej od komunizmu przez sprzymierzone siły niemiecko-polskie została zaaprobowana przez Hitlera. Był on jednak za głupi na to, by zgodzić się z pomysłem zlikwidowania komunizmu łącznym

wysiłkiem polsko-niemieckim. Dodając nawiasem, jestem zdania, że Rokossowski był zdolniejszym generałem niż Żukow...”.

Pomysł wspólnego uderzenia polsko-niemieckiego na Rosję jest ustalonym faktem historycznym. Wystąpił z nim marszałek Hermann Göring, gdy w końcu stycznia 1935 przybył do Polski na polowanie w Puszczy Białowieskiej. Wysunął on tę propozycję najpierw wobec wyższych wojskowych polskich i nawet przedstawił plan podziału łupów: do polskiej strefy wpływów należałyby Ukraina, a do niemieckiej północno-zachodnie obszary Rosji. Pod koniec polskiej wizyty Göring powtórzył tę propozycję w pałacu belwederskim Marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu, który ją z miejsca odrzucił stwierdzając, że zawarty przez Polskę z Sowietami pakt o nieagresji traktuje poważnie. Marszałek Piłsudski dodał na zakończenie:

„Nie można doprowadzić do takiego stanu rzeczy, aby spać z karabinem w łóżku. Karabin powinien być w składzie mobilizacyjnym”. (Patrz *Najnowsza Historia Polityczna Polski* Władysława Pobóg-Malinowskiego, Tom II, str. 556).

Göringa to odrzucenie propozycji wojny prewencyjnej przeciw Rosji bynajmniej nie zraziło. Po śmierci Marszałka Piłsudskiego w maju 1935, powtórzył ją dwukrotnie w czasie wizyt w Polsce w latach 1937 i 1938 marszałkowi Edwardowi Rydzowi-Śmigłemu, który również ją dwukrotnie odrzucił.

W tych warunkach nie jest zrozumiałe, dlaczego gen. Gehlen odpowiedzialność za niedojście do skutku tej wojny prewencyjnej przypisuje Hitlerowi. Tej swojej opinii gen. Gehlen bliżej nie uzasadnił.

Mówiąc o roli, jaką miał odegrać w wojnie prewencyjnej Rokossowski, gen. Gehlen opiera się na opinii gen. A. Własowa, dowódcy *Russkoj Oswoboditielnoj Armii (ROA)*. Za tą opinią Własowa przemawiałoby tylko aresztowanie Rokossowskiego w roku 1937 w ramach tzw. „czystki Tuchaczewskiego” oraz jego prawie czteroletni pobyt w obozie koncentracyjnym. Przeciw tej opinii przemawia natomiast fakt że czystka ta dotknęła setki i tysiące oficerów, którzy niczym wobec Stalina nie zawinili i aresztowani zostali tylko dlatego, że Stalin lub wykonawcy jego woli uznali ich za niebezpiecznych.

W toku mej korespondencji z gen. Gehlenem doszło także do wymiany opinii na temat wizyty prezydenta Richarda Nixona w roku 1974 we wsi Chatyn na sowieckiej Białorusi, gdzie Niemcy zamordowali w czasie wojny 149 Białorusinów, zaś wieś spalili. Władze sowieckie odbudowały tę wieś jako luksusowe sanktuarium z marmuru i granitu i skłoniły prezydenta Nixona, by ją odwiedził i złożył hołd zamordowanym. Dla autora niniejszego artykułu i wielu innych osób świadomych rzeczy stało się jasne, że celem zbudowania sanktuarium w Chatyniu było odwrócenie uwagi od niedalekiej miejscowości Katyń (jedna litera różnicy w angielskiej nazwie), gdzie znajdują się groby ponad

czterech tysięcy polskich oficerów wziętych do niewoli w roku 1939 przez wojska sowieckie i zamordowanych przez Sowiety w kwietniu 1940. Po odkryciu zbrodni sprawa nabrała międzynarodowego rozgłosu, niekorzystnego dla Sowietów. Dla zamydlenia zatem oczu światowej opinii publicznej Sowiety, które oskarżyły o mord katyński armię niemiecką, wybudowały sanktuarium w pobliskim Chatyniu.

Gdy *Time* doniósł o wizycie prezydenta Nixona w Chatyniu, w liście do redakcji z 29 lipca 1974 przedstawiłem kulisy tej sprawy i zakończyłem konkluzją:

„Podobieństwo nazw obu miejscowości wygląda na przypadek, lecz Polakom i osobom znającym tę sprawę nasuwa przypuszczenie, że Prezydent został użyty przez Breżniewa za narzędzie do zamazania odpowiedzialności za jedną z najpodlejszych zbrodni wojennych”.

Generał Gehlen w liście z 15 sierpnia 1974 zgodził się z moją konkluzją i dodał:

„Ja wiem, że Sowiety rozstrzelały w Katyniu w pobliżu Smoleńska ponad cztery tysiące polskich oficerów wziętych przez nich do niewoli w czasie kampanii przeciw Polsce w roku 1939. Pamiętam, że celem tego było pozbawienie Polski najlepszego zespołu dowódców wojskowych. Niemieckie wojska odkryły tę zbrodnię w czasie wojny niemiecko-sowieckiej i ogłosiły wówczas dokumentację odnoszącą się do tych faktów”.

Nasza korespondencja zakończyła się nutą raczej pesymistyczną, gdyż gen. Gehlen stwierdził, że:

„Nie da się zmienić biegu historii, ale moim zdaniem droga jaką kroczy obecnie niemiecka *Ostpolitik* nie przyniesie poprawy narodom wschodniej Europy”.

Tak wyglądają poglądy gen. Reinharda Gehlena, zmarłego 8 czerwca 1979, na sprawy polsko-niemieckie, wyrażone w jego listach z 21 marca 1973, 29 maja 1973 i 15 sierpnia 1974. Wydaje mi się, że będą one dla polskiego czytelnika pewną rewelacją.

Stefan KORBOŃSKI

Z. S. SIEMASZKO

URYWKI WSPOMNIEŃ „CICHOCIEMNEGO”

Trafiły mi ostatnio do rąk wspomnienia oficera, który w czasie wojny został zrzucony do kraju. Będziemy go tu nazywać „Tak”, bo nie jest wskazane ujawnianie jego nazwiska lub pseudonimu. Wspomnienia jego

nie są pisane w sposób ciągły, lecz stanowią opis szeregu niezależnych wydarzeń. „Tak” jest wrażliwy na pozytywne, ludzkie odruchy, szczególnie ze strony tych, od których takich reakcji nie oczekuje. Widać to szczególnie wyraźnie w opisywanych przez niego epizodach z sowieckich więzień i tagrów, do których trafił w lipcu 1944 wraz z większością oficerów wileńskiego okręgu AK, gdyż do tego okręgu został przydzielony po zrzuconiu do kraju.

„Pierwsze dni w więzieniu śledczym na Ofiarnej. Wszystko, co się dzieje, jest świeże, bolesne i denerwujące. W więzieniu brudno, bo jeszcze nie zdążono uprzątnąć śmieci po niemieckim Gestapo, które 13 lipca uciekło z Wilna. Dzisiaj chyba 21 lipca. Już byłem na kilku przesłuchaniach. Są niezmiernie upokarzające. Biliśmy Niemców, a teraz, gdy przyszli sprzymierzeńcy naszych sprzymierzeńców, siedzę za kratkami.

Jestem okrutnie głodny. Organizm dopomina się swego i broni się przed nędzną wegetacją. W celi jestem sam. Zgrzytnęły zamki, sztaby i w drzwiach zobaczyłem dziewczynę, wojaka. Młoda, przystojna, puciołowata, w czystym, dopasowanym mundurze, ściągniętym mocno w taliu pasem. Okazało się, że jest strażnikiem więziennym, która zmieniła poprzedniego strażnika.

W pierwszej chwili wzięła mnie wściekłość, że dziewczyna, i to taka młoda, pilnuje mnie, żebym nie wyparował przez te mury i kraty. Dziewczyna popatrzyła trochę na mnie, dłużej na celę i odezwała się: *Chcesz wienik?* Na Wileńszczyźnie słyszałem różne historyjki, w które wplatanosyjskie wyrazy dla nadania im wyrazistości. Coś sobie skojarzyłem, że „wienik” to musi być szynka. Pewnie głód podpowiedział mi to znaczenie. Z zapamiętanym odpowiedziałem: *Da, da*. Tyle tylko wtenczas umiałem po rosyjsku. Dziewczyna wyszła i zamknęła drzwi. Teraz dopiero zacząłem czuć piekielny głód w oczekiwaniu na tę szynkę.

Drzwi otworzyły się ponownie i moja strażniczka podała mi miotłę zamiast oczekiwanej szynki. Mimo ogromnego zaskoczenia uśmiechnąłem się, bo był to jeden z najlepszych kawałów, jakie mi się przydarzyły.

Wienik to miotła, *wietczina* to szynka. Jedno i drugie słowo zaczyna się na tę samą literę „w”, ale jakaż szalona różnica między miotłą a szynką, szczególnie gdy się jest głodnym.

Po paru dniach znów służbę pełniła moja strażniczka i znowu pyta: *Imiejesz płatoczek?* Nie wiem, o co chodzi, ale już jestem ostrożny. Nic nie mówię, a dziewczyna natarczywie powtarza: *Imiejesz płatoczek?* Orientuje się, że nie rozumiem pytania, wyjmuje więc swoją chusteczkę i pyta: *Imiejesz?* Zrozumiałem. Wzięła moją chusteczkę i przy następnej służbie oddała mi ją pięknie upraną i uprasowaną.

Wspaniała dziewczyna, która mimo twardego obowiązku pilnowania więźnia miała dla niego ludzkie serce”.

Jedną z bliskich współpracowniczek „Taka” była rodowita Wilnianka, „Krystyna”.

„Zimą 1942 otrzymałem zawiadomienie, że w odpowiednich skrytkach w samochodzie przywieźli z Warszawy dla naszego Okręgu mapy 1 : 100 000 naszego terenu, zapalniki, detonatory i trochę plastiku z rzutów z Anglii. Te cenne materiały zdeponowano chwilowo na dalekim Antokolu.

Umówiłem się z „Krystyną”, że późnym wieczorem zabierzemy rulon map, aby je przenieść do naszego schowka, skąd zostaną rozproszane w teren do oddziałów partyzanckich.

Ustaliliśmy, że „Krystyna” poniesie rulon, a ja w niedalekiej odległości będę szedł za nią, aby ją ubezpieczać i w razie potrzeby interweniować. Na brzuchu pod rozpiętym płaszczem miałem odbezpieczony pistolet. Zbliżaliśmy się do placu św. Piotra i Pawła na Antokolu.

W pewnej chwili na wysokości idącej „Krystyny” zatrzymały się sanki, a siedzący w nich oficer niemiecki ruchem i głosem wskazywał miejsce obok siebie. Odruchem położyłem rękę na pistolecie, ale zaraz zdjąłem, bo „Krystyna” zachowywała się tak swobodnie, jakby ta propozycja jej odpowiadała. Wdzięcznie wsiadła do sanek i wesołym głosem podziękowała za zaproszenie. Przed ruszeniem sanek jednak lekko obejrzała się, a jej uśmiechnięta twarz przekonywała mnie, że w tej sytuacji właściwie postąpiła, zamieniając moją ochronę przed patrolami żandarmerii na znacznie lepszą, bo oficera niemieckiego. Dzwonki zadźwięczały, widziałem oddalające się sylwetki i sterczący rulon map.

Zrobiło mi się ogromnie głupio. Ja uzbrojony, ale „czysty”, ona natomiast bez broni, a z bardzo obciążającym, od razu sypiącym materiałem. Ja posiadając broń miałem, praktycznie biorąc, duże możliwości, ona natomiast żadnych. Kto jest więc odważny?”.

Wiosną 1945 „Tak” i inni wileńscy AK-owcy w dalszym ciągu siedzieli w więzieniu śledczym na ul. Ofiarnej. Nawet w tak trudnych warunkach udało się „Takowi” i „Krystynie” zorganizować sieć informacyjną.

„Pewnego dnia wartownik otworzył drzwi i zabrał mnie oraz kolegę do odniesienia ubrań i bielizny osobistej do tzw. *prożarki* (piec, w którym pod wysoką temperaturą niszczone insekty).

Wartownik kazał nam zabrać worki, które leżały na korytarzu przed jedną z cel. Jakież było moje zdziwienie, gdy na jednym z nich zobaczyłem napis: „A.....a D.....a”. Serce zatłukło. To i ona, ta wspaniała dziewczyna, wpadła i siedzi w więzieniu. Czy wytrzyma? Nigdy nie miała najlepszego zdrowia. Za wszelką cenę postanowiłem nawiązać z nią kontakt. Ale jak? Nie wiem, w której celi siedzi, natomiast wiem, że na tym samym korytarzu, co i my. Błyskawicznie układałem plan. Muszę koniecznie zrobić wszystko, aby wartownik wziął także mnie po worki z *prożarki*. Szczęśliwie miałem kawałek ołówka, który zabrałem śledczemu na którymś z przesłuchań. Miałem również kawałek kartki. Napisałem: „W rozwalonym piecu w *ubornej*” (ubikacje razem z żeliwnymi miskami do mycia) i jeszcze jedno słowo (którego teraz nie pamiętam), które kiedyś w konspiracji ustaliłem, a które było wyłączenie naszym stwierdzeniem tożsamości. Zresztą z tego słowa nigdy nie korzystaliśmy.

Ogromnie byłem zdenerwowany i nie mogłem doczekać się wartownika. Przecież mógł, jak to się zdarzało, zawołać kogoś z innej celi, lub z naszej, ale kogoś innego. Szczęśliwie zgrzytnęły drzwi. Gdy wartownik je otworzył, stałem już przy nich. Nie wiem, czy mi kazał, czy nie, ale sam wyszedłem na korytarz, a za mną, tak jak poprzednio, któryś z kolegów. Mimo sterzącego nad nami wartownika woreczek „Krystyny” wziąłem ja i niepostrzeżenie wsunąłem karteluszek do środka. Worki odnieśliśmy na to samo miejsce, skąd je uprzednio zabraliśmy. Wywnioskowałem, że jest to cela „Krystyny”.

Z niecierpliwością czekałem ranka, bo tylko raz na dobę wyprowadzano nas do *ubornej*. Przygotowałem szyfr, ten sam, którym posługiwaliśmy się w naszej komórce konspiracyjnej i przy pierwszej okazji pobytu w *ubornej* wsunąłem kartkę między cegły rozwalonego pieca. Na drugi dzień w podobny sposób przekazałem już zaszyfowaną treść ustaleń dotyczących sposobu przekazywania poczty i zabezpieczeniem jej przed „wpadką”.

Teraz inicjatywę przejęła „Krystyna”. Jak to robiła, do dnia dzisiejszego nie wiem. Dzięki jej pomysłom, przedsiębiorczości i odwadze miałem kontakt z „gen. Wilkiem” i z kolegami, którzy siedzieli w innych celach.

„Generał Wilk” przysyłał nam informacje, jakie jest jego stanowisko w różnych sprawach. Między innymi zawiadomił nas, że za jego wiedzą i aprobatą mają wypuścić, ze specjalnym zadaniem, Komendanta Zgrupowania AK mjra „Jarekę”, adiutanta generała por. „Brankarta” i kierowcę generała. Dwaj ostatni siedzieli razem z nami.

Dzięki „Krystynie” prawie codziennie otrzymywałem korespondencję, a nawet drobne przedmioty. Do dnia dzisiejszego mam artystycznie ulepioną z chleba Matkę Boską Ostrobramską, którą wykonała jej koleżanka, a „Krystyna” przekazała mi ją naszą pocztą”.

„Krystyna” przetrwała łagry i powróciła do kraju, gdzie zajmuje poważną pozycję w świecie naukowym.

Dopiero późną jesienią 1945 roku przeniesiono „Taka” z więzienia śledczego przy ul. Ofiarnej na Łukiszki, a po paru tygodniach wywieziono go do obozu w Ostaszkowie. Zimą 1946 roku zabrano go do więzienia w Kalininie, gdzie żądano od niego dalszych zeznań, których jednak nie chciał podpisać. Z Kalinina jeszcze tejże zimy 1946 odesłano go z powrotem do Ostaszkowa. Podróż tę opisuje on w następujący sposób:

„Trochę się zdrzemnąłem, ale trwało to krótko, bo klucz w zamku zgrzytnął i do celi wartownik wpuścił więźnia, a kratę znowu zamknął. Już miałem doświadczenie i po wyglądzie zorientowałem się, że to nie zwykły zakluczonyj. Nowoprzybyły stanął plecami do kraty i zaczęło się. Najpierw bardzo uprzejmie, tym wspaniałym, miękkim rosyjskim językiem powiedział: *Zdrawstwujcie, towarzyszczi*. Na to wszyscy odpowiedzieli: *Zdrawstwuj, towarzyszczi*. Z kolei zapytał: *Kak żywiotie?*, ale jakoś nikt nie odpowiedział na to pytanie. Przybyły kontynuował dalej rozmowę, ale już jednostronną. Nadal w tonie uprzejmym powiedział, że teraz zrobi mały przegląd i gromko krzyknął: *Nogi w wierch*. Wszyscy jak na komendę podnieśli nogi. On natomiast kolejno przesuwiał się od jednego do drugiego i wyrokował: *Barachło; no, ładno, snimaj, snimaj; barachło*, itp., dodając epitetów. Wszyscy, na których padał wyrok zdjęcia butów, pośpiesznie je zdejmowali i rzucali pod kraty drzwi.

Ja nadal siedziałem z opuszczonymi nogami. Podeszedł do mnie i znowu bardzo uprzejmie zapytał: *A czto, tiebia nie kasajetsa?* Odpowiedziałem: *Niet*. Wtenczas on chwycił mnie za gardło, wyrwał z kieszeni duży nóż, przyłożył mi do szyi i wrzasnął: *Snimaj, ubju, takij a takij!* A ja na to: *Ubit' ubjosz, no sapogow nie połuczisz!* (Zabić zabijesz, ale butów nie dostaniesz). *Poczemu?* — warknął. *Ja Polak, internirowanyj, i mienia wasz tiuriemnyj zakon nie kasajetsa* — odpowiedziałem. (Jestem internowanym Polakiem i nie dotyczą mnie wasze więzienne prawa). Wszystkie twarze zwróciły się ku mnie. Wartownika ani śladu na korytarzu, a on stoi nade mną i ciągle trzyma ten cholerny nóż. Ja, choć jestem bardzo zdenerwowany, udaję bardzo spokojnego. Ciągłe naiwnie myślę, skąd on ma ten nóż, gdy nie wolno mieć nawet szpilki.

Kazał wstać więźniowi, który siedział koło mnie, i sam zajął jego miejsce. Zaczął przekonywać mnie, najpierw natarczywie, później łagodniej, że buty muszę zdjąć, bo to u nich takie więzienne prawo. Mówił, że jemu na tych butach nie zależy, że da mi inne, jeszcze lepsze, ale muszę wykonać jego polecenie i buty zdjąć. Muszę, bo inaczej, jak się dowiedzą jego przełożeni w ich organizacji więziennej, to jemu zdejmą za to głowę. Rozmowa prawie jednostronna przeciągała się, bo ja ciągle stałem przy swoim, że butów nie zdejmę. Rozmowa przeszła na opowiadania, skąd kto pochodzi. Pochwalił się, że on też jest trochę z *zapada*, bo jego ojciec *moriak* ożenił się z Holenderką, a on jest ich synem. Czy to wspomnienia domu rodzinnego i dzieciństwa, czy moja zdecydowana postawa, ale mój rozmówca zmienił się nie do poznania. Zapytał mnie o moją *kliczkę* (przezwyisko), wymienił swoją, i od tej pory rozmowa potoczyła się na tematy ogólne.

W pewnej chwili wstał i wygłosił przemówienie, że jestem *inostrancem* i tylko dlatego „zezwała” mi na pozostanie w butach. Do mnie natomiast zwrócił się ze słowami: *Ja o ciebie nie zabudu*. Podał mi rękę, podszedł do kraty, przy której znalazł się raptem wartownik, i przez drzwi wygarnęli buty na korytarz. Ma się rozumieć, wartownicy buty sprzedali, a w zamian przynieśli jedzenie, wódkę i papierosy tym z tajnej organizacji więziennej.

Na drugi dzień koło południa wartownik przez kratę zawołał do mnie: *Zdieś, połuczaj pieredaczu od...*, i tu wymienił pseudonim mojego wczorajszego rozmówcy. (Dzisiaj pseudonimu nie pamiętam, a szkoda). *Pieredacza* składała się z garści tytoniu *koreshki*, kilku zapalek z ratką i kawałka gazety. Byłem zaskoczony. Butów nie zdał, a teraz przysyła „palenie”, które po chlebie ma największą cenę w więzieniu. Nie paliłem, rozdałem więc *pieredacze* więźniom naszej celi wśród gromkich: *Błagodariu*. Te dwa wydarzenia zmieniły atmosferę w celi. Wszyscy starali się być dla mnie grzeczni, proponowali nawet, że trochę postoją, a ja położę się na ławce i wyciągnę nogi. Ma się rozumieć z propozycji nie korzystałem, ale w celi było już nie tak okrutnie ponuro i beznadziejnie, jak przedtem.



Pociąg znowu się zatrzymał i po pewnym czasie przyszedł żołnierz, wywołał mnie z celi i wyprowadził na peron stacyjny. Po półgodzinnym marszu znalazłem się w celi więzienia w Ostasz-

kowie, a więc tego samego, z którego wywieźli mnie do Kalinina.

W celi byłem sam. Dosłownie po paru minutach otworzyły się drzwi i wartownik zapytał o mój pseudonim, a nie jak zwykle nazwisko. Gdy podałem go, wartownik powiedział: *Połuczaj pieredaczu od...*, i wymienił pseudonim mojego rozmówcy z wagonu. Dostałem kawałek chleba i główkę czosnku.

I znowu zaskoczenie było kompletne. Z całą pewnością mój ofiarodawca nie wysiadł ze mną na stacji w Ostaszkowie, a mimo to wiedział, że ja wysiadłem. Z całą pewnością on dał polecenie komu trzeba o daniu mi *pieredaczy*, bo nikt z mojej celi z wagonu nie wysiadł razem ze mną, a więc nie od nich. Z całą pewnością on, bo mi powiedział: *Ja o ciebie nie zabudu*. Mimo więziennego piętna, rabunku, przemocy i grabieży pozostały w nim elementarne wartości człowieka. Później dowiedziałem się, że tajna organizacja więzienna oparta jest o hierarchię i bezwzględność dyscyplinę, a polecenia jej są respektowane nawet przez strażę więzienną.

Jedna podróż a ile wrażeń, poznania ludzi, zwyczajów i praw”.

Ostaszków, o którym tu mowa, to ten sam obóz w kalininskiej okolicy, przy linii kolejowej Wielkie Łuki - Bologoje, w którym w latach 1939-40 przebywało około sześciu i pół tysiąca Polaków, przeważnie funkcjonariuszy policji, po których wszelki ślad zaginął. Według „Taka” w 1946 roku w obozie tym było kilka tysięcy „żołnierzy niemieckich i innych narodowości i około 200 Polaków z AK.

W czerwcu 1946 „Tak” i trzech jego koledzy zdołali przeciąć druty i uciec z obozu, jednak po trzech tygodniach zostali złapani koło Połocka i odesłani z powrotem do Ostaszkowa. „Tak” odsiedział za to 21 dni w karczerze. Jesienią tegoż roku komendant obozu wsadził go z powodu bezpodstawnych podejrzeń znowu do karceru na 21 dni. Tym razem „Tak” rozpoczął głodówkę, która zakończyła się tak oto:

„Koło południa, a był to już siódmy dzień głodówki, przyszło dwóch żołnierzy i powiedzieli, że zabierają mnie do szpitala, ponieważ jestem *sumasszedszij* (wariat). A więc wydostałem się jednak z karceru. Do czekającej dwukółki, zaprzęzonej w jednego konika, było ok. 200 m. Trzeba było dojść drogą, która dzieliła obóz i *zonę*. Dwu żołnierzy z pepesami wzięło mnie pod rękę i prowadziło w kierunku dwukółki. Byłem zaskoczony, że miałem jeszcze tyle siły, że samodzielnie mogłem iść i nie tylko tych 200 m. Widocznie napięcie nerwowe stwarzało te możliwości.

Cała nasza gromada akowska przypadła do drutów i wołaniem „Tak”, „Panie Tak” żegnała mnie. Na wysokości szpitalika zauważyłem około 15 oficerów niemieckich (Niemcy obsługiwali szpitalik), stojących w szeregu i salutujących. Wszyscy, jak mogli, wyrażali swój protest.

Wsadzili mnie na wózek i powieźli do szpitala. Tu wykąпали (co za rozkosz!) i położyli na łóżku (coś wspaniałego!). Po paru minutach przysła siostra z talerzem mlecznej zupy. Myślałem, że oszaleję. Pamiętałem jednak, że zrobili przecież ze mnie „wariata”, a więc trzeba podtrzymywać tę „wspaniałą” diagnozę. Siostra próbowała karmić mnie łyżką, ale wszystko odtrącałem, rozlewałem i możliwie głośno wykrzykiwałem: *Nie nada, ja nie chcę* (nie trzeba, ja nie chcę) itp.

Siostra zaczęła mnie uspakajać, głaskać, przymilać się, a ja ciągle nie wiedziałem, czy już można rzucić się na jedzenie, czy jeszcze trochę „powariować”. Wreszcie pozwoliłem siostrze podać sobie parę łyżek przepysznej zupy. Po chwili siostra poszła, a ja z wilczym apetytem zjadłem cały talerz. Otrzymałem jeszcze kolację, też z usilną próbą, abym zjadł. Na drugi dzień po obiedzie postawiono nową diagnozę, tym razem trafną: *On duraka walajet* (udaje głupiego), a w ślad za nią zaczęły się obiady z kapusty, buraków i brukwi.

Po dwóch tygodniach odstawili mnie do obozu, ale już nie do karceru, a do tzw. izby przy wartowni. Było ciepło, widno, mogłem wychodzić na krótkie spacerunki koło wartowni, wyżywienie takie jak w obozie, z tym że obfitsze dzięki życzliwości żołnierzy”.

Wreszcie po czterech latach śledztwa, więzień i łagrów powracał „Tak” do kraju. Spotkanie z nową Polską Ludową miało następujący przebieg:

„Nareszcie poza drutami i kratami! Wczoraj, zdaje się 27 lipca 1948, przejechaliśmy pociągiem towarowym obecną polsko-radziecką granicę. Wyładowano nas, tzw. repatriantów, na stacyjce przygranicznej w Białej Podlaskiej. Zakwaterowani zostaliśmy w zupełnie przyzwoitych barakach. Każdy ma własne łóżko, o cudzie, białą czystą bieliznę i własny wełniany koc, który otrzymaliśmy od tzw. PUR-u. Po doskonałym śniadaniu wyszedłem w pole. Lato w pełni. Co za cudowny dzień! Idę, gdzie chcę, nikt mnie nie pilnuje, nikogo i niczego się nie boję. Piękne łany złotego zboża poprzetykane chabrami, makami, rumiankami mienią się w promieniach słońca. Zachłystuję się wolnością całym sercem i duszą.

Po kilku dniach polecono nam złożyć ankiety personalne. Było to zupełnie zrozumiałe. Władze polskie chciały i musiały wiedzieć, kogo przyjmują do kraju.

Jak ewidencja, to ewidencja. Do tego celu przeznaczony był specjalny barak. Wzdłuż jednej ze ścian ustawione były stoiska z obsługą wyłącznie kobiecą.

Podszedłem do okienka na chybił trafił. Za szybą siedziała bardzo młoda dziewczyna. Zdziwiło mnie trochę, że takie to jeszcze młode, a już spełnia bądź co bądź funkcję dość ważną. Dziewczyna podała mi obojętnie ankietę, pouczyła, że należy najpierw ją przeczytać, a dopiero potem wypełnić. Z tonu jej mowy odczułem, że choć taka smarkata, to robi z siebie „ważną”. Uśmiechnąłem się więc, bo przecież jak się nie uśmiechać do wszystkich i wszystkiego w tych cudownych pierwszych dniach wolności, a tym bardziej do tak ładnej dziewczyny.

Usiadłem przy stoliku i bardzo starannie wypełniłem 8 stron ankiety. Oczywiście, że na wszystkie pytania postawione w niej odpowiedziałem bardzo dokładnie i zgodnie z prawdą. Nie widziałem powodu, a więc i potrzeby czegoś ukrywać, czy nie domawiać. Byłem przekonany, że tu w Polsce zostanie nareszcie z powrotem żołnierzem, takim jak inni, którzy walczyli z hitlerowską przemocą. Po wypełnieniu ankiety poszedłem znowu do tej samej dziewczyny, która mi ją wydała.

Jakież było moje zdziwienie i zaskoczenie, gdy ta smarkata, po przeczytaniu ankiety zaczęła na cały barak wykrzykiwać: „Co pan, zapomniał już pisać po polsku, trzeba uważać, ja nie mam blankietów do marnowania”. Myślałem, że ją rozszarpię. Jeśli nawet popełniłem jakiś błąd, to czy po tylu latach tułaczki i takiemu starszemu panu, za jakiego się uważałem (właśnie za parę dni kończyłem czterdzieści lat) taka młoda dziewczyna, choć tak ładna i taka wiośniana, ma prawo zwracać uwagę i to w tak niegrzecznej formie? Jestem wściekły i podniesionym głosem pytam: „Gdzie te błędy, proszę mi pokazać”. Panienka jednak zamiast podsunąć ankietę ku mnie trzyma palec na jakimś wierszu, a ankietę wolno przesuwając ku sobie i głośno replikuje: „Tu, proszę pana, tu!”. W rezultacie nic nie widzę, nie wiem, o co chodzi i próbuję dojrzeć pokazywane miejsce. Wychylam się więc przez okienko do wnętrza. Gdy byłem już dostatecznie w głębi, dziewczyna szepnęła: „Niech pan nie pisze, że był pan za granicą, że jest pan spadochroniarzem, bo pana zaraz z powrotem zamkną”. Powiedziała to tak serdecznie i tak przekonywująco, że nie miałem żadnych wątpliwości co do jej szczerzej intencji. Odczułem, że chce mi pomóc. Działo się to wszystko bardzo szybko. Nie pozwoliła mi nawet powiedzieć jednego słowa i znowu gromko mnie skarciła: „Proszę uważać, ja nie mam blankietów na marnowanie!”. Ostentacyjnie podała moją ankietę, wrzucając ją ko kosza, a mnie wydała nowy arkusz.

Co było robić. Wziąłem ankietę, siadłem znowu przy stoliku. Wszystko, co było tak radosne, tak piękne, raptem zniknęło.

Czułem się, jak bym dostał „pałkę w łeb”. Trochę ochłonałem i zacząłem pisać na nowo. Gdy doszedłem do wojny 1939, opuściłem okres pobytu za granicą i przeskoczyłem od razu na AK wileńskie. Reszta była zgodna z prawdą. Oddałem ankietę. Dziewczyna przejrzała ją i powiedziała: „Teraz jest dobrze wypełniona”. W oczach ledwie dostrzegalny uśmiech, a raczej zadowolenie, że jej się udało”.

Wreszcie „Tak” przybył do Warszawy, którą znał od dziecka, i tak oto opisuje to spotkanie:

„Na Pradze wstąpiłem do biura adresowego, które miało tylko dane mojej siostry. Gdy przybyłem pod wskazany adres, pełen radości, że wreszcie skończyło się tułaczkie życie, portier nie wpuścił mnie do gmachu, informując, że pani doktor jest na urlopie. Widząc mój „wspaniały” strój, nie chciał ze mną rozmawiać i wreszcie kazał mi wyjść. Ledwie wydusiłem z niego, że siostra wraca do Warszawy za tydzień, a wieczorem przychodzi czasem do mieszkania jakaś pani.

Zacząłem szukać znajomych. Gdzie się nie poruszyłem, wszędzie gruz, włącznie z moim domem rodzinnym, gdzie mieszkali Rodzice również podczas okupacji. Byłem głodny i ogromnie zmęczony. Nie udało mi się znaleźć żadnego kąta ani dla siebie, ani dla towarzyszy.

Czy to zmęczenie, czy wrogi stosunek do wojskowych z okresu okupacji, więzień i obozów, ale unikałem wojskowych. Idąc ulicą Piękną zauważyłem, że jakiś kapitan L.W.P. bacznie mi się przygląda. Wyprzedził mnie kilka razy, idąc to za mną, to przede mną. Trochę mnie to denerwowało i niepokoiło. W pewnej chwili kapitan podszedł do mnie i zapytał: „Czy pan porucznik.....?”, i nie czekając na odpowiedź mówił dalej: „Pan porucznik mnie nie poznaje? Kapral R.... jestem. Nie zamordowali pana, jak ogromnie się cieszę”. Rzucił mi się w objęcia. Nie pozwolił mi nigdzie iść, zaprowadził do swego mieszkania, ściągnął buty, umył, nakarmił, poczęstował kieliszkiem wódki. Całkowicie przejął inicjatywę. Nie pozwolił mi nigdzie się ruszyć, gdzieś podzwonił, wyszedł i za chwilę jechaliśmy samochodem wojskowym z powrotem do domu siostry”.

Te urywki wspomnień „Taka” nasświetlają jedynie w sposób ułamkowy dzieje tysięcy Polaków, którzy dostali się w ręce sowieckie w 1944 roku, głównie na skutek akcji „Burza”, przeprowadzonej we wschodnich województwach. Dzieje te w szerszej skali są całkowicie nieznane.

Z. S. SIEMASZKO

LISTY DO REDAKCJI

31 lipca 1980.

Szanowny Panie Redaktorze,

W opublikowanych przez *Zeszyty Historyczne* rozdziałach mojej pracy o ppłk. Macieju Kotwiczu-Kalenkiewicz (tytuł ogólny: *Droga do Ostrej Bramy*) zauważyłem — albo zauważyli czytelnicy — usterki, które chciałbym teraz usunąć.

W rozdziale „Wyrok na brata” (*Z.H.* nr 51) na str. 125 napisałem, że na trzy dni przed wybuchem Powstania Warszawskiego Józef Świda „wyjeżdża do Okręgu AK Kraków, gdzie Niemcy zlikwidowali całe dowództwo z płk. Józefem Spychalskim na czele”. Jest to o tyle nieścisłe, że Spychalski został aresztowany już 24 marca 1944. Jego stanowisko objął pod koniec maja płk Edward Godlewski (Izabelka) i był komendantem okręgu do połowy lipca, kiedy — jak to było przewidziane w planie „Burzy” — został dowódcą oddziałów AK z okręgów Kraków i Śląsk. Opróżnione miejsce w Krakowie zajął wtedy gen. Stanisław Rostworowski (aresztowany 13 sierpnia 1944), który wprowadził do sztabu mjra Jana Górskiego, rtm. Józefa Świdę i adw. Stefana Dembińskiego.

Poprawkę tę zawdzięczam por. Wacławowi Bnińskiemu (Roman), adiutantowi komendantów Okręgu Krakowskiego w 1943 i 1944 roku.

W rozdziale „Osierocone natarcie” (*Z.H.* nr 52) na str. 158 w cytacie z pracy mjra Stan. Sędziaka wypadł w czasie składania jeden wiersz. Poprawny tekst tego zdania brzmi: „Ppłk 'Poleszuk' tak nagle z wyjazdem, że polecił mi zaniechać wysłania rozkazu do II lub VII batalionu celem przydzielenia mu ubezpieczenia i dowodzenia motocyklistów i cyklistów”.

Wreszcie w tym samym rozdziale na str. 159 potknąłem się na łacinie. Jak to wszyscy wiedzieliśmy, a na pewno większość z nas dotąd pamięta, łacińskie wyrażenie o zachowywaniu pozorów brzmi *ut aliquid fieri videatur*.

Jan ERDMAN

Waszyngton, 13 sierpnia 1980.

Szanowny Panie Redaktorze,

Do znakomitego studium Piotra Wandycza o Augustcie Zaleskim (*Zeszyty Historyczne* Nr 52) pragnę dorzucić kilka szczegółów wyjaśniających.

1. Rzekome podejrzenie Zaleskiego o przeszukaniu jego biurka za zgodą

min. Becka i mjr. Seweryna Sokołowskiego (str. 112 powyższego studium) rzuca złe światło na dwóch ludzi, w moich oczach absolutnie niezdolnych do podobnego postępowania.

Cztery lata nieprzerwanego współzycia z płk. Beckiem w Rumunii (aż do jego śmierci) pozwoliło mi poznać jego wielkoduszość w stosunkach z ludźmi, włączając w to wrogów osobistych, a Seweryna Sokołowskiego też mogłem wielokrotnie obserwować w Rumunii, mając jego zaufanie do tego stopnia, że gdy (z inicjatywy przychylnego nam urzędnika policji rumuńskiej) prosiłem go o przerwanie strajku głodowego który rozpoczął jako więzień po nieudanej ucieczce płk. Becka, usłuchał mnie — i kilka dni później był już na pełnej swobodzie.

Seweryn Sokołowski jako wicedyrektor gabinetu ministra był odpowiedzialny za bezpieczeństwo ministra i zawiadywał Funduszem Dyspozycyjnym, a będąc człowiekiem flegmatycznym i powolnym, nigdy się w nie swoje sprawy nie wtrącał.

2. Wiem bezpośrednio od min. Becka, że Zaleski prosił również i jego o placówkę dyplomatyczną dla Mariana Szumlakowskiego, a więc nie tylko Marszałka Piłsudskiego (patrz str. 116 powyższego studium). Toteż Szumlakowski został posłem w Madrycie, otrzymując w ten sposób bezpieczną synekurę. W czasie hiszpańskiej wojny cywilnej wycofał się do San Sebastian, pozostawiając w Madrycie bardzo zdolnego, rzutkiego, odważnego, a osobiście skromnego choć nieco szorstkiego Leopolda Koziebrodzkiego, który powinien by opisać swą działalność w Madrycie, gdyż nie jest bez znaczenia w dziedzinie stosunków polsko-hiszpańskich.

3. Wreszcie niech mi wolno będzie poruszyć dwie sprawy, rzucające światło na min. Zaleskiego a związane z min. Beckiem.

Jeszcze jako referendarz w Gdańsku napisałem dla Komisarza Generalnego R.P. min. Papée studium o problemach pracy polskich inspektorów celnych na terenie W. M. Gdańska, i to z polecenia mojego szefa, naczelnika Siebeneichena. To studium trafiło do min. Zaleskiego i wicemin. Becka. Doniesiono mi, że Zaleski wyraził się o nim pochlebnie, podczas gdy realista Beck uznał jego wartość, ale wyraził wątpliwość, czy też będziemy mogli znaleźć środki i ludzi, by tam zawarte propozycje móc wprowadzić w życie.

Drugiej sprawy nie mogę krócej podać, jak powtarzając to co pisałem o Becku w *Zeszytach Historycznych* (Nr 18, str. 88), a mianowicie: „Po dymisji (rządu 30 września 1939 roku w Rumunii, płk Beck) wyraził się, że oczekuje jako rzeczy naturalnej objęcia teki ministra spraw zagranicznych przez Augusta Zaleskiego...”. Sądzę że nic nie może uznania dla Zaleskiego określić lepiej jak te słowa. Istotnie, został jak wiemy ministrem, rozpoczynając ostatni okres swego życia w służbie dla Kraju, będący ukoronowaniem działalności męża stanu, już nie wykonującego planów i poleceń osobistości nadrzędnej, a będącego całkowicie sobą samym.

Składam wyrazy szczerego i prawdziwego uznania i szacunku,

Doman ROGOYSKI

31 lipca 1980.

Szanowny Panie Redaktorze!

Jako swojego czasu czynny żołnierz Podziemia na Wileńszczyźnie gratuluję p. Janowi Erdmanowi dwóch wyczerpujących artykułów: „Wyrok na brata” i „Osierocone natarcie”, które ukazały się w *Zeszytach Historycznych* Nr 51 i 52 z 1980 roku

Powiększyły one w dużym stopniu dokumentację działalności Armii Krajowej w Okręgach Wilno i Nowogródek, a szczególnie dały dobre opracowanie operacji „Ostra Brama” — bitwy o Wilno, stoczonej w dniach 7-13 lipca 1944 roku. Uwypukliły także sylwetkę i działalność wspaniałego oficera i patrioty, ppłk. dypl. inż. Macieja Kalenkiewicza, pseudonim „Kotwicz”, inicjatora „Ostrej Bramy”.

Pod koniec 1945 lub na początku 1946 roku mjr Marian Utnik ze Sztabu w Londynie, w czasie mego meldunku w Meppen (siedziba Dowództwa 1. Dywizji Pancerniej) o sytuacji w Kraju i na Wileńszczyźnie, wykazywał duże zainteresowanie losami „Kotwicza” i okolicznościami jego śmierci. Niestety, nie wykazał tego samego zainteresowania kolegami „Kotwicza”, czy to z Okręgu Wileńskiego, czy też Nowogródzkiego, a przecież jako emisariuszowi Komendanta Okręgu Wileńskiego, ppłk. dypl. Antoniego Olechnowicza, pseudonim „Pohorecki”, który już w tym czasie przeniósł się do centralnej Polski, chodziło mi o ratunek dla najbardziej zagrożonych, których można byłoby jeszcze wtedy wywieźć ciężarówkami z Kraju. Uniknęliby późniejszych sądów pokazowych, zakończonych wyrokami śmierci i ciężkiego więzienia. Okazało się później, że moje trudności w dotarciu do Londynu i brak większej akcji w wywożeniu zagrożonych akowców z Kraju były spowodowane planami Tatara i Utnika, którzy chcieli, żeby znani akowcy pozostali w Kraju; jak się okazało, było to daremne.

O ile ukaże się jeszcze w druku praca doktorska Romana Korab-Żebryka pt. „Armia Krajowa w operacji wileńskiej 1944 roku” i praca źródłowa pt. „Komórka legalizacyjna Sztabu Okręgu Wileńskiego Armii Krajowej w latach 1939-1947”, obie za granicą, wielki nam ciężar spadnie z serca, ponieważ wraz z pracami, które już się ukazały lub mają się ukazać, stworzą bazę dla przyszłego historyka, który będzie już w stanie oddać naszą epokę walki o wolność i niepodległość narodów zamieszkujących północno-wschodnią część Polski. Już od 1943 roku bowiem było jasne, że narody te, po różnych poprzednich wahaniach, zdecydowanie chciały żyć w ramach tej samej państwowości. Nawet obecnie dochodzą wiadomości z wiarygodnych źródeł, że młodzież, na skutek zruszczenia mówiąca już tylko po rosyjsku, choć z pochodzenia polska, lub białoruska, widzi w tej idei jedyny ratunek poprawienia swego losu.

Jeszcze raz dziękuję p. J. Erdmanowi i ściskam jego pracownicę dłoń,

Jan „ROLAND”-MORELEWSKI

SPIS TREŚCI

Janusz Rakowski: <i>Zetowcy i Piłsudczycy</i> (1)	3
Emanuel Halicz: <i>Ksiądz Brzóska</i> (Hierarchia kościelna a Powstanie Styczniowe)	40
Jerzy R. Krzyżanowski: <i>Teatr AK w Sowietach</i>	59

WSPOMNIENIA

Stanisław Jerzmanowski: <i>W potrzasku</i> (Przyczynek do dziejów likwidacji niepodległości w Polsce w 1945 r. przez sowieckich okupantów)	71
Zofia Żółtowska: <i>Polonia kujbyszevska</i>	97
Józef Łobodowski: „ <i>Tu mówi Madryt</i> ”	113
A. A. Świderski: <i>Gdański „Bratniak”</i>	128

CI, CO ODESZLI

Zygmunt Hładki: <i>Porucznik Zaćwilichowski</i>	153
---	-----

POLEMIKI

Wiktor Sukiennicki: „ <i>Orientacja rosyjska</i> ” a niepodległość	158
Marek Brzost: <i>Finezyjny raport</i>	168

RECENZJE

Stefan Korboński: „Polskie Państwo Podziemne 1939-45”	177
Piotr Wandycz: <i>Nowe książki</i>	181
Jan Ciechanowski: <i>Bitwa o tajemnice: Wywiad brytyjski w czasie drugiej Wojny Światowej</i>	183
Tadeusz Heinrich: <i>Druga Wojna Światowa i Bliski Wschód</i>	189
Tadeusz Heinrich: <i>Jeszcze o Enigmie</i>	195

KRONIKA

Kazimierz Smogorzewski: <i>XV Zjazd Historyków w Bukareszcie</i>	199
--	-----

UCRAINICA

Benedykt Heydenkorn: <i>Kilka uwag do „Rozrachunków polsko-ukraińskich”</i>	207
Benedykt Heydenkorn: <i>Na szlakach wojskowych i politycznych zmagañ Ukraińców</i>	212
Dr M. Boyko: <i>Ukraińskie wołyniana na emigracji</i>	215

OKRUCHY HISTORII

Stefan Korboński: <i>Korespondencja z generałem Reinhardem Gehlenem</i>	222
Z. S. Siemaszko: <i>Urywki wspomnień „Cichociemnego”</i> ..	225

LISTY DO REDAKCJI

Jan Erdman: <i>Sprostowania do rozdziału „Wyrok na brata” opublikowanego w Zeszytach Historycznych Nr 51, stanowiącego część większej pracy pt. „Droga do Ostrej Bramy”</i>	235
Doman Rogoyski: <i>Wyjaśnienia do studium Piotra Wandycz o Augustie Zaleskim (Zeszyty Historyczne Nr 52)</i>	235
Jan „Roland”-Morelewski: <i>List w związku z fragmentami pracy J. Erdmana „Droga do Ostrej Bramy”, które ukazały się w Zeszytach Historycznych Nr. 51 i 52</i> ..	236
	239

A C H E V E D'IMPRIMER
LE 17 NOVEMBRE 1980
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).

Dépôt légal : 4^e trim. 1980.

**BIBLIOTEKA „KULTURY”
KSIAŻKI O TEMATYCE HISTORYCZNEJ**

- S. Allilujewa, *Dwadzieścia listów do przyjaciela*.
J. Grzędziński, *Moja 1926* (Seria „Dokumenty”).
W. Jedlicki, *Klub Krzywego Koła* (Seria „Dokumenty”).
Fr. Kalinowski, *Lotnictwo polskie w Wielkiej Brytanii (1940-1945)*.
T. Katelbach, *Rok tłych wróżb (1943)*.
A. Koestler, *Fragmenty wspomnień* (Seria „Archiwum rewolucji”).
St. Korboński, *Polskie Państwo Podziemne*.
I. Koszeliwec, *Ukraina 1956-1968* (Seria „Dokumenty”).
St. Kot, *Niemirycz, inicjator Ugody Hadziackiej*.
St. Mackiewicz, *Polityka Becka*.
M. K. Pawlikowski, *Wojna i sezon*.
E. Reale, *Raporty. Polska 1945-1946* (Seria „Dokumenty”).
St. Rembek, *W polu*.
B. Singer, *Od Witosa do Ślawka*.
W. Solski, *Moje wspomnienia*.
W. Sukiennicki, *Legenda czy rzeczywistość* (Seria „Dokumenty”).
St. Swianiewicz, *W cieniu Katyńia*.
Węgry (Seria „Dokumenty”).
W. Witos, *Moje wspomnienia*, t. I/III.
J. Wołoszynowski, *Było tak*.
P. Zaremba, *Historia Polski, cz. 1*.
A. Zawadzka-Wetzel, *Refleksje pewnego życia* (Seria „Dokumenty”).

„ZESZYTY HISTORYCZNE” UKAZUJĄ SIĘ CO
KWARTAŁ NA POZATKU LUTEGO, MAJA,
SIERPNI I LISTOPADA KAZDEGO ROKU.

PRENUMERATA ROCZNA 1980 — F. 180,00.

PRENUMERATA ROCZNA DLA
PRENUMERATOROW „KULTURY” — F. 160,00.
CENA EGZEMPLARZA W ROKU 1980 — F. 45,00.

F. 45,00